

# WIAATR

A high-angle, wide shot of a person climbing a snow-covered mountain peak. The climber is a small figure in the center, leaving a trail of footprints in the snow. A long, dark shadow of the climber is cast across the snow to the left. The sky is a deep blue, and the air is filled with falling snow, creating a sense of a blizzard. The overall mood is one of isolation and challenge.

# IGOR BREJJDYGANT

W  
ydawca wróć  
ab  
two

IGOR  
BREJDYGANT

**WIATR**



Copyright © by Igor Brejdygant, MMXXI  
Wydanie I  
Warszawa MMXXI

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

# Spis treści

## Motto

## I

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

13.

14.

15.

16.

17.

18.

19.

20.

21.

22.

23.

24.

25.

26.

27.

28.

29.

30.

31.

32.

33.

34.

35.

36.

37.

38.

39.

40.

41.

42.

43.

44.

45.

46.

47.

## II

1.

2.

3.

## Przypisy

*(...) Jeśli patrzeć na liście drzew, widać.  
Jest jasne, że czas nie mija, jest okrągły i jest tutaj. Bóg.*

Triin Soomets





# 1.

Zacząło wiać chyba około północy. Trudno powiedzieć dokładnie, ale też nie ma to już w tej chwili większego znaczenia. Może o tyle tylko, że jeśli zaczęło o północy, a oni o tym wiedzieli, to rzeczywiście nie powinni byli iść. Rano śnieg był już zbyt ciężki.

Tak czy inaczej, teraz duło już fest, a on razem z pierwszym toprowcem, który zjawił się na miejscu, stał zakopany w śniegu po kolana, z tyczką do przeszukiwania lawiniska, tuż nad krawędzią złowieszczą ciemnej toni Morskiego Oka. Jeszcze wczoraj o tej porze nic nie było wiadomo na temat złowieszczej toni, gdyż staw pomimo marcowych roztopów wciąż pokrywała gruba na blisko metr pokrywa lodowa. Teraz woda gdzieś się ujawniła, bo mniej więcej godzinę temu białą płaszczyznę lodu zmasakrowały tysiące ton śniegu z lawiny, która zeszła gdzieś od strony przełęczy między szczytami Opalonego Wierchu i Miedzianego. Dokładnie rzecz ujmując, śnieżna nawałnica od Kieszonkowych Turni stoczyła się z głuchym łoskotem Szerokim Żlebem, który niestety sto metrów od lodowej płaszczyzny stawu przecinał żółty szlak wiodący na Szpiglasową Przełęcz. Niestety, bo zły los chciał, że w tym właśnie momencie na tym właśnie szlaku skrzyżowały się drogi lawiny i dwójki turystów zmierzających w stronę przełęczy.

Pół godziny później na jezorze bieli zanurzonym do połowy w mrocznej głębinie jeziora pracowało w pocie czoła dwadzieścia osób. Niestety, szanse na odnalezienie kogoś z tamtej dwójki malały z każdą chwilą. Niestety, niestety, niestety, coś za dużo tych złych zrządeń losu, pomyślał.

– Po co szli? – zapytał nagle retorycznie ów toprowiec, który zjawił się tutaj kwadrans po wypadku. Reszta doszłusowała później, desantowali się trzykrotnie ze śmigłowca kołującego nad lawiniskiem. – Przecież wiadomo, że jak wieje, to może ruszyć – dodał po chwili coś, co dla nich wszystkich było oczywiste, ale może dla tamtych aż tak oczywiste nie było.

Tym dziwniejsze, że kiedy ich widywał, sprawiali wrażenie raczej obeznanym z regułami gry, pomyślał. Nie skomentował tego jednak głośno, bo po co zastanawiać się nad winą tych, którzy ponieśli już karę, i to prawdopodobnie w najwyższym wymiarze.

Ogorzały od słońca, wiatru i alkoholu, którego nigdy przesadnie nie unikał, mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat, czyli zdaje się on, czyli Wawrzyniec Wiślicki, wzruszył tylko ramionami. Skąd miał wiedzieć, po co szli? Może szli, bo ich naszło, a może po prostu lubili, kiedy nie było do końca wiadomo, czy się uda. Znał takich ludzi. Tutaj, w górach, było ich sporo. Część już zginęła, inni żyli pełną piersią. Znacznie jednak bardziej od tego, po co szli, ciekawiło go coś zupełnie innego. Pół godziny temu był jedynym naocznym świadkiem tego, co się stało. To on wszczął alarm, on był na tej ogromnej połaci śnieżnego gruzu jako pierwszy. Wszystko to jednak nastąpiło później. A wcześniej? No właśnie, co stało się wcześniej?

Po raz pierwszy tego ranka zobaczył ich w ostrych promieniach słońca, kiedy ruszył spod schroniska w lewo w kierunku Czarnego Stawu. Mógł właściwie iść po lodzie drogą wytyczoną przez środek jeziora, ale od kilku dni było już powyżej zera, a strzeżonego Pan Bóg strzeże. Właśnie. Żeby dotrzeć nad Czarny Staw, bezpieczniej było iść lewym brzegiem. Po prawej stronie były aż cztery miejsca, w których szlak przecinały trasy potencjalnej lawiny – a był to szlak czerwony, położony znacznie niżej od żółtego, wiodącego na Szpiglasową. Położony niżej, co oznaczało dodatkowe kilkanaście sekund na to, żeby próbować uciec z toru lawiny. Kiedy się zaczęło, dwójka na żółtym miała tego czasu zdecydowanie za mało.

Był chyba mniej więcej w połowie stawu, kiedy usłyszał najpierw ten huk, jakby łąpanie albo salwę z jakiejś przytłumionej haubicy. Kiedy sekundę później spojrzął na drugą stronę stawu i w górę, pod grań Miedzianego, zobaczył, jak ogromna połać bieli oderwała się od zbocza i ruszyła w dół. Z tej odległości wszystko wydawało się dziać wolno, ospale, ale kiedy ujrzał dwie małe czarne figurki znajdujące się trzysta metrów poniżej miejsca obrywu lawiny, wiedział od razu, że ogrom powolnie zsuwającej się w dół śnieżnej toni musi je pochłoniąć. Musi pochłoniąć, ta myśl dzwoniła mu w głowie, odbijała się echem; jak łoskot lawiny, kiedy ta nabrała już

pełnej mocy i rozpędu. Nie było właściwie śnieżnej kurzawy, którą widywał wcześniej przy tego typu okazjach. Nie było, bo od północy wiał halny i wszystko powoli nasiąkało mokrą breją topniejącego w przyspieszonym tempie, jak pod działaniem jakiejś monstrualnej suszarki do włosów, śniegu.

Mimo że dopiero kończył się marzec i góry wokoło wciąż pokrywała nieskazitelna biel, temperatura była tak wysoka, że wszyscy, nie wyłączając jego, pracowali teraz w koszulkach z krótkim rękawem. Pracowali w koszulkach, mimo że wiatr wiał z siłą odcinającą oddech i zwalającą z nóg. To cud, że śmigłowiec zdecydował się lecieć i że utrzymał się w prawie nieruchomym zawisie, gdy z kilkudziesięciu metrów wyskakiwali z niego chłopaki w czerwonych kurtkach. To dlatego, że wiało już wcześniej, zanim to wszystko się stało, nie zdecydował się ani na przejście środkiem jeziora, ani na spacer prawą, bardziej niebezpieczną stroną. Każdy, kto choć raz był tu w zimie, wiedział, że kiedy zaczyna wiać ten cholerny ciepły wiatr, lawiny schodzą najchętniej. Tyle że tej chyba nie byłoby, gdyby nie dziwny stłumiony huk, który ją poprzedził. Tak mu się przynajmniej wydawało teraz i później – przez cały ten czas, gdy próbował coś z tego wszystkiego zrozumieć.

– Ile upłynęło, odkąd ich nakryło? – Siwy mężczyzna, Witek o poszarzałej twarzy i kilkudniowym zarostie białym jak śnieg, na którym stał, patrzył na niego pytająco.

Wawrzyniec wyciągnął z kieszeni telefon. Była dziesiąta dwanaście. Kiedy dzwonił do TOPR-u, wybiła dziewiąta piętnaście. Numer wybrał, jeszcze zanim lawina sięgnęła brzegu stawu. Czyli oni byli wtedy pod śniegiem już około trzydziestu sekund, może minutę, skalkulował.

– Pięćdziesiąt siedem, może osiem minut – popatrzył na tamtego i obaj wiedzieli, co to mniej więcej oznacza.

Człowiek pod śniegiem mógł przeciętnie wytrzymać do dwudziestu minut, czasem pół godziny, potem organizm się wychładzał. Żeby się dogrzać, potrzebował coraz więcej powietrza, a powietrza ubywało z każdym oddechem, więc...

– W siedemdziesiątym czwartym... – zaczął Wawrzyniec.

– Wiem, wiem: zeszła z Grani Baszt na słowacką stronę. – Witek wskazał głową mniej więcej w stronę górującego nad doliną potężnego masywu Mięguszowieckich. – A chłopaka wyciągnęli po pięciu godzinach.

– Spod czterech metrów śniegu – dodał z nadzieją w głosie Wawrzyniec.

– Będziemy kopać, aż znajdziemy. – Tamten się zamyślił. – Albo aż przekopujemy całość, bo tam – wskazał w kierunku ciemnej czeluści stawu – do lata nikt nie zajrzy.

– Był ten huk. Zanim się zaczęło, najpierw coś gruchnęło. – Wawrzyniec po raz setny wbił tyczkę pomiędzy stopy, po czym delikatnie wepchnął ją w zbity śnieg prawie na całą długość.

Nie patrzył na tamtego, bo nawet mówienie o tym na razie wydawało mu się w jakimś sensie niestosowne.

– Co gruchnęło? – zapytał Witek, rozglądając się jednocześnie po ogromnej połaci bieli w poszukiwaniu czegoś, co miałoby jakkolwiek inny kolor.

– Nie wiem co, właśnie o to chodzi. – Wawrzyniec przeniósł tyczkę metr dalej i razem zrobili kolejne dwa kroki.

– Jak lawina rusza, pęka pokrywa lodowa i bywa, że idzie huk. – Tamten pokiwał głową, po czym po chwili zapytał z innej beczki, bo to, że był huk, najwyraźniej nie zainteresowało go przesadnie: – Wiemy, co to za ludzie?

Wawrzyniec widział ich, ale niewiele o nich wiedział. Był w nowym schronisku od kilku dni, oni spali w starym. Spotykali się co rano w dużej sali jadalnej. Widział tych dwoje, ale nie wiedział, kim byli. Nie miał pojęcia, skąd się tu wzięli, co ich łączyło, od kiedy tu nocowali ani do kiedy mieli pozostać. Ot, dwójka wpatrzonych w siebie ludzi. Ona ładna, na tyle, że przyglądał jej się nawet raz czy dwa chwilę dłużej. On? Chyba w miarę przystojny, twarz ogorzała, ale nie aż tak jak jego własna. Wstyd przyznać, ale kobiety od dawien dawna były głównie wyznacznikiem jego własnej wartości. To, jak były według niego atrakcyjne, łączył za pomocą siebie tylko znanego algorytmu z tym, jak duże zainteresowanie w nich

wzbudzał. W ten sposób otrzymywał współczynnik, który czasem go zadowalał, a czasem – niekoniecznie. Ta kobieta nie dawała mu powodów do zadowolenia, gdyż była bardzo pociągająca, a jednocześnie zupełnie nie zwracała na niego uwagi. W każdym razie jej przynajmniej przyjrzał się dość dokładnie. Facet natomiast interesował go jedynie dlatego, że Wawrzyniec próbował w nim wypatrzyć coś, co czyniło nieznanego lepszym od niego samego i co sprawiało, że ta kobieta przyglądała się swojemu towarzyszowi, wprawdzie nienatarczywie, przelotnie i ukradkowo, ale niewątpliwie z czymś, czego chyba Wawrzyniec mu zazdrościł, czyli z miłością. Nie odkrył wiele. Jedyne, co zapamiętał, to to, że tamten był mniej ogorzały, co potęgowało jeszcze jego zaskoczenie. Wawrzyniec pomyślał, że tak naprawdę nie jest w gruncie rzeczy aż tak narcystycznym kretyńcem. Teraz go tak naszło ze złości, że przez kilka dni tylko im się biernie przyglądał, przez co nic o nich nie wiedział. No ale nie można już było tego zmienić. Dwójka ludzi, których nie poznał i których teraz próbował odnaleźć za pomocą wbijanej metodycznie w śnieg stalowej składanej tyczki.

– Mieli te trackery czy nie? – Siwobrody mężczyzna w czerwonym wiatrołapie, dowodzący akcją Bohdan Masterak, ze zniecierpliwieniem krzyknął w stronę nadchodzącego z dołu od strony schroniska młodego chłopaka. Dobry kwadrans temu wysłał go, żeby ten spróbował się dowiedzieć, czy dwójka wypożyczała lokalizatory lawinowe.

– Nie wiem, czy mieli. Ze schroniska nie brali – odkrzyknął chłopak.

– A dowiedziałeś się już, kto to w ogóle...? – Mężczyzna zawahał się przez moment. – Co to za ludzie, wiemy już?!

Młodszy znacznie od dowodzącego i od większości tu obecnych chłopak doszedł do nich w końcu, zasapany, i rozejrzał się po lawinisku.

– Agnieszka i Piotr Markowscy – odpowiedział po chwili.

– Niemożliwe. – Pokręcił głową dowodzący akcją.

– Tak napisali w książce meldunkowej. – Wzruszył ramionami młody.

Następnie przejął tyczkę od kolegi i włączył się w tyralierę ratowników zbliżającą się wolno, lecz nieuchronnie do krawędzi stawu.

– Markowscy w życiu nie wyszliby pod lawinę. – Siwobrody pokręcił głową.

– W życiu by nie wyszli, dlatego już nie żyją – szepnął w stronę Wawrzyńca mężczyzna o popielatej twarzy.

– Kim są Markowscy? – zapytał Wiślicki.

– Ona malarka, on... – Witek zamyślił się na moment. – Czy ja wiem, chyba można powiedzieć, że biznesmen, ale też, z tego, co wiem, wykształcony na artystę. Nie wiem, jak mogłeś ich nie znać. Chyba najbardziej znana zakopiańska para. Od dwudziestu pięciu lat, czyli od zawsze, próbowali się rozstać i nigdy im się nie udało – dodał, uśmiechając się.

Przez chwilę szli w rzędzie z innymi poszukiwaczami, rytmicznie wbijając tyczki w coraz bardziej mokry i coraz mocniej zbity śnieg. W końcu Witek zerknął na Wawrzyńca.

– Tyle lat tu przyjeżdżasz i ich nie poznałeś? – Zwerbalizował wątpliwość, która nurtowała go przez ostatnie dwie minuty.

– Właśnie ich poznałem, przez trzy dni gotowaliśmy razem wrzątek – odpowiedział Wawrzyniec.

– Wrzątek ważna rzecz. A coś poza tym? Gadaliście? – dopytywał.

– Nie, nie było jak, wyglądali jak zamknięci w jakimś wspólnym kokonie, do którego nikt nie miał dostępu. – Wawrzyniec pokręcił głową.

Trochę skłamał, bo przecież tak naprawdę nie podjął przesadnie intensywnej próby przebicia się do ich kokonu. Jemu nie chciało się gadać, oni byli w swoim świecie. Spotykali się rano, potem czasem jeszcze wieczorami, po powrocie z gór. On mieszkał tutaj, w nowym schronisku, w którym wynajął sobie cały trzyosobowy pokój, głównie po to właśnie, żeby być samemu i żeby z nikim nie musieć rozmawiać. Oni mieszkali w starym schronisku.

– Monada – powiedział tamten.

– Co? – zapytał wyrwany z zamyślenia Wawrzyniec.

– Monada – powtórzył toprowiec. – Taką mieli ksywkę, dwuosobową. Jak byli razem, wszyscy zastanawiali się, kiedy się

rozstaną. Jak byli osobno, czekaliśmy tylko, kiedy się zejda. Czyli monada.

Chwilę szli obok siebie, dalej wbijając sztyce, ale Wawrzyniec czuł, że Witek ma do powiedzenia coś jeszcze. Wahał się chyba, a gdy się ktoś wahał, to Wiślicki nigdy nie pchał go w żadną stronę. Może był tak delikatny, a może po prostu nie chciał brać odpowiedzialności.

– Mówiło się też ostatnio o jeszcze jednej sprawie – powiedział w końcu.

– O? – Teraz Wawrzyniec nie miał już wyjścia. Niezadanie pytania zachęcającego do dalszej opowieści byłoby uznane za nietakt.

– Ona chyba była w ciąży...

– O kurwa. – Wawrzyniec aż przystanął.

Dotarło do niego, że w tej sytuacji pod zwałami śniegu być może szukali nie dwóch, ale trzech osób.

Poszukiwania trwały do zmroku. Na chwilę przed końcem dnia, kiedy nikt już nie łudził się, że znajdą ich żywych, na miejscu zjawiał się prokurator przysłany z Krakowa. Dowodzący akcją Masterak, zdając mu relację, wspominał o tym, że świadkowie słyszeli przed zejściem lawiny dziwny huk czy może odgłos wybuchu. Tak naprawdę jedynym świadkiem, który słyszał odgłos, był Wawrzyniec, ale tego już prokuratorowi nie powiedział. Może przemilczał to, żeby być w pełni uczciwym; nie chciał obniżyć rangi tego spostrzeżenia, które skądinąd dla niego było mało istotne. Prokurator pokiwał wprawdzie głową, ale sprawiał wrażenie, jakby w ogóle tego nie dosłyszał.

– Jakie są szanse na znalezienie ich żywych? – zapytał.

– Raczej już zerowe – odpowiedział Masterak zgodnie ze swoją wiedzą, doświadczeniem i zgodnie z prawdą.

– Ciała? – dopytał tamten.

– Będziemy jeszcze szukali jutro, może pojutrze. – Mocno zmęczony już ratownik spojrział na ogrom zbitego lawiniska pod nimi. – Jak nie znajdziemy, to jeśli są pod śniegiem, to może maj...

jeśli pod wodą, trzeba będzie nurków, i myślę, że wtedy nie wcześniej niż w lipcu.

– A co z tym hukiem? – Przypomniał sobie prokurator.

– Z hukiem? – zdziwił się jeden z towarzyszy.

To chyba ten, który pojawił się wtedy jako pierwszy, pomyślał Wawrzyniec. Facet zachowywał się, jakby zapomniał o tym, o czym przed chwilą Masterak mówił łysiejacemu prokuratorowi w popielatym płaszczu, który kompletnie nie pasował do śniegu, do wiatru i do wału burzowego wiszącego złowrogo nad granią za ich plecami.

– No ktoś chyba mówił, że ludzie słyszeli, że tąpnięcie było – przypomniał mu prokurator.

– Coś może było – odpowiedział Masterak i spojrzał w górę na ledwie już widoczny w zapadającym mroku szczyt Miedzianego. – Kiedy się wypogodzi, pójdziemy sprawdzić, jak się zerwała ta lawina.

– I? – Prokurator próbował utrzymać połę płaszcza w jednej dłoni, z drugiej ręki wiatr wyrywał mu przez cały czas skórzaną teczkę.

– I jak była pokrywa lodowa, która pękła, to poszedł łoskot, huk, zwał jak zwał. – Topowiec, który wcześniej się włączył, dokończył wyjaśnianie.

Wszyscy tu chcieli już, żeby prokurator wrócił na kolację do domu. Byli zmęczeni tym zmęczeniem szczególnym, które pogłębiała dodatkowo świadomość, że nie udało im się uratować dwójki ludzi. Ludzi, których znali, którzy stanowili nieodrodny element zakopiańskiego krajobrazu przez ostatnie dwadzieścia pięć lat. Ratownicy bardzo nie lubili, kiedy ginęli ludzie.

– A jak nie było? – Prokurator walczył z przekorą w samym sobie.

– Była – zamknął dyskusję dowodzący Masterak.

Po chwili zaczął składać tyczkę sondującą, co dla prokuratora i dla uczestników oznaczało dwie rzeczy. Po pierwsze, akcja na dziś została zakończona, a po drugie, tamta dwójka ludzi nie żyje.

Noc w schronisku po tym wszystkim była dla Wawrzyńca zupełnie inna od poprzednich. Na miejscu została cześć ratowników, którzy



nie mieli już jak wrócić do domów. Zostali też inni, którzy wprawdzie mieli jak wrócić, ale nie chcieli. Kiedy się nie udaje, lepiej zostać wśród tych, którzy współdzielą to samo poczucie klęski. Wracać na dół do ludzi nieświadomych czegokolwiek jest trudno, zresztą wracać na dół w ogóle jest trudno, szczególnie kiedy wieje. A podmuchy cały czas jeszcze się wzmaczały, więzby dachowe skrzypiały, jakby ktoś obdzierał je ze skóry, szyby drżały w tremorze. Wódka. Tak, ona zawsze pomaga w takich chwilach, zespala, wygładza kanty w głowie, ucisza, w końcu po prostu ogłupia – a w takich momentach ogłupienie jest błogosławieństwem.

– Jak wpadali do wody, to już nie żyli? – zapytał nagle ten najmłodszy, który wcześniej biegał sprawdzać.

Do TOPR-u przyjęli go niedawno, był na dotarciu, młody. Jego wódka najwyraźniej ogłupiła najszybciej, bo tego pytania, choć nasuwało się wszystkim, nie zadałby nikt inny.

Wawrzyniec siedział z Witkiem w rogu sali. Z jednej strony byli częścią tego, co się tu działo, ale z drugiej – pozostawiali cały czas trochę jakby poza nawiasem sytuacji. On od lat nie był już ratownikiem i choć w górach bywał często i miał tu niemało znajomych, to nie czuł się do końca członkiem zakopiańskiej socjety. Witek, jego przyjaciel, z którym znali się jeszcze ze spotkań w jednej z warszawskich redakcji, był w znacznie większym stopniu członkiem tejże socjety, ale pewnie przez solidarność z nim teraz sam trochę wyprowadził się poza nawias. Pili kilka godzin. Za oknem szalała wichura, ale na niebie chwilami przez chmury przebijały się już gwiazdozbiory; a że noc była księżycowa, to co jakiś czas ukazywały się, przez kontekst sytuacji szczególnie złowroźnie wyglądające, szczyty: Mnich, Opalony, Kazalnica, Mięszowieckie, chmury nad ostro zakończonymi wierzchołkami. Gwar rozmów, w końcu nawet czyjś śmiech, ale stonowany raczej, komentujący niż gromki. Cisza.

Dlaczego poszedł tam, do ich sali? Może po części przez alkohol albo przez wiatr, może chodziło o ten głuchy odgłos, tam wtedy, na chwilę przed. W każdym razie chyba od tej wizyty bardziej nawet niż od stłumionego tąpnięcia zaczęło się to wszystko. Rzeczy w pokoju pozornie leżały tak, jakby zostawił je ktoś, kto spieszył się,

żeby zdążyć na Szpiglasową i potem może dalej, w dół do Pięciu albo na Wrota Chałubińskiego, albo diabli wiedzą gdzie jeszcze. Wycieczka w tych warunkach to jakieś trzy i pół godziny marszu w każdą stronę. Jeśli do Pięciu, to tam obiad, fasolka po bretońsku i powrót jeszcze przed zmrokiem. Jeszcze przed lawiną.

Rzeczy leżały pozornie właśnie tak, ale słowo „pozornie” było w tym wszystkim kluczowe. Nieład. To zdarza się często, bo różni są ludzie. Z tego, co już wiedział bardzo pobieżnie, ona była artystką, on właściwie też, przynajmniej z wykształcenia i zainteresowań, a to, że miał biznes, nie zmieniało wiele. Artyści, nieład, wszystko więc w zasadzie po bożemu. Ubrania leżały porozrzucone na łóżku, na stoliku dokumenty, jakieś papiery, notatki, jej rysunki, jego rachunki. W szufladzie, do której zajrzał, choć miał już poczucie lekkiej niestosowności, notes, w nim ślady po wyrwanych kartkach. To jeszcze samo w sobie nic dziwnego, ale... Kartki były wyrwane zbyt starannie, rzeczy na łóżku były rozrzucone, ale ułożone, rysunki i rachunki na stoliku leżały w geometrii tak idealnie przypadkowej, że aż niemożliwej. To było wrażenie, ale czy nie od wrażenia wszystko się zaczyna? Czy intuicja, czyli ten rodzaj spostrzegawczości i inteligencji, który wyprzedza zazwyczaj wolno meandrującą racjonalność myśli, nie jest zarzewiem wszystkiego, co ma w życiu jakiegokolwiek znaczenie? Wawrzyniec wyciągnął telefon z kieszeni. Zaczął robić zdjęcia. Na początek szerokie plany, które najmocniej uświadamiały patrzącemu, że coś tu jest nie tak, potem detale. Każda kartka i rysunek ze stolika osobno, każda strona z notesu.

– Wawrzek, co ty robisz? – Dobiegł go zza pleców głos kolegi z TOPR-u, z którym przed chwilą jeszcze siedział w sali jadalnej.

Wawrzyniec odwrócił się i przez moment trochę się wystraszył. Witold stał w smudze światła wpadającej z korytarza, bladeść jego wątrobowej cery przydawała jeszcze grozy całej sytuacji. Poza tym Wawrzyniec robił coś rzeczywiście nie do końca zrozumiałego nawet dla niego samego.

– Patrzę w te rzeczy – odpowiedział dość idiotycznie.

– To widzę, ale po co? – Witold wyszedł w końcu ze smugi i teraz był już znów jedynie trupio blade. – Czemu?

– Nie wiem do końca właściwie – odpowiedział szczerze Wawrzyniec, bo rzeczywiście tak naprawdę nie miał pojęcia, co i w jakim celu to robi. – Spotykałem ich na śniadaniu, czasem na kolacji, tylko „dzień dobry” i „do widzenia”. Widzę ich twarze, a nie mam pojęcia, kim byli.

– Mogę ci trochę opowiedzieć, nie będziesz musiał nocą grzebać w czyichś rzeczach. – Witek się uśmiechnął.

– Poza tym tam się coś stało, w sensie... To nie był odgłos lawiny, w każdym razie nie tylko, było coś jeszcze. – Wawrzyniec wskazał na sposób, w jaki ułożone były rzeczy, i dodał: – I mi tu coś nie pasuje.

– Nie pasuje? – zdziwił się toprowiec, który patrzył na rozrzucone na łóżku rzeczy, na rysunki na stoliku i zdawał się nie dostrzegać w sposobie ich ułożenia nic szczególnego.

Może nie miał intuicji, pomyślał Wiślicki.

– Z notesu ktoś wyrwał kartki, ogólnie niby wszystko gra, ale jest jakieś zbyt ułożone. Moim zdaniem ktoś w tym grzebał. – Wawrzyniec pokazał zdjęcia w telefonie, które przedstawiały z grubsza dokładnie to, co Witek miał teraz przed sobą w realu.

Witek pokiwał głową, chyba bardziej po to, żeby nie robić Wawrzyńcowi przykrości, niż żeby się z nim zgodzić.

– Poza tym... – zaczął Wawrzyniec i utknął, bo doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że tamten raczej kiwał głową, żeby nie robić mu przykrości.

– Poza tym? – Niezbyt szczerze zaciekawił się Witek.

– Poza tym sam mi mówiłeś, że się zeszli po kilku latach, że byli ze sobą z przerwami bardzo długo... – kontynuował Wawrzyniec.

– Od zawsze. – Teraz Witek uśmiechnął się już trochę szczerzej.

– To po cholere poszliby na śmierć? – zapytał Wawrzyniec, wciąż trzymając przed sobą telefon, tak jakby miał w nim jednak coś, co ponad wszelką wątpliwość wskazywało na udział osób trzecich.

– Zamroczeni miłością – spróbował odpowiedzieć Witek, ale widać było, że akurat to pytanie dręczyło go, podobnie zresztą jak wszystkich tych, którzy znali tę parę i którzy przez wiele godzin próbowali ją dzisiaj odkopać. – Nie wiem, Wawrzek, trzeba się zdrzemnąć. To był długi dzień.

Usnąć po tym, jak przez cały dzień kopało się bezskutecznie w białej, zbitej, śnieżnej masie w nadziei najpierw na uratowanie życia, a później chociaż licząc na odnalezienie ciała, nie jest łatwo. Marzyć po tym, jak najpierw usłyszało się głucho tąpnięcie, później widziało się, jak śnieżna masa pochłania ludzi, to już gruba przesada. Oderwać się od świadomości, która wciąż odtwarza na nowo to wszystko, kiedy do tego za oknami przetacza się huraganowa nawałnica, jest nieomal niemożliwością.

Mrocznie i zimno, tyle z tego snu udało mu się zapamiętać, ale zdaje się, że było w nim znacznie więcej. Przede wszystkim była w nim woda, a on zanurzał się w niej, otaczała go zewsząd, oblepiała, wchodziła do ust i nosa, a potem tężała, coraz bardziej ograniczając mu ruchy. A on chciał się ruszać, bo cały czas czuł, że zanim w końcu woda dostanie się do płuc i zmieni go w rybę, musi kogoś koniecznie znaleźć. Jeśli mu się to nie uda, na zawsze już pozostanie w tym mroku i chłodzie, które były jedynymi rzeczami, jakie z tego snu zapamiętał. Sen sam w sobie nie był koszmarem, towarzyszył mu w nim pewien niepokój, ale okoliczności nakazywały bać się chyba znacznie mocniej. Ten brak lęku w samym śnie dziwił go najbardziej, ale kiedy się obudził, nic z tego i tak nie pamiętał. Za oknem świtało, czyli spał krótko, może zaledwie chwilę, ale od razu wiedział, że dłużej i tak już się nie da. Wstał, żeby zejść do sali, w której wcześniej przez kilka dni spotykał się z nimi i nigdy ich o nic nie zapytał, a oni nie zapytali o nic jego, bo byli zbyt zajęci sobą i swoją miłością.

Mętna, fusiasta kawa z przewagą gorzkiej jak piołun robusty wypłukała z niego resztki snu. Wciąż wiało, ale teraz już bardziej równomiernie, tak jakby wiatr, który najpierw usiłował zniszczyć świat swoją gwałtownością, teraz zmienił taktykę i wybrał monotonną uporczywość. Sen odszedł, ale rzeczywistość, która go zastąpiła, nie wydawała się wcale bardziej realna. Na zewnątrz przesuwwały się co chwila połacie mgły albo raczej chmur zgonionych wiatrem w dół, przez granie i turnie. Widok za oknem to zniknął, to znów pojawiał się w całej krasie. Zbocza otulone wczoraj jeszcze nieskazitelną bielą z wolna zaczynały wyglądać jak pomalowane białą olejną farbą, która odprysnęła już gdzieś gdzieś,

zmęczona upływem czasu, i ukazała wcześniejszą warstwę ciemnych, ostrych kształtów skał i łagodniejszych nieco połaci kosówki. Halny odzierał świat z pozornej dziewiczości, przywracając mu znacznie trudniejszą do zaakceptowania realność. W oddali Wawrzyniec zobaczył zmierzających już w stronę lawiniska ratowników ubranych w czerwień. Zaczynał się kolejny dzień akcji, której nazywanie ratunkową nie bardzo miało już sens.

– Myślisz, że są pod śniegiem czy zepchnęło ich pod wodę? – Od strony schodów prowadzących do sali na górze pojawił się barczysty mężczyzna o zapuszczonej brodzie. Wieloletni przyjaciel Wawrzyńca i Witka, Roman, który w sezonie zimowym pracował jako kierownik schroniska i z tego powodu spędzał tu przynajmniej cztery miesiące w roku. Gdy się zjawiał w listopadzie, był gładko ogolonym mężczyzną w średnim wieku, przypominającym może menadżera, a może pracownika bankowości. Wawrzyniec nigdy o to nie zapytał. Kiedy zima schodziła z gór, Roman miał już wygląd starego pustelnika, toczka w toczkę przypominał Chrystusa przedstawianego na starocerkiewnych ikonach.

– I tobie dzień dobry. – Uśmiechnął się Wawrzyniec. – Byli wysoko, więc teoretycznie nie powinno ich dopchnąć taki kawał, ale impet był tak duży, że jakoś przeczuwam, że poszli pod lód. Skoro już zapytałeś.

– Słaba śmierć – zafrasował się Roman i sięgnął po ustawiony na spirytusowej maszynie kociołek, w którym wciąż jeszcze bulgotała kawa.

– Może lepsza niż pod śniegiem, przynajmniej szybciej masz to za sobą. – Wawrzyniec próbował odnaleźć skrawek optymizmu.

– Może lepsza. Idziesz? – Roman wskazał głową w kierunku lawiniska.

– Idę, a co mam robić?

Poszukiwania trwały jeszcze dwa dni. W końcu całe pole lawiniska było podziurawione tyczkami jak szwajcarski ser. Wyjścia były dwa. Albo tamta dwójka została przysypana warstwą grubszą, niż wynosił

trzymetrowy zasięg tyczek, co było raczej mało prawdopodobne, albo lawina zepchnęła ich jednak rzeczywiście do Morskiego Oka.

Wciąż wiało, a ostatnie dwa dni zlały się Wawrzyńcowi właściwie w jedną śnieżną biel rozdzielaną czernią nocy. Wieczorami cały, uszczuplający się z dnia na dzień o kolejne kilka osób, zespół spotykał się w sali schroniska, żeby w milczeniu pić coraz mniejsze ilości okowity. Później Wawrzyniec szedł do pokoju tamtych i przeglądał ich rzeczy w poszukiwaniu czegoś, co potwierdziłoby jego obiektywnie raczej wątplą hipotezę o zabójstwie. Trzeciego dnia poszukiwania zostały zakończone, przybyła rodzina w osobach matki Agnieszki i brata Piotra otrzymała informację, że ich bliscy zostają uznani za zmarłych, a poszukiwania ciał zostaną wznowione, kiedy z gór zejdzie śnieg, a ze stawu zniknie pokrywa lodowa. Matka Agnieszki i brat Piotra podzielili między siebie rzeczy pozostawione przez tamtych dwoje w sali na piętrze starego schroniska.

Wawrzyniec wahał się przez chwilę, czy swoimi podejrzeniami nie podzielić się z bratem Piotra, ale w końcu dotarło do niego, że jego dedukcja opierała się, przynajmniej na razie, bardziej na wrażeniach niż na faktach; poza tym obciążanie w ten sposób rodziny pogrążonej w smutku, właściwie bez żadnego dowodu, byłoby w tym momencie co najmniej niefrasobliwością. Oprócz tego zarówno brat Piotra, jak i matka Agnieszki zdawali się go nie zauważać, zresztą nie zauważali prawie nikogo ani niczego; nieszczęście zwalnia z przestrzegania norm społecznych, więc Wawrzyniec nie wziął tego przesadnie do siebie. Kiedy rankiem czwartego dnia odjechali toprowcy, a wraz z nimi rodzina, zdecydował, że musi zobaczyć miejsce, z którego oberwała się lawina. Jeśli słyszał huk i jeśli ów huk był wywołany czymś innym niż siłami natury, to tam na górze, gdzieś pod granią Miedzianego i Opalonego, być może znajdzie ślady tego czegoś.

Kiedy ruszał o ósmej rano, wiatr akurat zelżał, chmury zeszyły znad grani i wiele wskazywało na to, że po trzech dniach w końcu halny odpuszcza. Wawrzyniec, wyruszając, nie wpisał się do książki wyjść. Nie zrobił tego głównie dlatego, że wiedział, jaki stosunek do jego dziwnych podejrzeń mają zarówno Witek, jak i Roman, którzy

po opuszczeniu schroniska przez pozostałych toprowców pozostali na miejscu w roli dyżurnych ratowników. Mało prawdopodobne było, żeby nie domyślili się, że wyszedł w góry. Ze schroniska można było iść tylko albo w górę, albo w dół. Gdyby szedł w dół, nie zostawiłby rzeczy w pokoju, zabrałby wszystko, bo w dół idzie się na długo, do następnego razu, może za rok, może za kilka lat. Poza tym kwadrans po wyjściu byłoby go już i tak widać jak na dłoni, przemierzającego śnieżny sarkofag, który skrywał tamtych dwoje. Idąc, zastanawiał się, czy zdołali chociaż złapać się za ręce. Wiedział, że to nie miało znaczenia, bo potworna siła, z jaką tony śniegu miały w sobie wszystko, co spotkały na drodze, na pewno i tak ten uścisk rozerwała. A może nie?

Minął lawinisko i – chyba po raz pierwszy odkąd zeszła lawina – przestał o nich myśleć. Wiatr ucichł, ale śnieg wciąż był nasiąknięty wodą, a w czymś takim nie idzie się łatwo. Po dwustu metrach doszedł do zakrętu na szlaku. Po lewej, ponad nim, pięły się nieomal pionowo w górę ściany Mnicha. Patron umarłych w swoim spiczastym kapturze spoglądał na niego, a pewno bardziej niż na niego na tamtą dwójkę, która Bóg raczy wiedzieć, gdzie teraz była. Najbardziej prawdopodobne wydawało mu się, że raczej nigdzie, bo od zawsze uważał, że po tamtej stronie ciemności nie ma nic, ale teraz, brodząc w rozmokniętej śnieżnej brei ze spiczastym Mnichem nad głową, w totalnej ciszy i samotności, nie był już tego tak do końca pewien. Gdzieś w oddali ponad granią Mięguszowieckich szybował ptak tak duży, że mógł być tylko orłem bielikiem.

Pogoda tymczasem znów zaczęła się psuć. Na razie jeszcze nie wiało, ale nad szczyty znów nadciągnęły chmury i zaczęło padać. Najpierw kapuśniak, który był jedynie nieprzyjemny, bo wchodził we wszystko, wciskał się nawet między zaciśnięte powieki. Wraz ze wzrostem wysokości, a może też za sprawą zmiany temperatury, która sukcesywnie spadała, deszcz zmieniał się w śnieg, najpierw drobny śnieżny odpowiednik kapuśniaku, ale z chwili na chwilę płatki stawały się coraz większe, i kiedy Wawrzyniec doszedł do kolejnego skrętu na szlaku, kapuśniak był już śnieżycą. Tymczasem to był ten moment, gdy musiał zejść ze szlaku i ruszyć mocno pod

górze do miejsca, z którego oberwała się lawina. Wracać czy iść dalej? Ciekawe, czy oni też mieli taki dylemat, pomyślał.

Warunki pogarszały się w bardzo szybkim tempie. Jeśli jednak miał się rzeczywiście czegokolwiek jeszcze dowiedzieć, dotrzeć do jakichś śladów, zbadać przyczynę oberwania się lawiny, to musiał to zrobić teraz. Opad śniegu, który po halnym może być nawet bardzo długi i intensywny, zatrze wszystkie ślady, wtedy obryw lawiny zniknie, znikną ślady ludzkiej obecności, o ile tam były. Po chwili namysłu ruszył w górę. Widoczność malała, a do tego znów zerwał się wiatr. Tym razem nie były to już jednak podmuchy halnego, ogrzewające się wraz ze spadkiem wysokości, teraz wiatr był mniej porywisty, ale za to zimny, jakby wiał w połowie grudnia, a nie w marcu. Wawrzyniec, mimo że ledwie już panował nad rytmicznością oddechu, a łydki twardniały mu z minuty na minutę coraz bardziej, zwiększył tempo marszu. Śnieg, mocno już wytopiony przez cztery dni ciepłego wiatru, wciąż jednak był jeszcze głęboki i miejscami Wawrzyniec zapadał się powyżej kolan. Pluł sobie teraz w brodę, że spiesząc się rano, żeby zniknąć ze schroniska, zanim obudzą się tamci, nie wziął ze sobą rakiet śnieżnych. Kiedy nogi wpadają w mokry śnieg powyżej kolan, marsz przy takim nachyleniu stoku staje się mordegą. Każdy krok to osobny wielki wysiłek. Normalnie marsz w górach może być trudny, ale nikt nie zastanawia się nad tym, czy uda mu się zrobić kolejny krok. Natomiast w takich warunkach przejście nawet pięćdziesięciu metrów to wyzwanie niemal ponad ludzkie siły, szczególnie kiedy dodatkowo w twarz zawiewa zimnym wiatrem, który niesie za sobą tysiące lodowych igieł. Na szczęście do miejsca, z którego ruszyła śnieżna masa, nie było już daleko.

Po kolejnych dwudziestu minutach walki Wawrzyniec dotarł do długiego na kilkadziesiąt metrów i głębokiego na metr uskoku w śnieżnolodowej pokrywie. Tutaj się zaczęło, pomyślał. Na moment przestało wiać i opad lekko zelżał. Śnieżna wyrwa wyglądała straszliwie, a on zastanawiał się, czy grozy dodawała jej sytuacja, czy też sam jej wygląd, bez tragicznego kontekstu, mógł aż tak



przerząć. Każdy rodzaj zagrożenia miał na pewno przypisany w ludzkim mózgu atawistyczny wzorzec reakcji, gdzieś w instynktach, głęboko w pniu mózgu, pomyślał Wawrzyniec, a ten obryw wyglądał, zdaje się, jak zarzewie kataklizmu.

Wawrzyniec przeszedł czujnie powyżej obrywu, rozglądając się wokoło w poszukiwaniu czegoś, nie bardzo nawet wiedząc czego. Tym, co zastanowiło go od razu, była zbyt równa linia, wzdłuż której uruchomiła się lawina. Widział już obrywy śnieżne na zdjęciach, a nawet raz czy dwa na żywo – ich linie były poszarpane, na całej długości przemieszczały się w jedną i w drugą stronę o co najmniej kilka metrów. Tutaj linia szła jak odrysowana od linijki. To jednak samo w sobie nie byłoby może aż tak niepokojące, gdyby nie fakt, że wzdłuż drogi, którą sam pokonywał, było widać zapadane już nieco, ale jednak wciąż wyraźne ślady nart. Czyżby był tu już wcześniej któryś z chłopaków biorących udział w akcji na dole? To wydało mu się mało prawdopodobne, bo sam w niej uczestniczył właściwie przez cały czas, więc o takiej inicjatywie na pewno coś by wiedział. Poza tym ślady po tym, jak oczyścił je ze świeżo napadanego śniegu, okazały się mocno przytopione, czyli jeśli miałyby należeć do któregoś z ratowników, to ten musiałby tu przywędrować na samym początku akcji, zanim halny przytopił śnieg, a to nie było już kompletnie możliwe, bo na początku, czyli przez cały pierwszy dzień, na sto procent wszyscy szukali w lawinisku tamtej dwójki. Nikt nie odrywałby się na wycieczkę w górę, która zajęłaby minimum godzinę, nawet gdyby poszedł centralnie przez lawinisko, co zresztą byłoby czystą głupotą. Zatem to żaden z ratowników, a jednak ktoś tu był, i to minimum kilka dni temu, kiedy zaczynało wiać. Przez moment przyszło mu jeszcze do głowy, że to w ogóle było inaczej, że to tamtych dwoje nie wiadomo po co poszło do góry aż prawie pod szczyt Miedzianego. Zaraz jednak się skorygował. Kiedy schodziła lawina, widział ich idących w stronę Szpiglasowej Przełęczy. Niemożliwym było, żeby wcześniej wspinali się do góry, a potem zeszli po zboczu z powrotem na szlak i dopiero stamtąd ruszyli dalej w kierunku Pięciu Stawów. Poza tym

nad obrywem widać było ślady nart, a oni nie mieli ich ze sobą. Dodatkowo w jednym miejscu w śniegu Wawrzyniec dostrzegł jakieś ciemne ślady ziemi, a może opalenia, ale nie był pewien, bo po pierwsze czuł, że jego postrzeganie jest już mocno tendencyjne, a po drugie widoczność znów malała, wróciły wiatr i zamieć, teraz jeszcze silniejsze niż wcześniej. Ślady nart prowadziły dalej w bok, w stronę szlaku na Szpiglasową, tak jakby ten, kto był tu owe kilka dni wcześniej, ruszył następnie ku przełęczy i może dalej do Pięciu Stawów. Skoro dysponował nartami, to gdyby chciał znaleźć się w Morskim Oku, mógł po prostu zjechać po zboczu i chwilę później być w schronisku. Wawrzyniec wahał się przez moment. Mógł spróbować zejść w dół po torze lawiny, ale stromizna tutaj była nieco zbyt duża na marsz w dół bez zabezpieczenia linami, bez czekana i bez kogoś, kto zapewniłby asekurację, a poza tym ślady nart, które interesowały go teraz najbardziej, i tak odchodziły w stronę przełęczy.

Po chwili ruszył w stronę szlaku, trawersując zbocze w kierunku południowo-zachodnim. Warunki pogarszały się coraz bardziej, choć cały czas wydawało mu się, że pogorszyć się już bardziej nie mogą. Wawrzyniec stracił jakąkolwiek widoczność i nie wiedział, czy idzie w górę, czy w dół, czy idzie w lewo, czy w prawo. Stan, w którym się znalazł, mógłby chyba przyrównać do stanu mentalnej nieważkości, w którym siła ciężenia wprawdzie działa nadal, ale głowa kompletnie nie wie, w którym kierunku. Dodatkowo przemoczone wcześniej deszczem ubranie zaczynało teraz zmieniać się w lodową skorupę. Było mu zimno i coraz zimniej, właściwie czuł się trochę jak w tym śnie, którego nie pamiętał, a z którego jedyną reminiscencją były właśnie chłód i mrok. Była może dziesiąta, a może jedenasta przed południem, a wkoło zrobiło się już tak gęsto od padającego śniegu, i być może od mgły, ale tego Wawrzyniec nie był nawet w stanie stwierdzić, że prawie całkowicie zniknęło światło dnia. Jak przy zaćmieniu, pomyślał, próbując rozeznąć kierunki. Wydawało mu się, że idzie pod górę, ale nagle potknął się o coś i upadł twarzą prosto w zlodowaciały śnieg, lekko tylko pokryty puchem, po czym zjechał kilkanaście metrów przed siebie, czyli pewno w dół, bo ciężko jest zjeżdżać w górę, pomyślał.

Nie było dobrze, tym bardziej że zimno zaczynało mu doskwierać na tyle, że poczuł niemożliwe do opanowania drżenie całego ciała. Wawrzyniec nerwowo przeszukał kieszenie. Doskonale wiedział, że nie ma przy sobie telefonu, a nawet gdyby aparat zawieruszył się gdzieś w kieszeni tej akurat kurtki, to nie było najmniejszych szans na to, by był naładowany. Swoim zwyczajem, przyjeżdżając tutaj, kompletnie odciął się od świata zewnętrznego, a przede wszystkim od komunikacji elektronicznej. Miesiąc, który tu spędzał każdego roku, był miesiącem jego nieistnienia dla tej części świata, w której spędzał resztę życia, czyli dla znajomych, sąsiadów, przyjaciół, pracodawców i... Znakomita większość tych ludzi była umiejscowiona w Warszawie, więc od niej Wawrzyniec odcinał się w pierwszym rzędzie. Tutaj miał kilkoro znajomych, może przyjaciół, tak mu się przynajmniej wydawało. Zaletą ich wszystkich było to, że mało mówili i nie narzucali się nadmiernie swoją obecnością. Co by dał w tej chwili, żeby ktoś narzucił mu się swoją obecnością...

– Śnieżna jama – powiedział tymczasem sam do siebie, żeby usłyszeć swój głos i upewnić się, czy w ogóle jeszcze jest. – Muszę wykopać śnieżną jamę.

Tylko gdzie kopać, jeśli nic kompletnie się nie widzi, bo śnieg, mgła, chmury i wiatr przysłaniają wszystko? Wawrzyniec, który zdążył już pozbierać się po upadku, ukląkł teraz i posuwając się wolno, na czworakach, zaczął szukać czegokolwiek, co mogłoby mu dać schronienie. Po chwili znalazł głaz, otoczek przysypany śniegiem. Zgrabiętymi rękami zaczął podkopywać pod nim stwardniały śnieg. Tracił czucie, nie tylko w niezdarnych rękach, ale dalej, w ramionach, w nogach. Nie wiedział już, gdzie są poszczególne części ciała, gdzie jest on. W końcu wkopał się w śnieg na tyle, że mógł, prawie cały skulony, wejść do jamy pod kamieniem. Wgramolił się do niej i wtedy stracił kontakt z rzeczywistością.

Potem widział dziwne rzeczy. Znów wydawało mu się, że jest pod lodem i znów szukał kogoś, tyle że tym razem zobaczył ją, jak oddalała się spokojnym krokiem po ukwieconym dnie stawu. Przebudził się chwilę później – albo może mu się zdawało, bo przez

moment odniósł wrażenie, że słyszy czyjeś głosy. Otaczali go ludzie, mówili coś do niego, ale on nic nie mógł zrozumieć. Wiatr zagłuszał słowa... a może to była woda. Potem jedna z tych osób pochyliła się nad nim, poczuł ukłucie i wtedy obudził się nagle i do końca.

– Kurwa! – Romek stał nad nim, a jego twarz zamiast brody okalały teraz lodowe sople. – Czyś ty ochujał?!

– Bo? – Wawrzyniec próbował sobie na szybko przypomnieć wypadki ostatnich godzin, a właściwie na razie usiłował sobie przypomnieć cokolwiek.

– Wylazłeś w górę bez wpisania do książki? Prosto w załamanie pogody? Na lawinisko? – Romek wymieniał oskarżenia rytmicznie, a przy każdym rzeczowniku stawiał znak zapytania.

– Myślałem, że szybko obróćę. – Wawrzyniec na wymienianych przez Romana rzeczownikach oplatał teraz cienką siatkę swojej pamięci. Wiedział już, że wyszedł do góry, nie zgłaszając tego, bo nie chciał, żeby go powstrzymywali, ale nie wiedział jeszcze, po co to zrobił.

– Bo ci się ubrdało, że ktoś ich zaciukał lawiną?! – Spomiędzy sopli na brodzie wyzierało szczere zdumienie Romana. – Możesz wstać czy mam po chłopaków dzwonić?

Gdy po zastrzyku z adrenaliny do ciała powoli zaczynało wracać czucie, Wawrzyniec spróbował poruszyć nogą. Wciąż była lekko zdrewniała, ale czuł, że kończyzna się poruszyła.

– Spróbuję. – Pokiwał głową.

Teraz nad śnieżną jamą pojawiła się twarz Witka, który z plecaka wyciągnął ściśnięte w kulkę dużą puchową kurtkę i bluzkę termiczną.

– Ściągnij górę i zakładaj. – Witek rzucił wyciągnięte rzeczy w stronę Wawrzyńca. Witek nie pytał, po co ani dlaczego przyjaciel to zrobił. Wawrzyniec uznał, że pewno Witek wyszedł z założenia, iż słuchanie tłumaczenia głupich zachowań i tak w żaden sposób go nie ubogaci, a może jedynie doprowadzić do szewskiej pasji. Zresztą poza tym prawdopodobnie po prostu się domyślił.

Cieężko było ściągnąć z siebie lodowy szyszak, w który zmieniły się ubrania Wawrzyńca. To ciekawe, że można się poranić, zdejmując z siebie własne rzeczy, pomyślał. Przemoczona

i zlodowaciała puchowa kurtka jeszcze jakoś zeszła, ale to, co było pod nią, trzeba było rozciąć nożem. Trochę szkoda, bo bluzka termiczna kosztowała kilkaset złotych, a kupiła mu ją kilka lat temu jedna z kobiet, z którymi spędził kawałek życia. Tym bardziej szkoda, że akurat do tej kobiety czuł spory sentyment. Kurwa, o czym ja myślę, zganił się w duchu Wawrzyniec. Zerwał z siebie rozciętą bluzkę, a sekundę później założył tę rzuconą mu przez Witka. Nieco niepokojące było to, że po zdjęciu ubrań nie poczuł właściwie żadnej różnicy temperatury. Romek zrobił mu kolejny zastrzyk. Potem ściągnęli w ten sam sposób spodnie, rozcinając je od góry do dołu. Kiedy był przebrany, koledzy wyszarpnęli go ze śnieżnej jamy i ruszyli w dół.

– Masz szczęście, że widzieliśmy cię, jak szedłeś do góry – powiedział jeszcze Romek.

– Wiedziałem, że mnie zobaczycie – odpowiedział Wawrzyniec, próbując stawiać w śniegu swoje zdrewniałe nogi.

– Nie wkurwiał mnie – odparł Romek, a potem wszystko zagłuszył już wiatr.

## 2.

Zakopane to dziwne miasto. Już sama nazwa nie wróży zbyt dobrze, bo jak wiadomo ani rzeczy, ani ludzie, ani miasta nie powinny być zakopane, gdyż wtedy mają nikły kontakt ze światłem, a światło jest dla życia kluczowe. Zakopany jest podziemny Hades, zakopani są ludzie, gdy światło i tak nie jest im już do niczego potrzebne, bo wedle różnych koncepcji albo ich nie ma, albo obsługuje ich już wówczas zupełnie inna świetlistość. Wawrzyniec przyjeżdżał do Zakopanego, odkąd sięgał pamięcią, czyli od głębokiego dzieciństwa, którego zresztą nie miał zbyt dobrze wrytego w struktury hipokampu. Wspomnienia zaczynały się później i – przynajmniej te wczesne – nie były zbyt dobre.

Z reguły zaraz po tym, kiedy – jak sam lubił to nazywać z pewnym, nie do końca szczerym, dystansem – schodził z gór, szedł na dworzec i bez wchodzenia za bardzo w kontakt z miastem zakopanym w niepamięci dzieciństwa odjeżdżał z powrotem do Warszawy. Tam zaś czekało puste mieszkanie, w którym nie było nikogo, kto obligowałby go do czegokolwiek. Była praca, czyli redakcja, i była książka, którą miał oddać, ale na razie nie myślał nawet o tym, na kiedy ma to zrobić. Z reguły tak było, ale tym razem stało się zupełnie inaczej, a on z perspektywy dni, które miały nadejść, nie potrafiłby nawet odpowiedzieć do końca na pytanie, dlaczego tak zdecydował. Po prostu zamiast na dworzec tym razem pojechał do Halamy, do której zaglądał czasami, zjeżdżając do miasta po zapasy jedzenia, ale ani razu od kilkudziesięciu lat, czyli od owego dzieciństwa, którego nie pamiętał, nie zatrzymywał się tu na dłużej. No, powiedzmy: prawie nigdy, bo od każdego „nigdy”, podobnie jak od każdego „zawsze”, były jednak pewne odstępstwa, pomyślał. Dlaczego nie chciał pamiętać Zakopanego? Co było nie tak z jego dzieciństwem? Zbyttnie zdominował go ojciec, zbyt mało otrzymał ciepła. Przypomniwał sobie drobny incydent, który zdarzył się tutaj bardzo dawno temu, w erze, której zasadniczo przecież nie

pamiętał. Podczas zabawy z chłopakami, którzy nie za bardzo chcieli go przyjąć do swojej grupy, zranił się w rękę. A konkretnie ścigając się z tamtymi, którzy zresztą niecnie oszukiwali. Na korytarzu na pierwszym piętrze willi rozpedził się tak bardzo, że jedyną opcją, by się zatrzymać, pozostało wyciągnięcie rąk przed siebie, gdy wpadał na szklane szyby w drzwiach i rozbijał je z impetem. Rana nie była głęboka, ale krwawiła obficie. Kiedy wpadł do pokoju do zajętego czymś swojego ojca, ten tylko wściekł się niemiłosiernie na jego nieodpowiedzialność. Drobiazg, potem wielokrotnie wyjaśniany i usprawiedliwiany, ale może to w tym momencie skupiła się esencja tego, czego nie lubił pamiętać z dzieciństwa.

– Dobry, panie Władku. Znajdzie się pokój? – zapytał od wejścia portiera, chudego jak szczapa i wysokiego jak maszt radiowy w Raszynie, który siedział w swojej kanciapie i, jak to przeważnie miał w zwyczaju, oglądał telewizję.

– A ja wim? Znajdzie si abo si ni znajdzie – odpowiedział tamten, nie odrywając oczu od meczu albo może serialu, który w stu procentach pochłaniał jego uwagę. – Zwonili do was z Warszawy, kierowniczką powie – dodał jeszcze po chwili.

Czyli podzielność uwagi jednak i skupienie wielowątkowe, właściwy człowiek na właściwym miejscu, pomyślał Wawrzyniec i ruszył w stronę biura Domu Pracy Twórczej „Halama”, w którym w godzinach pracy urzędowała osławiona i wciąż ta sama pani Basia. Była kierowniczką i opoką tego miejsca, odkąd sięgał pamięcią. Tą pamięcią, która jednak, jak się okazuje, przechowywała w mrocznych zakątkach synaps i neuronów strzępy zamierzchłych reminiscencji z jego życia.

– Dzień dobry. – Uśmiechnął się od wejścia trochę dwuznacznie.

– A dobry, dobry, wszelki duch Pana Boga chwali! – Kierowniczką odpowiedziała uśmiechem bardziej jednoznacznym. – Przyjeżdżasz, przychodzisz, ale poza Władka prawie nigdy się nie przebijasz.

– Czasem się przebijam... – Spróbował się usprawiedliwić, choć nie było nawet takiej potrzeby.

– Tylko jak ci powie, że telefon był. – Pani Basia nie przestawała się uśmiechać. – No był, był, redaktor Walusiak z wydawnictwa...

– Optima, wiem – pomógł jej nieco Wawrzyniec. – Że nie wiedzą, co się ze mną dzieje, i nie mają pojęcia, czy oddam na czas, i żebym się pilnie skontaktował.

– Jakoś tak. – Pokiwała głową.

– No to, jak pani widzi, nie musiałem tu przychodzić, bo i tak wiedziałem. A jednak przyszedłem. – Wawrzyniec popatrzył na nią przekornie.

– Czyli jakiś interes... – Kierowniczka знаła go zbyt dobrze, żeby dać się zwieść.

– Czyli... – Spojrzał na nią pokonany. – Chciałbym pokój, jeśli jest.

Pani Basia zmierzyła go wzrokiem. Wciąż nie przestawała się uśmiechać, ale teraz uśmiech z zawadiackiego, nieco serdecznie kumpelskiego, zmienił się w uśmiech kobiety. Różnica wieku między nimi była zbyt duża, pani Basia mogła przy dobrych chęciach być nawet jego mamą, więc nie był to ten rodzaj uśmiechu, ale nieco go przypominał. Lubił, kiedy kobiety tak się uśmiechały, i to bez względu na to, w jakim były wieku. Urok. Czegoż więcej można chcieć od życia, oprócz tego, by niosło w sobie urok?

Chwilę milczała.

– Jest – odpowiedziała w końcu krótko. – Na jak długo?

– Jeszcze nie wiem. – Wawrzyniec poczuł się odrobinę skrępowany sytuacją, ale nie przeszkadzało mu to przesadnie. Lubił być czasami odrobinę skrępowany sytuacją. To też był urok życia. – Na razie, powiedzmy, na trzy dni.

– A czemu? – zapytała, nie owijając w bawełnę.

– W górach pod lawiną zginęli ludzie – zaczął, po czym się zatrzymał, bo tak naprawdę nie miał pojęcia, jak spuentować.

– Wiem, czytam gazety. – Pani Basia przyglądała mu się znów czujnie. – Poza tym z Masterakiem się widziałam, mówił mi – dodała, po czym zamilkła w oczekiwaniu na ową puentę, której Wawrzyniec nie był w stanie sformułować.

– Masterak? – uciekł tymczasem w bok.

– Bohdan Masterak, dyrektor TOPR-u, nie znasz? – Kierowniczka zdziwiła się tym razem nie na żarty. – Pracowałeś tam, a nie znasz Masteraka?



– A, Bohdan– przypomniał sobie Wawrzyniec, po czym dodał szybko: – Byłem tam, kiedy to się stało. Widziałem, jak ruszyła lawina i jak ich zdjęła.

– Przykre. – Skrzywiła się lekko kierowniczką. – I dlatego chcesz pokój?

– Chcę pokój, bo moim zdaniem ta lawina... Całe to zdarzenie to nie był przypadek. – Wawrzyniec w końcu sformułował coś, co z grubsza, przy odrobinie dobrej woli ze strony pani Basi, mogło tłumaczyć, dlaczego po raz pierwszy od lat postanowił zostać na kilka dni w Zakopanem.

– Nie przypadek? – drążyła nie dlatego, że nie wykonała wysiłku umysłowego albo że nie rozumiała związku przyczynowo-skutkowego. Drążyła, bo była ciekawa, co z tego wyniknie.

– Najpierw był dziwny strzał, tak jakby ktoś odpalił czymś tę cholerną lawinę. Potem, wydaje mi się, że już po wszystkim, w ich pokoju ktoś przeszukiwał rzeczy. Ja też przeszukiwałem, ale później. Byłem też tam na górze, w miejscu, z którego ruszył śnieg. Dziwnie tam, no i też ktoś był tam chyba, zanim to poszło – mówiąc, przy okazji sam układał sobie rzeczy w głowie.

Próbował przekonać się bardziej o słuszności tego, co tak naprawdę było na razie głównie jego intuicją, a ją trudno obronić nawet przed sobą, szczególnie facetowi, który jest zwolennikiem racjonalności.

– Masz intuicję. – Pani Basia uśmiechnęła się znowu, jakby słyszała jego skrywane myśli. – Może być siedemnastka, tam na górze?

– Tam, gdzie umarł Tuwim? – zapytał, chociaż wiedział doskonale. W ogóle sporo wiedział o tym miejscu, a mało było na świecie takich, o których wiedziałby tak wiele.

Kierowniczką pokiwała głową, sięgnęła do szuflady i podała mu klucz.

– Ale wpadniesz jeszcze pogadać czy zaszyciesz się tam, a potem po prostu wyjedziesz? – Znów popatrzyła na niego przeciągle.

– Wpadnę, wpadnę. – Wawrzyniec ostatecznie zdanie rzucił już od drzwi. – Nie zaszycę się, bo nie rozpracuję tej sprawy, siedząc w pokoju.

### 3.

Dwudniowe kopanie w zwałach ciężkiego śniegu, a potem wyprawa, która omal nie zakończyła się dla niego śmiercią, zmęczyły go na tyle, że teraz zrzucił tylko kurtkę i spodnie, położył się na wznak na łóżku i po minucie wpatrywania się w sufit i niemyślenia o niczym zapadł w sen, jakby go wciągnęło w kosmiczną czarną dziurę. Spał niespokojnie, parokrotnie budził się, nie wiedząc, gdzie jest. Pił wodę, palił nawet przy otwartym oknie, co było surowo zabronione w pokoju. Większy spokój przyszedł nad ranem, kiedy za oknami już szarzało. We śnie znalazł się nagle w śnieżnej jamie, chyba tej samej, z której kilkanaście godzin wcześniej wyciągnęli go Witek z Romanem. Tym razem nie było jednak ani Witka, ani Romana, on sam musiał się z niej wygramolić, co nie było łatwe, bo ręce i nogi miał związane czymś, a może raczej przygniecione, może zbitą śnieżną masą. Pamięta, że dziwiło go to bardzo, bo przecież kiedy się zakopywał w jamie, na wierzch nawiało tylko trochę świeżego puchu. W końcu uwolnił jedną rękę i zaczął drążyć nią śnieg przed twarzą, po chwili – która trwała całą wieczność – wykopał otwór w jamie. Bardzo chciał się dowiedzieć, czy na zewnątrz świeci już słońce. Wtedy się obudził. Na zewnątrz świeciło już słońce, a do pokoju ktoś pukał.

Śniadanie, pomyślał. Wstał, podszedł do drzwi i uchylił je lekko. Za nimi stała dziewczyna, ładna młoda góralka z kruczoczarnymi włosami zaplecionymi w warkocz. Znał ją, ale za nic nie mógł sobie przypomnieć skąd. Ona jednak pamiętała, bo uśmiechnęła się porozumiewawczo.

– Cześć – powiedziała.

Cześć? Dziwne, pomyślał. Ona ma góra dwadzieścia pięć lat, on dwa razy tyle. To, że powiedziała „cześć”, właściwie nie pozostawiało wątpliwości co do charakteru ich znajomości. Ale kiedy, jak? Kogoś takiego powinien chyba pamiętać, zważywszy na jej bezapelacyjne urodę i wdzięk. Wawrzyniec wyciągnął rękę, żeby

przejąć od niej tacę ze śniadaniem, a ona lekko się cofnęła. Chwilę stali naprzeciwko siebie. On, świadomy tego, że oprócz bokserek i T-shirtu nie miał nic na sobie, nie bardzo wiedział, co dalej zrobić. W końcu to ona przejęła inicjatywę. Nogą popchnęła drzwi i wciąż z tacą w rękach weszła do środka. Bywa tak czasem, że jakaś kobieta działa na faceta bardziej niż inne. Zawsze zastanawiało go, czy taka kobieta działa w ten sposób na wszystkich facetów, których napotka na swojej drodze, czy może ma w tym wszystkim jednak jakieś znaczenie tak zwany dobór naturalny. Feromony, kształt ust, tonacja głosu, może jakieś jeszcze elementy, o których na razie nauka nie ma nawet pojęcia, powodują, że jedno łączy się z drugim, zachodzi proces i nagle w zupełnie niespodziewanym momencie bokserki wybrzuszają się bez udziału myśli, nawet bez emocji.

Odstawiła tacę i złapała go delikatnie za owo wybrzuszenie. Wydawała się przy tym jakby zdzwiona. On przyciągnął ją bliżej do siebie, teraz poczuł już nie feromony, a po prostu zapach jej ciepłej, młodej skóry. Ona wsunęła rękę od góry, teraz już bezpośrednio, nie przez bokserki, ujęła w dłoń wciąż jeszcze pęczniejące przyrodzenie. On, sunąc po jej udzie, podciągnął sukienkę. Nie miała bielizny. Nagie pośladki były jędrne i ciepłe, jakby rozgrzane zawczasu pożądaniem. Włożyła jego przyrodzenie między swoje uda, jednocześnie rozszerzając je delikatnie. Poczuł, że są wilgotne, i wtedy wszedł w nią, tak jak stał.

– Nie pamiętasz mnie – powiedziała bez nuty żalu w głosie.

Leżała na łóżku i patrzyła na jego umięśnione plecy. On stał nagi przy uchylonym oknie i spoglądał na pokrytą śniegiem ulicę Piłsudskiego. Padało już od kilku godzin. Po halnym zawsze coś pada, ale o tej porze roku na dole powinien to już raczej być deszcz, myślał.

– Pamiętam – odpowiedział, po czym strzepnął papierosa do pustej już paczki, odwrócił się, popatrzył na nią i się przyznał: – Ale nie wiem skąd.

Zaśmiała się żywo i szczerze, tak jak mogą się śmiać tylko młodzi ludzie, którzy nic jeszcze nie muszą, a on pomyślał, że chyba go

lubi. Za co? Nie miał pojęcia, gdyż sam za sobą przeważnie nie przepadał.

– Może ci się po prostu nałożyło. – Wstała, podeszła do niego i wyciągnęła rękę po papierosa.

– Nałożyło? – Wawrzyniec popatrzył na jej ciało i, co zaskoczyło go niepomieranie, poczuł, że z jego ciałem znów coś zaczęło się dziać.

– Okoliczności były dość zbliżone, tyle że byłeś wtedy raczej niezbyt trzeźwy i znacznie mniej... – Ona też poczuła, że z jego ciałem znów zaczęło się coś dziać, i delikatnie ujęła je w dłoń, w której nie miała papierosa. – ...intensywny?

– Jak masz na imię? – zapytał, zastanawiając się nad tym, jak bardzo musiał być wtedy niezbyt trzeźwy, żeby tego nie zapamiętać.

– Anna. – Popatrzyła na to, co trzymała w dłoni. – Mam na imię Anna, a ty Wawrzyniec.

Dziewczyna oddała mu papierosa, on zdusił go w paczce, którą wystawił na parapet, i zamknął okno.

– Podobno byłeś tam, gdy to się stało – stwierdziła bardziej, niż zapytała, po czym pociągnęła go lekko z powrotem w stronę łóżka, wciąż nie wypuszczając go ze swojej drobnej dłoni.

– Skąd wiesz? – Niespecjalnie się zdziwił, bo jego myśli i tak znów zaprzętało coś innego, albo raczej znów nie myślał właściwie o niczym, bo kierował nim już teraz wyłącznie instynkt zachowania gatunku.

– To nie jest duże miasto – ucięła temat.

Potem nie mówili już nic aż do momentu, kiedy zaczęli krzyczeć – w pokoju, w którym zmarł Tuwim.

Kiedy znów się obudził, w pomieszczeniu jedynym śladem po niej była taca z nietkniętym śniadaniem. Spojrzał na zegarek. Dochodziła pierwsza po południu. Za godzinę zaczną dzwonić na obiad, a on ma przed sobą jeszcze śniadanie. Anna, pomyślał, i delikatnie powąchał skórę na swoim przedramieniu. Anny jednak na nim nie wyczuł. Nie było jej tutaj, przyśniła mu się? Wawrzyniec zerknął na łóżko. Jeśli tak było w istocie, to musiał to być sen dosyć burzliwy. Myśl skomentowała zbarłożoną pościel i prześcieradło.

## 4.

Nie wiedział wiele, ale od Romka z TOPR-u znał nazwę miejscowości, a właściwie przysiółka, w którym mieszkali, a to już dość, żeby zacząć poszukiwania. Tylko poszukiwania czego właściwie, zastanawiał się, patrząc na wyłożony żółtymi kafkami sufit w hali głównej, i jedynej, dworca PKS w Zakopanem.

– Autobus do Dzianisa na stanowisku sztyry – zaskrzeczał głośnik gdzieś z boku.

Kilka osób, które do tej pory siedziało, opierając się o wielką donicę na drewnianej, rzeźbionej na góralską modłę, ławce, teraz podniosło się nieco ospale i ruszyło w kierunku przeszklonych drzwi. Na dworze zmierzchało. Moment na wyprawę w nieznane nie był najlepszy, ale Wawrzyniec chciał szybko zakończyć sprawę i ruszyć z powrotem do Warszawy. Kłopot polegał jedynie na tym, że nie miał za bardzo na razie pomysłu ani na to, co miałyby oznaczać zakończenie sprawy, ani nawet na to, co to w ogóle była za sprawa. Jedyne, co miał, to dość niejasne poczucie, czy przecucie, że w górach wtedy stało się coś innego, niż mogło się z pozoru wydawać. Wyprawa kompletnie w nieznane mogła pomóc albo jeszcze bardziej zaciemnić obraz, ale tak naprawdę Wawrzyńcowi zależało przede wszystkim na tym, żeby uzyskać przynajmniej jakiegokolwiek bardziej racjonalne potwierdzenie dla swoich na razie niepopartych niczym przeczuć.

– Na Dzianisz Borki to w którym miejscu trzeba wysiąść? – zapytał zakutaną w zieloną kwiecistą chustę góralkę, która od pół godziny siedziała obok niego wpatrzona w nicość zaparowanej szyby.

– Na Borkach – odpowiedziała kobieta, patrząc na niego i chyba go nie widząc. – Powim Wom, jak będzie.

– Dziękuję. – Wawrzyniec pokiwał głową, patrząc w jej niewidzące oczy. Po plecach przebiegł mu nagle delikatny dreszcz. Przestrachu? Raczej chyba nie, bo góralka bardziej niż lęk

wzbudzała jego rozbawienie. Przez moment kusiło go nawet, żeby pomachać jej przed oczami i stwierdzić, czy rzeczywiście nie widzi, czy jedynie nie dostrzega.

– A po co Wy tamój? – Kobieta wyostrzyła wzrok na Wawrzyńca.

Było to tak zaskakujące, że zaśmiał się nagle. Ona jednak jakby kompletnie nie zauważyła tej drobnej niestosowności w jego zachowaniu i czekając na odpowiedź, patrzyła na niego przenikliwym spojrzeniem swoich piwnych oczu.

– Szukam kogoś – zaczął Wawrzyniec, jeszcze nie do końca opanowawszy śmiech. – Właściwie domu szukam, bo...

– Jak wysądnicie na Borkach, to prosto aż pod Ostrzysz, z pięć minut będzie. – Góralka wciąż patrzyła przenikliwie.

– Ale dokąd? – Wawrzyniec przestał się śmiać.

– No do domu tych młodych, co ich śniyg przykrył, a dokąd? – odpowiedziała i sięgnęła do torby ze sztucznej włókniny w kratę. – Oscypka kupicie?

Wawrzyniec chciał odmówić, ale ona znów patrzyła, a jej spojrzenie uświadomiło mu, że ma wobec niej zobowiązanie.

– Kupię.

– Duzego?

– Dużego. – Pokiwał głową.

– No to dwadzieścia będzie, ale jus, bo zaraz będą Borki – pospieszyła go góralka, po czym, kiedy szukał pieniędzy w portfelu, dodała: – Takik jasny, sami będziecie widzieć.

Kiedy chwilę później stał przy drzwiach autobusu z oscypkiem owiniętym w gazetę codzienną, zerknął jeszcze na nią, ale ona znów była już nieobecna. Nicość za szybko wciągnęła ją z powrotem w siebie.

Wiało przenikliwie, a on zamiast zimowej kurtki miał na sobie płaszcz. Po miesiącu w schronisku, kiedy prawie w ogóle nie zdejmował puchówki, miał już jej dość. Przyszło mu do głowy, że z oscypkiem zawiniętym w gazetę, w płaszczu z kołnierzem postawionym na sztorc i w czapce z daszkiem, wśród tumanów śniegu gnanych przez wiatr wyglądał dość nieadekwatnie. Ale żeby

wydawać się jakimś, ktoś inny musi na niego patrzeć, on sam przecież się nie widział, pomyślał po chwili Wawrzyniec, a wokoło nie było ani żywej duszy, ani najmniejszej szansy na spotkanie takowej. Poza tym było zimno i to stanowiło znacznie poważniejszy problem, tym bardziej że właściwie nie miał pojęcia, na co liczył. Pewno za kilka minut dojdzie pod dom, o którym mówiła góralka, obejdzie go wokoło, po czym tą samą drogą wróci na przystanek, gdzie przyjdzie mu czekać nie wiadomo jak długo na autobus powrotny. Nagle zdał sobie sprawę, że nie sprawdził nawet godzin przyjazdu autobusu, nic nie przemyślał, szedł na żywioł. Tylko co stanowiło napęd tego żywiołu?

Domu rzeczywiście nie sposób było nie dostrzec: nawet w nocy, nawet wśród takiej kurzawy wyróżniał się ogromnymi jasnymi balami, z których był zbudowany. Odstawał od otoczenia, ale jednocześnie przylegał doń na tyle, że gdyby go stąd usunąć, obraz stałby się niepełny, pomyślał Wawrzyniec. Na razie było dokładnie tak, jak przewidział. Dom zamknięty na cztery spusty, dodatkowo okna zasłonięte zasklepiionymi na głucho drewnianymi okiennicami, nawiane śniegu pod drzwi. Wawrzyniec obszedł dom. Ręce miał znów zgrabiałe, ser zawinięty w gazetę zmienił się w kawał lodu. W końcu, nie wiedząc, co dalej zrobić, schował się w niewielkim załomie, w którym znajdowały się drzwi do domu.

– Kurwa! Dlaczego pod koniec marca jest tak cholernie zimno? – zapytał retorycznie na głos sam siebie.

– Bo jesteście w górach. – Dziwny skrzekliwy głos przebił się przez szum wiatru.

Wawrzyniec odwrócił się, tym razem wystraszony już nie na żarty. Przez moment nie dojrzał nikogo, co przeraziło go jeszcze bardziej. Dopiero po chwili zobaczył niewielkiego człowieka, który stał dodatkowo znacznie niżej od niego, bo do drzwi prowadziły dwa schodki. Człowiek, a właściwie człowieczek, okutany był w kozuch chyba w rozmiarze L, bo sięgał aż do ziemi, przez co futrzane frędzle wychodzące z niego na dole zmieniły się w sople lodu. Mały futrzany ludzik ciągnący za sobą welon lodowych frędzli.

– A pan to...? – Wawrzyniec starał się w miarę możliwości nie ujawniać stanu własnego zadziwienia.

– Sąsiad. Kazek Folfas. – Osobliwy człowieczek wyciągnął rękę, zbliżył się nieco do Wawrzyńca, który dla zniwelowania efektu dysproporcji zszedł w dół po schodkach.

Dłoń Kazia była ciepła i duża, zważywszy na niewielki rozmiar reszty ciała. Wawrzyniec przytrzymał ją w swojej przez chwilę, ciepło było mu teraz bardzo potrzebne.

– A wy kto? – zapytał tamten i delikatnie, choć stanowczo wyciągnął rękę z uścisku nieznanego.

– Wawrzyniec Wiślicki – przedstawił się, po czym zdał sobie sprawę, że samo nazwisko nijak nie rozjaśniało sprawy, i dodał: – Jestem dziennikarzem. Byłem przyjacielem państwa. – Tu wskazał na dom. – Przyjechałem trochę się rozejrzeć.

Była ciemna noc, wiało, śnieg wciskał się w oczy, a on przyjechał się rozejrzeć. Wawrzyniec uświadomił sobie, że to, co mówi, jest kompletnie niedorzeczne, ale mały człowiek w kozuchu nie wydawał się tym zdziwiony. Dziwiło go za to coś innego.

– Cemu byłem? – Popatrzył na Wawrzyńca dużymi jasnymi oczami.

– Bo oni... oni nie żyją – wyjaśnił Wiślicki ze smutkiem w głosie, którego nie musiał udawać, choć przecież nie był tak naprawdę żadnym przyjacielem państwa.

– Jak nie żyją, jak żyli jesce dwa tygodnie temu? – Na twarzy Folfasa dopiero teraz odmalowało się szczere zdziwienie.

– Żyli, pojechali do Morskiego Oka, poszli w góry, a... – Wawrzyniec zatrzymał się na moment, bo chciał podać dokładną datę śmierci tamtej dwójki, a nagle zdał sobie sprawę, że dni i noc tam i potem w Halamie zlały mu się powoli w jedną dość mglistą całość. No ale coś powiedzieć musiał. – Cztery dni temu spod Miedzianego zeszła lawina i ich zabrała.

Przez chwilę obaj milczeli, kontemplując tę wiadomość.

– Strasna śmierć. – Kazek pokiwał głową refleksyjnie. – Współcuje wam.

– Chyba im – zaprotestował Wawrzyniec.

– Ich jus ni mo. No ale pon psyjaciel. – Teraz Kaziu popatrzył na Wawrzyńca bardziej uważnie.

– Racja. – Wawrzyniec spokojnie pokiwał głową. – Dziękuję.



Nie lubił kłamać, ale czasem po prostu nie było wyjścia.

– Ni mo za co. – Kazek obrócił się w drugą stronę i wskazał ręką jakiś kierunek, który nijak nie mówił nic Wawrzyńcowi, bo zamieć ograniczała widoczność do dwóch metrów. – Tam znajdziecie probosca, ogzejecie się, no i on mo kluce. Moze wom da.

– Tam? – Wawrzyniec patrzył w zamieć jak góralka w szybę w autobusie. – Dziękuję.

– Ni mo za co. – Kaziu odwrócił się z powrotem do niego. – Schodzicie w dół, potem w lewo, kościół bedzie widoć.

Kazek zniknął nagle jeszcze raptowniej, niż się pojawił, i Wawrzyniec został znów sam przy domu z jasnych drewnianych bali. Przez chwilę zastanawiał się, czy iść z powrotem do autobusu, który nie wiadomo kiedy i czy w ogóle jeszcze tego wieczora się pojawi, czy pójść za radą Kazka w kozuchu i poszukać kościoła. Ruszył w dół. Na razie droga była ta sama i ostateczną decyzję można było nieco odwlec. Wiatr, który wcześniej pchał go pod górę, teraz wiał prosto w twarz, co dodatkowo komplikowało sprawę. Kiedy odszedł kilkadziesiąt kroków, obrócił się za siebie, żeby raz jeszcze spojrzeć na dom, ale za plecami miał już tylko białą pustkę tumanów śniegu wznoszonych przez podmuchy wiatru. Gdy był mniej więcej w połowie drogi do przystanku, wiatr trochę odpuścił i w oddali można już było dostrzec światła domostw, a po lewej, w dole, nad większym skupiskiem świateł, górowała rzeczywiście wieża kościoła.

– Dobry wieczór. – Zmarznięty na kość Wawrzyniec stał przed wejściem do drewnianego budynku plebanii i wpatrywał się w stojącą przed nim na oko czterdziestoletnią, atrakcyjną kobietę.

– Dobry, o co chodzi? – Kobieta patrzyła na niego łagodnie, ale owa łagodność zdała mu się podszyta odrobiną wyrzutu.

Było późno. Zanim drzwi się otworzyły, Wawrzyniec musiał wielokrotnie pukać. Wyrzut w jej spojrzeniu był najzupełniej zrozumiały, ale jemu wydawało się, że dotyczy czegoś zupełnie innego. Kobieta jakby miała mu za złe, że tu jest, że musi mieszkać na tej dziwnej plebanii na końcu świata, choć jej wygląd i prawdopodobnie jej życiowe ambicje kompletnie z tym nie licowały. Chyba powinienem zacząć już pisać, bo wszystkim,

najdrobniejszym nawet rzeczom przypisuję ogrom znaczeń, których raczej nie mają, pomyślał.

– Otóż... – Wawrzyniec zaczął i się zatrzymał, bo wytłumaczyć tej ładnej kobiecie, która była jego zdaniem do tego nie w tym miejscu co trzeba, o co tak naprawdę chodzi, kiedy samemu się do końca nie wiedziało, było nader trudno. – Przyjechałem odwiedzić dom znajomych, państwa Markowskich, tam na Borkach, ale nie mam jak się tam dostać i pan Kazimierz Folfas doradził mi, żebym zszedł do państwa, bo może macie klucze i... – Wawrzyniec przestał mówić, bo kobieta obróciła się nagle i znikła gdzieś w mrokach korytarza, na końcu którego widać było pełgające światło, może świecy, a może lampy oliwnej, ale to już wydało mu się być niemożliwością.

Przez chwilę kompletnie nie wiedział, co zrobić, w końcu wszedł do sieni i zamknął za sobą drzwi. Było mu potwornie zimno, a poza tym wiejący wciąż ze sporą siłą wiatr przynosił chłód i śnieg do wnętrza obejścia. Po zamknięciu drzwi otoczył go nieprzenikniony mrok. Było ciepło, pachniało mieszaniną kadzidła i wilgoci.

– Proboszcz przyjmie pana. – Usłyszał nagle głos i zrobiło się jasno.

Kobieta stała tuż obok niego, a nad głową paliła się nieosłoniętą niczym żarówka. Na wieszakach wokoło wisały płaszcze i kurtki, w dole stały ośnieżone kozaki i jakieś gumofilce. Wawrzyniec czuł się nieswojo, ale przynajmniej było mu ciepło, a proboszcz zgodził się go przyjąć, co dawało nadzieję na to, że może nie będzie musiał siedzieć Bóg wie jak długo i przymarzać do ławki na przystanku PKS-u. Wiatr uderzał o szyby i ściany budynku w odstępach tak miarowych, jakby jednym z jego zadań było monotonne odmierzenie czasu.

Proboszcz przyjął go w kuchni, w której – jakkolwiek byłoby to dziwne – rzeczywiście paliła się lampa oliwna.

– Ciągłe dzisiaj wyłączają prąd. – Zażywny staruszek w sutannie z książką w ręku wpatrywał się w Wawrzyńca z ufnością. – To przez ten wiatr. No, a tego mi nie wyłączają. – Wskazał na lampę i się zaśmiał.

– Nie wyłączają – zgodził się Wawrzyniec. – Niech będzie pochwalony.

– Na wieki wieków. Pan siada. – Ksiądz przełożył fioletową tasiemkę na stronę, którą akurat czytał, po czym zamknął brewiarz.

Wawrzyniec usiadł na miejscu wskazanym przez księdza, po drugiej stronie stołu. Nie bardzo wypadało mu rozglądać się po wnętrzu, więc omiótł je tylko wzrokiem. Na ścianach wisiały głównie święte obrazy, w zatopionym w mroku rogu pomieszczenia widać było tylko kuchenny zlew i wiszącą nad nim suszarkę do naczyń.

– Co sprowadza szanownego pana? – Ksiądz patrzył na niego z zainteresowaniem. – To znaczy, Monika już mi wspominała, że pan do Markowskich. Przyjaciel. Panie, świeć nad ich duszą, przyjechał dom odwiedzić, ale coś więcej byłbym ciekaw się dowiedzieć.

– Tak, do Markowskich... – Wawrzyniec zawahał się, czy ma dalej brnąć w nieprawdę, popatrzył na księdza i szybko zrozumiał, że to nie miałyby sensu. – Nie przyjaźniłem się z nimi. Tak naprawdę nawet ich nie znałem, ale byłem obecny przy ich... Widziałem, kiedy zabierała ich lawina i... – Zabrakło mu treści, bo tak naprawdę wciąż jeszcze sam jej ze sobą nie uzgodnił.

– I? – Ksiądz przycisnął, choć Wawrzyńcowi zdawało się, że i tak wiedział, co mu dalej powie, a chodziło mu tylko o to właśnie, żeby to wypowiedział.

– I moim zdaniem tam się zdarzyło coś dziwnego, to znaczy mam przekonanie, że ktoś maczał w tym palce. – Wawrzyniec spełnił oczekiwanie proboszcza, a ten pokiwał głową.

– Prokurator się nie zainteresował, koledzy też nie bardzo panu wierzą. – Ksiądz przejął inicjatywę, co Wawrzyniec przyjął z ulgą. – I nie wie pan, co z tym dalej zrobić. Zostawić, bo to i tak już nie ma znaczenia, czy ciągnąć, bo ma znaczenie?

Wawrzyniec pokiwał głową zaskoczony trochę przemową księdza.

– Mam klucze, ale teraz ich panu nie dam, rano razem pójdziemy.

– Proboszcz się uśmiechnął. – Zobaczymy, co w trawie piszczy.

– O której mam wrócić? – zapytał Wawrzyniec.

– Jak pan stąd teraz wyjdzie, to przy odrobinie nieszczęścia nigdy pan nie wróci, bo autobus już dziś nie pojedzie, jest mróz, wieje, więc może pana wywiać na amen. – Znów się uśmiechnął. –

Zostanie pan z nami. Monika przygotuje pokój gościnny, może już przygotowała nawet. – Ksiądz popatrzył nagle trochę smutno. – Taki pana los, że dzisiejszą noc spędzi pan na plebanii.

– Dziękuję. – Wawrzyniec uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd tu przyszedł, gdzieś w środku poczuł delikatne mrowienie... jakby ekscytacji. Co jednak go w tym wszystkim ekscytowało, nie miał pojęcia.

Chwilę milczeli. Ksiądz wstał i podszedł do kuchennego pieca, pogrzebaczem zdjął kilka krążków fajerek, spod spodu wychyły języki ognia, a on postawił na piecu czajnik. Zasycała woda, która jakby czekała tylko na to, żeby ją zagotować.

– Herbaty zrobię, Monika zaraz kanapki poda – powiedział ksiądz i usiadł z powrotem vis-à-vis Wawrzyńca.

– Strasznie jestem wdzięczny za gościnę i... – Wawrzyniec czuł się trochę skonfundowany całą tą sytuacją.

– Znałem ich trochę – przerwał mu ksiądz z uśmiechem. – Klucze zostawiali, bo Monika czasem chodziła tam sprzątać, a poza tym, jak wyjeżdżali, to żeby ktoś miał na w razie czego. Wie pan, jakaś awaria, liczniki sprawdzają.

Wawrzyniec pokiwał głową, że to oczywiste, tym bardziej że w tonie wypowiedzi księdza wyczuł jakby nutę usprawiedliwiania się.

– No więc znałem ich trochę. – Ksiądz wrócił do tego, od czego zaczął. – Byli u mnie ostatnio, żeby im ślub dać.

– Ślub dać? Przecież oni byli małżeństwem – zdziwił się Wawrzyniec.

– Byli wcześniej kilkadziesiąt lat, wciąż się schodzili, rozchodzili, dom przechodził z rąk do rąk jak reduta w jakiejś bitwie – zaśmiał się proboszcz. – Może w końcu uznali, że to wszystko dlatego, że mieli tylko ten urząd. Że im Bóg nie pobłogosławił i dlatego cały ten bałagan przez tyle lat.

– Dał im ksiądz? – zaciekawiał się Wawrzyniec.

– Nie zdążyłem – zafrasował się proboszcz, po chwili jednak uśmiech pojawił się w jego oczach. – Ale widać Bóg zdecydował, że połączy ich inaczej. Pan widział, jak to się stało?

– Widziałem. – Wawrzyniec pokiwał głową. – Byli blisko siebie, może nawet zdążyli się złapać za ręce, ale to już za daleko byłem.

– Tak czy siak, już nie są dwoje, ale jedno ciało – skwitował ksiądz. – Ale że Bóg zdecydował, to wcale nie znaczy, że ktoś w tym nie maczał palców – dodał po namyśle.

– Mieli wrogów? – Wawrzyniec wykorzystał szansę na to, by może dowiedzieć się czegoś więcej.

– A kto nie ma – zamyślił się proboszcz. – Ale chyba raczej tak osobno, osobnych mieli wrogów, bo osobno żyli przez ostatnie lata. Chyba że ktoś chciałby skrzywdzić jedno, a drugie to już tak przy okazji.

– A ktoś konkretny? – dopytał z nadzieją Wawrzyniec.

– Czy konkretny to nie wiem, nie znałem ich aż tak – rozwiął nadzieje ksiądz. – Ale może tam w domu pan coś znajdzie, zanim inni przyjadą i wszystko wybebeszą.

Inni?, zastanowił się Wawrzyniec. Nie chciał jednak dalej dopytywać. Już i tak w swoim odczuciu nadużywał gościnności.

Pani Monika robiła kanapki. Proboszcz ulotnił się gdzieś, kiedy Wawrzyniec wyszedł na moment za potrzebą. Teraz siedział w tym samym miejscu, gdzie wcześniej, tyle że było już włączone normalne światło, bo Monikę męczył półmrok, który dawała lampa oliwna, a poza tym palenie jej uważała za dziwactwo.

– A pani ich znała? – zagaił Wawrzyniec.

– Kogo? – zapytała, jakby nie pamiętała, co mówił do niej, kiedy otworzyła mu drzwi.

– Markowskich? – przypomniał.

– A tak, to znaczy jego głównie, pani Agnieszka nigdy za mną nie przepadała. – Nie patrzyła na niego, zajęta akurat krojeniem ogórka.

– Czemu? – zapytał po chwili ciszy Wawrzyniec.

– Czy ja wiem, kobiety czasem nie lubią innych kobiet, po prostu.

– Teraz odwróciła się i postawiła przed nim talerz pełen skibek chleba pokrytych szynką i cieniutko pokrojonymi ogórkami.

Była ładna i do Wawrzyńca wróciło pytanie nawet nie o to, dlaczego nie lubiła jej Agnieszka Markowska, tylko o to, co tu właściwie

robiła. Na plebanii, we wsi na końcu świata – kobieta, która wyglądała jak omyłkowo wstawiona tutaj z jakiejś innej historii. Jej delikatne dłonie o długich palcach przez pokolenia nawykłych raczej do noszenia pięknej biżuterii niż do noszenia wiader, myślące spojrzenie głębokich, piwnych oczu, szczupła figura bez jakichkolwiek śladów zmęczenia nadmiarem fizycznej pracy. I ogórek pocięty tak cienko, jak nigdy nie pocięłaby go kobieta stąd.

– A pani to już długo u księdza? – zapytał w końcu, patrząc na nią odrobinę zbyt natarczywie.

– Dziesięć lat – odpowiedziała szybko, jakby odpowiedź od początku miała w zanadru. – Przyjechałam z Krakowa, wcześniej uczyłam w liceum. Jestem siostrzenicą proboszcza.

– I przyjechała pani tutaj, prosto do niego...? – Wawrzyniec zawiesił głos, bo nie wiedział, jak dalej sformułować pytanie.

Wiatr zawodził w szparach między deskami.

– Brałam narkotyki, heroinę, przyjechałam, żeby nie brać – odpowiedziała zwięźle.

Odpowiedź tak zaszokowała Wawrzyńca, że utknął na moment z nadgryzioną kanapką w ustach, a Monika się zaśmiała.

– Tylko dlatego? – przełknął Wawrzyniec.

– A to mało? – odpowiedziała pytaniem na pytanie, po czym dodała: – Nie, nie tylko dlatego. – A on wiedział, że więcej się przynajmniej na razie nie dowie.

Ściany w pokoju gościnnym były w całości zasłonięte regałami wypełnionymi książkami. Właściwie pokój wyglądał jak pudełko wyłożone od wewnątrz woluminami wszelkiej możliwej proveniencji, od kryminałów po filozofię i święte księgi, zresztą różnych religii. Łóżko znajdowało się we wnęce pod półkami, w jamie wylupanej w książkowej skale. Wawrzyniec usiadł na krześle przy biurku, też zastawionym książkami, i starał się zebrać myśli. Od momentu, kiedy zeszła ta cholerna lawina, stabilny grafik jego życia legł w gruzach. Do tej pory każda rzecz, którą robił, była zależna tylko od jego woli. On decydował, rozporządzał swoim czasem, pracował, kochał się albo chodził po górach. Teraz pozornie

niewiele się zmieniło, nadal kochał się, chodził, gdzie chciał, może zbierał też materiał do swojej kolejnej książki, na którą czekali wydawcy w Warszawie. Jakby podobnie, a jednak inaczej. Różnica polegała – zdaje się – na tym, że czuł się tak, jakby to nie on decydował o tym, co ma się wydarzyć, i to nie tylko kolejnego dnia, ale nawet w kolejnej minucie jego życia. Rozpoczął dochodzenie, nie bardzo rozumiejąc, przynajmniej na razie, dlaczego, i od tego momentu jego życiem rządziła jakaś siła, jakiś przypadek, zbieg okoliczności. Być może tymi wydarzeniami ktoś kierował, ale Wawrzyniec miał wrażenie, że tym kimś nie był on sam. Bolały go nogi, właściwie bolało go wszystko, czuł się przygnieciony, przytłoczony czymś; ale czym – tego nie wiedział. Z kieszeni płaszcza wyciągnął telefon, którego nie używał jako telefonu, kiedy był w górach, nie było w nim na wszelki wypadek nawet karty SIM, ale była muzyka. Odwinął słuchawki, którymi okręcony był aparat, włożył je do uszu, puścił coś na chybił trafił. Mike Oldfield, *Sentinel* z albumu *Tubular Bells II*. Muzyka popłynęła w głąb głowy. Rozejrzał się wokół, zastanawiając się, jak ta piosenka dobrze koresponduje z rzeczywistością. Zdjął buty i podszedł do półki z książkami. Było tu chyba wszystko. Pomyślał, że gdyby zamknęli go tu na rok, to nie nudziłby się nawet przez pięć minut, a przy okazji wreszcie przeczytałby to, co już dawno powinien. Wyszedłby stąd jako w pełni wyedukowany humanista.

Błękitna księga Biblii Tysiąclecia zdawała się narzucać bardziej od innych woluminów, może dlatego, że – było nie było – znajdował się przecież na plebanii. Sięgnął po nią, otworzył na przypadkowej stronie, przeczytał: „Gdy Jezus dokończył tych mów, opuścił Galileę i przeniósł się w granice Judei za Jordan. Poszły za Nim wielkie tłumy, i tam ich uzdrowił. Wtedy przystąpili do Niego faryzeusze, chcąc Go wystawić na próbę, i zadali Mu pytanie: «Czy wolno oddalić swoją żonę z jakiegokolwiek powodu?». On odpowiedział: «Czy nie czytaliście, że Stwórca od początku stworzył ich jako mężczyznę i kobietę?». I rzekł: «Dlatego opuści człowiek ojca i matkę i złączy się ze swoją żoną, i będą oboje jednym ciałem. A tak już nie są dwoje, lecz jedno ciało. Co więc Bóg złączył, niech człowiek nie rozdziela». Odparli Mu: «Czemu więc Mojżesz polecił

dać jej list rozwodowy i odprawić ją?». Odpowiedział im: «Przez wzgląd na zatwardziałość serc waszych pozwolił wam Mojżesz oddalać wasze żony; lecz od początku tak nie było. A powiadam wam: Kto oddała swoją żonę – chyba w wypadku nierządu – a bierze inną, popełnia cudzołóstwo. I kto oddaloną bierze za żonę, popełnia cudzołóstwo»<sup>1</sup>.

Przypadkowa strona znów okazała się zupełnie nieprzypadkowa. Przecież pół godziny temu cytatem z tej właśnie Mateuszowej Ewangelii poczęstował go proboszcz. Wawrzyniec miewał już okresy w życiu, kiedy wszystko nagle zaczynało układać się w jakieś wielce znaczące puzzle. Męczący czas, gdy wszystkie następujące po sobie zdarzenia mają jakiś głębszy sens. Być może zresztą nie mają, może nadaje się je samemu z jakiegoś powodu, może z lęku przed pustką. Z reguły nachodziło go to na jakiś czas przed tym, gdy miał zacząć pisać. Może stąd to wszystko, pomyślał. Powiniennem zacząć pisać. Między dźwiękami muzyki usłyszał pukanie.

– Proszę – powiedział, patrząc na drzwi. Czyżby to archanioł, który przyszedł mu zwiastować? Uśmiechnął się do swoich myśli.

– Dlaczego pan się śmieje? – Od drzwi patrzyła na niego kobieta o dłoniach pianistki.

– Bo spodziewałem się archanioła i w sumie nie czuję się zawiedziony – odpowiedział.

Monika uciekła spojrzeniem.

– Przyszłam zapytać, o której pana obudzić? – Patrzyła na niego, a on próbował w myślach określić kolor jej oczu.

Wcześniej uznał je za piwne, ale teraz sam nie był już pewien.

– Jak tylko proboszcz wstanie, chciałbym tam pójść jak najwcześniej, pewno wkrótce zjawi się rodzina, a wtedy nie będzie już czego szukać – odpowiedział rzeczowo.

– Proboszcz wstaje nawet przede mną, o szóstej chyba – uśmiechnęła się. – Chce pan aż tak wcześnie?

– Mogę, ale skoro pani jeszcze wtedy śpi, to kto mnie obudzi? – odparł logicznie i też się uśmiechnął.

– Mogę się zerwać albo... – Popatrzyła na niego przeciągle, a on wreszcie dostrzegł kolor jej oczu, były brązowe na obwódkach,



ale środek wyglądał, jakby ktoś wpuścił do niego kroplę czerwieni. W życiu czegoś takiego nie widział. – Albo mogę w ogóle nie spać.

Była ubrana w delikatny, chyba jedwabny szlafrok, trochę wyglądający jak kimono wyszywane w ptaki. Obwiązywał ją szczelnie. Ale co miała pod spodem? Czyżby nic? Wawrzyniec ściągnął słuchawki z uszu, wstał, podszedł do niej. Teraz wiedział już ponad wszelką wątpliwość, że pod jedwabnym kimonem była tylko skóra.

– Obudzę pana o ósmej – powiedziała, po czym cofnęła się o dwa kroki, uśmiechnęła się i zamknęła drzwi.

Trudno mężczyźnie zasnąć po czymś takim. W końcu się chyba jednak udało, bo zrobiło się bardzo zimno, książki pokryła szadź, potem wróciła ona i ogrzała wszystko swoim ciałem. Jako że ani jedno, ani drugie na zdrowy rozum nie wydawało się możliwe, uznał, że było snem.

## 5.

Ranek był piękny. Wreszcie na chwilę przestało wiać, a świat z pryzmami śniegu usypanymi przez nocne podmuchy oświetlały teraz ciepłe promienie słońca i nic nie wydawało się już ani tak nierealne, ani tak groźne jak poprzedniego wieczora.

– Czyli kiedy, mówi pan, uda się wydobyć ich zwłoki? – Ksiądz mimo wieku był bardzo witalny i szedł teraz dziarsko kilka kroków przed nimi. Inna rzecz, że Wawrzyńca dodatkowo opóźniało to, iż kilkakrotnie pomagał towarzyszącej im Monice pokonywać co większe pryzmy śniegu.

– Obawiam się, że dopiero późną wiosną – odrzyknął Wawrzyniec do oddalającego się księdza. Cała ta scenka przypominała mu trochę klimatem sceny z *Polskich dróg* albo innego równie starego polskiego serialu, który opowiadał o jeszcze dawniejszych czasach. Takie, w których nikomu nigdzie przesadnie się nie spieszyło, a państwo chodzili na spacer w towarzystwie plebana. Może *Lalka*, pomyślał Wawrzyniec i uśmiechnął się, widząc siebie w roli Wokulskiego.

– Pan się śmieje? No, kiedyś będzie trzeba, bo jak tak bez pogrzebu? – Ksiądz stał na wzniesieniu.

Kawałek dalej na szczycie wznosił się dom, który Wawrzyniec wczoraj już oglądał. Tyle że teraz dom wyglądał jak piernikowa chata, a nie jak posiadłość rodziny Addamsów, którą zapamiętał z poprzedniego wieczora. Monika szła z nimi oficjalnie dlatego, że jako osoba, która tam sprzątała, znała to miejsce najlepiej. Wawrzyniec nie znał go w ogóle, a ksiądz – tyle tylko, co był tu parokrotnie z wizytą. Oficjalnie szła, bo znała najlepiej, ale po jej zachowaniu widać było – jeśli ktoś potrafił się przyglądać, a to akurat Wawrzyniec potrafił doskonale – że robiła to też z innych powodów. Tych jednak Wiślicki nie znał, a bardzo chciałby je poznać, bo od poprzedniego wieczora Monika nie opuszczała jego myśli, a bardziej jeszcze jego wyobraźni.

Klucz zaskrzypiał w zamku i duże drewniane drzwi otworzyły się z jęknięciem. We wnętrzu panował mrok. Zasunięte okiennice szczelnie odcinały dopływ światła słonecznego, a dodatkowo ksiądz zamknął za sobą drzwi od razu po tym, jak weszli do środka. Kontrast między tym, co przed domem, gdzie słońce oślepiało, odbijane jeszcze dodatkowo przez śnieżną blendę, a czernią wnętrza był tak duży, że przez moment Wawrzyńcowi wydawało się, że oślepl.

– Nie będziemy odsłaniać okiennic, bo jesteśmy tu, było nie było, trochę nielegalnie. – Ksiądz uśmiechnął się zawiadacko i nacisnął na włącznik światła w korytarzu.

Nic się jednak nie wydarzyło, żarówka w kloszu nad ich głowami nie rozbłysła światłem.

– Trzeba włączyć prąd – odezwała się zza pleców Monika.

Kobieta podeszła z boku do Wawrzyńca, który bardziej to poczuł, niż zobaczył.

– Ma pan może telefon? – zapytała gdzieś z bardzo bliska.

Wawrzyniec sięgnął do kieszeni, po chwili jedyną rzeczą widoczną w ciemności był ekran jego telefonu. Kiedy na swoich palcach poczuł dotyk jej dłoni, serce zabiło mu szybciej.

– Mogę? – zapytała. – Muszę sobie poświecić.

– Proszę. – Wawrzyniec wypuścił telefon z dłoni.

Monika oddaliła się kawałek, a jego teraz dopiero owionął chłód wnętrza. Po chwili najpierw usłyszeli szcęk przesuwanej wajchy włączającej dopływ prądu, a następnie stała się jasność. Była to jasność względna, bo niskowatowe żarówki nijak miały się do natężenia światła na zewnątrz.

Weszli we dwójkę z Moniką do kuchni. Na stole stały talerzyki z resztkami jedzenia, tak jakby ktoś opuścił wnętrze w pośpiechu i z myślą, że zaraz tu wróci. Otwarta czerwona puszka herbaty w rogu stołu dodawała sytuacji jeszcze więcej wrażenia nagłości. Wawrzyńca od razu zastanowiła pewna niespójność tego wszystkiego. Z jednej strony ktoś jakby zaraz miał wrócić, a z drugiej – odciął dopływ prądu i na głucho zamknął ciężkie drewniane okiennice, dodatkowo zabezpieczając je od środka metalowymi sztabami.

– Spieszyli się – powiedziała Monika, liczby mnogiej używając na podstawie tego, że na stole były dwa nakrycia. – Piotr tu dawno nie przychodził – dodała po chwili, a Wawrzyńcowi wydało się, że w jej głosie wyczuł nutę żalu.

– Skąd pani wie? – pociągnął temat, jednocześnie przyglądając się kromce chleba i skorupkom po jajkach pozostawionych na talerzykach.

Z boku stały też filiżanki po kawie, jedna była pusta, w drugiej została więcej niż połowa. Ciekawe, które z nich bardziej potrzebowało napędu z używek, zamyślił się.

– Po prostu wiem – odpowiedziała Monika nieco oschle, ale szybko zorientowała się, że w ten sposób tylko jeszcze bardziej się odkrywa, i dodała, nieco zbyt rozluźniona: – Tutaj na wsi wszyscy wszystko wiedzą.

– Wszyscy nie – wtrącił się ksiądz. – Ja nie wiem prawie nic.

– A ze spowiedzi? – uśmiechnął się Wawrzyniec.

– Oni się nie spowiadali. – Ksiądz spojrzał na Monikę ukradkowo, ale nie na tyle, żeby Wawrzyniec tego nie zauważył.

– A powinni? – Zerknął na księdza.

– Proszę mi nie zadawać takich pytań – obruszył się nagle proboszcz.

Na chwilę zapadła nieprzyjemna cisza.

– To gdzie warto zajrzeć? – Wawrzyniec popatrzył na Monikę i od razu się poprawił: – Może ma pani jakiś pomysł?

– Na górę – Monika nie wydawała się dotknięta jego pytaniem. – Tam jest jej pracownia i jego gabinet. Może coś w papierach...?

– Jego gabinet? – zdziwił się Wiślicki. – Przecież on tu nie mieszkał.

– Czasem nie mieszkał, czasem mieszkał, gabinet zawsze był – rzuciła Monika. – Co więcej, kiedy mieszkali tu z nią inni, żaden nie miał wstępu do jego gabinetu.

– A pani tu bywała, kiedy on nie mieszkał? – zdziwił się, pomny tego, że Agnieszka nie lubiła Moniki.

– Kiedy on nie mieszkał, ona nie miała ze mną żadnego problemu... – Monika zatrzymała się, jakby przez moment wahając

się, czy powiedzieć coś jeszcze. W końcu zrezygnowała, przynajmniej na razie.

Wawrzyniec popatrzył na nią badawczym wzrokiem, a ona, żeby umknąć spod jego spojrzenia, ruszyła przodem w stronę schodów wiodących na górę.

Na ich szczycie napotkali drewnianą kłapę zamykaną na kłódkę. Monika podeszła do niej i sięgnęła do zawieszanej obok skrzynki elektrycznej, z której wyjęła kluczyk. Wieko kłapy otworzyło się ze skrzypnięciem podobnym do tego, które towarzyszyło wcześniej otwarciu drzwi.

Na górze było świetliście. Na ogromną powierzchnię pracowni, która zajmowała cały obrys domu na dole podzielony pomiędzy sypialnię, kuchnię i łazienkę, światło wpadało przez wielkie okna umieszczone w ścianach szczytowych i przez boczne wykusze wyprowadzone w spadziach dachowych. Tutaj nie było okiennic, widocznie właściciele doszli do wniosku, że nikt nie będzie targał ze sobą drabiny, żeby włamywać się przez okna na piętrze. Na jednym końcu pomieszczenia postawiona była drewniana ściana działowa z drzwiami pośrodku.

– Gabinet? – Wawrzyniec wskazał na drzwi.

Monika pokiwała głową.

– Dziwny, trochę tak na siłę dostawiony – skomentował.

– Wcześniej nie było tej ścianki, siedzieli razem, on przy biurku robił interesy, ona na sztalugach robiła sztukę – odpowiedziała Monika, a Wawrzyniec w jej głosie wyczuł znów nutę ironii.

Chyba panie trochę ze sobą konkurowały, pomyślał.

Na sztaludze pośrodku pokoju stał obraz zakryty prześcieradłem. Wawrzyniec podszedł i zdjął tkaninę. Na obrazie dwie kobiety o kształtach wydłużonych trochę jak u Modiglianiego pławiły się w swoich nagościach. A może Monika nie o niego konkurowała, a z nim – szybka jak błysk myśl przemknęła Wawrzyńcowi przez głowę. Spojrzał na Monikę, ale ta była już odwrócona plecami do niego i szła w stronę drzwi do gabinetu.

Drzwi były zamknięte. Ksiądz i Wawrzyniec popatrzyli na Monikę w oczekiwaniu. Skoro wiedziała, gdzie był klucz do kłapy, to powinna też wiedzieć, gdzie jest klucz od gabinetu.

– Na to już nic nie poradzę. – Monika pokręciła głową przecząco.  
– Klucz ma na pewno przy sobie, zawsze nosił, nawet jak tu nie mieszkał.

– Czyli cztery metry pod śniegiem albo dwadzieścia metrów pod wodą. – Wawrzyniec pokiwał głową.

Nie chciał jeszcze wnikać, skąd Monika wiedziała, gdzie Piotr nosił klucz, kiedy tu nie mieszkał. Nie chciał, bo i tak niczego by się nie dowiedział, a ją wprowadziłby w stan jeszcze większego zakłopotania, co nie było mu wcale na rękę. Rozejrzał się wokoło. Na parapecie okna w wykuszu dachowym leżał śrubokręt. Popatrzył na nich. Monika, domyślając się najwyraźniej, do czego Wawrzyniec zmierza, wzruszyła tylko ramionami. Ksiądz chyba nie zrozumiał jego intencji, ale nie wydawał się tym przejęty. Wawrzyniec wsunął śrubokręt w szparę między drzwiami a ościeżnicą, tak że wepchnął czubek w otwór, w który wchodził stalowy rygiel zamka. Odchylił śrubokręt, naparł na niego z siłą. Rygiel wyskoczył, a drzwi otworzyły się, ukazując pomieszczenie z niewielkich rozmiarów biurkiem, na którym stał komputer i leżało całe mnóstwo papierów.

Weszli we dwójkę. Ksiądz został w pracowni; po pierwsze, dla trójki w małym wnętrzu byłoby już za ciasno, po drugie, on i tak był zbyt mało spostrzegawczy, by cokolwiek znaleźć, po trzecie wreszcie, to jednak było w jakimś sensie włamanie.

Wawrzyniec od razu odniósł tu wrażenie bliźniaczo podobne do tego, które odniósł, gdy po raz pierwszy wszedł do pokoju Markowskich w schronisku. Tutaj też na pierwszy rzut oka wydawało się, że wszystko jest, jak należy, ale gdzieś pod spodem tego uporządkowanego nieładu czaiła się nieprawda, pozoracja, aranżacja. Coś tu nie grało.

– Czego szukamy? – Monika wyrwała go z zamyślenia.

– Nie mam pojęcia. Czegoś podejrzanego? – Wawrzyniec pochylił się nad papierami leżącymi na biurku.

Nie chciał się z nią dzielić swoim wrażeniem, wydawało mu się zbyt trudne do opisanego. Gdyby może ona powiedziała coś na ten temat jako pierwsza... W końcu w przeciwieństwie do niego znała to miejsce, zanim to wszystko się wydarzyło. Nic takiego jednak nie nastąpiło, Monika rozejrzała się wprawdzie czujnie po wnętrzu

mikrogabinetu, ale nie powiedziała ani słowa. Do ścianki przykręcone były drewniane półki, na nich leżały albumy malarskie, ale też teczki z dokumentami. Sięgnęła po pierwszą z brzegu, ukucnęła, położyła ją na podłodze i zabrała się do rozwiązywania tasiemki. Wawrzyniec patrzył na zmianę na papiery na biurku i na jej kolana, które ukazały się teraz spod spódnicy.

– Tak podejrzanego? – Monika rozłożyła skrzydełka teczki, ukazując stertę wyklejanych z gazetowych liter anonimów. Na kartce A4 leżącej na samym wierzchu Wawrzyniec odczytał tylko dwa słowa. ZABIJĘ WAS.

– No i zabił. – Wawrzyniec poczuł dziwną mieszaninę przerażenia i satysfakcji.

Dalej w teczce anonimowy nadawca jeszcze parokrotnie wyrażał różnorakie groźby, raz były skierowane do niego, kiedy indziej do niej, a najczęściej do obojga. Nijak z treści gróźb nie dało się jednak wysnuć, kto mógłby być ich nadawcą.

– Czemu straszy ich oboje? – Wawrzyniec spojrzał ze zdziwieniem na Monikę. – Przecież oni głównie byli osobno.

– Może chodzi o interesy – odpowiedziała. – Nawet jak nie mieszkał z nią przez kilka lat, to przez cały czas zajmował się jej sprawami: obrazy, wystawy, wernisaże, zagraniczne muzea... Był jakby jej agentem. Nawet nie jakby, po prostu był jej agentem. Zawsze mi się wydawało, że zostawiali sobie tę wspólnotę interesów głównie po to, żeby nigdy do końca się nie rozstać.

– Sporo pani o nich wie? – Wawrzyniec te słowa rzucił trochę mimochodem.

Nie patrzył teraz na Monikę, szukał czegoś dalej w papierach. Nie chciał, żeby to wyglądało na insynuację, choć w pewnym sensie nią było.

– Sprzątałam u nich przez ostatnie dziesięć lat – odpowiedziała spokojnie, nie dając się sprowokować. – Na zmianę opowiadali mi o sobie, czasem się skarżyli, czasem wręcz przeciwnie.

Wawrzyniec nigdy nie przypuszczał, że ma uwagę podzieloną na tyle, żeby teraz, słuchając z ciekawością tego, co mówiła, wśród papierów natrafić na coś, co zainteresowało go nie mniej.

– Pismo przedprocesowe – odczytał nagłówek.

Monika podniosła głowę znad teczki z wyciętymi z gazet anonimami i spojrzała mu przez ramię. Poczuł jej zapach blisko, zbyt blisko siebie.

– Galeria Watra, Tomasz Plewiński – odczytała adresata pisma, po czym dodała: – Możliwe.

– Co możliwe? – Odwrócił się do niej głównie z potrzeby dania zmysłowi wzroku tej samej przyjemności, którą czerpało na razie tylko powonienie.

Ona jednak odsunęła się o krok dokładnie w momencie, gdy się obracał. I Wawrzyniec znów nie zdążył być tak blisko, jak chciał.

– Mieli tam zadołowane kilkaset tysięcy złotych, niektórzy mówili, że milion. – Pokiwała głową.

– Mieli, czyli prawnie nadal mają, rodzina dojdzie i tak ścigną tego... – Wawrzyniec spojrzał raz jeszcze na pismo – ... Plewińskiego.

– Za coś ścigną, a za coś już nie – odpowiedziała Monika, a z tonu jej głosu Wawrzyniec za nic nie mógł wysnuć, czy rzuciła to ot tak po prostu, czy wiedziała może coś jeszcze.

Chciał dopytać, popatrzył na nią, a ona uśmiechnęła się niewinnie. Właśnie ten rodzaj niewinności w uśmiechu kobiety zawsze frapował go najbardziej, bo wiedział doskonale, że przecież nikt nie jest do końca bez winy. Faceci być może też uśmiechali się w ten sposób, ale nie interesowało go to nigdy przesadnie.

– Mogli mieć jakieś rzeczy, których nie było na papierze, ale były w rzeczywistości, jakieś obrazy oddane do komisju, o których wiedzieli tylko oni, może jeszcze coś – wyjaśniła, a on nadal nie wiedział, czy ona coś wie, czy jedynie się domyśla.

– A nie widzę nigdzie tego obrazu, jak jedzą śniadanie – odezwał się zza drzwi ksiądz. – On tu stał zawsze na osobnej sztaludze.

– No właśnie, może na przykład oddali mu ten obraz. – Monika wróciła do wcześniejszego tematu. – To był znany olej, wystawiała go w Nowym Jorku, musiał być wart z milion dutków.

Wawrzyniec uznał w tej sytuacji, że jednak Monika nie wie przesadnie więcej, niż mówi, a jej hipotezy wynikają z czegoś, o czym on do tego momentu po prostu nie miał pojęcia, czyli z faktu, że Agnieszka Markowska była malarką o światowej renomie.



Wiślicki wyciągnął z kieszeni telefon i zaczął fotografować po kolei dokumenty, które wydały mu się jakkolwiek interesujące: faktury, pisma, a przede wszystkim anonimy, które Monika wyciągała po kolei z teczki i kładła na biurku przed nim. Kiedy skończyli, Wawrzyniec omiótł jeszcze wzrokiem maleńki gabinet, a nie znalazłszy w nim już nic interesującego, opuścił wypełnioną światłem pracownię. Podszedł do stojaków pod ścianami, na których stały koło siebie dziesiątki obrazów, jeden przy drugim. Wyciągał je po kolei i też fotografował, choć tym razem robił to nie po to, żeby coś dokumentować, a raczej dlatego, że mu się po prostu podobały. Głównie abstrakcyjne jakby pejzaże, dużo bieli i szarości, ale gdzieś tam też pasy zgniłej zieleni, może pola, a może coś innego. Wiele razy w życiu zastanawiał się, na czym polega wartość obrazu, dlaczego niektóre są poruszające, a inne, często nawet dość technicznie podobne, nie wywołują w nim żadnych wrażeń. Chyba chodziło o skojarzenia. Gdzieś głęboko w podświadomości każdy miał zakodowane jakieś zapisy, pamięć wrażeń, może własnych, a może nawet starszych od własnych. Obraz, który poruszał, musiał chyba te właśnie wspomnienia przywoływać. Te obrazy zdecydowanie coś w nim przywoływały. Szczególnie jeden, na którym dominowała biel, tworząca w dolnej części niekształtne bryły połamane odcieniami szarości.

– Lawina – powiedział bardziej do siebie niż do kogoś.

– No może trochę rzeczywiście. – Monika znów stała blisko za jego plecami. – Czyżby profetka... – dodała po chwili z delikatnym uśmiechem.

– W takim razie tu musi być sporo pieniędzy. – Wawrzyniec wrócił na ziemię. – Nie bali się, że ich szyszcą z tych obrazów? – Popatrzył pytająco na stojących obok Monikę i księdza.

– Nie była Renoirem, więc nikt by tych obrazów w piwniczce wyłącznie do swojego wglądu i tak nie przechowywał, a w galeriach szybko namierzyłaby je policja – zasugerowała Monika, po czym po krótkim namyśle dodała: – Ale okiennice na dole mieli.

– Chyba będziemy musieli się stąd zabierać – rzucił od strony okna ksiądz.

Oboje popatrzyli na niego zdziwieni.

– Ktoś przyjechał. – Ksiądz wskazał w dal za oknem. – Nie znam tych ludzi, może krewni po obrazie – uśmiechnął się sam do siebie. – Zanim się połapią, gdzie jest dom, i tu dojdą, mamy jakieś dziesięć minut.

Posprzątali pospiesznie w gabinecie, następnie Wawrzyniec zamknął go w podobny sposób, jak wcześniej go otworzył, potem zatrzasnęli kłapę, wyłączyli hebel z prądem i wyszli na słoneczny pagórek. Wejścia do domu nie było widać z dołu, więc na razie byli bezpieczni, a to, że do wejścia prowadziły wydeptane w śniegu ślady, może nie było takie najgorsze, bo dzięki temu także rodzina poczuje się zaniepokojona tym, co znajdzie w gabinecie na górze, i nakłoni policję do rozpoczęcia dochodzenia. Wawrzyniec sam by to zrobił, ale trochę trudno byłoby mu się tłumaczyć z tego, w jaki sposób wszedł w posiadanie całej wiedzy. Fakt, że słyszał dziwny huk, zanim zeszła lawina, nie zainteresował prokuratora. Oprócz zdjęć, dziwnych anonimów i dokumentów miał też w telefonie dokumentację, którą zrobił, kiedy wyszedł na linię obrywu lawiny pod Miedzianym. Tylko komu, jako kto i z jakiego powodu miałby to właściwie pokazać?

Była niedziela, więc wizyta w galerii Watra u Tomasza Plewińskiego tego dnia nie miała już sensu. W ogóle powrót do Zakopanego nie bardzo mu się uśmiechał jeszcze z innych względów, ale nie bardzo potrafił znaleźć racjonalne uzasadnienie, by dalej pozostać na plebanii w Dzianiszu. Monika grała z nim w dziwną grę. Z jednej strony, co chwila natrafiał na jej czujne i myślące (tylko o czym?) spojrzenie, miał wrażenie, że go kokietuje, że szuka jego zainteresowania. Z drugiej strony, kiedy tylko podejmował grę, ona się wycofywała, a może w ogóle tylko wydawało mu się, że jest jakaś gra. Taki rodzaj myślenia życzeniowego. Co wiemy o rzeczywistości tak naprawdę, oprócz tego, co nam się wydaje? Monika nęciła go bardzo, ale zarazem była dla niego zupełnie niedostępna. Myślał o tym, jadąc już PKS-em z powrotem w stronę Zakopanego. Autobus pędził ponad miarę, ale tak z autobusami było tu zawsze. Czasem wydawało mu się, że kierujący nimi górale świadomie dążyli do tego, by pracować na granicy absolutnego ryzyka, gdy każdy zakręt musiał stanowić

wyzwanie i niewiadomą, czy się uda, czy może to będzie już ten ostatni. Pal licho kierowców, oni mogli ryzykować własne życie, jeśli to czyniło je bardziej znośnym dla nich, ale dlaczego przy okazji musieli ryzykować życie czterdziestu osób, pomyślał. Poza tym, czy i on, będąc tu, nie ryzykował właściwie przez cały czas? W Warszawie był zupełnie inny. Tam też wprawdzie prowadził życie mało stateczne, ale nigdy nie było ono obarczone takim ryzykiem jak tu. Widać w Zakopanem, żeby żyć, trzeba było przez cały czas prawie umierać, element ryzyka był tu nieodzowny. Markowscy przecież, i to bez względu na to, czy lawinę wywołał ktoś, czy oberwała się sama, wychodząc na Szpiglasową w takim momencie, też stąpali po cienkim lodzie. Kiedy wiało, wszyscy odczuwali tutaj zdaje się tę skłonność jeszcze bardziej niż w normalnych warunkach. Takie widać miejsce. Tylko ciekawe, po co ktokolwiek się tu w ogóle kiedykolwiek osiedlił. Ludzie żądni wrażeń albo może ludzie z depresją. Czasem tacy potrafili funkcjonować w miarę nie najgorzej tylko w tak ekstremalnych warunkach.

Autobus zaczął hamować, dojeżdżając do przystanku. Jak za każdym razem hamowanie odbywało się na zablokowanych kołach i w pełnym poślizgu. Kierowca miał najwyraźniej jakoś tam obliczone, ile metrów zajmuje kilkutonowemu bobslejowi zatrzymanie się do zera. Za oknem było już ciemno i tylko światło wydostające się z wnętrza autobusu oświetlało częściowo kawałek przestrzeni dookoła. Pośród tumanów śnieżnego pyłu wzbitego przez hamujący autobus Wawrzyniec dostrzegł znajomą postać góralki, która sprzedała mu oscypka, kiedy jechał w tamtą stronę. Kobieta wsiadła i ulokowała się na fotelu po drugiej stronie wąskiego przejścia między siedzeniami. Autobus był w zasadzie pusty, gdzieś z przodu jechał jeszcze jeden pijany góral, który śpiewał trochę na początku podróży, ale jakieś trzy przystanki temu przestał i zsunął się w niebyt alkoholowego snu. Góralka mogła usiąść zatem gdziekolwiek indziej, ale przewędrowała pół autobusu i przysiadła się do niego. Wawrzyniec uśmiechnął się do niej.

Pomimo że rozmowa ani jakikolwiek właściwie kontakt nie były mu teraz przesadnie w smak, to znajomość wydawała się zobowiązywać.

– Dobry wieczór – powiedział głośno, próbując przekrzyczeć hurkot pędzącego znów na granicy życia i śmierci autobusu.

Góralka obróciła się twarzą do niego, popatrzyła chwilę i nic nie odpowiedziała.

– Nie pamięta mnie pani? – zapytał.

Mógł właściwie odpuścić i skwapliwie skorzystać z tego, że nie musiał rozmawiać, ale poczuł się – nie wiedzieć czemu – w jakimś sensie dotknięty tym, że go nie pamiętała. Głos jego odbił się skrzekliwym echem po jego wnętrzu

– Kupiłem od pani oscypka – dodał, po czym zaczął się zastanawiać, gdzie on się swoją drogą podział.

Góralka raz jeszcze odwróciła się do niego. Teraz patrzyła chwilę dłużej, a jej wzrok wydawał się ostrzyć w jakimś zupełnie innym miejscu, niż on siedział.

– Co? – zapytała.

– Pomogła mi pani trafić na Borki, potem kupiłem ser – uśmiechnął się łagodnie.

– Borki, Borki, ciągle te Borki. – Pokręciła głową góralka, po czym przeżegnała się, jakby mijali właśnie jakiś przydrożny krzyż, ale za oknem nic takiego nie było.

Po chwili wstała, ruszyła w kierunku drzwi wyjściowych i wysiadła w mrok na kolejnym przystanku. Wawrzyniec patrzył za nią, nie wiedząc właściwie, co ma o tym wszystkim myśleć. Kobieta zniknęła powoli między zaśnieżonymi chałupami. Nagle odwróciła się, a on odniósł wrażenie, że jej twarz wykrzywił grymas dziwnego uśmiechu.

Cholerni góralscy popaprańcy, pomyślał.

## 6.

Kawiarnia Na Karuzeli mieściła się w dwóch trzecich drogi od dworca autobusowego do Halamy. Było późno i tak naprawdę powinien już iść po prostu się położyć. Tylko że w górach, w Zakopanem rzadko robi się to, co powinno się zrobić, może tutaj funkcjonuje jakiś inny system powinności, pomyślał, kiedy wszedł do przedsiionka kawiarni i otrzepał się ze śniegu. Znowu padało intensywnie, choć przecież było już za połową marca i nie powinno, ale tu nic nie działo się tak, jak powinno. On zresztą nie powinien tu być, a przecież był.

– Duże z kija daj – zagadał do znajomego barmana Waldka, po czym usiadł przy jednym ze stolików i wpatrzył się w mchy znajdujące się w gablocie pod szklanym blatem.

Kiedy wchodził, chciał usiąść za barem. Lubił to miejsce właśnie głównie ze względu na ów bar. Tam też były mchy i porosty pod szklanym blatem, a do tego siedziało się na huśtawkach, co było bardzo zmyślne, bo powodowało, że człowiek musiał w pełni skupić się na utrzymaniu równowagi. Jemu zaś bardzo zależało teraz na tym, żeby móc skupić się na czymś, co lokowałoby go wyłącznie w tu i teraz. Zdarzenia mijających dni w jego umyśle układały się w coś na kształt splątanego sznura lampek na choinkę, które na dzień przed Wigilią trzeba było rozplątać po tym, jak w poprzednim roku niedbale i z ulgą wrzuciło się je do pudła z bombkami. Chaos. Znowu przyszło mu do głowy, że może czas najwyższy zacząć pisać. Zawsze przed rozpoczęciem pisania kolejnej powieści wpadał w trochę podobny stan niepokoju i zagubienia. Nigdy dotąd nie było jednak aż tak dziwnie.

Chciał usiąść przy barze, ale nie usiadł, ponieważ byli tam już dwaj mężczyźni w charakterystycznych czerwonych swetrach, które określały ich przynależność organizacyjną. Obaj stosunkowo młodzi, z brodami à la kanadyjski drwal. Byli z TOPR-u. Zasadniczo nie miał

nic przeciwko członkom tej bardzo szacownej organizacji, sam niegdyś przecież nawet do niej należał, ale teraz nie miał siły na rozmowę. Przez chwilę zastanawiał się tylko, czy oni brali udział w akcji pod Miedzianym, w której i on uczestniczył. Gdyby tak było, może warto było pogadać, ale za cholere nie mógł sobie przypomnieć. Było ich wtedy w szczycie zmagani kilkadziesiąt, panowały trudne warunki, wiało, wszyscy byli oszronieni. Potem na wieczornych nasiadówkach w schronisku tych dwóch nie było już na pewno. Inna rzecz, że tacy jak ci dwaj nie przychodzili na nasiadówki, bo były niezdrowe dla organizmu. Młodzi byli teraz znacznie rozsądniejsi, a może życiowo cwańsi, niż onegdaj bywało, zresztą inne mieli dziś warunki i inną przyszłość przed sobą niż on, gdy był w ich wieku. W czasach słusznie minionych zrobienie kariery od jej niezrobienia różniło tak naprawdę niewiele. W każdym razie młodzi brodacze mogli brać udział w akcji, a później, gdy starsi koledzy pili, żeby poradzić sobie ze świadomością porażki, oni być może wysypiali się gdzieś w pokojach na górze. To oczywiście byłoby po wielokroć rozsądniejsze. Gdyby był w lepszej formie, szybko mógłby to wszystko z nimi wyjaśnić, ale jako że nie był, to wolał oglądać mchy pod szkłem, rozpatrując wszystkie te możliwe warianty we wnętrzu własnej głowy.

W tym momencie od drzwi powiało chłodem i do baru weszła kobieta w długim jasnym kozuchu obsypanym śniegiem. Od razu usiadła przy barze, tyłem do niego, przez co nie widział jej twarzy, a mimo to wzbudziła jego zainteresowanie. Co dziwne, młodzi drwale z TOPR-u prawie w ogóle nie zwrócili na nią uwagi. Może geje, pomyślał Wawrzyniec trochę złośliwie. W ogóle za dużo było w nim złości, żółci i zgorzknienia, musiał coś z tym zrobić, bo znał już u siebie taki stan, który nigdy nie wróżył nic dobrego. Barman nalał piwo, postawił je na barze, tuż przed siedzącą kobietą, i zniknął gdzieś na chwilę. Wawrzyniec już chciał wstać i samemu je sobie przynieść, przy okazji zobaczyłby też kobietę *en face*, ale w tym momencie barman Waldek wrócił z zaplecza, wziął pokal i ruszył w jego stronę.

– Dzięki. – Wawrzyniec wskazał w stronę baru: – Kto to?

- Młodzi, kandydaci na kandydatów – odpowiedział Waldek.
- Nie o nich pytam, tylko o nią. – Uśmiechnął się porozumiewawczo.
- O nią? – Waldek zerknął w roztargnieniu w stronę, w którą wskazywał Wawrzyniec. – A to nie wiem.

Wawrzyniec pociągnął mocno ze szklanki. Łyk, dwa, osiem, odstawił szkło, w którym została mniej niż jedna trzecia zawartości. Wiatr, dziwni górale, złośliwość, żółć i zgorzknienie, niepokój, piwo pite duszkiem – znał doskonale taki ciąg zdarzeń. Jutro będzie ciężko, pomyślał. Teraz, za minutę, a może nawet szybciej zacznie się robić milej, wszystko się wygładzi, brodacze nie będą już tak wkurwiający, a kobieta okaże się bardzo urodziwa. Może zresztą byłaby urodziwa i bez tego.

Upłynęła minuta, a on zamiast dobrze, miękko i ciepło poczuł się trochę dziwnie. Wyszedł do łazienki. Obmył się wodą, popatrzył na siebie w lustrze, dotknął twarzy dłonią. Była obca, jakby lekko zdrewniała, czyli wszystko w zasadzie było, jak należy, zawsze po alkoholu twarz stawała się taka, może to pomagało też uzyskać w końcu jakiś lekki dystans do siebie, porzucić myśli powtarzające się natrętnie w głowie jak melodia w katarynce. Powoli się uspokajał. Pojawiły się spokój, ciepło i przyjemne mrowienie. Mogę usiąść przy barze, pomyślał i wyszedł z łazienki. Tam nie było już jednak ani brodaczy, ani przede wszystkim kobiety w kozuchu, która go zafrapowała, pomimo że nie widział nawet jej twarzy.

- Gdzie jest? – zapytał barmana.
- Kto? – odpowiedział Waldek, zajęty myciem szklanek.
- No ta kobieta, w kozuchu – doprecyzował.
- Nie wiem, nie widziałem jej. – Waldek wzruszył ramionami – Wyszła? A po co ci ona?

Wawrzyniec nie odpowiedział, rzucił dziesięć złotych na kontuar, zabrał kurtkę z krzesła i wyszedł.

- Don Juan się znalazł – skomentował Waldek chwilę po tym, jak usłyszał mroźne skrzypnięcie zamykanych drzwi.

Na wszystko padały wielkie płaty gęstego mokrego śniegu. Przeważnie kiedy pada ten rodzaj śniegu, szczególnie wieczorem i szczególnie tutaj, oprócz tego, że świat staje się na moment znacznie bardziej urodziwy, dodatkowo robi się bardzo, bardzo cicho. Wawrzyniec wyszedł z knajpy i przez chwilę nasłuchiwał. Słyszać było, jak z rynien skapuje woda i jak na głowę spadają płaty bieli, ale do jego uszu nie dochodziły żadne odgłosy cywilizacji. Co spodziewał się usłyszeć? Może odgłosy kroków? Rozejrzał się wokoło. Odgłosy się nie pojawiały, ale za to w śniegu widać było odcisnięte niewielkie stopy w butach na obcasie węższym niż przednia część zelówki. Ruszył śladem. Kiedy wyszedł na prostą, wiodącą do góry ulicę Piłsudskiego, zobaczył ją w odległości na około stu metrów. Szła w kozuchu, którego poły rozwiewał na boki wiatr. Nie miała czapki na głowie, więc oprócz kozucha widać było też ciemną falę włosów długich do połowy pleców. W barze włosów nie zauważył. Może były pod kozuchem, pomyślał i przyspieszył. Szli pod górę, on po chwili prawie już biegł, a ona – choć wydawało się, że idzie swobodnym krokiem – cały czas się oddalała. Minęli ulicę Tetmajera, widoczność była coraz gorsza, padało coraz intensywniej, a ona oddalała się wciąż szybciej i szybciej. Wawrzyniec stanął, nie bardzo rozumiejąc, co się dzieje. Czyżby – wbrew temu, co mu się wydawało – nie dysponował już taką formą jak dawniej, czyżby się starzał? Wariactwo, pomyślał. Co właściwie robi? Goni za kobietą, której nie zna; więcej, nawet nie ma zielonego pojęcia, jak ona wygląda. Może powinien zacząć zażywać brom. Podawali go osiemnastoletnim poborowym w jednostce, przy której się wychował, żeby nie mieli na okrągło nocnych polucji i żeby nie stanowili zagrożenia dla dziewcząt z osiedli otaczających koszary.

Wrócił do baru, w którym nie było już nikogo. Waldek przywitał go lekko dwuznacznym uśmiechem, ale powstrzymał się od komentarza. Może bał się, że Wawrzyniec się obrazi i pójdzie, a nie chciał, żeby poszedł, bo tak przynajmniej miał z kim pogadać przez resztę wieczora i kawał nocy.

– Po co ci to? – Waldek zapytał w końcu o to, co wisiało w powietrzu od dobrej godziny i od co najmniej czterech piw.

– Ale to nie jest w tych kategoriach – odpowiedział Wawrzyniec.



– To zawsze jest w tych kategoriach – uśmiechnął się lekko protekcjonalnie Waldek. – Nawet jak ktoś robi sobie dziury albo zagładza się na śmierć, to coś mu to daje.

Wawrzyniec zamyślił się na chwilę.

– W takim razie nie wiem, mądrało – odpowiedział, ścierając jednocześnie piwną pianę z ust.

– Wiesz, tylko nie chcesz stanąć w prawdzie ze sobą. – Waldek lubił prowokować.

– No to postaw mnie w prawdzie ze sobą. – Wawrzyniec dał się sprowokować. – Oświeć mnie.

– Może gdzieś z tyłu głowy uważasz, że wszystko, co robisz, nie ma za bardzo sensu, nikomu nic nie daje, nie pomaga, nic nie wnosi, więc postanowiłeś w końcu zrobić coś dla kogoś – rozgadał się Waldek.

– Dla trupów? – logicznie i jednocześnie przekornie skontrował Wawrzyniec.

– A co za różnica? – uśmiechnął się Waldek i nieproszone już nawet nalał kolejne piwo z kija. – Chodzi o sprawiedliwość. Ktoś zabił, ktoś musi ponieść karę.

– Czyli znów raczej przeciwko komuś niż dla kogoś – odparł Wawrzyniec.

– To już ty powiedziałeś. – Przez chwilę nic nie mówili, Waldek palił, Wawrzyniec pił. – A może chodzi o coś jeszcze?

– O co? – Wawrzyniec znów patrzył teraz na mchy pod szybą.

– O kobietę oczywiście. A o co innego może chodzić w twoim przypadku? – zaśmiał się Waldek i zniknął za przepierzeniem prowadzącym na zaplecze baru.

## 7.

Nie pamiętał za bardzo drogi powrotnej do Halamy. Obudził się nad ranem lekko przestraszony. Zawsze tak miał po przepiciu. Wstał, wypił duszkiem szklankę wody, zapalił papierosa przy uchylonym oknie i zapatrzył się w ciemność nocy, która nie ustępowała. Nie miał jeszcze kaca, ten miał nadejść dopiero później i był znacznie prostszy do okiełznania. Lęk, który go obudził, nie był lękiem przed kaczem, a raczej przed śmiercią albo jeszcze przed czymś innym, czego nie umiał nazwać. Psychiatria określała to mianem lęku uogólnionego. Były na to lekarstwa. Jakiś czas nawet je przyjmował, ale ostatnio przestał, bo ile można leczyć coś objawowo. Lęki wróciły, bo były jego i gdzie indziej miały się podziać? Przychodziły falami, najczęściej w nocy, najczęściej po tym, jak popił. Pewno było to wszystko jakoś związane z wątrobą. Już dawno zauważył, że ludzie ze zdrową wątrobą mieli też najczęściej znacznie lepiej poukładane pod sufitem. Co było najpierw, czy popsuta głowa, która zmuszała do intoksykacji i w efekcie psuła wątrobę, czy może na odwrót, do tego nigdy nie doszedł.

Po godzinie przewalania się z boku na bok i wertowania w głowie wszystkich możliwych dramatycznych scenariuszy w końcu zasnął snem nerwowym i wątrobowym. Obudziła go bardzo silna erekcja i ciepło czyjegoś ciała.

– Miałaś już nie przychodzić. – Wawrzyniec nie otworzył na razie oczu, bo w tym momencie chłonał każdym porem skóry jej skórę.

– Ale przyszłam – odpowiedziała, a on poczuł teraz, jak jej usta dotknęły jego małżowiny. – To źle?

– Nikt nie wie tak naprawdę, co jest dobrze, a co jest źle – opowiedział filozoficznie i idiotycznie.

Generalnie nie chciało mu się rozmawiać, chciał ją posiąść, wchłonąć całą choć na chwilę i dać się wchłonąć jej dokładnie w tym samym momencie.

– Bóg wie – odpowiedziała.

– Tylko co nam z tego? – Otworzył oczy i spojrzał na nią, jednocześnie czując, że już nie jest przy niej, a w niej.

– Nie kombinuj. To nam z tego, że jeśli chcemy, to doskonale wiemy, co jest dobrze, a co jest źle.

Kochając się z nią, myślał o Monice i to nie było z całą pewnością dobre, i to nawet jeśli założyć, że Ania też wcale teraz nie myślała o nim. To właśnie chyba było kluczowe, żeby druga osoba miała z tego tyle samo co pierwsza, żeby nikt nie robił sobie nadziei, żeby nikt nie kochał, będąc niekochanym. Pytanie tylko, czy równowaga w takiej konfiguracji jest w ogóle możliwa. Nigdy nie był z kobietą dłużej niż pół roku, a ciągle właściwie był z jakąś kobietą, a najczęściej nawet z kilkoma naraz. Dlatego do tej pory nie miał okazji znalezienia się w sytuacji, w której dążyłby do takiej równowagi. Bywało, zdaje się, że taka równowaga się pojawiała i polegała na tym, że jej zależało równie mało jak jemu, chyba częściej jednak równowagi nie było i wtedy jej zależało znacznie bardziej niż jemu. W zasadzie w porządku, nerwy niezsargane, kortyzolu w życiu za wiele nie zużył. W porządku, ale coraz częściej nachodziła go myśl, że może to trochę bez sensu.

– Lubisz to? – zapytała chwilę po tym, jak zeszła z niego i ciężko jeszcze wciąż oddychając, położyła się obok na wznak na kołdrze.

– Co? – zapytał trochę nierozumnie.

Wyszło przy tym to, że robiąc to z nią, myślami był zupełnie gdzieś indziej.

– Seks? – zaśmiała się krótko.

– Lubię. – Pokiwał głową bez przekonania.

– Właśnie dlatego jest nas tyle – dodała po chwili.

– Dlatego że? – zapytał o tę część zdania, choć nie zrozumiał też i tej drugiej.

– Dlatego, że wszystkie próbujemy zrobić coś, co sprawi, że polubisz to naprawdę. I wtedy przestaniesz musieć w kółko to robić.

– Patrzyła mu teraz prosto w oczy.

Miała narzeczonego, z którym za dwa miesiące mieli brać ślub. Wszystko było przygotowane i najprawdopodobniej nic już nie mogło stanąć na przeszkodzie temu przedsięwzięciu. Góral Marcin, taternik, toprowiec, wykształcony, młody, przystojny. Miał sklep

z pamiątkami pod Gubałówką i czekał na dzień, kiedy Ania zostanie jego żoną. Ona też czekała, cieszyła się i wszystko było pięknie, ale jednak przychodziła tutaj teraz, podobnie, jak przysła przed laty.

– O każdego tak walczyacie? – zapytał trochę kokieteryjnie.

– Nie. – Uśmiechnęła się obiecująco, ale zaraz schłodziła jego próżność: – Ale nie dlatego, że jesteś jakiś szczególny. Do Brada Pitta sporo ci brakuje. Nie dlatego, tylko dlatego, że inni to po prostu lubią i naprawdę nie trzeba już nic robić.

Ranek był ciężki na tyle, że parokrotnie przez głowę przemknęła mu myśl, żeby kupić sobie dwa piwa i odpocząć. Na szczęście doskonale wiedział, że jeśli przed dwudziestą zacznie odpoczywać w ten sposób, to następnego dnia będzie już wychodził z pokoju do sklepu tylko po piwo albo wódkę, i że potem coś takiego będzie trwało tydzień albo i lepiej. Nie kupił więc niczego. Wziął dwa ibupromy na zatoki, odczekał chwilę, aż stalowa obręcz na głowie poluzuje trochę uścisk, potem wyszedł i ruszył w stronę Galerii Watra.

– Pan Plewiński? – bardziej stwierdził, niż zapytał Wawrzyniec.

Kręcił się już od dobrych kilku minut po dwóch salach obwieszonych współczesnym malarstwem różnej proveniencji i jakości, kiedy wyszedł do niego w końcu mężczyzna ubrany na modłę angielskiego lorda i z fajką w zębach.

– Owszem. – Mężczyzna odpowiedź poprzedził chwilą milczenia, w trakcie której lustrował Wawrzyńca bacznie, jakby przyglądał się kolejnemu olejowi i wahał się, czy przyjąć go na ścianę swojego przybytku, czy nie. – A kto pyta?

– Nazywam się Wiślicki – przedstawił się Wawrzyniec.

– Ten Wiślicki? – Marszand zerknął na niego pytająco, po czym dodał: – Pisarz Wawrzyniec Wiślicki?

– Tak. – Wawrzyniec pokiwał głową.

Rzadko zdarzało się, że ktoś reagował w ten sposób. Pisarzem był wprawdzie niemal od zawsze, na półkach bibliotek stało już dwanaście jego powieści, ale nigdy jakoś nie przytrafiły się okoliczności, które uczyniłyby zeń celebrytę. Jeśli ktoś dużo czytał,

istniała możliwość, że trafił wśród lektur na którąś z jego pozycji, ale nawet wtedy nazwisko rzadko się utrzymywało. W każdym razie Wawrzyńcowi zrobiło się trochę miło.

– W czym mogę panu pomóc? – Plewiński uśmiechnął się, ukazując dwa rzędy zębów zdecydowanie zbyt białych jak na swój wiek i jak na to, że palił fajkę.

– Szukam obrazów konkretnej malarki. – Wawrzyniec rozejrzał się po ścianach, po których rozglądał się już wcześniej, ale wtedy nie było tu Plewińskiego.

– Konkretnej? – powtórzył za nim jak echo marszand.

– Tak, chodzi mi o Agnieszkę Markowską. – Teraz Wawrzyniec spojrzął na Plewińskiego bardzo czujnie, czujność swoją dla niepoznaki pokrywając uśmiechem naiwnego oczekiwania.

– Aha. – Plewiński odszyfrował chyba jednak czujność ukrytą pod uśmiechem.

Panowie chwilę mierzyli się wzrokiem. Wawrzyniec, choć wiedział już, że tamten go przejrzał, wciąż konsekwentnie się uśmiechał. Czuł, że coś zdecydowanie było tu na rzeczy, nie wiedział tylko co.

– Mam oczywiście kilka obrazów Agnieszki – odpowiedział marszand, po czym wskazał na ściany i dodał: – Nie wiem ich tutaj, są zbyt cenne.

– A czy wśród nich jest może *Śniadanie*? – Zainteresowanie Wawrzyńca wzrosło.

– Niestety. – Pokręcił głową marszand. – Chętnie bym go od niej odkupił, ale do tej pory nie chce się zgodzić.

– Ona nie żyje. – Z twarzy Wawrzyńca zniknął uśmiech.

– Słucham? – Plewiński wydawał się szczerze zaskoczony.

– Nie wiedział pan? – Wawrzyniec udawał, że wierzy w owo zaskoczenie, ale nie wierzył.

– Nie miałem pojęcia. – Plewiński albo był wielce utalentowany aktorsko, albo był jednak szczery. – Co się stało?

– Lawina – powiedział wolno Wawrzyniec. – Ona i mąż.

– Gdzie? – Oddech marszanda przyspieszył, a Wawrzyniec zastanawiał się, czy to dlatego, że rzeczywiście zdenerwował się

tym, co usłyszał, czy dlatego, że czuł na sobie jego świdrujące spojrzenie.

– W Morskim Oku. – Wawrzyniec nie przestawał się mu przyglądać. – Szli na Szpiglasową, śnieg oberwał się spod Miedzianego.

– Cholerny mąż! – Nagle zdenerwowanie Plewińskiego przekształciło się w złość. – Wiedziałem, że on jej w końcu zrobi krzywdę. Tam nic nie mogło być normalnie.

– W jakim sensie? – zdziwił się Wiślicki.

– Wodził ją za nos! – nakręcał się Plewiński. – Ciągłe robił jej nadzieje, potem ją zwodził, i tak latami. Była wykończona psychicznie. Pojawiali się inni mężczyźni w jej życiu, każdy był lepszy od jej męża, ale ona ciągle wracała do niego... – Plewiński skończył, chyba hamując się przed tym, żeby nie powiedzieć zbyt wiele.

Następnie wsadził fajkę z powrotem między zęby i zaczął się nerwowo zaciągać.

Chwilę milczeli. Wawrzyniec zastanawiał się, czy ten nagły atak wściekłości był szczery, czy może w ten sposób mężczyzna dał upust zdenerwowaniu spowodowanemu czymś zupełnie innym.

– Mógłbym zobaczyć jej obrazy? Te, które pan ma. – Wrócił do porzuconego tematu.

– Owszem. – Plewiński zniknął za chmurą dymu. – Ale nie mam ich tutaj.

– A gdzie? – przycisnął Wawrzyniec.

– W bezpiecznym miejscu. – Marszand nagle zrobił się znacznie mniej przyjazny, nie był już teraz wściekły, teraz był po prostu nieuprzejmy. – Proszę zostawić telefon. Przygotuję i dam znać – dodał po chwili.

– A czy pan ma tytuł własności do tych obrazów? – Sytuacja, w której Plewiński zrobił się mało przyjemny, wydała się Wawrzyńcowi lepsza, bo w tym momencie istniało większe prawdopodobieństwo, że tamten się odkryje. Poza tym teraz wydawał się znacznie prawdziwszy.

– A o co panu w ogóle chodzi? – Teraz nie był już tylko nieprzyjemny, stał się wręcz opryskliwy.

– O to, że jeśli miałbym je od pana kupić, to wolę być pewien, że je pan rzeczywiście posiada. – Wawrzyniec starał się uniknąć konfrontacji. Nie to, że się jej obawiał, ale konfrontacja spowoduje, że nie dowie się już niczego więcej. – Proszę się tak nie denerwować.

Wiślicki sięgnął do kieszeni po notes. Na karteczce napisał swój numer telefonu i położył go na stoliku przy ścianie.

– Czekam na kontakt. – Wawrzyniec znów się uśmiechnął, tak jak na początku. – Bardzo mi zależy.

Po wyjściu z galerii nie wiedział ani trochę więcej, niż zanim do niej wszedł. Plewiński z całą pewnością był postacią dosyć szemraną, ale czy na tyle, żeby zabić dwójkę ludzi, nie miał pojęcia. Z Galerii Watra miał niedaleko do siedziby TOPR-u przy Piłsudskiego, na piwo wciąż jeszcze było za wcześnie, ale może przy okazji mógłby pogadać z chłopakami. Z tego, co wiedział, tego dnia dyżur miał Witek, więc przy okazji pojawiła się szansa na sensowną rozmowę i na podzielenie się z kimś tym, co odkrył poprzedniego dnia w domu Markowskich.

Witek siedział na dyżurze. Do końca szychty miał jeszcze cztery godziny, później miała nadejść zmiana. Tego dnia niewiele się działo. Wawrzyniec dowiedział się, że na lawinisko wróciła jeszcze grupa ratowników. Do tej pory niestety nie udało się znaleźć ani jej, ani jego. To, że szli bardzo blisko siebie, kiedy porwała ich lawina, nie oznaczało wprawdzie, że głęboko pod śniegiem wciąż leżeli razem, ale i tak był przekonany, że znalezienie jednej osoby z tej dwójki przyspieszyłoby znalezienie też i drugiej.

– Tam są miejsca, gdzie nawaliło z sześć metrów śniegu – zaczął Witek. – Tyczki mają maks cztery. Od dwóch dni puścili też na lawinisko te drugie psy. Policja przywiozła.

– Drugie psy? – Wawrzyniec siedział w centralce i popijał piwo zamówione w barze za ścianą. Nie powinien tak robić, bo wciąż jeszcze było trochę za wcześnie, a do tego akurat tutaj z alkoholem raczej się nie wchodziło, ale pracował tu przez lata, więc miał specjalny status.

– No, te, które nie szukają żywych. – Witek miał problem z nazwaniem rzeczy po imieniu.

Tutaj, gdzie ludzie zbierali się po to, żeby ratować innym życie, nie było w tym właściwie nic dziwnego. Wawrzyniec pokiwał głową.

– Jak długo będą jeszcze szukali? – zapytał.

– Niedługo. – Witek zerknął na ekran komputera, na który przyszło akurat powiadomienie z telefonicznej apki „Ratunek”.

Chwilę zajęło mu zlokalizowanie na mapie szczegółowej lokalizacji danych przesłanych z GPS-u telefonu, z którego ktoś wysłał wezwanie. Miejsce było ulokowane gdzieś na warszawskim Ursynowie.

– Zadzwoń tam – powiedział po chwili namysłu, po czym wystukał na ekranie swojej komórki numer widoczny na ekranie komputera.

– Halo, dobry wieczór, Witold Byrcyn, TOPR. Ktoś z tego numeru wysłał powiadomienie na ratunek... – Witold mówił do słuchawki, ale spoglądał na Wawrzyńca.

Po drugiej stronie ktoś chyba zaczął się tłumaczyć, bo na twarzy Witolda pojawił się uśmiech.

– Rozumiem, no to teraz już pan wie, że działa. I ogromna prośba, żeby więcej nie sprawdzać – tłumaczył bez złości Witold. – Reagujemy na każdy sygnał, a mamy tu też inne rzeczy do roboty, na przykład ratujemy ludzi.

Witold odłożył słuchawkę i popatrzył na Wawrzyńca.

– Ta elektronika nas kiedyś zniszczy – uśmiechnął się. – A wracając do twojego pytania, poszukają jeszcze pewnie z dzień albo dwa, potem koniec. Staramy się ściągać ludzi na dół, jak nie żyją, też muszą jakoś zejść z gór.

– Wiem, robiłem u was, pamiętasz? – przypomniał z delikatną ironią Wawrzyniec.

– Pamiętam, pamiętam. – Witold pokiwał głową. – A co u ciebie, odpuściłeś już szukanie kryminału?

– Nie – odparł Wawrzyniec.



Chciał jeszcze coś dodać, ale w tym momencie zauważył przez szybę, że w sali obok stała kobieta. Ta sama, którą widział w Na Karuzeli poprzedniego dnia.

– Kto to jest? – Wskazał kobietę Witoldowi.

– Nie wiem, widuję ją tu od kilku dni. – Witek znów się uśmiechnął. – Ale ja nie mam tak, że jak jakąś widzę, to muszę od razu wiedzieć, kim jest.

– Idę. – Wawrzyniec kiwnął głową i ruszył do wyjścia z dyżurki.

– Turystka? – rzucił za nim jeszcze Witek i się roześmiał.

Wawrzyniec, żeby dostać się do baru, musiał najpierw przejść kawałek korytarzem. Kiedy wyszedł na salę, kobiety już w niej nie było. Co więcej, nie widział jej też ani przed budynkiem, ani na ulicy. Zniknęła podobnie jak poprzednim razem, tyle że teraz zrobiła to tak szybko i bez śladu, że gdyby nie Witek, Wawrzyniec uznałby, że była tylko przywidzeniem.

Wrócił do środka i zamówił kolejne piwo. Usiadł przy stoliku. Przez okna do wnętrza wsączało się jeszcze na tyle dużo światła dziennego, że nikt nie włączył górnego oświetlenia. Wciąż na ulicy za oknem kładły się długie i ostre cienie, więc zasada angielskiego gentlemana, żeby nie pić przed zachodem słońca, została złamana, pomyślał i wypił kilka głębokich łyków. Ulga, jak zawsze zresztą, przyszła, zanim jeszcze alkohol zaczął krążyć w krwiobiegu. Sama świadomość, że pije piwo, działała trochę jak efekt placebo. Może i z całą tą sprawą było nieco jak z placebo, zastanowił się Wawrzyniec. Wymyślił sobie, że coś tam się wydarzyło, i teraz tropił, a okoliczności potwierdzały powziętą hipotezę. Mózg go mamił – tak jak teraz, kiedy odczuwał obecność alkoholu etylowego w organizmie, choć na pewno nie zdążył się on jeszcze wchłonąć.

– No i co tam jeszcze ciekawego odkryłeś? – Witek dosiadł się do niego ze szklanką herbaty.

– A jak teraz ktoś zadzwoni albo wciśnie guzik w apce? – zdziwił się Wawrzyniec.

– Zmienili mnie na chwilę – uśmiechnął się Witek. – No więc?

– No więc u nich w domu znalazłem anonimy i kopię pisma przedprocesowego, które wysłali do pewnego galernika. – Wiślicki

wypił kolejne kilka łyków, teraz czuł się już spokojniej, bo słońce schowało się gdzieś za górami i cienie na ulicy znikły.

– A co w anonimach? – zainteresował się Witek.

– Groźby karalne. – Wawrzyniec popatrzył na niego. – To się chyba tak nazywa.

– Groźby, że... – Witek domagał się uściślenia.

– Że ich zabije... – Teraz już Wawrzyniec poczuł naprawdę rozluźnienie wchodzące we wszystkie komórki nerwowe ciała. Zwinięte w postronki aksony nerwowe chyba stawały się bardziej elastyczne, bo nagle gdzieś rozplynęło się całe napięcie. – Do tego zniknął gdzieś jej najbardziej znany obraz, a skoro wystawiają ją na całym świecie, o czym nie miałem zresztą pojęcia, to to musi być warte grube pieniądze.

– I wszystko ci się skleiło – stwierdził Witek, patrząc na pustą już prawie szklankę po piwie. – Galernik, dudki, groźby karalne i strzał przed zejściem lawiny.

– Głuchy huk bardziej, trzask – uściślił Wiślicki.

– Zwał, jak chciał. – Witek pokręcił głową z wyraźnym niedowierzaniem. – Nie da się zabić lawiną, i to nawet jeśli obraz był naprawdę drogi.

Rozluźnieniu postronków zawsze towarzyszył też przyrost pewności siebie i jakże przyjemny zanik wszelkich wątpliwości, z którymi trzeba się było mierzyć wtedy, gdy nerwy były spięte. Tego zawsze zazdrościł najbardziej zarówno buddyjskim mnichom i joginom wszelkiej maści, jak i głupkowanym chamom bez skrupułów. Pierwsi potrafili luzować postronki bez środków zmieniających świadomość, drudzy nie musieli tego robić, bo nie przychodziło im nawet do głowy, żeby postronki kiedykolwiek zaciskać.

– Może się nie da, a może się da. – Uśmiechnął się, jakby wiedział coś więcej, choć tak naprawdę nie wiedział nic ponad to, co już powiedział.

## 8.

Na komendę przy Kościuszki trafił dwa dni później. Nie on przekazał policji teczkę z anonimami. Zdaje się, że – zgodnie zresztą z jego przewidywaniami – zrobiła to rodzina. Komisarz Wiesław Ziętka był ceprem, co zasadniczo o niczym jeszcze by nie przesądzało, gdyby nie to, że na domiar złego nie lubił ani Zakopanego, ani gór, ani górali, a najbardziej ze wszystkiego nie znosił tego cholernego wiatru, który znów uderzał w szyby, wyrrywając go teraz z zamyślenia. Dlatego komisarz nie myślał w tym momencie o leżącej przed nim tezcze z kartkami, na których ktoś powyklejał groźby karalne. Komisarz myślał o tym, o czym myślał zawsze, czyli co zrobić, żeby się stąd w końcu wyrwać. Przed wielu laty w Zakopane się po prostu wżenił i o ile był w stanie tolerować bycie tutaj, kiedy pod pierzyną grzała go jeszcze namiętność do żony, o tyle teraz, gdy nie grzało go już nic, myślał wyłącznie o ucieczce.

Siedzący naprzeciw niego Wawrzyniec wiedział to wszystko, trochę dlatego, że w tym mieście wszyscy wiedzieli w zasadzie wszystko o innych, a trochę dlatego, że był pisarzem, czyli obserwatorem, który pamięta. Nie zapraszali go tutaj, ale kiedy dowiedział się, jak się mają sprawy, po prostu przyszedł, a ponieważ już wcześniej sygnalizował, między innymi prokuratorowi, że w sprawie coś najwyraźniej nie gra, to Ziętka wpuścił go do gabinetu. Może wpuścił go też i dlatego, że Wawrzyniec był reprezentantem innego świata, był tutaj jedynie przejazdem i za kilka dni miał stąd wyjechać, czyli z punktu widzenia Ziętki: po prostu uciec. Może w jakimś pokrętnym pomysle na siebie komisarz miał nadzieję, że ucieknie stąd razem z nim. Wawrzyniec w Warszawie był postacią raczej dosyć poważaną, więc może jakaś robota, rodzaj protekcji... W końcu w Warszawie też przecież była policja.

– Może oni sami to na siebie pisali. – Do biurka Ziętki podszedł kolega z pokoju i zarazem partner, młodszy i niższy szarżą aspirant

Nowak.

– Nie sądzę, aż tacy pokręceni nie byli – odparł Ziętka.

Po chwili zerknął w kierunku siedzącego po drugiej stronie biurka Wawrzyńca, ale patrzył na niego tak, jakby kompletnie go nie widział. Pewno w ogóle go tu nie ma, myślami jest gdzie indziej, Wiślicki uśmiechnął się do siebie. Człowiek przychodzi, coś im zgłasza, o czymś chce gadać, a oni traktują go jak powietrze. Rutyna pomieszana z lenistwem. Poza tym oni nie znoszą spraw z podejrzeniem o zabójstwo, bo dopóki taka sprawa nie zostanie rozwiązana, psuje im statystykę. Jest trup, a nie ma przyczyny, każde zero musi być dopełnione systemową jedynką. Dlatego po stokroć wolą nieszczęśliwe wypadki albo samobójstwa. Natomiast w tej sprawie jest trochę z tego, a trochę z tamtego, ale to już bez znaczenia. Najważniejsze, że w rubryczce stoi brak udziału osób trzecich. Znalezienie osoby trzeciej, gdyby okazało się, że jednak miała udział, to już cholerny mozół, który może i trochę lubi jeszcze nawet młody aspirant Nowak, ale na pewno nie lubi go stary, bo już czterdziestopięcioletni, Ziętka. Komisarz ciągnie już na końcówce i teraz zależy mu na dobrych tabelkach, premii i emeryturze. Nie wszyscy tacy pewno są, a nawet taki Ziętka w końcu by się zabrał do roboty, ale do tego musiałby już rzeczywiście zwietrzyć krew, a na razie krwi nie czuł, zapach był zbyt odległy, a może nawet rzeczywiście go nie było. Wawrzyńca z rozmyślań wyrwał dalszy ciąg rozmowy toczonej między policjantami.

– Nie pisali sami, ale to jakaś dziecinada jest. Nikt, kto robi takie wyklejanki, nie zabija potem ludzi. – Z oddali jakby dobiegł go głos Ziętki.

– A może jednak... – powiedział Wawrzyniec.

– Może jednak... – powtórzył za nim jak echo aspirant.

Nowak wykazał się tym samym jakże nieprzydatną do pracy w policji niekonsekwencją w myśleniu. Przeskoczył nagle z przekonania, że Markowscy sami pisali do siebie groźby karalne, do hipotezy, że ktoś ich może jednak zabić. Ten facet się nie przyda, pomyślał Wawrzyniec. Szkoda, bo ma na pewno więcej zapachu.

– Pobierzemy ślady, jakieś linie papilarne i tyle – skwitował Ziętka.

– Może DNA – zabłysnął aspirant, który był tu wprawdzie już od trzech tygodni, ale komisarz wciąż za nic nie mógł zapamiętać jego imienia.

– Nie będziemy sprawdzać żadnego DNA – zawyrokował nagle trochę groźnie Ziętka, może w ten sposób próbując odreagować to, że nie pamiętał, jak nazywa się jego rozmówca.

– Oczywiście – zgodził się ochoczo aspirant.

– Nie będziemy sprawdzali, bo oni nie żyją, zginęli bez udziału osób trzecich, więc nie zamierzamy ładować kasy w jakieś idiotyczne szukanie jakiegoś idioty! – Ziętka aż się lekko zasapał.

– Tak jest. – Aspirant lekko się wystraszył.

– Ale – Ziętka zmienił nagle zdanie, bo zorientował się, że chłopak jest kompletnie zagubiony, i ewidentnie obudził się w nim drzemiący podskórnie, jak u większości policjantów, swoisty instynkt sadystyczny – wczytasz się w te anonimy, przejrysz, pomyślisz i zdasz mi raport, kto twoim zdaniem mógł za nimi stać.

– Właściciel Galerii Watra, mieli z nim jakiś zatarg. – Wawrzyniec włączył się do rozmowy.

Jego Ziętka traktował jednak jeszcze bardziej jak powietrze. Komisarz namyślił się tylko chwilę i zasugerował coś, co bazowało wprawdzie na sugestii Wiślickiego, ale było lekko zmodyfikowane.

– Dobrze, zobacz, jakie i z kim oni mieli układy finansowe. – Ziętka wstał i ruszył w stronę wyjścia z gabinetu. – Jak nie wiadomo, o co chodzi, to zawsze chodzi o...

Spojrzał na aspiranta, który milczał jak grób. Wtedy Ziętka postanowił, że nie chciałby jednak być znowu młody.

– O szmal – dopowiedział Wawrzyniec, którego też lekko zdołowała postawa młodego aspiranta.

Aspirant zerknął w jego stronę i wzruszył ramionami.

Wizyta na komisariacie nie przyniosła Wawrzyńcowi nic nowego, może oprócz świadomości, że jeśli sprawa śmierci Markowskich ma zostać rozwiązana, to rozwiązać ją musi on sam, i dopiero niezbite dowody mogłyby zmusić policję do wysnucia jakichś wniosków. Komisarz Ziętka był zbyt zmęczony i zgorzkniały, żeby cokolwiek

rozwiązać, a jego nowy aspirant był może dosyć nawet chętny i witalny, ale cóż z tego.

Telefon od marszanda Plewińskiego lekko go zaskoczył. Czekał na niego, owszem, ale dwa dni temu, a trochę jeszcze też wczoraj, ale dziś kompletnie o nim zapomniał, choć w jakimś sensie przed chwilą sam o nim wspomniał w czasie wizyty na komendzie. Tak to jest i zawsze było: żeby coś się wydarzyło, przede wszystkim trzeba o tym zapomnieć, stwierdził w myślach Wawrzyniec, a jeśli czeka się zbyt uporczywie, to to nigdy nie nadejdzie. Wydarza się najczęściej tylko wtedy, gdy nie czeka się na to w ogóle, gdy się zapomni. Może rzeczywistość lubi, by o niej pamiętać, kontynuował rozmyślania, kiedy czuje na sobie czyjąś pamięć, to jest ukontentowana, dopiero gdy to się zmienia, wtedy wysyła bodźce. Taki jak ten na przykład bodziec do marszanda Plewińskiego.

– Dzień dobry, panie Tomku. – Wawrzyniec, zerknąwszy na wyświetlacz komórki, wiedział, że to on, bo zaraz po wyjściu z galerii przepisał sobie do telefonu jego numer z wizytówki.

– Dzień dobry. – W głosie Plewińskiego dało się wyczuć nutę zaskoczenia. – Zna pan mój numer?

– Znam. – Wawrzyniec nie chciał wdawać się w szczegóły, wolał pozostawić Plewińskiego w sferze niepewności i ewentualnych późniejszych dociekań.

– Rozumiem. – Plewiński ewidentnie nie rozumiał, ale to nie miało w tej chwili większego znaczenia. – Dzwonię, bo umówiliśmy się na oglądanie obrazów Markowskiej.

– Owszem – powiedział z delikatnym wyrzutem Wawrzyniec. W końcu spodziewał się telefonu wcześniej niż po trzech dniach.

– Tak, zajęło mi to chwilę, musiałem coś dowiedzieć z innego miejsca. – Plewiński wyraźnie to wyczuł i teraz się tłumaczył: – Nie mam tego wszystkiego na kupie, różne osoby są zainteresowane.

Wawrzyniec odniósł wrażenie, że teraz to marszand próbował wygrać jakiś drobiazg między słowami. W jego przypadku wyraźnie jednak przeważała żyłka handlowca.

– Tak, to kiedy możemy? Zamierzam wkrótce wracać do Warszawy. – Wawrzyniec to ostatecznie słowo delikatnie podkreślił.

Plewiński zapewne zasięgnął już języka na jego temat i doskonale wiedział, że Wawrzyniec jest osobą dość mocno osadzoną w środowisku nazywanym „warszawką”, a to w znacznym stopniu mogłoby poszerzyć mu rynek zbytu. Słowem, Wawrzyniec, choć kompletnie, przynajmniej na razie, niezainteresowany kupnem obrazów, wszedł w handlową rozgrywkę z panem Tomkiem.

– Rozumiem. – Plewiński odezwał się jeszcze uprzejmiej niż wcześniej. – W każdej chwili. Zapraszam pana do COS-u, tam podnajmuję mały magazynek od sportowców, że tak powiem. Wie pan, gdzie to jest?

– Wiem, panie Tomku, pół życia spędziłem w Zakopanem – zaśmiał się znacząco Wiślicki. – Teraz?

– A choćby – ucieszył się Plewiński. – Od Halamy będzie pan szedł czy jechał?

– Od Halamy – powiedział Wawrzyniec, który był już w dwóch trzecich drogi od komisariatu do Halamy właśnie. – Będę szedł, za blisko, żeby jechać.

Wawrzyniec nie miał czym jechać. W Warszawie stał jego samochód, ale nawet tam raczej rzadko go używał, bo gdziekolwiek pojechał, najczęściej wracał po kilku płytszych bądź głębszych, więc jazda autem dokądkolwiek mijała się raczej z celem. Do Zakopanego samochodem nie przyjeżdżał właściwie nigdy, chyba że pomagał komuś przewozić rzeczy, ale to stare dzieje. Swoją drogą, komu ja pomagałem przewozić rzeczy?, przez moment próbował sobie przypomnieć, ale bez sukcesu. Tymczasem Plewiński przez cały czas mówił, choć Wawrzyniec już go nie słuchał, zatopiony w rozmyślaniach.

– Czyli? – zapytał Plewiński.

– Czyli? – powtórzył Wawrzyniec, by zyskać na czasie.

Wyrwany z zamyślenia nie pamiętał, do czego owo „czyli” miałoby się odnosić.

– Czyli za ile pan będzie? – pomógł Plewiński.

– Za dziesięć minut – odpowiedział Wawrzyniec.

– Będę na pana czekał przy bocznej bramie od Żeromskiego, to zaraz, jak pan minie skrzyżowanie ze Zwierzyniecką – doprecyzował marszand.

– Wiem, gdzie jest boczna brama do COS-u. – Wawrzyniec zorientował się, że jest trochę zbyt niemiły jak na zaistniałe okoliczności, więc szybko dodał: – Postaram się dojść jak najszybciej.

– Świetnie. – Plewiński wyraźnie ucieszył się ze zmiany tonu w głosie Wawrzyńca. – Czekam, od bramy to kilka kroków, takie magazynki zaraz po lewej.

Dlaczego tutaj?, Wawrzyniec zastanawiał się chwilę później, chodząc między obrazami ustawionymi jeden przy drugim w ilościach porównywalnych do podziemnych magazynów Muzeum Narodowego, w których wprawdzie nigdy nie był, ale pamiętał je z *Człowieka z marmuru* i od zawsze wyobrażał je sobie jako przepastne.

– Nie boi się pan tak tego wszystkiego tutaj składować? – zapytał po chwili.

– A czego mam się bać? – zdziwił się szczerze Plewiński.

– Czy ja wiem, włamania, kradzieży, wilgoci, pożaru? – wyliczył Wawrzyniec

– Nie. – Pokręcił głową marszand, klucząc jednocześnie wśród metalowych podwieszanych stojaków i prowadząc go ku, jak domniemywał Wawrzyniec, obrazom Agnieszki Markowskiej. – Czujki, alarm, monitoring, nawet miernik wilgotności, z którym łączę się przez apkę. – Przystanął nagle, odwrócił się i z dumą pokazał mu ekran komórki. – Jak tylko coś, to od razu jedzie albo policja, albo straż, a pierwsi są ochroniarze stąd. Ja mam, proszę pana, tutaj bardzo dobre układy – dodał niby mimochodem, ale trochę nie do końca.

Doszli. Plewiński nagle zatrzymał się przy jednym z wielu stojaków na obrazy, obrócił się do Wawrzyńca i popatrzył z mieszaniną satysfakcji i uprzejmości.

– Proszę, obiecałem i są. – Odchylił pierwszy z obrazów ustawionych jeden przy drugim i zaprosił Wawrzyńca gestem.



Wiślicki podszedł i zaczął oglądać obrazy, przekładając jeden za drugim. Te zgromadzone tutaj były zupełnie inne od tych, które oglądał w domu w Dzianiszu. Bardziej kolorowe i intensywne. Jakby osoba malująca te obrazy była w znacznie lepszej kondycji psychicznej od tej, która malowała pozostałe.

– Z jakiego okresu one są? – zapytał.

– Od jakichś piętnastu lat do, myślę, pięciu lat wstecz. – Plewiński podszedł bliżej, jakby sam chciał zajrzeć i upewnić się, co właściwie tu ma. – Taki, powiedzmy, środkowy okres. – Pokiwał głową ze znanstwem.

– Różowy. – Wawrzyniec odsłaniał kolejne abstrakcje, które kojarzyły mu się trochę z obrazami z najlepszego okresu Pollocka; inna rzecz, że nie bardzo mogły mu się kojarzyć z kimś innym, bo z abstrakcjonistów najlepiej i głównie znał właśnie jego. Tyle że tutaj obrazy, choć ewidentnie abstrakcyjne, zdawały się jednocześnie jakby figuratywne. Na każdym widział jakieś postaci, zwierzęta, fragmenty krajobrazów, a co więcej, wszystkie przywoływały mu na myśl obrazy z własnej pamięci.

– Tak to działa. – Uśmiechnął się Plewiński. – To znaczy: wszyscy to mają, jak na nie patrzą. Na tym chyba polega głównie ich fenomen.

– Mogę wyciągnąć? – Wawrzyniec zatrzymał się przy jednym z płócien.

– Oczywiście – zgodził się nieomal z entuzjazmem marszand.

Wiślicki nie był pewien, czy entuzjazm wynikał z tego, że zwiększyła się właśnie szansa na sprzedanie obrazu, czy może jednak była bardziej szczerą, bo marszand po prostu też lubił ten obraz.

Wyciągnęli go obaj. Płótno było prawie białe, trochę podobne do obrazu, który widział w domu w górach, ale tutaj biel była mniej przerażająca, nie tak przygnębiająca w barwie i w formie, może cieplejsza. Nagle wydało mu się, że na białej przestrzeni przełamanej gdzieś lekko przebarwieniami w odcieniu delikatnego błękitu widzi dwie biegnące za sobą postaci. Popatrzył na Plewińskiego, który wpatrywał się w płótno jak zahipnotyzowany, a na jego twarzy pojawił się nagle uśmiech.

– Czyli to są obrazy z okresu, kiedy oni byli razem? – zapytał nagle Wawrzyniec.

– Nie wiem. – Plewiński wyglądał, jakby wybudził się ze snu i wcale mu się to nie spodobało. – Oni zawsze byli razem – dodał jednak po chwili. – Czasem byli tylko szczęśliwi, a czasem mniej. Ale nie chcę o tym rozmawiać, nie lubiłem go, a on nie lubił mnie.

– Dlaczego? – zapytał Wawrzyniec, starając się, by pytanie zabrzmiało jak rzucone mimochodem.

Nie sprawiło mu to wielkiego trudu, bo jednocześnie przez cały czas z dużym zaangażowaniem oglądał malowidła. Zaangażowania nie musiał przy tym szczęśliwie specjalnie udawać, bo owe obrazy rzeczywiście wciągały go jak wir.

– Czy ja wiem? – zapytał sam siebie Plewiński i w jego pytaniu też nie wyczuwało się fałszu.

Wawrzyniec zastanawiał się, czy obaj przez cały czas grali ze sobą w jakąś grę, czy tylko on grał, a Plewiński był po prostu, jaki był.

– Może różnica charakterów, może denerwowało go, że ja tak często pojawiałem się w otoczeniu jego żony. On był jej agentem, a ja go trochę omijałem – zaczął wymieniać, a Wawrzyniec teraz był już raczej przekonany o jego szczerości.

Osoby zadufane w sobie przeważnie nie grają, są prostolinijne tą szczególną prostolinijnością ludzi przekonanych o swojej doskonałości.

– A co denerwowało pana? – Wiślicki nie lubił zadufanych, więc wbił szpilę.

Sam w jakimś sensie był zapatrzony w siebie. Był narcyzem, co do tego nie miał żadnych wątpliwości, ale takim z większym marginesem samokontroli, a przynajmniej tak lubił o sobie myśleć. Często zatem wpatrywał się w swoje odbicie w lustrze, ale nigdy nie był do końca zadowolony z tego, co widział. W gruncie rzeczy nie było mu ze sobą przesadnie dobrze. Może u niego powierzchnia lustrzanego szkła była bardziej mętna niż u mocno już podstarzałego pseudoangielskiego lorda Plewińskiego, skonstatował w myślach. Kiedyś, dawno temu, bodaj na okładce jakiejś książki popularnopsychologicznej, przeczytał pewną mądrość – tyleż trywialną, co trafną. Przestać być próżnym, to nie tyle zacząć myśleć

o sobie gorzej, co przestać myśleć o sobie tak dużo. Jakoś tak to chyba, z grubsza, brzmiało.

– Mnie? – zdziwił się marszand, wrywając go z zamyślenia.

– Pana. Mówił pan, że obaj się nie lubiliście – przycisnął Wawrzyniec.

– A, w tym sensie – zamyślił się Plewiński. – Myślę, że mnie denerwowało to, że on coś do mnie miał.

Wawrzyniec udał, że stracił kompletnie zainteresowanie źródłem wzajemnej niechęci pomiędzy Markowskim a Plewińskim, i jeszcze bardziej skupił się na chłonięciu obrazów. A było co chłonać. Właściwie każdy kolejny z nich wciągał go coraz bardziej w świat abstrakcyjnej opowieści, którą – miał wrażenie – znał doskonale. Barwne plamy, kształty, z których wyłaniały się postaci i wspomnienia, jego wspomnienia niemożliwe do dokładnego zlokalizowania. Czuł się trochę tak, jak do tej pory zdarzało mu się czuć, kiedy nagle omiatała go krótka fala zapachu, który znał i który wzbudzał w nim bardzo konkretne uczucie tęsknoty za czymś, co minione i czego nie mógł sobie przypomnieć.

– Czy te obrazy... – zapytał, nie odwracając się za siebie. – Czy one są pańskie?

Plewiński nie odpowiedział, więc Wawrzyniec szybko objaśnił motywy swojego pytania.

– Chodzi o to, że jeśli któryś od pana kupię... – Wysunął kolejny obraz.

Ten był w odcieniach zieleni, z plamami czerwieni rozszanymi z pozoru przypadkowo, a jednak przemyślnie, bo teraz fala odczucia, że widzi coś znajomego, uderzyła go jeszcze mocniej. Przypomniawszy sobie, że już kiedyś przeżył coś podobnego, oglądając jeden z obrazów Moneta albo Gauguina, bodaj w paryskim Musée d'Orsay. Tylko tam to nie była abstrakcja – choć na tamtym obrazie rzeczywistość rozpląwała się w nieostrej wrażeniowości, to jednak przedstawiał on coś konkretnego. Tu na płótnie widział tylko wielobarwne plamy. Wawrzyniec zorientował się nagle, że Plewiński wciąż nie odpowiada. Odwrócił się za siebie. Marszanda nie było już jednak ani tam, gdzie spodziewał się go zobaczyć, ani nigdzie indziej w zasięgu wzroku. Wiślicki poczuł się odrobinę nieswojo.

– Panie Tomku? – podniósł nieco głos. – Gdzie pan jest?

Mężczyzna nie odpowiedział, więc Wawrzyniec, próbując zachować przede wszystkim przed samym sobą pozory spokoju, odstawił zielony obraz i ruszył w kierunku, z którego – jak mu się wydawało – wcześniej przyszedli. Po przejściu kilkumetrowego korytarzyka dotarł jednak do ściany ze skrzynek z nie wiadomo czym, piętrzących się w górę aż pod wysoki sufit. Wrócił do miejsca, w którym przed momentem oglądał obrazy, i skręcił w drugą alejkę, wiodącą pomiędzy stojakami na płótna. Przeszedł jeden zakręt, potem dwa kolejne, lecz za każdym razem skręcał w inną stronę i w końcu zaczęło w nim narastać dziwne poczucie, że znalazł się w labiryncie. Wcześniej, kiedy szli do obrazów Agnieszki, nie zastanawiał się nad kierunkiem, bo prowadził go Plewiński. Szli też rzeczywiście dobrą chwilę, bo hala była przepastna, ale czy aż tak długo... Kolejne dwa zakręty i nagle Wawrzyniec zorientował się, że jest w tym samym miejscu, z którego przed momentem wyruszył. Czuł się, jakby zgubił drogę w lesie, a nie w hali z blachy falistej. Nigdy dotąd nie przeżył ataku klaustrofobii, w ogóle nie miał zasadniczo żadnych fobii, psychoz ani natręctw, a tu nagle zaczęła go atakować własna głowa.

– Gdzie pan był? – Usłyszał nagle za swoimi plecami głos marszanda i poczuł ulgę.

– Jak to: gdzie byłem? – zdziwił się nerwowo. – Raczej gdzie pan był?

– Ja? Poszedłem zapalić. Przecież panu mówiłem, że wychodzę na moment, żeby zadzwonić i zapalić.

– Nic mi pan nie mówił – odpowiedział Wawrzyniec.

Tymczasem ulga zmieniała się powoli w złość. Adrenalina, która nie wiadomo po co chwilę temu trafiła do krwiobiegu, teraz go opuszczała, zostawiając po sobie toksyczny metabolit powodujący dość nieprzyjemne uczucie.

– Mówiłem – upierał się marszand. – Może tylko pan nie słyszał. Obrazy pana zabrały. – Uśmiechnął się na koniec polubownie.

– Jest pan ich właścicielem? – Wawrzyniec wrócił do pytania, które jak się okazało, wcześniej rzucił w nicość.

– Części tak, inne dostałem w komis – odpowiedział Plewiński, po czym dodał pośpiesznie: – Na podstawie umowy komisowej.

– Jest do wglądu? – cisnął Wawrzyniec.

– Oczywiście, jeśli trzeba... – Teraz Plewiński nie był już ani taki szybki, ani taki szczery jak wcześniej. – Znajdę i będzie pan mógł potwierdzić. No, ale – powiedział szybko marszand – najpierw musimy zobaczyć, który obraz pana ewentualnie interesuje, i wtedy zajmujemy się umowami.

– Jasne, mogę zrobić kilka zdjęć? – zapytał Wawrzyniec, już teraz miło. – Żebym pamiętał, co podoba mi się najbardziej. No i żeby w razie czego pokazać inne kolegom w Warszawie.

Wiślicki doskonale wiedział, że ten argument trafi do marszanda, bo Plewińskiemu na pewno wielce zależało na tym, żeby wyjść z obrazami na większy rynek. Zakopane nie dawało zbyt szerokiej gamy możliwości w handlu sztuką.

– Proszę bardzo, tyle że tu nie ma warunków – zmartwił się Plewiński.

– Takie, jak są, wystarczą. A swoją drogą, ma pan to może gdzieś skatalogowane, robił pan reprodukcje fotograficzne? – zainteresował się Wawrzyniec.

– Nie, nie było, wie pan, warunków ani potrzeby. Przypuszczam, że może część obrazów jest w jakichś katalogach wystaw, które miała pani Markowska, ale też nie wszystkie. No i ja tych katalogów i tak nie mam, więc właściwie... – mówił teraz dość szybko, co Wawrzyńcowi podsunęło myśl, że coś ewidentnie próbuje usilnie zachachmęcić.

– A *Śniadanie*? – wrócił raz jeszcze do obrazu, o który pytał już za pierwszym razem.

– Co *Śniadanie*? – Na takie pytanie marszand był już zdaje się dość dobrze przygotowany.

– Nie wie pan, gdzie może być ten obraz? Jest, zdaje się, niezwykle cenny? – uśmiechnął się Wawrzyniec.

– Niestety, nie mam pojęcia. – Twarz Plewińskiego wyrażała żal, ale tym razem w żalu nie było już szczerości. – Wiele bym dał, żeby to wiedzieć.

Wawrzyniec obfotografował większość obrazów, bo rzeczywiście prawie wszystkie mu się podobały, a może i nie tyle mu się podobały, co fascynowały go, chwilami wręcz powodowały wysiłek pamięci, która robiła, co tylko w jej mocy, żeby odtworzyć przywiedzione powidokiem sytuacje. Wyszli na zewnątrz. Wiślicki nagle poczuł silne zmęczenie. Ostatnie dni były dosyć intensywne. Pił sporo, choć na razie udawało mu się nie stracić kontroli, do tego spał mało, bo w nocy zajmował się czymś innym niż snem. W zasadzie ten tryb nie różnił się od jego życiowej normy, ale tutaj dochodziły do tego te nowe dziwne emocje, no i wiatr, który męczył jego i całe to miasto.

– Piotr Markowski chciał panu wytoczyć sprawę sądową. – Wawrzyniec uderzył zupełnie niespodziewanie.

Przez moment Plewiński nic nie mówił, wyglądał przy tym, jakby coś zassało go do środka, a on mimo czynionych wysiłków nie mógł się uwolnić. W końcu przejechał kilkakrotnie nerwowo ręką po niezbyt bujnej czuprynie i spojrzał na Wawrzyńca.

– Tak, były pewne finansowe nieścisłości. – Zaczął otwarcie, po czym niemal natychmiast zmienił ton i kolejna wypowiedź zabrzmiała już defensywnie: – A skąd pan wie?

– Ktoś mi wspominał, już nie pamiętam. To coś poważnego? – zapytał z uśmiechem.

– Nic poważnego. – Plewiński wycofał się, co dla Wawrzyńca stanowiło jasny sygnał, że dotknął czegoś, czego Plewiński dotykać nie lubił. – Dobrze, ma pan zdjęcia, widział pan obrazy, jak będzie pan chciał coś dalej, to zapraszam. Na razie niestety muszę pana opuścić, obowiązki wzywają.

Pożegnali się, a Wawrzyniec został z poczuciem, że nadal właściwie nic nie wie. Plewiński, owszem, na przypomnienie o sądowych niesnaskach z Markowskimi zareagował bardzo nerwowo, ale na pewno był człowiekiem przebiegłym i gdyby naprawdę miał coś za uszami, to zamiast się obrażać, raczej próbowałby za wszelką cenę zatuszować sprawę.

## 9.

Zrobiło się ciemno. Noc, gdy w górach wieje, jest zupełnie inna i najczęściej jej nadejście powoduje, że niepokój, który i tak nigdy nie opuszcza mieszkańców, dodatkowo jeszcze się wzmacnia, pomyślał Wawrzyniec.

Po wyjściu ze Zwierzynieckiej na Piłsudskiego, zaraz po lewej, wśród smreków chylących się od podmuchów wiatru, ciepłym światłem wydostającym się przez szpary w drzwiach kusiała Wawrzyńca wielka drewniana karczma. Opierał się chwilę, bo argumentów na to, żeby nie skorzystać, było wiele, ale kontrargument był i tak silniejszy: Zohylina, bo tak właśnie nazywała się owa karczma, w gwarze góralskiej oznaczało ni mniej, ni więcej, tylko miejsce, w którym można się było osłonić od wiatru. Odkrył, że nie on jeden borykał się z problemem schronienia się przed halnym, kiedy z pustej ulicy wszedł do wnętrza wypełnionego gwarem i ludźmi tak gęsto, jakby odbywało się tu wesele albo jakby był szczyt sezonu turystycznego. Tymczasem teraz było już przecież po szczycie sezonu zimowego, a do letniego pozostawał jeszcze kawał czasu.

Gorąco. Dawno, od wielu dni właściwie, wciąż nie mógł się ogrzać, nawet ciało kobiety nie dawało oczekiwanego ciepła. Tutaj wreszcie było mu gorąco. Karczma miała tę jeszcze dodatkową zaletę, że była właściwie o dwa kroki od Halamy, w której mieszkał, i to do tego jeszcze droga wiodła w dół, więc nawet mocno zmęczony mógł swobodnie doczłapać się do łóżka, kiedy już przyjdzie mu na to ochota. Nie myślał teraz w ten sposób, nigdy nie myślał w ten sposób, siadając do pierwszego piwa. W takich sytuacjach wciąż jeszcze potrafił się oszukiwać, na przykład teraz rozmyślał nad tym, że bliskość noclegu to duża zaleta, dzięki temu mógł się szybciej zebrać, bez nadmiernego upijania się, bo miał niedaleko i podróż mniej go zniechęcała. Po chwili uśmiechnął się do siebie, bo właśnie – nie pierwszy zresztą raz – zdał sobie sprawę

z tego, że umysł ma tę niesamowitą zdolność, iż właściwie każdą okoliczność, każdą prawdę potrafi obrócić w swoim wnętrzu we wszystkie możliwe strony, i w efekcie z całkiem logicznych przesłanek jest zdolny wyprowadzić najbardziej absurdalne konstatacje.

– Żywiec z kija poproszę – zwrócił się do barmana.

Nieogolony mężczyzna w sile wieku i w fartuchu barmańskim, żeby móc cokolwiek zrozumieć w tym jazgocie, musiał chyba czytać z ruchu warg, ale najwyraźniej zrozumiał, bo wziął pokal i zaczął wolno nalewać piwo po ściance.

– Proszę. – Barman postawił bursztynową, lekko spienioną ciecz na barze z drewnianego bala.

– A czemu tu jest tyle ludzi? – krzyknął Wawrzyniec, zanim mężczyzna zdążył się odsunąć.

– Jakies urodziny czy coś. – Wzruszył ramionami tamten.

– Urodziny – powtórzył Wawrzyniec, ale bardziej do siebie niż do barmana, który zresztą ani już nie słyszał, ani nie słuchał, bo przy barze pojawił się inny klient.

Wawrzyniec wypatrzył tymczasem w końcu sali stół, przy którym jakimś cudem nikt jeszcze nie siedział. Lubił miejsca zatłoczone, ale wolał patrzeć na nie z boku, najchętniej nie uczestnicząc w ciżbie, tylko przyglądając się jej i z przyjemnością kontemplując własne wnętrze, z chwili na chwilę coraz bardziej wygładzane alkoholem.

– Ale że pana tu spotkam, to się akurat nie spodziewałam. – Monika stała naprzeciw niego i wyglądała nawet bardziej jeszcze interesująco, niż kiedy widział ją po raz pierwszy i ostatni, na plebanii i później w domu Markowskich. Była teraz ubrana bardziej wieczorowo, może mocniej umalowana, choć przesadnie się na tym nie znał i zawsze wygląd kobiety przyjmował bez przesadnego zastanawiania się, jakie siły i środki zostały zaangażowane w to, by osiągnąć dany efekt. Monika miała rozpuszczone długie blond włosy, z pasmami rozjaśnionymi gdzieś jeszcze słońcem dawno minionego lata. Zdawało mu się też, że jej oczy zbierały całe światło z pomieszczenia. Wokoło stało się mroczniej, niż było do tej pory, a jej wzrok stanowił jedyne źródło oświetlenia w tej



ciemności. Słowem, by widzieć cokolwiek, musiał patrzeć tylko w nią.

– O rany. – Wawrzyniec nie zdołał powiedzieć nic więcej.

Po pierwsze, był pod wrażeniem, a po drugie, nie miał pojęcia, jak to się stało, że nie dostrzegł jej, kiedy podchodziła.

– Cóż za przywitanie – zaśmiała się, przez moment ukazując biel zębów. – Wygląda, jakby pana замуrowało, a to akurat może znaczyć, że albo dobrze, albo fatalnie...

– Z tej dwójki trafniejsze byłoby „dobrze”, ale to też nieprecyzyjne. – Wawrzyniec odzyskiwał siły i wychodził z szoku. – Raczej niesamowicie... tak, „niesamowicie” to lepsze słowo. – Uśmiechnął się i wstał. – Zechce pani na chwilę...? – Wskazał na ławę po drugiej stronie stołu.

Ona popatrzyła na niego. Widać było, że waha się przez moment, tak jakby miała podjąć jakąś decyzję znacznie ważniejszą od tej, czy zechce na chwilę, czy nie. W końcu usiadła.

– Czego się pani napije? – zagaił Wawrzyniec.

– Picia już mi chyba na dziś wystarczy. – Monika się uśmiechnęła, a on zauważył, że delikatnie się rumieni.

– Byłem u marszanda – zagaił z innej beczki.

– U marszanda? – zdziwiła się.

– W sensie u Plewińskiego – wyjaśnił.

– A, oczywiście. I? Jakież wnioski? – zapytała, choć sprawiała wrażenie znacznie bardziej zainteresowanej czymś zupełnie innym.

Wawrzyniec nie wiedział wprawdzie, co dokładnie stało się obiektem jej ciekawości, ale zaczął snuć pewne przypuszczenia na ten temat.

– Wniosków jeszcze nie mam, na razie mam dosyć dziwne, powiedzmy mieszane, odczucia. – Wiślicki postanowił pociągnąć temat, równocześnie prowadząc dalsze rozpoznanie.

Monika zerknęła na niego pytająco.

– Z jednej strony wydaje się dosyć szczery, choć oczywiście, jak na marszanda przystało, dużo kombinuje, ale są miejsca, powiedzmy, dosyć grzaskie. Kiedy się na nie wchodzi, pan Tomek szybko rejteruje. – Skończył i wypił kilka łyków piwa. Nadal miał wrażenie, że ona nie bardzo interesuje się tym, co do niej mówił, ale

jednocześnie wyczuwał, że nie bardzo ciągnie ją do tego, żeby odejść.

– Może się przejdziemy – wypalił.

– Wieje – odpowiedziała, zbijając go z pantałyku, ale po chwili dodała z uśmiechem: – Ale może rzeczywiście warto byłoby się przewietrzyć.

Wawrzyniec w drodze do wyjścia wziął jeszcze od barmana butelkę stronga i karmi dla Moniki, o które wcześniej poprosiła.

Wiało nawet mocniej, niż zanim wszedł do karczmy, ale teraz był już mocno rozgrzany wypitym alkoholem, a poza tym coś innego wprawiało jego krew we wrzenie, z minuty na minutę coraz intensywniej.

– Czyli co dalej? – zaczęła Monika, kiedy stanęli na kostce chodnika wzdłuż ulicy Piłsudskiego.

Śnieg, który wcześniej padał obficie, kilka dni temu zdążył już prawie zupełnie stając, ale na chodniku gdzieś widać widać widać utrzymywały się zlodowaciałe pozostałości. Monika była w szpilkach. Może ktoś ją tu przywiózł albo przyjechała taksówką, którą potem zamierzała wrócić, pomyślał. Szpilki średnio nadawały się na spacer, ale za to dodawały jej smukłym, odzianym w cienkie pończochy łydkom czegoś, czego znacznie praktyczniejsze kamaszki nie dodałyby na pewno. Wawrzyniec podsunął jej ramię, ona wsparła się bez wahania, choć ledwie zauważalny rumieniec znów pojawił się na jej policzkach.

– Co dalej? – powtórzył pytanie, bo nie był pewien, do czego się odnosiło.

– Co dalej... z Plewińskim? – wyjaśniła, choć w jej słowach kryła się nuta delikatnej ironii, tak jakby wyjaśnienie było zaledwie jednym z wielu możliwych.

– Będę mu się przyglądał, upozoruję zainteresowanie zakupem któregoś z obrazów albo może nawet któryś po prostu kupię – zaczął Wawrzyniec, jednocześnie roztrząsając w głowie inną z możliwych odpowiedzi na pytanie „co dalej?”. Po chwili ruszył powoli w dół, czyli w stronę nieodległej Halamy. – Nie ukrywam, że bardzo mi się podobają.

– Czy mnie to dziwi? – zaśmiała się Monika.

Tymczasem on nie miał pojęcia, czy chodzi jej o jego zainteresowanie obrazami, czy o to, że szli w dół, w stronę pensjonatu, w którym mieszkał.

– Dlaczego? – Brnął dalej w rozmowę, która wciąż mogła dotyczyć dwóch tematów i powoli stawała się przez to odrobinę absurda.

– Bo są piękne, bo ma pan podobną wrażliwość? – zaczęła się głośno zastanawiać Monika.

– Podobną do...? – Teraz Wawrzyniec się naprawdę zaciekawił.

– Do niej, do niego, do mnie – wyliczyła Monika, po czym szybko dodała: – Do mnóstwa ludzi, którym podobają się jej obrazy.

– Do pani? – Wawrzyniec nie dał jej uciec.

Halama była naprawdę blisko i mężczyzna zdał sobie sprawę, że ma może dwie, a może trzy minuty na to, żeby osiągnąć to, na czym tak cholernie mu już teraz zależało.

– Do mnie też. Kocham jej obrazy. Ją zresztą też kochałam – otworzyła się nagle Monika.

Patrzyli na siebie przez moment, Wawrzyniec wahał się, co dalej zrobić. Chyba po raz pierwszy w życiu tak bardzo się wahał, może dlatego, że jeszcze nigdy tak bardzo, tak gwałtownie mu na kimś nie zależało. W końcu ona złapała go za włosy z tyłu głowy i przyciągnęła do siebie. Nie opierał się wcale.

– Czyli o co tam chodziło, tak naprawdę? – zapytał, kiedy leżeli już dłuższą chwilę, kontemplując razem pokrytą ruchomymi cieniami biel sufitu.

Trzy razy nieomal raz za razem. Było w niej coś, co ekscytowało go bardziej niż u większości kobiet, z którymi zdarzyło mu się dzielić rozkosz. Może bardziej niż u wszystkich nawet. Za nic nie mógł jednak na razie zlokalizować tego czegoś, co tak bardzo go w niej podniecało.

– Kochali się, co poza tym? – zapytała, jakby samą siebie, Monika.

– A jak się ludzie tak bardzo kochają jak oni, to cały czas jest jakaś afery, temperatura i napięcie takie, że żadne nie jest tego w stanie

wytrzymać na dłuższą metę. Dlatego ciągle się rozchodzili i schodzili z powrotem. Nikt nie wiedział już tak naprawdę, w jakim są akurat momencie, ale też nikt się już nad tym nie zastanawiał, bo było wiadomo, że nawet jak się rozstali, to i tak są razem.

– A jacyś inni partnerzy, partnerki, kochanki, on chodził na boki?  
– zaciekał się Wawrzyniec.

– On mało, ona więcej. – Monika uśmiechnęła się trochę dziwnie.

Widział już ten uśmiech wcześniej, chyba wtedy, kiedy odwiedzali razem dom na Borkach.

– Miała facetów? – zapytał Wawrzyniec trochę prowokacyjnie, bo zaczynał już coś przeczuwać.

Może nawet powoli docierało do niego, dlaczego ta ładna, ale przecież nie bosko piękna kobieta tak bardzo zawładnęła jego pożądaniem.

– Miała. – Monika przynajmniej na razie nie dała się jednak sprowokować, a z wyrazu jej twarzy można było wysnuć, że nie wie, do czego Wawrzyniec zmierza. – Niejednego. Zmieniali się, przeważnie byli mniej więcej w tym samym wieku, pomimo że jej wiek się zmieniał.

– W jakim wieku? – Wawrzyniec trochę stracił zainteresowanie, ale zapytał dla podtrzymania rozmowy.

– Tak przed trzydziestką... czy bardziej dwadzieścia pięć. Myślę, że chodziło o to, że w takim wieku był Piotr, kiedy się poznali. – Monika się zamyśliła. – To znaczy, ja tak myślę, ale oni nie mieli o tym pojęcia. Na szczęście większość z nich miała, jak to dzisiaj mówią, wywalone na to. Kiedy jej się znudzili, to szli do innych. Wielu ludzi dziś tak ma. A ty?

– A ja? – Wawrzyniec od dobrej chwili próbował sobie wyobrazić Monikę z Agnieszką, ale ze zdziwieniem zdał sobie właśnie sprawę, że zupełnie nie pamiętał, jak wyglądała Markowska. Widział ją przecież wtedy w schronisku, ale jej twarz kompletnie wyparowała mu z głowy.

– A ty masz wywalone? – Monika patrzyła mu prosto w oczy, a on się wystraszył.

– Skąd – powiedział mało przekonująco, a ona się roześmiała.

Chwilę leżeli w ciszy.

– Palisz tutaj? – zapytała.

– Nie. – Wskazał na czujkę dymu pod sufitem. – Ale możemy wyjść na balkon.

– Zimno. – skrzywiła się, patrząc na swoje i jego nagie ciało na kołdrze.

Oba wydały jej się obce. Jego było rzeczywiście obce, choć już jakby nieco bliższe niż inne ciała, ale dlaczego jej własne jej się takie wydało? Tego nie wiedziała.

– Otulę cię – uśmiechnął się.

Wstał z pościeli, jednocześnie wyciągnął zwiniętą w rulon kołdrę i rozwinął ją, by mogła się w nią owinać. Ona też wstała. Stojąc, nie była już tylko ładna, była piękna, pomyślał.

– Tak – powiedziała nagle. – Kochałam się z nią.

Nad ranem odprowadził ją na postój taksówek. Proboszczowi w Dzianiszu nie przeszkadzało, kiedy wracała nawet bladym świtem, ale postawił jej kiedyś podobno warunek, że jeśli za którymś razem nie wróci w ogóle na noc, to wtedy jej wymówi. Monika nie chciała, żeby jej wymówił, a Wawrzyniec nie miał pojęcia, dlaczego tak bardzo jej zależało. Piękna wykształcona kobieta w kwiecie wieku pracowała jako pomoc domowa u księdza na plebanii w prowincjonalnym kościółku na Podhalu. I to mieszkała tam już, zdaje się, ładne kilkanaście lat.

– On pracował w agencji reklamowej, to znaczy, miał agencję w Krakowie i utrzymywał to wszystko – zaczęła opowieść Monika.

Wawrzyniec tymczasem pomyślał, że być może Monika mówi o tym w obawie, że on zapyta ją o coś innego.

– Poznali się na ASP w Warszawie jakoś pod koniec studiów. Ona miała dwadzieścia cztery lata, on tam był jakimś asystentem, czyli trochę starszy. Mieszkali najpierw w Warszawie, potem w Krakowie, żeby być bliżej gór, a w końcu zbudowali ten dom. Ona malowała, była artystką, więc on musiał przestać być artystą. Inaczej musieliby się chyba zjeść nawzajem. – Monika przerwała, a Wawrzyniec odniósł wrażenie, że była jakby trochę zła.

– Kochałaś go? – zapytał nagle, o wiele zbyt bezpośrednio.

– Nie – pokręciła głową. – Kochałam ją, ale jego bardziej lubiłam od niej. – Uśmiechnęła się, jakby bezpośredniość jego pytania kompletnie jej nie dotknęła.

– Dla niej się tutaj przeprowadziłaś? – Wawrzyniec dotknął tego, czego ona chyba dotykać nie chciała.

– Nie. – Znow pokręciła głową, nadal ze spokojem. – Mieszkałam już u księdza Marcina, kiedy się tu sprowadzili.

– Czemu? – cisnął. – Czemu zamieszkałaś u księdza Marcina?

Monika nie przestała się uśmiechać, ale nie odpowiedziała mu już na to pytanie. W ogóle nic już nie powiedziała, chwilę później wsiadła do taksówki i bez słowa odjechała w lekko mroźny świt.

## 10.

Nie zakochał się w niej? Nie mógł tego pojąć, a jednak się w niej nie zakochał. Może zresztą nie było to właściwie wcale takie dziwne, bo żył już na świecie dobre pięćdziesiąt lat, a do tej pory nie zakochał się w nikim. Czemu? Tego nie wiedział, ale też naprawdę przesadnie go to nie obchodziło, przynajmniej do tej pory. Nie przejmował się. Do tej pory? Czyli jednak. Czyżby zaczynał się bać samotności... a może zaczynał się bać zupełnie czegoś innego. Słowa wysłane jakiś czas temu przez pewnego człowieka do – jak się okazało – całej ludzkości zaczęły mu nagle pobrzękiwać w głowie jak miedź brzęcząca.

„Gdybym też miał dar prorokowania i znał wszystkie tajemnice, i posiadał wszelką wiedzę, i wiarę miał tak wielką, iżbym góry przenosił, a miłości bym nie miał – byłbym niczym”<sup>2</sup>.

Daru prorokowania nie miał, tajemnic nie znał, z wiedzą było tyle o ile, z wiarą jeszcze gorzej, więc miłość mogłaby i tak nie pomóc. Ale gdyby chociaż ona, może byłby cień nadziei.

Obudził się około południa. Na stoliku stały zeschnięte śniadanie i zimna herbata, a właściwie esencja, do której należało dolać wody wedle uznania, tyle że woda w dzbanku była zimna. Ciekawe. Jeśli Ania przyniosła to zeschnięte teraz na wiór śniadanie, jeśli tu rzeczywiście była, to dlaczego nie zrobiła tego, co za każdym razem robiła od kilku dni, dlaczego nie położyła się obok niego?

Przyszło mu do głowy, że może poczuła zapach innej. Miał teorię, że kobiety nie znoszą czuć zapachów innych kobiet na mężczyznach, na których im zależy. Faceci tego nie mają, w każdym razie nie aż tak, kontynuował myśl Wawrzyniec, przede wszystkim są generalnie mniej wrażliwi na cokolwiek, na wszelkie impulsy zewnętrzne, są gruboskórni i mniej czujni, przynajmniej dopóki nie ma bezpośredniego zagrożenia. Może to dlatego, że dla nich – dla mnie – tak naprawdę nie jest takie ważne, czy ktoś był przede mną, czy nie. Natura tak tym kieruje, żeby było nas jak najwięcej, taki jej cel

główny: rozmnażanie, niestety... Kontynuował rozmyślenia: walczymy z naturą, nakładamy kulturę, cywilizację, obyczaje, obrzędy, żeby udać przed sobą, że sprawa jest ważniejsza, niż faktycznie jest. Tak jakby życie samo w sobie było za mało ważne. Kobieta, jeśli czuje zapach innej, to wie, bo natura jej podpowiada, że z tego faceta nic wartościowego już w tym momencie nie będzie. Facet, nawet jeśli czuje innego, to natura i tak mu szepcze, żeby poprawił, bo a nuż wyjdzie jednak na jego, zakończył myśl.

Własny poranny cynizm lekko go przeraził, żeby to jakoś przewalczyć, wstał nagle tak gwałtownie, że krew uderzyła mu do głowy i przed oczami zobaczył mroczki. Kiedy ustąpiły, rozejrzał się po wnętrzu. Nagle wydało mu się, że kiedy spał, ktoś był w pokoju. Ktoś inny niż Monika i Ania, która przyniosła śniadanie i wyszła. Ktoś, kogo interesowało to, co robił. Tylko skąd takie wrażenie? Nie miał pojęcia. Czyżby zapach? Nie, nie zapach, nie intuicja, tylko rzeczy: rozłożone na stoliku luźne na razie notatki do książki, do której wciąż się nie zabrał i do której cały czas się przygotowywał. Telefon? Wawrzyniec podszedł do kurtki, z wewnętrznej kieszeni wyciągnął aparat. Na ekranie nie było nic, bo nieładowany od kilku dni telefon w końcu musiał kiedyś paść. Rozejrzał się po pokoju, próbując sobie przypomnieć, kiedy i gdzie ostatnio go ładował. Kabel wystawał zza stolika z lampką nocną, podszedł do niego i podłączył aparat. Teraz czekało go nerwowe kilka minut, zanim na ekranie pojawi się znów logo i te inne pierdoły i telefon powróci do swojego wirtualnego istnienia.

Usiadł do stolika z zeschniętym jedzeniem. Po nocnych breweriach z Moniką był głodny jak wilk, a jednocześnie nie miał apetytu. Dziwne zestawienie, pomyślał. Może chodziło o nieapetyczność plastrów wędlin, które przez buzujące pod oknem kaloryfery zeschnęły się już tak, że na bokach wywinęło je do góry. Przypomniawszy sobie nagle wnętrze kuchni w domu na Borkach. Tam też na stole leżały zeschnięte produkty, tyle że tamte były niedojedzone, a te jego tutaj były nietknięte. Rozkroił bułkę, wysmarował ją masłem bardziej, niż miał normalnie w zwyczaju, rozciągnął wędlinę i ugryzł. Bułka ustąpiła z chrzęstem, a on się zamyślił.



Nie miał wiele. Wrażenie z sekundy, kiedy lawina ruszyła w dół, wciąż było kluczowe dla jego dochodzenia, może dlatego, że ten moment wrył się w pamięć najmocniej. Anonimy, groźby, pismo przedprocesowe do Plewińskiego, no i sam galernik, wszystko to było dziwne i niepokojące, ale nie dawało paliwa do dalszych poszukiwań, nie kierowało go nigdzie, o niczym nie przekonywało. Może komisarz Ziętka ma rację? Różnica między nimi polegała chyba wyłącznie na tym, że Wawrzyniec był tam, kiedy to się stało, a komisarz nie.

Co dalej? Iść za Plewińskim czy dać sobie już może spokój, spakować się i wreszcie ruszyć z powrotem do Warszawy, gdzie wciąż czekają na kontakt od niego, na opis fabuły książki, czeka też redakcja i jeszcze kilka zobowiązań, wśród nich jedno ważniejsze od pozostałych? Tylko które? Kiedy tak rozważał, jednocześnie przeżuwając z trudem zeschniętą bułkę, leżący na stoliku telefon brzdąknął i ekran w końcu się rozświecił.

Wawrzyniec wstukał na wirtualnym cyferblacie PIN, który był, zdaje się, datą urodzenia kobiety. Ale której? Tego już nie pamiętał. Telefon chwilę się jeszcze załączał, a Wawrzyniec odniósł wrażenie, że aparat próbuje sobie przypomnieć, kim jest i co ma w swojej elektronicznej pamięci. W końcu wszystkie funkcje życiowe wróciły, a Wawrzyńcowi przemknęło przez myśl, że to właściwie dosyć fajne, móc tak umierać i budzić się do życia nieskończoną ilość razy. Ale może w przypadku telefonu to jednak było bardziej jak sen, a nie jak śmierć. Pamięć przecież nie zniknęła, gdzieś pod spodem był maleńki elektroniczny hipokamp, który żył nawet wtedy, gdy wyczerpywały się siły witalne głównej baterii. Wszedł w zdjęcia, które dla niego stanowiły rodzaj notatnika. Miał tu obfotografowane dokumenty, wspomnienia, ale też różne spostrzeżenia i przemyślenia, które pisał na kartkach, a następnie utrzymywał je na cyfrowej kliszy. Dawno temu odkrył, że kiedy zapisywał coś gdzieś, na czymś przygodnym, a nawet w specjalnie do tego celu zakupionym notesie, to zawsze wkrótce potem to gubił, a poza tym notesów i karteczek było już tak wiele, że nigdy w efekcie nie wiedział, gdzie zapisane jest coś, czego akurat szukał. A czego w ogóle szukał?

Może to tylko ucieczka od tego, co powinien tak naprawdę teraz robić, pomyślał. A co właściwie powinien robić? Pisać konspekt powieści, przygotować artykuł do kolejnego wydania tygodnika. Zadzwoić do kobiety?

Tak, to ostatnie ciążyło mu najbardziej. Nigdy nie lubił zobowiązań, perspektywa odpowiedzialności za kogokolwiek oprócz siebie samego, choć i z tym miewał problemy, wyjątkowo go męczyła. W momencie, gdy orientował się, że ktoś czegoś od niego oczekuje, wymaga, spodziewa się, na coś liczy, najczęściej szybko się zwijał i przeskakiwał gdzieś indziej. Uciekał tam, gdzie była wyłącznie bezinteresowna fascynacja i namiętność. Coś takiego oczywiście nigdy nie trwało długo, czasem kończyło się właściwie od razu, gdy już po pierwszej ekstazie druga strona oczekiwała czegoś dodatkowego, jakiegoś rodzaju sformalizowania relacji, terminu kolejnego spotkania i temu podobnych rzeczy. Wtedy uciekał. Czasem zdarzało się, że był ścigany, ale częściej szczęśliwie następowała natychmiastowa obraza. Ale od zawsze przecież była też kobieta, która ani go nie goniła, ani się nie obrażała. Gdzieś tam, w świecie, który w związku z ostatnimi wydarzeniami prawie wypłowił już w odmętach jego pamięci, był ktoś, kogo szukał.

Dźwięk dzwonka telefonu wyrwał go z zamyślenia. Na wyświetlaczu zobaczył nazwisko Plewińskiego. Przez moment wahał się, czy nie zostawić tego wszystkiego i nie wrócić tam, dokąd powinien był wrócić już tydzień temu. W końcu odebrał.

– Chyba wiem, gdzie może być *Śniadanie* – odezwał się marszand, nie czekając nawet, aż Wawrzyniec cokolwiek powie.

Wawrzyniec spojrział na stolik. *Śniadanie*, które ledwie co zaczął jeść, stało przed nim, zeschnięte, i to pomogło mu w kolejnym ułamku sekundy przypomnieć sobie, o czym mówił Plewiński.

– Gdzie? – zapytał krótko.

– On miał współnika – zaczął marszand. – Rozstali się w mało przyjaznych relacjach, Markowski wyrolował go chyba porządnie i Agnieszka, ponieważ była lepszym człowiekiem, w ramach rekompensaty za straty dała tamtemu ten obraz. Wtedy się zresztą rozstali, bo Piotr nie znosił, kiedy coś działo się inaczej, niż zaplanował. Pytał pan, dlaczego go nie lubiłem?

– Pytałem – potwierdził lapidarnie Wawrzyniec. W gruncie rzeczy nie bardzo interesowała go precyzyjna wiedza o tym, dlaczego Plewiński nie lubił Piotra Markowskiego, ale najwyraźniej tamtemu zależało, żeby mu to koniecznie objaśnić.

– Dlatego właśnie. To był totalny perfekcjonista, wszystko musiało być tak, jak sobie wymyślił i ułożył, a to, że po drodze się zamęt, to już go absolutnie nie interesowało. Ważne było tylko to, żeby wszystko było tak, jak chciał – wypowiedział ostatnie zdanie prawie na jednym oddechu i teraz zasapał się lekko.

– Może miał kompleksy – podsumował Wawrzyniec, który był akurat dokładną odwrotnością tego, co przed momentem marszand opowiedział mu o Markowskim. On sam miał gdzieś, jak ułoży się rzeczywistość, a jedyną rzeczą, która go interesowała, był święty spokój. Jedyną w każdym razie do tej pory. – Wspomniał pan o obrazie?

– Tak, spotkajmy się, zawiozę pana – zaproponował Plewiński.

Dlaczego ma mnie właściwie wieźć, dlaczego nie może po prostu powiedzieć, gdzie to jest? W głowie Wawrzyńca cały czas mnożyły się wątpliwości.

– Dobrze. – Usłyszał swój własny głos. – Gdzie?

– Podjadę po pana. – Plewiński wydawał się zadowolony. – Rozumiem, że jest pan w Halamie?

Wawrzyniec dojadł zeschłe śniadanie, myśląc wciąż o innym, tamtym *Śniadaniu* i o Piotrze Markowskim, który wedle relacji marszanda jawił mu się teraz jako typ raczej opresyjny. Jeśli tak było w rzeczywistości, to dlaczego ten związek był tak silny i dlaczego trwał tyle lat? Dlaczego artystka, z definicji dążąca do wolności, zastanawiał się Wawrzyniec, dwie trzecie swojego życia spędziła przywiązana do tyrana? Może jednak Plewiński się mylił albo coś nagiął. Schodząc po krętych schodach prowadzących z poddasza, Wawrzyniec zastanawiał się właśnie nad tym.

## 11.

Kiedy stał już na zewnątrz, przy wyjeździe z bramy posesji na ulicę Piłsudskiego, i czekał na pojawienie się czarnego mercedesa klasy S, przyszło mu do głowy, że chyba musi być zahipnotyzowany, skoro zgodził się na tę zgoła dziwną propozycję złożoną mu przez człowieka, któremu tak naprawdę nie ufał za grosz. Ale co tak naprawdę ryzykował? Już kilkoro ludzi wiedziało o jego dziwnym dochodzeniu, o Plewińskim słyszeli już Monika i Witek z TOPR-u, i nawet ospały komisarz Ziętka z komendy powiatowej. Gdyby więc coś mu się teraz stało, marszand stałby się pierwszym podejrzanym i raczej musiał być tego świadom.

– No, wsiada pan? Bo mi pan tu zamarznie. – Plewiński spoglądał na niego przez otwartą szybę swojej eleganckiej czarnej limuzyny.

Wawrzyniec wsiadł od strony pasażera. Rzeczywiście mógł zmarznąć, tym bardziej że znów, jak co wieczór, zaczynało wiać.

– Moja współpracownica, Grażyna Porębska. – Plewiński lekko odchylił się do tyłu, dając w ten sposób znać Wawrzyńcowi, że na tylnej kanapie za nimi siedział ktoś jeszcze.

Wawrzyniec obrócił się do tyłu i skinął głową w stronę mroku, w którym wygodnie oparta o czarną skórzaną kanapę siedziała kobieta, również w czerni. Czarniejszy odcień czerni, przemknęło mu przez myśl.

– Nazywam się Wawrzyniec Wiślicki, miło mi. – Odruchowo obniżył głos o oktawę, bo coś w nim uznało, że sytuacja tego wymagała.

– Wiem, jak się pan nazywa. – Kobieta uśmiechnęła się dokładnie na tyle tylko, żeby ukazać fragment swoich idealnie równych białych zębów, po czym dodała z wdziękiem: – Wiele o panu słyszałam.

– Naprawdę? – zdziwił się szczerze Wawrzyniec. – A co na przykład, jeśli można wiedzieć?

– Na przykład, że... – Kobieta zawahała się przez moment, ale widać było, że nie wynika to z tego, że nie wie, co powiedzieć, lecz z tego, że raczej zastanawia się, co dokładnie w tym momencie wybrać. – Na przykład, że jest pan świetnym pisarzem.

Wawrzyniec miał ochotę kontynuować rozmowę z tajemniczą kobietą w czerni, ale uznał, że trochę nie wypada, nie wiedział przecież w końcu nawet, w jakiej relacji pozostawała z Plewińskim, a do tego jako świetny pisarz na pewno nie chciał wyjść na gadułowatego podrywacza i nudziarza. Zamilkł więc, przynajmniej chwilowo, i zajął się kontemplacją krajobrazu obwieszonego idiotycznym kolorowym jarmarkiem ogłoszeń i billboardów domowej roboty.

– Wciąż wieje – odezwał się ni stąd, ni zowąd Plewiński, po czym dokończył zupełnie z innej beczki: – Pan tu na długo?

– Okaze się – nie skłamał Wawrzyniec.

– Okaze się co? – odezwał się po chwili Plewiński nagle nieco gburowato.

– Okaze się na jak długo. – Wawrzyniec nie pozostał mu dłużny. – Dokąd jedziemy?

– Do Murzasichla – odpowiedział marszand i zerknął w lusterko, jakby chciał tę informację zweryfikować z siedzącą z tyłu kobietą.

Wawrzyniec zastanawiał się, kogo spotkają na miejscu, a nawet znów przeszło mu przez myśl pytanie, czy kiedykolwiek stamtąd wróci, ale o dziwo ta niepewność, a może rodzaj ciekawości, nie wzbudziły w nim żadnej emocji. Bardziej zresztą jeszcze od tego, dokąd jadą i jak to się skończy, interesowała go rola kobiety siedzącej z tyłu. Za nic nie chciał jednak, przynajmniej na razie, do niej zagadywać, zresztą nie miał pojęcia, o co i jak mógłby zapytać.

– Jadę, bo Tomek nie wie dokładnie, gdzie on mieszka – odezwała się w końcu kobieta, trochę ni w pięć, ni w dziewięć.

– A coś więcej o tym, kim on jest? – Wawrzyniec i tak ucieszył się, że kobieta wróciła do rozmowy.

– On? – zawahała się kobieta. – Był współnikiem Markowskiego...

– To już wiem. – Wiślicki zorientował się, że zabrzmiał trochę mało przyjemnie i od razu pożałował, bo za nic nie chciał zniechęcić

do siebie kobiety z mroku, dodał więc od razu z uśmiechem: – Ale kim jest teraz?

– Teraz – Grażyna nie wydała się urazona – jest właściwie nikim, zdaje się, pisze wiersze, chodzi w góry i żyje chyba z jakichś zabaw na giełdzie. W ich spółce on był od finansów, zajmował się pomnażaniem pieniędzy bez przesadnych nakładów dodatkowych. Umiał z pustego nalać w pełne. Chyba można tak powiedzieć?

Grażyna spojrzała pytająco we wsteczne lustro, próbując najwyraźniej nawiązać kontakt z Plewińskim. Wawrzyniec odniósł wrażenie, że marszand delikatnie skinął głową.

– No i namnożył im tych pieniędzy, a potem Markowski go wystawił. – Kobieta odsunęła się od oparcia tylnej kanapy i pochyliła się delikatnie w jego stronę.

On poczuł zapach perfum, którego chyba nie znał, bo skąd miałby go znać, ale który przywodził mu coś na myśl.

– Taka mało budująca historia. Markowski po kilku latach chyba poszedł po rozum do głowy, próbował coś załagodzić w tej sprawie, pewno zresztą Agnieszka go do tego w końcu nakłoniła, ale niewiele dało się już zrobić. Przyjaciel się załamał, i to nawet chyba nie z powodu utraty majątku, do czego zresztą doszło, tylko z powodu utraty wiary w człowieka. Czasem tak się wciąż jeszcze zdarza, da pan wiare? – Grażyna spojrzała na Wawrzyńca nagle bardzo przenikliwie.

– Myśli pani, że mógł się posunąć do tego, żeby ich zabić? – spytał bardzo bezpośrednio Wiślicki.

Z tyłu głowy oczywiście wciąż rozważał i taki wariant, że marszand wraz ze swoją mroczną przyjaciółką gustującą w pięknie pachnących perfumach próbują celowo odsunąć jego podejrzenia od Plewińskiego i skierować je na jakiegoś Bogu ducha winnego faceta z Murzasichla, ale uznał, że lepiej będzie zapytać, a potem zobaczyć, jak zareagują.

– Nie myślę – odpowiedziała Grażyna na tyle szybko, że Wawrzyniec kompletnie nie wiedział, jak to rozumieć. – Markowskiego może jeszcze tak, ale Agnieszka była tam z nim, a ona akurat zachowała się wobec niego wzorowo, więc raczej to bez sensu.

– Chyba że nienawiść odebrała mu zdolność trzeźwej oceny – włączył się nagle do rozmowy Plewiński.

Grażyna wycofała się znowu na tylne siedzenie, a Wawrzyniec odniósł wrażenie, że miała przy tym mocno zniesmaczoną minę. Jeśli knuli skomplikowaną intrygę mającą na celu przerzucenie podejrzeń z siebie na kogoś innego, to jej wychodziło to świetnie, tymczasem marszand właśnie trochę pokpił sprawę. Jakże często kobiety są inteligentniejsze od facetów, pomyślał Wawrzyniec.

– A jak on się w ogóle nazywa? – odezwał się po chwili, żeby przerwać jakoś niezręczną ciszę.

– Łukasz Trebuń – odpowiedziała krótko Grażyna.

Kiedy dojechali do Murzasichla, zastali je pogrążone w kompletnych ciemnościach.

– Może wiatr złamał gdzieś drzewo, które albo zerwało, albo przynajmniej uszkodziło linię przesyłową. – Po raz pierwszy od kwadransa odezwał się marszand. – Który to dom, Grażynko, jest, bo nie pamiętam?

– Musisz skręcić zaraz w lewo i to będzie ten pod lasem – odpowiedziała kobieta z mroku.

Kiedy wysiadali, podmuch wiatru prawie urwał tylne drzwi od hiperekskluzywnej limuzyny Plewińskiego, na szczęście w ostatniej chwili Wawrzyniec zdążył przytrzymać je nogą. Chwilę później podał rękę wysiadającej Grażynie. Otaczający ją w samochodzie mrok nie ustąpił, bo zapadła noc ciemna choć oko wykol, a ze względu na brak jakiegokolwiek oświetlenia tak naprawdę nie widział właściwie nic, tylko kontur postaci, który uświadamiał mu, że Grażyna była do tego wszystkiego bardzo wysoka. Wawrzyniec też nie był mały, ale miał za to pewną szczególną przypadłość, że w obecności osób nawet o kilka centymetrów niższych od niego już odnosił wrażenie, że górują nad nim wzrostem. Jeśli kobieta była tak wysoka, to z jakiegoś powodu stanowiło to dla niego problem. Pomyślał, że może jest jednak trochę męskim szowinistą albo jakimś rodzajem stetryczalego patriarchy, choć przecież w innych miejscach i momentach w życiu różnego rodzaju przewagi kobiet nad mężczyznami mu nie przeszkadzały.

– Idziemy? – przerwała jego wewnętrzne dywagacje Grażyna.

Ruszyli w kierunku wielkiego domu z ciemnych bali, mającego w bieli śniegu.

Długo stali pod drzwiami. Nikt nie otwierał. Kiedy już mieli się wycofać, zza drzwi dało się słyszeć jakiś rumor. Po chwili drewno zaskrzypiało i duże odrzwia osadzone na kutyh zawiasach odchyliły się lekko.

– Kto? – Głos dobiegający z ciemnej sieni był niski i chrapliwy, ale mimo to był głosem żeńskim.

– My, to znaczy Tomasz Plewiński ze znajomymi do Łukasza – odezwał się marszand. Cała rozmowa odbywała się w całkowitej ciemności, bo nic nie rozświetlało otaczającej ich czerni.

– No wim. – Chrapliwy głos odezwał się nie od razu. – Chodźta.

Weszli w jeszcze głębszą, bardziej soczystą czerń przedsionka. O ile tamta na zewnątrz kojarzyła mu się ze zwiewną nieco czernią jedwabiu, o tyle ta tutaj była już jak aksamit, oblepiała sobą, utrudniała oddychanie. Plewiński włączył latarkę w swojej komórce. Dobrze zrobił, bo bez tego utknęliby tu chyba na zawsze. Ich oczom ukazało się wewnątrz wiatrołapu żywcem wyjęte z *Chłopów* Reymonta. Na ścianach wisiały jakieś drewniane misy, chochle i łychy, na podłodze w rogu stała maselnica. Wieszak z drewnianych kołków, przybity wprost do czarnych bali, oblepiało mnóstwo dziwnych kufajek i kozuchów. Wawrzyniec pomyślał nagle o kobiecie w kozuchu, którą widział wcześniej dwukrotnie, ale niemal od razu skojarzenie jej z tym miejscem, w którym pachniało stęchlizną i łojem, uznał za niedorzeczne. Właścicielka niskiego, chrapliwego głosu zniknęła tymczasem tak bardzo bez śladu, że wydawać się mogło, iż była wyłącznie głosem. Ruszyli w głąb domostwa, Grażyna jako pierwsza. Ewidentnie starała się przede wszystkim niczego nie dotknąć, a chyba bardziej nawet jeszcze obawiała się, by nic nie dotknęło jej. Wawrzyniec szedł za nią, otoczony woalem jej perfum. Z tyłu za nimi, świecąc swoim telefonem, podążał Plewiński.

– Gdzie my jesteśmy, Grażynko? – odezwał się po chwili z tyłu, a jego głos dobiegł jakby z głębokiej studni.

– U Łukasza, mój drogi – odpowiedziała, wciąż ostrożnie stawiając kroki, jakby w obawie, by w coś nie wdepnąć.



W góralskich, a chyba też w ogóle w wiejskich domach, szczególnie zimą, wszyscy przeważnie zawsze są w kuchni. Nawet jeśli dom ma dziesięć sypialni i pięć salonów, choć to akurat rzadkość, to i tak domownicy jedzą, siedzą, śpią i ogólnie egzystują przez cały czas w kuchni i jej bezpośredniej okolicy, pomyślał Wawrzyniec.

– O, dobry wieczór – ucieszył się Plewiński, wchodząc do kuchni.

– Dobry – odpowiedział basem zarośnięty jak pustelnik mężczyzna w nieokreślonym wieku, który siedział przy piecu.

Po chwili, nie wiadomo skąd i jak, w pomieszczeniu znalazła się też zaginiona właścicielka chrapliwego głosu. Była to kobieta na oko sześćdziesięcioletnia, o twarzy ogorzałej, rysach ostrych, góralskich, na swój sposób ładna, ale na pewno niezbyt miła.

– Łukasz, wstoń, gości mos – odezwała się do zamkniętego w sobie brodacza.

Przynajmniej na razie ciężko było wywnioskować, czy kobieta jest jego matką, czy żoną, czy może w ogóle jeszcze kimś innym.

Łukasz wstał, z trudem i bez przekonania, i podszedł do nich. Wawrzyniec, choć nie był niski, sięgał Łukaszowi do piersi, a Grażyna, również przecież wysoka – mniej więcej do mostka. Plewiński nie sięgał mu prawie do niczego.

– Dzwoniliśmy, to znaczy ja dzwoniłam... – zaczęła Grażyna i od razu można się było zorientować, że z Łukaszem miała do czynienia po raz pierwszy w życiu, przynajmniej na żywo i w cztery oczy – ... do pana.

– No, wiem – odpowiedział, po czym dodał dla pewności: – W sprawie obrazu?

– Tak, no właśnie. – Grażyna odsunęła się delikatnie.

Wawrzyniec zastanawiał się, czy zrobiła to dlatego, że Łukasz był tak wielki i przytłaczający, czy może dlatego, że ewidentnie nie zachowywał higieny osobistej. Tymczasem zapanowała cisza, jakby wyjaśnienie celu wizyty jednocześnie zakończyło wszystkie dyskusje.

– Siondnijcie – powiedziała gospodyni. – Herbaty dom.

To jednak musiała być matka, uznał Wawrzyniec, widząc już teraz wyraźną różnicę wieku między nimi.

Usiedli. Szef finansowy dużej firmy reklamowej, gracz giełdowy, ekonomista, makler? Wawrzyniec próbował dopasować te określenia do zarośniętego giganta, którego miał przed sobą, i żadne nie wydawało się nijak doń pasować.

– Pan współpracował z Piotrem Markowskim? – zapytał szybciej, niż pomyślał, że może jednak nie powinien tego robić.

– Tak – odpowiedział mężczyzna i zawiesił na nim spojrzenie oczu, ledwie widocznych spomiędzy długich włosów i gęstej brody.

Na pierwszy rzut oka był przerażający, to na pewno, ale zarazem z ledwie widocznych fragmentów jego twarzy wyzierał rodzaj ciepła, którego nie dałoby się przysłonić żadną ilością włosów.

– A teraz? – Wawrzyniec zamiast się wycofać, brnął dalej. – A co pan robi teraz?

– Wędzę – odpowiedział tamten i lekko się ożywił: – Sery robię. Chcecie zobaczyć?

– Może za chwilę. – Do rozmowy włączył się Plewiński, który intensywnie pocił się na twarzy, choć było raczej chłodno. – Ma pan ten obraz?

– Obraz – powtórzył jak echo Łukasz, po czym lekko się uśmiechnął. – Nie mam.

– Jak to pan nie ma?! – wykrzyknęła zszokowana Grażyna. – Przecież dzwoniłam, pytałam, umówiliśmy się.

– Tak. – Łukasz odgarnął skołtunione włosy na tył głowy.

Teraz można było znacznie więcej dowiedzieć się na temat jego wyglądu. Twarz była inteligentna, poraniona i choć jej wyraz był całkowicie nieodgadniony, to ciepło, które dostrzegł wcześniej Wawrzyniec, teraz emanowało z niej jeszcze silniej.

– Umówiliśmy się, bo pomyślałem, że może pomożecie mi go odzyskać. – Łukasz przeniósł wzrok z Grażyny na Plewińskiego, a następnie na Wawrzyńca, do którego się uśmiechnął.

– Jak odzyskać, co pan, kurwa, z choinki się urwał?! – Plewiński był ewidentnie biznesmenem starej, postpeerelowskiej daty, dla niego czas był cenny, nie mógł sobie pozwalać na jego trwonienie. A pobyt tutaj, w tym dziewiętnastowiecznym skansenie kultury góralskiej, do którego musiał dojechać swoim fabrycznie czystym

mercedesem klasy S po ciemku przez błota i koleiny, bez obejrzenia obrazu najwyraźniej kompletnie nie miał dla niego żadnego sensu.

– Zniknął zaraz po tym, jak oni zginęli. – Łukasz nie wydawał się ani wystraszony, ani nawet przesadnie zainteresowany biznesowym podejściem Plewińskiego do życia. – Pomyślałem, że pan, nasz czołowy mecenas kultury lokalnej, nasz marszand europejskiej klasy, handlarz dziełami sztuki może będzie mógł jakoś pomóc.

Matka Łukasza podała herbatę. Usiedli. Plewiński pocił się jeszcze bardziej.

– Zawiadomił pan policję? – Grażyna starała się uspokoić sytuację.

Wawrzyniec przyglądał jej się w świetle pełgających świec i zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie miał możliwość zobaczenia jej w świetle dnia. A może ona nie istnieje za dnia, może jest tylko nocną zjawą, zadał sobie w myślach pytanie, bo tylko w półmroku ukazuje się w najbardziej korzystnym świetle?

– A powinienem? – odpowiedział pytaniem na pytanie Łukasz, rezolutnie, a zarazem zaskakująco.

– Oczywiście, że pan powinien! – Plewiński nie wierzył własnym uszom i było to widać. – W jakich okolicznościach obraz zaginął?

– W nocy. – Łukasz, który do tej pory stał, teraz sięgnął po coś do ciężkiego kredensu z ciemnego drzewa ustawionego pod ścianą, a następnie dosiadł się do stołu. – Ktoś z państwa reflektuje?

Wszyscy spojrzeli na brązową butelkę po rozpuszczalniku trzymaną przez niego w rękę.

– Na co? – zapytała rzeczowo Grażyna.

– Na Soplicę – uśmiechnął się Łukasz, po czym dodał: – Z własnego nielegalnego uboju.

– Prosiłam cię, synku... – odezwała się matka od strony kaflowej kuchni, na której gotowała coś o bardzo intensywnej mięsno-tłuszczowej woni.

Wawrzyniec pokiwał głową, Plewiński spojrział na niego z niesmakiem, a Łukasz zaczął lać do jego kubka z herbatą oleistą, lekko żółtawą cieczą. Przez cały czas Wawrzyniec zastanawiał się, o co w tym wszystkim chodzi i po co właściwie tu jest.

– A gdzie pan trzymał ten obraz? – zapytał po wypiciu kilku łyków palącej przelyk herbaty.

– Na poddaszu. – Łukasz spojrział mu prosto w oczy, a w jego wzroku był rodzaj zuchwałości, która zdawała się mówić: „Mam gdzieś, czy mi uwierzysz, czy nie”.

Wawrzyniec pomyślał, że skoro tak na niego patrzy, a nie wygląda raczej na cynika, wręcz przeciwnie, to w takim razie może jednak nie kłamię.

– Z poddasza nie jest chyba łatwo ukraść, przez cały dom trzeba przejść – zauważył, ale bez ironii, po prostu był teraz ciekawy.

– Nie było nas, poszliśmy się pomodlić – odpowiedział tamten.

Plewiński i Grażyna przysłuchiwali się tej rozmowie i sprawiali wrażenie, jakby czuli, że włączanie się w nią w ich zwyczajowy sposób, czyli z ładunkiem ironii, cynizmu i powątpiewania w cokolwiek, mijało się z celem.

– Pomodlić się poszliście? – Wawrzyniec dociekał.

– Tak, z mamą, za nich – krótko odpowiedział Łukasz.

– Wtedy ktoś się włamał i ukradł obraz z poddasza? – W końcu do rozmowy włączyła się Grażyna. W jej tonie dało się już jednak odczuć niespecjalnie skrywany sarkazm.

– Nie musiał się włamywać, my nie zamykamy drzwi – odezwała się matka od strony kuchni.

– Mieliście na poddaszu obraz wart milion dolarów i nie zamykaliście drzwi! – Nie wytrzymał Plewiński.

– Nie wiedziałem, że był tyle wart – zdziwił się Łukasz.

– Ja czegoś w tym wszystkim nie rozumiem – drążyła Grażyna. – Dostał pan ten obraz jako spłatę zobowiązań Markowskiego wobec pana. Zgaduję, że zobowiązania były znaczące, czyli wartość obrazu musiała być znacząca, mniejsza o to, czy milion dolarów, czy dwa, w każdym razie ogromna. I pan nie wiedział?

– Nigdy tak o tym nie myślałem – zamyślił się Łukasz. – Odkąd wyszedłem ze spółki, pieniądze przestały mnie generalnie interesować. Obraz był... jest, mam nadzieję... piękny i to mi wystarczało.

– Zostawił pan jednak piękny obraz trochę na pastwę losu – starał się zabrzmieć łagodnie Wawrzyniec.

– Trochę tak... – Łukasz pokiwał głową i wypił spory łyk z butelki po rozpuszczalniku.

## 12.

Pierwszy kwadrans podróży powrotnej do Zakopanego upłynął im w milczeniu. Wszyscy mieli, zdaje się, poczucie poniesionej porażki, lecz każde z nich trochę z innego powodu. Grażyna chciała się przydać Plewińskiemu, przynajmniej tak na razie rozumiał jej rolę Wawrzyniec; marszand miał pewno poczucie utraconej możliwości szybkiego zarobku, gdyż widział się pewnie w roli pośrednika przy sprzedaży obrazu. Sam Wawrzyniec poczuł, że utknął w dziwnym świecie, w którym wszystko tak było niejasne i przesycone czernią i wiatrem, że nie dawało się zrobić kroku w żadną stronę. Im głębiej wchodził w sprawę, tym bardziej stawała się ona podejrzana, a jednocześnie tym bardziej odległe wydawało mu się jej rozwiązanie.

– Kompletnie mu nie wierzę. – Pierwsza odezwała się Grażyna. – Kręci i tyle.

– Tylko po co nas tam w ogóle ściągnął? – Plewiński dyszał za kierownicą z wściekłości. – Na pewno nie po to, żebyśmy mu pomogli odzyskać ten cholerny obraz. Sprzedał go pewno za granicę, a w zapisie stało chyba, że nie może. I teraz, po dwóch tygodniach, jak już obraz wyjechał z Polski, próbuje coś ściemniać.

– Jak ten obraz w ogóle wyglądał? – zainteresował się Wawrzyniec, który ich rozmowę puszczał trochę mimo uszu, bo coś mu mówiło, że jest totalnie nieszczerą. – Są jakieś zdjęcia czy coś?

– Już panu mówiłem, że ona nie pozwoliła go nigdy sfotografować do katalogu – zniecierpliwiał się marszand.

– Tak, to mi pan już mówił, ale jakieś inne zdjęcia, z wystawy, z wernisażu, z czegokolwiek. Nie wierzę, że pan nigdy nie sfotografował obrazu, który jest tyle wart. – Wawrzyniec rzeczywiście nie wierzył Plewińskiemu, ale akurat tutaj przeczuwał, że jest w tej sprawie jeszcze coś, czego nie rozumie.

– No to będzie pan musiał pozostać w tej niewierze – skomentował marszand cicho, jakby mówił do siebie.

– Czemu? – Wawrzyniec odwrócił się do Grażyny. – Czego ja nie rozumiem?

– Nie pozwalała fotografować. – Grażyna wzruszyła ramionami. – Generalnie nie pozwalała, mówiła, że jej tych obrazów ubywa, jak ktoś fotografuje. Nawet nie, że jej ubywa, tylko że im ubywa.

– Im? – Wawrzyniec nie spuszczał z niej oka.

– No im, tym obrazom, że będzie ich jakby potem mniej dla innych. Trochę jak z tymi Indianami, co nie chcą się fotografować, żeby im duszy nie skradło. – Grażyna zamilkła na moment. – Zresztą nie wiem, to wariatka była ogólnie.

Grażyna była szczególną kobietą, a najbardziej pociągający był w niej chłód. Z pełnym przekonaniem można było założyć, że w momencie erotycznej kulminacji najprawdopodobniej wbijała zęby w aortę i wysysała krew z samca, który akurat dostąpił zaszczytu znalezienia się z nią w jednym łóżku. Femme fatale o czerwonych włosach i twarzy gładkiej jak lico Kleopatry.

– Jeśli to nie kłopot, chciałbym wysiąść przy Staszica. – Wawrzyniec uśmiechnął się do swoich myśli.

Jechali Alejami 3-go Maja od Równi Krupowej. Oni dalej, zdaje się, kierowali się na Olczę. On zastanawiał się, czy Grażyna sypiała z marszandem? Raczej mało prawdopodobne, bo ten już by nie żył.

– Z czego pan się śmieje? – zapytała Grażyna.

– Nie, tak mi się coś tylko przypomniało – odpowiedział Wawrzyniec, nie odwracając się nawet do niej. Swoją drogą, zastanowiło go przy okazji, skąd wiedziała, że się uśmiechnął.

– Może się pan jednak z nami podzieli – cisnęła, a on miał całkowitą pewność, że wyobrażeniem o niej w łóżku z Plewińskim akurat z całą pewnością nie chce się podzielić.

Po tym, jak chwilę później wysiadł na rogu Alej 3-go Maja i Staszica, stał chwilę i patrzył za oddalającym się mercedesem marszanda. W nosie, na dłoniach, na ubraniu, na skórze nawet czuł zapach jej perfum, a może nawet czegoś więcej, co ukryte było pod spodem. Feromony? Zawsze miał sceptyczny stosunek do tej naukowej nowinki. Ludzie dobierają się wedle feromonów – w jego przypadku teza ta brzmiała nieco niedorzecznie, bo miał w życiu już tyle kobiet, że nie starczyłoby feromonów na obsłużenie wszystkich

jego relacji. A poza tym, przyszło mu do głowy, rzeczywiście były to chyba setki razy, ale czy choć raz ten dobór wywarł na nim jakiegokolwiek piętno, czy choć raz chciał pozostać z kobietą na dłużej niż dwa, trzy miesiące? Może zatem, mimo setek kobiet, z żadną nie był tak naprawdę na dobre? Może zatem feromony, przynajmniej do tej pory, nie odegrały swojej roli? I wciąż pozostawał sam w sobie i ze sobą, z czym, czy raczej z kim, wcale nie było mu tak do końca dobrze. Tak rozmyślając, zmierzał w stronę Krupówek, a potem jeszcze kilkadziesiąt metrów w górę, żeby wejść do przytulnego lokalu. Herbata wypita u dziwnego Łukasza, któremu ukradziono obraz, którego być może nigdy tak naprawdę nie miał, napełniała go przez chwilę odrobiną rozluźnionej ekscytacji, ale teraz całe to uczucie sprowadzało się już tylko do ćmiącego delikatnie bólu głowy i ogólnego osłabienia. Kiedyś z pięćdziesiątki spirytusu miał minimum godzinę przyjemności, a zejścia właściwie nie czuł, dziś przyjemności był może kwadrans, a po nim następował kilkugodzinny zjazd psychofizyczny. Nie miał na niego teraz siły, więc żeby uniknąć pogłębiającego się z każdą chwilą efektu obecności aldehydu octowego we krwi, musiał wlać w organizm kolejną porcję etanolu. Była to oczywiście droga donikąd, miał świadomość, że w końcu kiedyś kac musi nadejść, ale może lepiej, żeby jednak nie nadchodził w samym środku wietrznego popołudnia w opustoszałym o tej porze roku Zakopanem.

We wnętrzu było przytulnie, gdzieś w tle cicho brzdąkała gitara Pata Metheny'ego. Wawrzyniec usiadł tym razem od razu przy barze, zamówił piwo i wpatrywał się chwilę w szkło, delektując się widokiem bąbli powoli ulatujących w nicość.

– Pytała o ciebie – odezwał się Waldek zza baru.

Do tej pory wszystko odbywało się w milczeniu, więc dźwięk lekko zaskoczył Wawrzyńca.

– Kto? – zapytał.

– No ta z Dzianisza, nie pamiętam, jak ma na imię – dopowiedział Waldek.

– Monika. – Wawrzyniec wypowiedział jej imię i zasłuchał się w jego brzmieniu. – Ma na imię Monika.



– No może, pytała w każdym razie, powiedziałem, że nie wiem, czy i kiedy będziesz – uśmiechnął się barman. – Z tobą nigdy nie wiadomo.

– Na przyszłość, jeśli ona pyta, to mów, że zaraz się dowiesz i że na pewno będę! – zirytował się Wawrzyniec.

– Dobrze. Mówisz, masz. – Waldek znów się uśmiechnął, po czym wskazał głową w kierunku drzwi.

Czemu nie usłyszał, jak się otwierały? Wawrzyniec patrzył na Monikę w krótkiej kurtce do pół uda, spod której widać było nogi w ładnych czarnych rajstopach, i zastanawiał się, dlaczego nie usłyszał, skoro ciężkie drewniane drzwi zawsze otwierały się z głośnym skrzypnięciem.

– A jednak się objawiłeś. – Monika unikała jego wzroku, patrzyła w głąb kieliszka wina, który przed momentem jej zamówił.

Siedzieli teraz już przy stoliku w kącie sali najbardziej oddalonym od zgiełku miasta.

– Byłem z Plewińskim u tego byłego wspólnika Markowskich. – Wawrzyniec chciał zobaczyć jej oczy, a wiedział, że jeśli podejmie próbę flirtu, to ona dalej będzie unikała jego wzroku.

– Pan Łukasz, jak on się nazywa? – Monika w końcu spojrzała na niego.

– Nie wiem, ale jest dziwny jak cholera. – Wawrzyniec wykorzystał to skrzętnie. Ogólnie miał jakąś dziwną potrzebę zanurzania się w jej spojrzeniu: działało kojąco, a zarazem dodawało mu witalnej energii. Jak alkohol, pomyślał i uśmiechnął się.

– Nie zawsze taki był. Kiedy prowadzili jeszcze interesy i przyjeżdżał do nich do domu, zawsze elegancki, nawet w najgorszą pluchę w garniaku od Armaniego. Przystojny, zadbany, podobał się kobietom – wyliczyła Monika.

– To chyba nie on. – Wawrzyniec przypomniał sobie wielkiego faceta w swetrze zszytym chyba z pięciu. Rasputin, którego widział, nie pasował do żadnego garnituru.

– On, on, tylko później sfiksował. Myślę, że powinieneś trochę bardziej mu się przyjrzeć. – Monika znów wpatrywała się

w aksamitną czerwień w kieliszku. – Wiem, że był jakiś czas w psychiatryku, chyba w szpitalu wojewódzkim w Andrychowie.

– Kiedy? – zaciekawił się Wiślicki.

– Po tym, jak go Piotr wystawił, to go chyba przerosło. Bardzo zdolny człowiek, ale jakby z innej bajki trochę. – Monika wypła w końcu łyk wina.

Wawrzyniec patrzył na jej usta, potem na szyję, na długie palce, które pieśczośliwie obejmowały delikatne szkło kieliszka. Kolor paznokci idealnie komponował się z głęboką czerwienią wina.

– Myślę, że w tym szpitalu może coś więcej ci o nim powiedzą – dodała i spojrzała mu prosto w oczy. – Jeśli jesteś ciekaw.

Dziwnie się plotą ludzkie losy, pomyślał Wawrzyniec. Od wielu dni czuł, jak zapada się w tę sprawę, jak cała ta tajemnica go oplątuje, krępuje mu ruchy, kieruje nim trochę wbrew jego woli... ale też jakby nie do końca. Teraz zaangażował się w nią już tak bardzo, że prawie się nią dławił i choć zaczął myśleć, że chętnie by ją odpuścił, to wzięty pod włos przez Monikę, w której oczach tak lubił się zatapiać, odpuścić znów nie mógł.

– Pojadę – powiedział, a ona dopiła wino i spojrzała na niego łagodnie.

Kilka kieliszków później wyszli z baru i trochę bezwiednie ruszyli razem w stronę Halamy. Wawrzyniec nie pytał, nie sugerował, nie zwodził. Bardzo chciał, żeby poszli razem, bo choć się w niej nie zakochał, bo nie umiał, to jednak bardzo chciał z bliska i w miarę możliwości na leżąco patrzeć na jej usta i szyję, i dłonie.

– Jaka tak naprawdę była twoja relacja z nimi? – Wiślicki wiedział, że ryzykuje, bo wejście na tak cienki lód mogło spowodować, że Monika nie będzie chciała już z nim rozmawiać i potem nic nie da się już zrobić. Jednak czuł silną potrzebę dowiedzenia się czegoś jeszcze o Markowskich, a może bardziej jeszcze dowiedzenia się tego, co działo się między nią a Agnieszką.

– Czy ja wiem, chyba w miarę normalna – uśmiechnęła się, a on poczuł, że cienki lód pod jego stopami tężeje i ryzyko katastrofy powoli się zmniejsza.

Czyżby ona też chciała o tym mówić?, pomyślał.

– To znaczy, początkowo wydawało mi się, że to jest strasznie pokrecone. No bo jednak kobieta z kobietą, wcześniej nie miałam takich doświadczeń... Wszyscy jesteśmy trochę drobnomieszczanami w gruncie rzeczy. – Na twarzy Moniki pojawił się delikatny rumieniec. Tego jednak, czy wynikał z zawstydzenia, czy z wypitego wina, czy z wiatru, a może z narastającej ekscytacji Wawrzyniec nie wiedział.

– Ale potem jakoś zupełnie to oswoiłam, może ona mi w tym pomogła, może ogólnie klimat tego miejsca, który był zawsze totalnie odjechany... Więc wszystko, co zdarzało się tam, było jakby z innego świata. – Monika mówiła, a rumieniec nie zniknął.

– Kochałaś ją? – zapytał nagle, a w głosie, ku swemu zaskoczeniu, wyczuł nutę zazdrości.

– Nie, chyba nie – zamyśliła się Monika. – Ale bardzo to lubiłam, tęskniłam za tym, kiedy jej nie było.

Przez chwilę szli w milczeniu. Mieli minimalnie pod górę, a do tego od strony regli schodziły wciąż nowe i jakby wciąż coraz silniejsze podmuchy wiatru. Wawrzyniec pomyślał, że jakaś dziwna siła próbuje ich odpychać. Ale od czego?

– No, a potem kiedyś on nas nakrył – odezwała się nagle i niespodziewanie Monika.

– Nakrył? – trochę głupkowato zdziwił się Wawrzyniec.

– No, wszedł kiedyś po prostu nagle do sypialni. – Teraz rumieniec się powiększył. – Miał być na jakimś wyjeździe, chyba w Warszawie czy gdzieś, więc czułyśmy się absolutnie swobodnie. Myślę, że może się domyślał i trochę się na nas zaczął.

– I co z tego wynikło? – Wawrzyniec spojrzał czujnie na Monikę.

– Najpierw awantura, a potem... – Monika zawiesiła głos, dalej nie chciała już opowiadać.

Wawrzyniec odniósł wrażenie, że Monika od tego momentu zdaje się na jego wyobraźnię.

Doszli do wejścia. On puścił ją przodem, drzwi musiał im otworzyć zaspany pan Władek, który był chyba na tyle już przyzwyczajony do wszelkiego rodzaju dziwnych sytuacji, które

wydarzały się w tym budynku, że obecność kobiety przy boku Wawrzyńca nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia.

– Głodna? – zapytał Wawrzyniec, kiedy mijali zejście do kuchni.

Monika pokiwała głową. Zeszli na dół. W kuchni na piecu stały półmiski z daniami, których z różnych powodów nie zjedli pensjonariusze. Jeden z nich należał do Wawrzyńca, który w czasie, gdy tu była kolacja, pił akurat z Moniką wino w barze, ale inne były bezpieczeństwa. Mógł je wziąć każdy gość, który byłby równie wygłodzony jak oni, jeśli przyszedł w nocy do kuchni. Zjedli kolację w milczeniu i poszli na górę.

Kiedy Wawrzyniec otworzył drzwi od pokoju, okazało się, że w fotelu ustawionym w rogu pomieszczenia siedziała Ania.

– Cześć – zaczął Wawrzyniec, ale nie miał już pomysłu, co powiedzieć dalej.

– Cześć – odpowiedziała Ania całkiem swobodnie, zważywszy na okoliczności.

Z powodu narastającej konsternacji przez chwilę Wawrzyniec poczuł się jak zabetonowany.

– Pani Ania. – Monika rozładowała napięcie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. – Miło widzieć po latach.

– Panie się znają? – Wawrzyniec, choć już nieco rozluźniony, poczuł się teraz dla odmiany kompletnie skonfundowany.

– Tak, znamy się. – Ania uśmiechnęła się i wstała z fotela.

Teraz Wawrzyniec i Monika zorientowali się, że mimo raczej chłodnej pory dziewczyna ma na sobie krótką spódniczkę i T-shirt, pod którym nie było już nic.

– Pójdę już w takim razie, nie chcę przeszkadzać – dodała Ania z mieszkanką żalu i niespecjalnie zawołowanej pretensji w głosie i ruszyła w stronę drzwi.

Monika omiotła ją spojrzeniem i uśmiechnęła się tym uśmiechem, którym dojrzała, ale wciąż jeszcze bardzo atrakcyjna kobieta może czasami obdarzyć kobietę młodszą, lecz jeszcze nie aż tak atrakcyjną.

– Proszę zostać – powiedziała. – Zupełnie nam pani nie przeszkadza. Prawda? – Monika zerknęła na Wawrzyńca pytająco,

ale od razu widać było, że kompletnie nie interesuje jej w tej chwili jego odpowiedź.

– Zupełnie. – Wawrzyniec przełknął ślinę w zaschniętym gardle i pożałował, że nie weszli po drodze do sklepu nocnego, choćby po jeszcze jedną butelkę wina. Sytuacja była równie ekscytująca, jak krępująca; gdyby było wino, na pewno zrobiłoby się łatwiej.

Panie usiadły naprzeciw siebie i kompletnie straciły zainteresowanie jego osobą. Choć dalsza rozmowa toczyła się z jego udziałem, a nawet on tej rozmowie przewodził, gdy one raczej przyglądały mu się i odpowiadały na jego pytania, to dla każdej osoby, która znalazłaby się w tym momencie w pokoju jako obserwator, od razu jasne stałoby się to, że panie myślą wyłącznie o sobie nawzajem. Czy bardziej myślały o sobie jako o konkurentkach, czy bardziej były dla siebie obiektami dla namiętnych wyobrażeń, nie miało większego znaczenia. Ważne było to, że skupione były na sobie, a nie na nim. Przez kilka minut ten fakt denerwował Wawrzyńca, który usiłował nawet walczyć jeszcze o ich zainteresowanie. W końcu jednak zrezygnował i od tego momentu stał się już tylko cichym obserwatorem ich wzajemnych zmaganiań. Po godzinie wyszedł po wino, a kiedy wrócił, panie były zaróżowione na twarzach, a on zazdrośnie zachodził w głowę, czy już coś między nimi zaszło. Wkrótce okazało się, że jednak zdążył z winem na bachanalia. Panie przypomniały sobie o jego istnieniu i bez skrępowania poprosiły go, żeby się rozebrał. Gdy już to zrobił, cały czas czujnie się nawzajem obserwując, zajęły się jego cielesnością. Kiedy był gotowy, jako pierwsza rozebrała się też Ania, następnie dołączyła też Monika. Później cała trójka położyła się do łóżka i wtedy w końcu panie zajęły się tym, czym chciały się zająć od dwóch godzin, czyli sobą. Po tym, jak na jego oczach spełniły się nawzajem, Monika usiadła na nim okrakiem i, pieszczona przez Anię, doszła raz jeszcze, przy okazji doprowadzając do szczytu też i jego. Wszystko, co przeżył od początku do końca, od wejścia do pokoju, a może nawet od momentu, kiedy Monika pojawiła się w lokalu kilka godzin wcześniej, aż do eksplozji, która wstrząsnęła nim teraz, było absolutnie niewyobrażalnie wyczerpujące.

Natychmiast po tym Wawrzyniec zasnął snem tak głębokim, jakiego nie zaznał od dawna.

## 13.

Kiedy się obudził, w pokoju nie było już nikogo. Wszystko, co zdarzyło się poprzedniego wieczora, wydało mu się snem. Może nie tylko nie było tu już nikogo, lecz także nikogo nie było tu w ogóle, zastanawiał się, jedząc śniadanie, które zastał na biurku pod oknem. Przez kogo i kiedy przyniesione, nie miał pojęcia. Nawet jednak, gdyby rzeczywiście wydarzenia nocy mu się przyśniły, to i tak byłby to jeden z tych snów, których nie zapomina się nigdy. Po zjedzeniu Wawrzyniec włączył do prądu komórkę, która znów padła, nie wiadomo nawet kiedy. Następnie zalał sobie kawę instant kupioną poprzedniego dnia w Biedronce oddalonej od domu pracy twórczej o sto metrów. Kiedy zajaśniał ekran telefonu, sprawdził w internecie, jak dojechać do Andrychowa. Opcje były dwie. Albo sześć godzin autobusem z dwiema przesiadkami, albo pięć pociągiem z jedną przesiadką w Bielsku-Białej. Zważywszy, że w samym Andrychowie spodziewał się spędzić nie więcej niż trzy kwadransy, to podróżowanie tam przez pół dnia kompletnie mijało się z celem. Może zresztą podróżowanie tam w ogóle nie miało sensu, ale wczorajsza argumentacja Moniki była na tyle sugestywna, nawet jeśli jedynie mu się przyśniła, że Andrychów wydawał mu się teraz absolutną koniecznością. Wawrzyniec zerknął raz jeszcze na mapę Google'a. Teraz kliknął w ikonkę samochodu. Czas dojazdu skrócił się znacząco, przy własnym transporcie wynosił dwie godziny. Też niemało, ale jednak ponad dwa razy krócej, pomyślał. Tyle tylko, że gdyby pojechał tam pociągiem bądź autobusem, to po wizycie, która pewnie niewiele wniesie do sprawy, może wreszcie otrząsnąłby się z tego wszystkiego i wróciłby od razu do Warszawy. Pożyczenie samochodu wiązało się natomiast z tym, że prawdopodobnie trzeba by go oddać w Zakopanem, czyli znów przyjechać tutaj. Czy jednak, szczególnie po tym, co przeżył ostatniej nocy, powrót do targanego wciąż wiatrem miasta nie był mu przypadkiem na rękę? Skąd zatem wziąć samochód? Zastanowił

się chwilę. Mógłby spróbować pożyczyć auto od któregoś z kolegów, ale wtedy jest to zobowiązanie, a poza tym jedzie się jak na szpilkach, żeby nie przytrzeć, żeby nie popsuć... Bez sensu, stwierdził. Pozostają wypożyczalnie, jedna na dworcu kolejowym, druga bliżej, przy drodze do Kuźnic. Czuł się mocno zmęczony wydarzeniami ostatniej nocy, więc spacer pozwalający na dotlenienie zajechanej wątroby nie był złym pomysłem. Tylko czemu wciąż wiało?

Do wypożyczalni przy ulicy Przewodników Tatrzańskich doszedł w pół godziny. Teraz wiatr znów był ciepły. Przez ostatnie dwa dni rozpuścił wszystko to, co wcześniej napadało, a teraz suszył pozostałości. Spod zimy ukazały się pożółkłe i przygniecione do ziemi trawy, wszystko tchnęło jeszcze zeszłorocznym zmęczeniem, ale pojawiała się też wokoło witalność i nadzieja nadchodzącej wiosny.

Wypożyczalnia nie należała do ogólnoswiatowej sieci – na szczęście, pomyślał Wawrzyniec, dzięki temu dało się w ogóle coś uzgodnić i było z kim negocjować, bo firmę obsługiwali ludzie, a nie prawnicza nowomowa. Skoda octavia była nieco droższa od opcji najtańszej, ale żona właściciela szybko go na nią namówiła, zapewniając, że komfort będzie nieporównywalny. Tymczasem on czuł się tak zmęczony, że przez moment przyszło mu nawet do głowy, że może nie powinien w ogóle jechać, bo jak zaśnie za kółkiem, to nawet octavia ze swoim komfortem go nie uratuje. Ruszył jednak około czwartej. Droga ładna, właściwie cały czas wśród wzniesień. Zasnąć się raczej nie dało, bo wciąż musiał być skupiony: dużo zakrętów, czasem wąsko, ciężarówka z naprzeciwka, a już po godzinie drogi zrobiło się ciemno, więc budziły go również oślepiające światła z tyłu i z przodu. Poza tym pojechał przez Witów i po drodze odbił na Dzianisz. Chciał ją zobaczyć, ale nawet bardziej jeszcze chciał sprawdzić, czy dojechała bezpiecznie i jak dziś wygląda. Czyżby jednak była to troska?

Monikę zastał w kościele, stroiła go bukietami do jutrzejszej mszy. Wyglądała pięknie, ale nie śmiał pytać o to, co wydarzyło się wczoraj, bał się w ogóle nawet o tym myśleć.



– Pojedziesz ze mną do Andrychowa? – zapytał, kiedy wyszli w rześkie wieczorne powietrze przed kościołem.

Pachniało wiosną, a w każdym razie końcem zimy. Wiatr chwilowo ustał, ale tak nagrzał ziemię, że teraz parowała delikatnie zapachem mchu, grzybów i wilgocią gleby.

– Zapytam proboszcza, jutro chrzciny, mogę być potrzebna – odpowiedziała.

Z kimś mu się kojarzyła, wiedział to od początku, od tamtej nocy, kiedy spotkał ją tu po raz pierwszy. Z kimś mu się kojarzyła, ale z kim? Nie było w jego życiu przecież kobiety, która odcisnęłaby w pamięci piętno na tyle głębokie, żeby później kojarzyły mu się z nią inne. Matka? Ona akurat odcisnęła w jego pamięci piętno najmniejsze. Może to wszystko w ogóle dlatego? Może to przez nią ta pustka, to zagubienie, ciągnęła potrzeba ucieczki od jednej do drugiej, do piątej i pięćdziesiątej. Jak one miały w ogóle na imię?

– Dobrze, ale wrócimy jutro przed dwudziestą. – Monika wyszła z plebanii gotowa do drogi, ze sportową torbą przerzuconą przez ramię.

– Wrócimy. – Pokiwał głową.

Zanim tu przyjechał, łudził się wciąż, że samochód odda w Krakowie i stamtąd ruszy w drogę powrotną do Warszawy. Wziął ze sobą nawet wszystkie rzeczy, opuścił pokój w Halamie, pożegnał się z kierowniczką. Do Dzianisza pierwotnie skierował się tak naprawdę z zamiarem pożegnania się z Moniką. Kiedy jednak ją zobaczył, od razu przypomniał sobie, że nie może wyjechać, dopóki nie dokończy sprawy. Z jakiegoś powodu znalazł się przecież na tym czerwonym szlaku, kiedy to wszystko się stało. Po coś jechał do tego cholernego Andrychowa. Po co? Tego akurat zbyt dokładnie nie wiedział, ale przecież nie można w życiu wiedzieć wszystkiego, stwierdził w myślach.

– Opowiedz mi jeszcze coś o nich. – Po raz pierwszy odezwał się, kiedy za Jordanowem wjechali na zakopiankę, czyli mniej więcej po pół godzinie jazdy.

Ciekawe swoją drogą, że tak długo mógł jechać z nią w milczeniu i kompletnie mu to nie przeszkadzało. Jej chyba zresztą też nie.

– O nich? – uśmiechnęła się po chwili. – Fajni ludzie. Z jednej strony stworzeni dla siebie, z drugiej, kompletnie do siebie niepasujący. To znaczy, może po prostu stworzeni, a całe to niedopasowanie stworzyli już sami.

– Po co? – Wawrzyniec skończył wyprzedzanie ciężarówki na dość krótkiej prostej pod górę.

Ryzykowny manewr, jak większość w jego życiu.

– Czy ja wiem, może ze strachu, że im się nie uda? – Monika wyglądała przez boczną szybę w nieprzeniknioną ciemność nocy. – Czasem ludzie, na przykład z lęku, że kogoś tracą, zdradzają go z kimś innym albo zabijają się ze strachu przed śmiercią. Może chodzi o to, żeby się oswajać.

– Oswajać...? – zapytał.

Wawrzyniec zerknął na nawigację, do Andrychowa mieli dojechać za godzinę, a on już ledwie widział na oczy. Przez moment przeszło mu przez myśl, żeby jednak spytać o wydarzenia z ostatniej nocy, ale jednak zrezygnował. Ten rodzaj niepewności był nawet ciekawszy.

– No, oswajać, przecież w końcu i tak trzeba się będzie rozstać, więc może oswajali to rozstanie ostateczne na raty przez całe życie – odezwała się po chwili namysłu Monika.

– Myślisz, że tam, w górach też byli oswajać? Myślisz, że... – Wawrzyniec nie zdążył dokończyć, bo w tym momencie kilkanaście metrów przed maską zobaczył w ciemności ogromne oczy świecące na wysokości jego twarzy.

Nacisnął gwałtownie hamulec. Na szczęście ani za nim, ani z naprzeciwka nic w tym momencie nie jechało, bo samochód wpadł w boczny poślizg i sunął teraz w kierunku świecących oczu w poprzek kierunku jazdy. Kiedy wreszcie się zatrzymał, Wawrzyniec z odległości kilkudziesięciu centymetrów zobaczył przez boczną szybę pysk sarny. Zwierzę popatrzyło na niego przez sekundę, po czym odbiegło w bok i zniknęło w ciemności lasu.

– Oswajanie – powiedział Wawrzyniec.

Nie bardzo nawet wiedział, do czego się w tym momencie odnosi. Po chwili odpalił silnik, który zgasł w trakcie ślizgania się po lodowej powierzchni drogi, i ruszył. Odjechał kawałek i stanął na

poboczu. Monika włączyła światła awaryjne, a on oddychał ciężko, próbując dojść do siebie. Adrenalina w kilka sekund wypłukała z niego siły witalne tak bardzo, że z trudem utrzymywał głowę w pionie.

– Myślę, że nie – odezwała się w końcu Monika, a widząc, że on nie ma pojęcia, o co jej chodzi, wyjaśniła: – Myślę, że nie poszli w góry po to, żeby tam zginąć. O to chciałeś zapytać?

Wawrzyniec pokiwał głową. Chwilę później ruszyli w dalszą drogę.

## 14.

Do Andrychowa dotarli po siódmej wieczorem, czyli na wizytę w szpitalu psychiatrycznym było już zbyt późno. Wawrzyniec, podejmując decyzję o wyjeździe, zajął się wyłącznie kwestią transportu i może dlatego, że planował ucieczkę z Zakopanego, zupełnie nie pomyślał o noclegu. W związku z tym stali teraz na opustoszałym rynku w Andrychowie i zastanawiali się, co dalej ze sobą zrobić. W końcu on wyjął komórkę, żeby poszukać czegoś w internecie, ale ta, jak zwykle zresztą, okazała się rozładowana. Monika wyciągnęła swój telefon.

– Zajazd Złota Rybka? – uśmiechnęła się, czytając nazwę na stronie Bookingu.

– Spełniają życzenia? – Wawrzyniec wciągnął głęboko w płuca wiosenne powietrze nocy.

– Kto wie – odpowiedziała i przełączyła się na mapę lokalizacji. – Dwa kilometry stąd. Na piechotę czy samochodem?

W recepcji długi czas nie było nikogo. W końcu pojawiła się kobieta, na oko osiemdziesięcioletnia, która nie znała się na internecie i za nic nie dawała się przekonać do tego, że cena zawarta w ofercie zamieszczonej w sieci jest obowiązująca. Ona miała podyktowaną inną i musieli albo się do niej dostosować, albo poszukać innego hotelu. Wybrali opcję pierwszą, uznawszy, że ostatecznie cena nie różniła się aż tak bardzo. Wawrzyniec wynajął dwa pokoje, co z perspektywy wydarzeń ostatnich dni mogło się wydawać dziwne, ale jakoś w tym miejscu wydało mu się naturalne. Jako naturalne przyjęła to zarówno Monika, jak i oczywiście osiemdziesięcioletnia recepcjonistka. Może to głównie zresztą ze względu na nią Wawrzyniec podjął taką, a nie inną decyzję. Kiedy wchodził do swojego pokoju, miał jeszcze plan odwiedzenia Moniki śpiącej naprzeciwko, ale położył się na moment na łóżku i obudził go dopiero chłód wdzierający się do pokoju nad ranem przez uchylone okno. Dziwnie się układały ścieżki ostatnich tygodni: mało

było w nich konsekwencji, a jeśli coś się wydarzało, to nie w logicznym następstwie czegoś, co to poprzedziło, a raczej wskutek jakiegoś przypadkowego zrządzenia losu, pomyślał po przebudzeniu.

Rano usiedli razem na dole, żeby w milczeniu zjeść pensjonatowe śniadanie. Nie wyczuwał niespełnionych oczekiwań, za to oboje w końcu wydawali się wypoczęci. Monika uśmiechała się, jedząc plastry melona. Wawrzyniec pomyślał nagle zupełnie nedorzecznie o tym, jakby to było, gdyby była jego żoną.

– Pójdiesz tam sam? – poprosiła Monika, kiedy ruszyli samochodem w stronę centrum Andrychowa.

– Pójdę. – Pokiwał głową Wawrzyniec.

– Nie znoszę takich miejsc – wytłumaczyła, choć on wcale tego od niej nie oczekiwał. – Boję się. Nigdzie się tak nie boję, jak tam.

– Rozumiem – uśmiechnął się. – Obłąd gorszy od śmierci.

– Chyba tak – zgodziła się z nim.

„Misją szpitala jest ochrona stanu zdrowia psychicznego, które jest fundamentalnym dobrem osobistym każdego człowieka”. Wawrzyniec stał w holu głównym szpitala i czytał napis w przeszklonej gablocie.

– Pan szuka...? – Męski głos za plecami przerwał mu lekturę.

– Szukam... czy ja wiem... – Wawrzyniec obejrzał się za siebie i zobaczył niziutkiego człowieczka w białym kitlu. – Może ordynatora.

– Ordynator będzie później, zawsze jest później, jeśli w ogóle – odpowiedział tamten. – Zastępca jest.

– A gdzie go znajdę? – Wawrzyniec odsunął się krok do tyłu, dzięki temu nie patrzył już na rozmówcę tak bardzo z góry.

– O tej porze? – Mężczyzna w kitlu zerknął na zegarek, który wydał się Wawrzyńcowi nieproporcjonalnie duży w stosunku do jego wzrostu. – Na psychozach, obchód mają. Tam pan pójdzie, tamtą klatką na drugie piętro, zadzwoni pan, ktoś otworzy. – Mężczyzna wskazał w stronę końca długiego korytarza.

– Dziękuję. – Wawrzyniec skłonił się lekko i ruszył we wskazanym kierunku.

Ani na korytarzu, ani potem na klatce nie spotkał nikogo. Ogólnie szpital wyglądał na wymarły. Inna rzecz, że specyfika tego rodzaju szpitali jest taka, że pacjenci rzadko kręcą się swobodnie po korytarzach i klatkach schodowych, pomyślał Wawrzyniec, tkwią raczej zamknięci w pokojach bez klamek, na piętrach bez drzwi, bo stan ich zdrowia psychicznego jest dobrem osobistym człowieka. Wawrzyniec uśmiechnął się do siebie w myślach. W drzwiach prowadzących na oddział na drugim piętrze na zbrojonej drutem szybie, pomalowanej prawie nieprześwitującą farbą, napisana była litera F. Mało informacyjne, pomyślał Wawrzyniec i wcisnął czerwony guzik umieszczony obok drzwi.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo, w końcu, kiedy po kilkukrotnym wciśnięciu guzika chciał się już oddalić, drzwi nagle otworzyły się ze skrzypnięciem i stanęła w nich otyła kobieta w białym czepku.

– Co tak dzwoni, pożar jest? – Kobieta patrzyła niby na niego, a jakby obok.

– Nie. – Wawrzyńcowi nie chciało się tłumaczyć. – Szukam zastępcy ordynatora. Podobno powinien tu być.

– Zastępczyni chyba. – Kobieta w czepku teraz spojrzała mu w oczy, ale wciąż czuł, że nie patrzyła na niego.

Tak jakby nie mogła trafić... A może ma zezą rozbieżnego, ale wtedy jedno oko powinno trafiać, a drugie nie. Może niedowidzi, zastanawiał się Wawrzyniec.

– Może zastępczyni, to nie ma wielkiego znaczenia – uśmiechnął się.

– Wejdzie. – Kobieta odchyliła drzwi szerzej. – Poczekaj tu. – Wskazała na krzesło ustawione prawie przy samej zbrojonej szybie. – Tylko niech nie gada z nimi, łatwo się wściekają. – Pokazała na krążących po korytarzu ludzi w szlafrokach albo w samych koszulach szpitalnych.

– Dobrze – odpowiedział Wawrzyniec i poczuł się trochę nieswojo.

Po minucie podeszła do niego kobieta w trudnym do sprecyzowania wieku.

– Pan chciał ze mną rozmawiać – stwierdziła i usiadła na krześle obok niego.

– Nie wiem, czy z panią, szukam kogoś, kto mógłby mi coś powiedzieć o pacjencie, który był u państwa jakiś czas temu – bardziej zapytał, niż stwierdził Wawrzyniec.

Kiedy to mówił, zerknął na kobietę parokrotnie i wciąż nie umiał określić jej wieku, nawet w przybliżeniu.

– Może mogłabym coś panu powiedzieć, chociaż nie powinnam, ale przede wszystkim o kim? – uśmiechnęła się i teraz wyglądała zdecydowanie na czterdzieści, a może nawet mniej lat.

– A tak, oczywiście. – Wawrzyniec pokiwał głową. – Chodzi mi o Łukasza Trebunia, pacjenta z...

– Z Zakopanego – dokończyła lekarka.

Zafrasowała się przy tym nagle głęboko, co od razu sprawiło, że teraz wyglądała znów zdecydowanie na sześćdziesiąt lat.

– Tak, z Zakopanego – potwierdził zaskoczony trochę Wawrzyniec.

– No więc, tak jak wspomniałam, nie powinnam panu nic mówić, prawo zabrania, to jest tajemnica lekarska... – kobieta westchnęła.

Wawrzyniec przez moment nie wiedział, co ma dalej zrobić. Wokoło cały czas, zataczając coraz ciaśniejsze kręgi, chodzili ludzie w szlafrokach albo w samych piżamach. Jeśli ta kobieta w nieokreślonym wieku domaga się łąpówki, to jak miałby ją w tej sytuacji wręczyć, zastanawiał się, popatrując to na nich, to na nią.

– Ale panu powiem, bo dobrze panu patrzy z oczu – skwitowała.

Wstała na chwilę i bez słowa, szerokimi gestami ramion odgoniła grupkę tłoczących się wokół nich chorych. Kiedy usiadła znowu, przez moment jeszcze nad czymś się zastanawiała, w końcu spojrzała na Wawrzyńca i znów się uśmiechnęła, ale teraz jakby smutniej.

– Skierowany na obserwację psychiatryczną po tym, jak próbował powiesić matkę i żonę, pozorując rozszerzone samobójstwo – zaczęła.

– A skąd wiadomo, że pozorował? – zapytał logicznie Wiślicki.

– A stąd, że im to powiedział, a one przeżyły tylko dzięki temu, że zjawili się sąsiedzi. Potem przekazały to policji, a policja przekazała to nam. – Pokiwała głową lekarka, jakby tym ostatnim zdaniem potwierdziła przy okazji też coś samej sobie, po czym dodała: – Mieliliśmy ocenić jego poczytalność.

Lekarka umilkła, a odgonieni na chwilę pacjenci znów zaczęli się z wolna do nich zbliżać.

– I? Jak oceniliście? – Wawrzyniec w końcu zdecydował się dopytać, bo miał poczucie, że czas ich spotkania nieuchronnie dobiega końca.

– Schizofrenia paranoidalna w fazie wytwórczej, z dużą zdolnością adaptacyjną i możliwością szybkiej oceny sytuacji. – Lekarka już się nie uśmiechała.

– Co to znaczy? – Mężczyzna próbował zrozumieć cokolwiek.

– Znaczy, że mógł zabić, bo coś mu się ubzdurało, ale już sama czynność zabijania, tworzenie alibi i temu podobne rzeczy, czyli racjonalizacja okoliczności, przebiegały lepiej niż w przypadku przeciętnej osoby. Idealny kandydat na seryjnego zabójcę, którego bardzo trudno byłoby rozgryźć, bo działa na podstawie absurdalnych motywacji. – Kobieta przerwała, żeby upewnić się, czy Wawrzyniec podąża jeszcze za jej tokiem myślenia, po czym dodała: – Normalnie człowiek zabija z jakiegoś powodu, ustalenie motywacji bywa kluczem do tego, żeby dopaść zabójcę. Chory, taki jak Trebuń nie ma powodu. Nie potrafił ani wyjaśnić, ani zrozumieć, dlaczego chciał zabić te kobiety. No, ale jakby mu się udało, to wyszłoby, że popełniły samobójstwo i tyle.

– To czemu on wyszedł od was, czemu znów mieszka z matką? – Wawrzyniec nie mógł tego pojąć.

– Bo matka za niego ręczyła, bo mu się poprawiło po lekach, bo choroba miała remisję... – Lekarka wymieniała powody bez przekonania, w końcu zamilkła, ewidentnie nie postawiwszy kropki.

Wawrzyniec popatrzył na nią w oczekiwaniu.

– Bo były naciski na ordynatora, żeby go puścić do domu, więc poszedł – dokończyła, a Wawrzyniec zrozumiał, że więcej nie wie, a nawet jeśli, to i tak mu tego nie powie.



Chwilę siedzieli w milczeniu, pacjenci zbliżyli się już do nich na wyciągnięcie ręki, a ona nie miała siły ich odganiać. W końcu jeden z nich usiadł obok Wawrzyńca.

– Ene due like fake torba borba ósme smake deus deus kosma teus i morele...? – Mężczyzna w szlafroku popatrzył na Wawrzyńca.

– Baks? – odpowiedział Wiślicki.

Tamten pokręcił głową, po chwili wstał i zaczął się śmiać.

– Jak pani tu wytrzymuje? – Wawrzyniec popatrzył ze zdumieniem na lekarkę.

W tym momencie zrozumiał, dlaczego nie mógł wcześniej określić jej wieku. Lekarka tak bardzo wrosła już w to, co ją tu otaczało, że zmiany wyglądu były dla niej rodzajem kamuflażu, który pozwalał jej zarazem tu być i nie być. Prawdopodobnie kiedy się starzała, jej głębsze „ja” opuszczało to miejsce i dryfowało gdzieś, gdzie mogło przeczekać najgorsze. Lekarka, zamiast odpowiedzieć, po chwili pokiwała po prostu głową i się uśmiechnęła.

– To może lepiej, że on jednak wrócił do matki – zastanowił się Wiślicki.

– Może lepiej, o ile rzeczywiście wrócił – odpowiedziała nieco enigmatycznie lekarka, po czym wstała i odeszła w głąb korytarza.

Wawrzyniec obserwował ją chwilę, aż w końcu zniknęła, wtopiwszy się w otoczenie.

Łukasz Trebuń próbował zabić i wprawdzie nie miał pojęcia, dlaczego to robi, ale za to robił to w bardzo przemyślany sposób. Lawina była nader przemyślanym sposobem, stwierdził Wawrzyniec, po czym wstał i ruszył do wyjścia.

Monika czekała w kawiarni na rynku. Nie rozmawiali o szpitalu. Ona nie pytała, on nie chciał jej męczyć. Po dwóch godzinach wsiedli do samochodu i ruszyli z powrotem do Dzianisza. W drodze zatrzymali się jednak jeszcze raz w Makowie Podhalańskim. Zasadniczo chodziło o to, żeby zjeść, ale skończyło się na wynajęciu pokoju. To, co nie wydarzyło się w Andrychowie, tutaj wybuchło z potrójną siłą. Kochali się, a potem spali i kochali się znowu. W końcu opuścili zajazd przed siódmą wieczorem i zgodnie z umową Monika wróciła na plebanię w Dzianiszu przed nocą.

– Dobrze, że zginęli razem – odezwała się Monika, kiedy dojeżdżali już przed drewniany kościół. – Każde inne wyjście byłoby kompletnie nielogiczne.

– Czemu? – zainteresował się Wawrzyniec.

– A tak już nie są dwoje, a jedno ciało – uśmiechnęła się Monika.

– Monada: coś, czego nie tylko człowiek, ale też Bóg nie mógł już rozłączyć, nawet gdyby chciał.

– Przyjedziesz do mnie?

Wawrzyniec patrzył na jej delikatnie spierzchnięte usta i nagle przyszło mu do głowy, że bardzo chciałby znów zwilżyć je swoim pocałunkiem. Od bardzo dawna wobec żadnej kobiety nie czuł takiej potrzeby, a może w ogóle nigdy do tej pory nie czuł czegoś takiego, pomyślał przelotnie. Takiego dictum jednak wolał w tej chwili unikać.

– Dokąd i czemu? – zapytała.

– Do Zakopanego... – zaczął. – Bo chciałbym móc cię pocałować – dokończył po chwili, trochę może nawet wbrew sobie.

– Miałaś wyjechać – odpowiedziała, a on dostrzegł na jej policzkach delikatny rumieniec.

– Miało mnie tu w ogóle nie być, ale jestem i pewno jeszcze jakiś czas pobędę – uśmiechnął się.

– Jakiś czas pobędziesz, a potem... – Urwała i ruszyła w stronę wejścia na plebanie.

Nie odwróciła się już, a on po chwili wsiadł do samochodu i ruszył w stronę grani Gubałówki i dalej, w dół do Zakopanego.

## 15.

Kiedy dojechał pod Halamę, było wpół do dziewiątej wieczorem. Mógł zostać w mieście, ale wtedy pewno poszedłby znów na dół do jednego z barów na Krupówkach, a trochę szkoda było mu na to czasu i zdrowia, więc zdecydował, że od razu pojedzie z powrotem do Murzasichla, do domu Łukasza, żeby tam wyjaśnić to, co chodziło mu po głowie od momentu wizyty w andrychowskim psychiatryku.

Śnieg padał tak gęsty, że ledwo było widać drogę. Samochód prawie na każdym zakręcie lekko zarzucało. Każdy przy zdrowych zmysłach wycofałby się i wrócił do sprawy kolejnego dnia rano, ale Wawrzyniec nie był do końca przy zdrowych zmysłach, a poza tym kochał śnieg i uwielbiał nieco ryzykowną jazdę samochodem.

Znów ta dojmująca cisza. Odkąd to wszystko się wydarzyło, wciąż albo huczało od wiatru, albo na świecie zapadała cisza padającego śniegu.

W domu w Murzasichlu było ciemno, więc przez dobrą chwilę wahał się, czy w ogóle pukać do drzwi. Jeśli jednak jechał już taki kawał, to musiał sobie udowodnić, że zrobił to przynajmniej po części w jakimś celu. Zapukał po chwili stania pod drzwiami, ale zrobił to cicho i nienatarczywie. Chodziło mu o to, że jeśli domownicy już śpią, to w ten sposób na pewno ich nie obudzi. Jeśli zaś nie śpią...

– Co jest? – Drzwi otworzyły się gwałtownie, a schrypnięty głos matki Łukasza odezwał się z czeluści totalnego mroku.

– Przyszedłem do Łukasza, to znaczy: do pana Łukasza. – Było tak ciemno, że Wawrzyniec mówił, próbując w magmie czerni wcelować w rozmówcę, a właściwie w rozmówczynię.

– Łukasza ni mo. – Odpowiedź nadeszła po dłuższej chwili i z trochę innego kierunku, niż się spodziewał.

– A kiedy będzie, jeśli można wiedzieć? – Wawrzyniec starał się być maksymalnie kulturalny. Cały czas ciążyła mu świadomość, że

zjawił się, jak na warunki wiejskiego obejścia, raczej dość późno.

– Wyjechał do Anglii, nie wim, kiela wróci. – Nagle w mroku zajaśniało, matka Łukasza znalazła najwyraźniej włącznik światła.

Nie wyglądała zbyt zachęcająco, i to nawet nie jako kobieta. Nie wyglądała zachęcająco jako człowiek. Włosy skołtunione, bardziej nawet niż poprzednim razem, kiedy był tu z Grażyną i Plewińskim, cera szara, policzki podpuchnięte i jakby gąbczaste. Gdzieniedzie na twarzy zauważył delikatny zarost.

– Pon wejdzie – odezwała się nagle cicho. – Coś powiem.

Wejść czy nie wejść, oto jest pytanie, nasunęło się Wawrzyńcowi na myśl. Zasadniczo nie bał się ludzi, nie miewał obaw z nimi związanych. Czasem opanowywał go lęk niczym nieuzasadniony i przez to niemożliwy do opanowania, ale to było coś innego. Ludzi czy czegokolwiek właściwie, co istniało na zewnątrz, poza nim i jego umysłem, nie bał się prawie nigdy. Teraz jednak poczuł delikatne mrowienie. A oprócz tego – ciekawość... Tak, ta siła była znacznie bardziej przemożna, otrzepał więc buty ze śniegu i wszedł do wiatrołapu oświetlonego niczym nieosłanianą żarówką. Drzwi zamknęły się za nim, jakby obsługiwał je jakiś automat. W tym domu było to z pewnością niemożliwe.

Kobieta poszła przodem.

– Pon się nie boi – odezwała się po chwili, przesuwając jakieś wiadro, które wyrosło im nagle na drodze. – Ksywdy tu nie robimy.

Głowy bym nie dał, pomyślał Wawrzyniec. Z drugiej strony, jak się powiedziało A i automat, którego nie było, zamknął za sobą drzwi, to teraz już trzeba przejść cały alfabet aż do końca.

– Łukas tego nie zrobił. – Kobieta odwróciła się do niego i włączyła światło w kuchni, która jak zauważył teraz Wawrzyniec, była też przy okazji izbą mieszkalną.

– A skąd taki pomysł, że ja... – zaczął Wawrzyniec.

– Nie tróćmy casu – uśmiechnęła się, ukazując wyraźne braki w uzębieniu.

Kiedy był tu dwa dni wcześniej, za dnia, owych braków jakoś nie zauważył, a może co innego wtedy przykuwało jego uwagę.

– Napijecie się samogonu? – zapytała wprost.

– Nie bardzo, wie pani, samochodem przyjechałem – odpowiedział, rozglądając się jednocześnie wokoło.

– To jutro pojedziecie – odrzekła.

Sekundę później sięgnęła po butelkę zatkaną szmatą, co upodabniało ją nieco do butelek rzucanych przez młodych powstańców na niemieckie „tygrysy”. Co za niedorzeczna myśl? Jednocześnie Wawrzyniec czuł się tu tak absurdalnie, że każdy pomysł na interpretację wydarzeń był właściwie uprawomocniony.

– Wolałbym jednak pojechać dziś – odpowiedział.

– No ale wtedy nic wam nie powim, a przeca chceta wiedzieć – rzuciła, rozlewając jednocześnie do ewidentnie używanych wcześniej kubków coś, co prawdopodobnie mogło być spokojnie użyte jako koktajl Mołotowa.

Kiedy już pił, przyszło mu do głowy, że w sumie nie ma znaczenia, co wcześniej znajdowało się w tych kubkach, bo alkohol był stężony do granic chemicznej możliwości, więc brudne wnętrza kubków po kontakcie z nim i tak już stało się jałowe, tak samo jak jego przełyk sekundę po przejściu przezeń ognia tego samogonu.

– To Łukasowe – zaśmiała się, widząc jak Wawrzyniec robi się purpurowy na twarzy. – Mo talent, co?

Wawrzyniec pokiwał głową. Nie mógł odpowiedzieć, bo chwilowo nie był w stanie zaczerpnąć powietrza, więc to, co zaciągnął wcześniej do płuc, wolał zostawić na później.

– Mos, bo mi się tu jesce udusis. – Kobieta podała mu butelkę z piwem.

Popił. I tak dusił się jeszcze dobrą minutę, ale w końcu udało mu się zassać minimum powietrza potrzebne do przeżycia.

– Łukasz jest wariat trocha, nie powim. – Matka zaciągnęła się wonią z używanej już po wielokroć w tym celu kromki chleba, po czym sięgnęła po zatuszczoną paczkę papierosów. – Chcioł mie powiesić w stodole. Polis?

Wawrzyniec nie pamiętał, żeby przechodzili na ty, ale teraz to akurat miało najmniejsze znaczenie.

– Pałę. – Wyciągnął papierosa z podanej mu paczki.

Był trochę przerażony myślą, że może i tytoń tutaj będzie jak ta wódka, czyli po prostu porażający swoją mocą. Papieros okazał się

jednak w miarę normalny, choć na pewno nie wykonano go ze szczególnie wyselekcjonowanego tytoniu.

– Ale to akurat pewno już wiesz od doktorowej z Andrychowa – uśmiechnęła się i znów połała samogonu.

– Wiem – odpowiedział odważniej niż do tej pory, bo okowita zaczynała już powoli prostować mu synapsy.

Gdyby nie alkoholowe rozprężenie, być może zastanowiłby się chwilę dłużej nad tym, skąd matka Łukasza wiedziała o jego rozmowie z lekarką w Andrychowie, ale to jakoś mu w tym momencie umknęło. Za bardzo też chyba zależało mu już na tym, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o sprawie, która powoli stawała się jego obsesją.

– No, Łukas jest wariat, znaczy: pokręciło mu się w łepetynie po tom, jak Markowski z niego guptoka zrobił, ale on by im kzywdy ni zrobił. – Kobieta zamyśliła się, tonąc w kłębie dymu z papierosa.

– Czemu? – dopytał Wawrzyniec

– Bo ich kochoł. Specially jom, ale nie jak babę, tylko jak przyjaciela. Kieby Piotr był tam samoj, to jescze moze byk uwiezyła, chocias mimo tej sakramenckiej zdrady, co go wyproł z tyj ich głupiej spółki, Łukas i tak dalej go kochoł. Ciągłe mi godoł, co Piotr się pomylił, ze pewnikiem go jescze przepyto za to, ze nie o to mu chodziło, i takie tam różne wciąż wymyśloł – rozpędziła się z gadaniem matka, po czym nagle przestała mówić i spojrzała czujnie na Wawrzyńca. – To co, poleję jescze, nie? Od razu się świat jakosik prostuje.

Wawrzyniec machinalnie pokiwał głową. I tak już nie mógł jechać, teraz musiał zrobić ze swoją świadomością coś na tyle radykalnego, żeby myśl o nocowaniu w tym dziwnym miejscu przestała go przerażać. Gaździna połała. Wypili. Wawrzyniec, już świadomy, z czym jego gardło będzie musiało się zmierzyć, lepiej przygotował się oddechowo i tym razem udało mu się uniknąć duszenia się.

– Panią też kochoł... – wrócił do tematu po chwili.

– Kochoł i? – zdziwiła się.

– No i chciał panią... – Ciężko mu było wypowiedzieć zdanie do końca. W końcu była matką.

– I kcioł mnie obwiesić – dokończyła za niego, po czym uśmiechnęła się dwuznacznie. – Ale jakosik wciąż żyję.

– Czyli? – przycisnął Wawrzyniec.

– Czyli kcioł, ale nie kcioł.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Jemu zaczynało się tu już powoli podobać, wszystko było takie oryginalne i bezpretensjonalne. Było, jakie było, nikt niczego tu z całą pewnością nie udawał, pomyślał. Kiedy człowiek jest trzeźwy, świat, w którym ktoś stara się coś udawać, musi być strawny, bo trzeba mieścić się wewnątrz konwencji; po pijaku najważniejsza staje się prawda. Tak mu się wydawało teraz, rano na pewno będzie miał na ten temat zupełnie inne zdanie. Wiedział jeszcze przynajmniej tyle, więc uznał, że skoro ma taki dystans do swoich obecnych doznań, to jest wciąż trzeźwy. Mylił się, jak zawsze w tej sprawie, ale to okazało się dopiero nieco później.

– A kto pani zdaniem mógł ukraść ten obraz? – przerwał milczenie, bo zaczął już obawiać się, że kobieta odpłynie mu za chwilę całkowicie.

Wzruszyła ramionami. Znowu siedzieli chwilę w milczeniu.

– Ta Grażyno to wogle nie jest ta Grażyno. – Matka tymczasem zaczęła mieć już problemy z artykulacją, jakby słowa rozmiękały jej w ustach.

– Nie rozumiem – odpowiedział, starając się za wszelką cenę trzymać w ryzach swój aparat mowy.

– A juscii, kurwa, ze nie pojmujesz, skąd miałbyś pojąć! – zganiła go nagle głośno, ale on był już zbyt zamroczony, by się wystraszyć.

– Ta Grażyna nie jest którą Grażyną? – dopytał po chwili.

– Nie jest ta, co godo ze jest – odpowiedziała teraz już ciszej i wyraźniej.

Może zorientowała się, że przesadziła przed chwilą, a może przeszła właśnie jedną z poalkoholowych zmian nastroju. Była wcześniej w fazie agresji, a teraz przeszła gładko do fazy refleksji.

– A ja nie wiem nawet, za kogo ona się podaje – odpowiedział Wawrzyniec.

– Ty nie wis, ale ja wim – uśmiechnęła się, a w oczach pojawił się złośliwy błysk. – Była tako uzędnicka, Grażyna Porębska, pracowała

długo w magistracie w Zakopanem, od kultury była czy coś. Miła nawet, tako cicha, pulchna, mała, nie za pikna, taka, o którą nikt nie dboł.

– Czyli wszystko na odwrót – skonstatował Wawrzyniec.

Grażyna z jego obserwacji była raczej tygrysią niż świnką morską, nie była ani cicha, ani zaniedbana, ani otyła.

– Ona nie żyje. – Matka połała kolejną porcję samogonu.

Fakt, że była to zarazem ostatnia kolejka, można było łatwo przewidzieć, bez obawy o pomyłkę. Poprzednie dwie, które nie zdążyły się przecież jeszcze nawet w pełni wchłonąć do krwiobiegu, spowodowały już tak ogromne zmiany w świadomości ich obojga, że kolejna runda musiała wyciąć świadomość.

– Jak to: nie żyje? – Wawrzyniec był nie lada zaskoczony.

Dodatkowo zgubił się już nieco w określeniu przedmiotu rozmowy. Czy „ona” dla matki oznaczała teraz Grażynę z urzędu, czy Grażynę, która poprzednim razem przyjechała tu z nim i z Plewińskim?

– No nie żyje, zmarła na wylew cy na zawoł, a może w wypadku, nawet już nie pamiętam. – Oczy matki zachodziły mgłą, jej wzrok był nieobecny. – Leży na Pęskowym Bzyzku.

– Ale to jak... – Wawrzyńcowi wszystko nagle zaczęło wirować w głowie, myśli i błędnie krążyły wokół jak na karuzeli. – Przecież Plewiński mi ją przedstawił. To co, on nie wie?

Matka już nie odpowiedziała, bo zasnęła, tak jak siedziała, i to snem od razu tak głębokim, że wszelkie próby ewentualnego budzenia były skazane na niepowodzenie. Wawrzyniec, nawiasem mówiąc, żadnych takich prób nie zamierzał podejmować. Ostatkiem się podniósł się z krzesła i ruszył do drzwi. Coś mówiło mu, że jednak nie powinien tracić świadomości w tym miejscu. A nuż Łukasz jednak się zjawi i postanowi, że teraz to jego wyśle na drugą stronę? A nawet jeśli nie Łukasz, to kobieta, z którą rozmawiał, też nie wzbudziła w nim przesadnego zaufania.



## 16.

Kiedy się obudził, na zewnątrz jaśniało. Było mu gorąco i potwornie bolała go głowa. Przez moment nie miał pojęcia, gdzie jest, bo zewsząd otaczała go mgła. Po chwili zorientował się, że siedzi w samochodzie po stronie pasażera, silnik jest włączony, a mgła to nic innego jak zaparowane szyby. Otworzył drzwi, z zewnątrz uderzył go chłód poranka. Musiało być znacznie więcej niż dziesięć stopni mrozu, bo buty zaskrzypiały na śniegu, a w nosie już przy pierwszym mocniejszym wciągnięciu powietrza skleiły mu się włoski.

Gdybym tu nie doszedł, byłoby po mnie, pomyślał. Od domu do samochodu było minimum półtora kilometra. Nie pamiętał nic z tej drogi, ostatnią zapamiętaną rzeczą była konstatacja tego, że matka Łukasza zasnęła z papierosem w ustach.

Wawrzyniec wywietrzył samochód, który przez ostatnie sześć godzin wypalił prawie cały zapas paliwa. Kolejny fortunny zbieg okoliczności był taki, że Wawrzyniec zatankował auto w drodze powrotnej z Andrychowa, dzięki czemu kiedy zapadał w drzemkę, w baku było jeszcze sporo ponad połowę paliwa. Gdyby samochód zgasł po godzinie, noc skończyłaby się pewno podobnie, jak gdyby w drodze do auta wpadł w zaspę i w niej zasnął, czyli zamrożeniem. Zimą trzeba uważać, pomyślał, martwiąc się, że tylko na tak banalne konstatacje było go teraz stać. Przeszedł się trochę po okolicy, zostawiwszy samochód, żeby wywietrzał. Zrobił kilka przysiadów, natarł twarz śniegiem, wszystko po to, żeby poczuć się choć trochę lepiej albo chociaż normalniej. Na razie czuł się, jakby go zrzucili przed momentem z latającego talerza na jakąś planetę, której nigdy wcześniej nie widział. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wrócić jeszcze do widocznego w oddali domu na uboczu. Może udałoby się ustalić więcej szczegółów na temat Łukasza albo Grażyny, która nie żyła od dawna, choć poznał ją dwa dni temu. W końcu jednak zrezygnował. Perspektywa

ponownego zmierzania się z pokręconą matką Łukasza, nie mówiąc już o możliwości ponownego wyładowania z kubkiem samogonu w rękę, odstręczała go za bardzo. Na razie postanowił, że pojedzie na cmentarz do Zakopanego. Jeśli tam okaże się, że Grażyna rzeczywiście nie żyje, to wtedy być może wróci tutaj, by dowiedzieć się czegoś jeszcze. Jedno było pewne. Nie chciał się już nigdy więcej znaleźć w tym domu sam na sam z matką i jej samogonem.

Grażyna Porębska nie żyła rzeczywiście, a przyczyna jej śmierci była tragiczna. W każdym razie tak było napisane na płycie nagrobnej, przed którą stał dłuższą chwilę, zastanawiając się, co to właściwie oznaczało dla niego i dla całej sprawy. Po wyjściu z cmentarza zadzwonił do Plewińskiego. Po drugiej stronie odezwała się jednak od razu dziwna automatyczna sekretarka. Wcześniej nagrany był Plewiński, teraz syntezator mowy kobiecym głosem informował go, że „nie ma takiego numeru”. Czyżby Plewiński też leżał na cmentarzu, z którego Wawrzyniec wyszedł przed chwilą? Wiślicki uśmiechnął się do swoich myśli, choć tak naprawdę wcale nie było mu do śmiechu, i pojechał w kierunku galerii.

Plewiński może i nie miał już tego numeru telefonu, ale nie leżał też na cmentarzu – siedział teraz, jak gdyby nigdy nic, za biurkiem w gabinecie na zapleczu swojej galerii i uśmiechał się do Wawrzyńca, zdziwiony jego pobudzeniem.

– Grażyna nie żyje? Co za bzdura? Widzieliśmy się dziś rano – zapewnił ze spokojem.

– Może i się widzieliście, może i z Grażyną, ale na pewno nie z Grażyną Porębską. – Wawrzyniec wcale nie poczuł się uspokojony.

– A z jaką? – zdziwił się Plewiński, nadal z kompletnym spokojem.

Wawrzyniec nie wytrzymał, a z równowagi wyprowadził go przede wszystkim właśnie ów spokój marszanda, jakże kontrastujący z jego własnym zagubieniem, narastającym z każdą chwilą.

– Niech mnie pan nie wkurwia, dobrze? – Podszedł bliżej do biurka, za którym siedział Plewiński i dodał: – Wiecie mnie pan w jakieś debilne miejsce z kobietą, która podaje się za kogoś innego, a teraz pan sobie łacha ze mnie drze?!

– Niczego sobie z pana nie drę! – Plewiński wreszcie stracił spokój, co Wawrzyniec przyjął z niekłamaną ulgą.

– No to kto to jest ta cała Grażyna? – Wawrzyniec wrócił do łagodniejszego tonu głosu.

– Nie wiem, powiedziała mi, że nazywa się Porębska. Wiem, że w urzędzie pracowała taka kobieta, sporo o niej słyszałem, ale nigdy wcześniej jej nie poznałem. – Plewiński nawet lekko się teraz zasapał. – Skąd miałem wiedzieć, że to nie ta...?

– Gdzie ona jest? – kontynuował Wawrzyniec.

– Nie mam pojęcia. – Marszand otworzył drzwiczki w biurku, wysunął szufladę i wyciągnął gruziński koniak. – Po południu jesteśmy umówieni w banku. Miałem jej wypłacić zaliczkę.

– Zaliczkę? Za co? – Wawrzyniec wpatrywał się zaskoczony na zmianę w butelkę, którą wyciągnął Plewiński, i jego drżącą nagle dłoń, którą marszand próbował, zdaje się, wygrzebać szklankę z szuflady. Szklanka jednak zakleszczyła się i nerwowość Plewińskiego cały czas narastała.

– Za... – zaczął Plewiński i zamilkł, jakby sobie nagle przypomniał, że tego właśnie powiedzieć nie może. – Kurwa, co z tą jebaną szklanką?!

– Za co? – Wawrzyniec przechylił się przez biurko i zgarnął koniak Plewińskiemu sprzed nosa.

– Za obraz. Weź pan się nie wygłupiaj! – Plewiński wstał i wyciągnął rękę, żeby odebrać butelkę Wawrzyńcowi.

Ten odsunął się jednak o krok do tyłu.

– Nie odpierdalaj mi pan tu gierek, bo zaraz kojfnę i chuj się pan dowiesz! – zbiesił się nagle Plewiński.

Wawrzyniec zastanawiał się, jak to możliwe, że w ciągu zaledwie minuty marszand ze spokoju godnego buddyjskiego mnicha przebył drogę do furii i niemal kompletnej utraty zmysłów. Czyżby jakiś lek przestał działać? Ale to nigdy nie dzieje się przecież tak gwałtownie.

– No więc? – Wawrzyniec oddał butelkę w obawie, że tamten rzeczywiście zaraz wykituje; nie dość, że wtedy niczego się nie dowie, to jeszcze napyta sobie biedy przed Ziętką z powiatówki.

Plewiński chwycił butelkę. Teraz już nie szukał szklanki, odkręcił korek w tempie, jakby to był zawór z tlenem, i przyssał się do szyjki.

Pił chwilę jak umierający z pragnienia na pustyni, gdy dostanie bidon wypełniony źródlaną wodą, po czym odjął butelkę od ust i po chwili znów sięgnął po szklankę do biurka. Teraz wyciągnął ją bez najmniejszego problemu. Wawrzyniec pomyślał, że ludzka psychika to jednak fenomen. Alkohol zacznie działać za jakieś siedem minut, ale sama świadomość, że znalazł się w organizmie, skąd żadną siłą nikt go już nie wydobędzie, powodowała, że Plewiński znów stał się Buddą. Z tą drobną różnicą, że Budda – zdaje się – nie pił.

– Po maluszku? – Marszand nalał koniaku do szklanki i podał ją Wawrzyńcowi.

Wawrzyniec pokręcił głową. Może i chętnie by się napił, ale po tym, czego był świadkiem, instynkt samozachowawczy, uruchomiony prawdopodobnie niestety jedynie na chwilę, kazał mu odmówić.

– Miałem dać jej zaliczkę za obraz. – Plewiński ze spokojem wrócił do porzuconego tematu rozmowy i uspokoił się na tyle, że kompletnie zapomniał o tym, iż miał na ten temat nie mówić.

– Za który obraz? – zapytał Wawrzyniec, ale tak naprawdę już wiedział, jaka będzie odpowiedź.

– Pokazała mi zdjęcie. – Marszand uznał najwyraźniej, że nie musi odpowiadać, uśmiechnął się, po czym wypił to, co przed momentem polał Wawrzyńcowi do szklanki.

– Skąd? – dopytywał Wawrzyniec. – Skąd było to zdjęcie?

– Nie wiem skąd, ale obok leżała gazeta. – Plewiński posłał mu błogi uśmiech. – Dzisiejsza gazeta, więc ktoś go ma.

– Albo fotomontaż – myślał głośno Wawrzyniec. – A panu nie przeszkadza kupowanie takich rzeczy od paserów?

– Niespecjalnie – odparł Plewiński. – Połowa dzieł sztuki na świecie przeszła kiedyś przez ręce jakichś paserów.

– Pan pokaże. – Wawrzyniec, choć nie chciał, to zerknął przez moment na butelkę.

– Co? – Plewiński po alkoholu był teraz szybki i spostrzegawczy, był w świetnej formie, był w swoim żywiole.

– Gównno. Zdjęcie. A co? – Wawrzyniec pokręcił głową. – I nie bądź pan taki cwany, z łaski swojej.

– Nie mam zdjęcia – oburzył się Plewiński. – Mówiłem panu, że mi pokazała, a nie, że mi dała.

– Rozumiem. – Wawrzyniec popatrzył na niego przez moment w skupieniu. – To znaczy, niewiele rozumiem, dziwi mnie na przykład, że wdaje się pan w układ z jakąś hochsztaplerką, ale to pańska sprawa. Mnie już proszę w każdym razie więcej do tego nie mieszać.

– Nie wiedziałem, że jest hochsztaplerką. – Plewiński nagle uśmiechnął się przymilnie. – To, co mi pan o niej mówi, trochę zmienia postać rzeczy.

– A to, że próbowała panu wcisnąć skradziony obraz, było w porządku? – zaciekawił się Wawrzyniec.

– Ale komu właściwie skradziony? – Teraz to marszand popatrzył na Wawrzyńca przenikliwie. – Przecież nie mamy pojęcia, jakie były jego wcześniejsze losy. Czy przypadkiem Łukasz nie ukradł go jednak Markowskim? Nie zastanawiał się pan nad tym?

– Owszem, zastanawiałem się, w kółko się zastanawiam, bo najbardziej mnie, szczerze mówiąc, interesuje właśnie to... – Wawrzyniec nagle zorientował się, że powiedział trochę za dużo.

– To? – Plewińskiemu, mimo że wychłęptał już pół butelki koniaku, a może właśnie dzięki temu, taki drobiazg nie mógł umknąć.

– To, jakie są losy własnościowe tego obrazu – skłamał szybko Wawrzyniec. – Nie mogę kupić czegoś, gdy nie mam pewności, że za parę miesięcy nie przyjdzie ktoś inny i nie pokaże mi dokumentów własności. To chyba jasne!

Ostatnie zdanie Wawrzyniec wypowiedział podniesionym głosem. Jakimś cudem wcześniejszy błąd udało mu się przekuć w korzyść, tak mu się przynajmniej wydawało do momentu, kiedy Plewiński nie uśmiechnął się znacząco.

– Chce pan zrozumieć? – zapytał nagle zupełnie innym tonem.

– Co zrozumieć? – Wawrzyniec naprawdę nie wiedział teraz, co sugeruje mężczyzna.

– Wszystko zrozumieć... A to się tak nie da. Właśnie na tym to polega, lepiej się z tą myślą oswoić wcześniej niż za późno, życia

szkoda – odpowiedział Plewiński, wciąż zbyt zawile, żeby dało się coś z tego zrozumieć.

– O czym pan mówi? – Wawrzyniec miał już powoli dosyć rozmowy z coraz bardziej zawianym facetem, który kupował obrazy od paserów i miał gdzieś, kto jest jego kontrahentem.

– Słyszał pan o przekleństwie liczb pierwszych? – odpowiedział pytaniem na pytanie Plewiński.

– Nie, ale przeczuwam, że to ma się nijak do tego, o czym rozmawiamy. – Wawrzyniec wstał i ruszył w kierunku drzwi. – Jak pan znajdzie ten obraz i ustali, kto jest jego prawowitym właścicielem, to proszę dać mi znać.

– Nie istnieje nic, co miałoby się nijak do zagadki liczb pierwszych, ponieważ podobno jej rozwiązanie to rozwiązanie tajemnicy Boga – gadał swoje marszand, a kiedy Wawrzyniec zbliżył się już do drzwi gabinetu, wybełkotał jeszcze: – A czyż nie tego pan szuka...? Czyż nie tego wszyscy szukamy?

– Nie, proszę pana, ja szukam obrazu, który chciałbym uczciwie nabyć od prawowitego właściciela – odpowiedział mocno już rozdrażniony Wawrzyniec.

– Jedno nie wyklucza drugiego, panie Wiślicki. – Usłyszał jeszcze za plecami pijany śmiech Plewińskiego.

## 17.

Wawrzyniec był zły, teraz już naprawdę miał tego wszystkiego dosyć. Na początku chciał się dowiedzieć, co stało się w Morskim Oku, dlaczego dwójka ludzi zginęła zmieciona przez lawinę. Był świadkiem tego zdarzenia, widział, jak porywał ich śnieg. Może już samo to spowodowało przekonanie, że coś było nie tak. Dodatkowo słyszał strzał, huk, ale może to rzeczywiście był tylko huk pękającego lodu? Zaczął od cholernej ciekawości, może od poczucia, że coś jest nie tak, a doszedł do miejsca, w którym czuł się omotany siecią jakichś dziwnych zależności, których nie rozumiał, i znajdował się wśród ludzi, którzy ciążyli mu coraz bardziej. Do tego jeszcze ten obraz. Nagle z poszukiwacza zabójcy przedzierzgnął się w kolekcjonera sztuki. Szukał przyczyny śmierci dwójki ludzi, a wylądował z obrazem, choć precyzyjniej byłoby powiedzieć: bez obrazu, tylko z jakąś mglistą mrzonką na jego temat.

I jeszcze teraz jakaś cholerna Grażyna, która leży na cmentarzu i jednocześnie próbuje mu wcisnąć obraz za pomocą marszanda – hochsztaplera, pseudofilozofa i pijaka, skonstatował w myślach i zatrzymał się, bo tak naprawdę nie miał pojęcia, dokąd iść i – przede wszystkim – po co. Zmierzchało, a śnieg sypał znów tak, że widać było tylko parę metrów do przodu. Skoro już jednak znalazł się tu, to może zamiast gdzieś łązić, po prostu poczeka. Z kawiarni po drugiej stronie skrzyżowania widać było wejście do galerii Plewińskiego. Wawrzyniec usiadł przy stoliku znajdującym się przy samej szybie, zamówił gorącą czekoladę i czekał, aż coś się wydarzy. To, że on stracił zainteresowanie obrazem, nie oznaczało, że stracił je też marszand. Może facet rzeczywiście nie wiedział, że ta smukłonoga ruda kobieta w pończochach ze szwem na łydce, która pojechała z nimi do Łukasza, jedynie podszywa się pod Grażynę. Jeśli jednak nawet tak było, to na pewno Plewiński po otrzymaniu od Wawrzyńca tej informacji nie zrezygnuje ze współpracy z pseudo-Grażyną, a co najwyżej wykorzysta swoją wiedzę do tego,

by mieć nad nią przewagę podobną do tej, jaką ona miała wcześniej nad nim. Strateg, kurwa, się znalazł.

– Słucham? – Obok stolika stała młodziutka góralka w fartuchu, a on zdał sobie sprawę, że ostatnią myśl wypowiedział na głos.

– Nic, nic, przepraszam, do siebie mówiłem. – Wawrzyniec uśmiechnął się delikatnie, a twarz młodej kelnerki wydała mu się znajoma.

Od dawna miał coś takiego z filmami, które oglądał. Właściwie nie było już żadnego, w którym aktorzy i aktorki nie kojarzyliby mu się z kimś, kogo znał z życia. Czasem przez pół filmu, zamiast śledzić fabułę, zastanawiał się, kogo przypomina mu aktorka grająca rolę drugoplanową. Czekał, aż się znów pojawi na ekranie, co czasem zdarzało się co pół godziny, i wtedy usilnie próbował szukać w głowie skojarzeń. W młodości miał tak też z zapachami, prawie nigdy nie udawało mu się dojść, z jaką sytuacją kojarzy mu się dana woń – potem filmy, a teraz realni ludzie... Obłąd. Chwilami miał wrażenie, że stał się więźniem jakiegoś tunelu czasoprzestrzennego, że błądzi po labiryncie własnej pamięci tylko po to, żeby wreszcie w końcu dotrzeć do wyjścia, czyli do wejścia, czyli na tamten świat chyba... czy w nicość, co bardziej prawdopodobne.

– A chciałby pan coś jeszcze zamówić może? – Dziewczyna stała wciąż obok stolika, jakby bawiło ją właśnie to, że on tak bardzo się męczy.

Przez myśl przeszło mu, żeby spytać, czy się skądś przypadkiem nie znają. Jednocześnie doskonale wiedział, że skoro dziewczyna ma tyle lat, na ile wygląda, to znacznie bardziej prawdopodobne byłoby, że znał się z jej mamą albo nawet z babcią niż z nią.

– Może... – Wawrzyniec wyjrzał za okno. Wciąż padało, ale teraz już z czerni, czyli zapadła noc, czyli... – Pięćdziesiątkę i piwo.

– Aha. – Dziewczyna zdziwiła się przez moment, ale zaraz ukryła zaskoczenie i dodała, jakby jego zamówienie było absolutnie zrozumiałe i oczywiste: – Już przynoszę.

Zamówienie oczywiste, ale jeśli pamiętało się, że facet przed momentem wypił czekoladę na mleku, to taka zmiana repertuaru mogła nieco zdziwić. Wawrzyniec uśmiechnął się tylko, ukazując, że doskonale ją rozumie.



Nie przypomniał sobie, z kim mu się kojarzyła, ale gdy odchodziła, jej nogi i jej kibić przywiodły mu na myśl coś cholernie przyjemnego, choć znów nie do końca konkretnego. Czemu zawsze to? Wawrzyniec skarcił się w myślach. Czy to jest nabyte, czy wyuczone? Gdyby spróbował bardziej nad tym panować, to czy udałoby mu się taki sposób postrzegania rzeczywistości ograniczyć, zgasić albo może przywrócić na właściwe tory? Może gdyby był Buddą... Ale raczej nie takim jak Plewiński.

Tymczasem marszand był łaskawy i nie wychodził ze swojej galerii przez kolejne dwie godziny, co Wawrzyńcowi pozwoliło na wypicie kolejnych kilku pięćdziesiątek i na rozwinięcie znajomości z nieznaną góralką, którą jakby skądś znał. W końcu jednak marszand wytoczył się ze swojego królestwa, rozejrzał się po zaśnieżonej ulicy i ruszył dziarskim, ale nieco chwiejnym krokiem w dół, w kierunku Krupówek.

Wawrzyniec zapłacił góralce ze sporą nawiązką, która wcale nie stanowiła w jego mniemaniu inwestycji, a raczej była formą najczystszej gratyfikacji za możliwość obcowania z nią przez ostatnią godzinę, następnie wyszedł z lokalu, podniósł kołnierz kurtki i ruszył w ślad za oddalającym się Plewińskim wśród płatów śniegu wielkich jak kawałki podartych listów miłosnych. Marszandowi po mniej więcej trzystu metrach najwyraźniej skończyło się paliwo rakietowe, które wlewał w siebie od kilku godzin w galerii, i skręcił do lokalu pod wdzięczną nazwą PRL. Wawrzyniec odczekał chwilę na zewnątrz, ale w końcu, marznąc już nadmiernie, zdecydował, że ukrywanie się dłużej nie ma sensu. Ponadto wewnątrz był taki tłok, że szanse na to, że pijany Plewiński go rozpozna, były raczej nikłe.

W środku Wawrzyniec nie bez trudu dopchał się w końcu do baru, rozglądając się czujnie dookoła. Bardziej, żeby mieć się czym zająć niż z chęci dalszego picia, zamówił znów pięćdziesiątkę wódki i piwo.

Plewiński tymczasem jakby rozplynał się w powietrzu. Czyżby wyszedł innymi drzwiami? Wawrzyniec zastanawiał się, kontemplując szumiący gwar, z którego nie był w stanie wyłowić ani jednego słowa.

– Czy stąd jest jakieś inne wyjście? – zapytał w końcu barmana, przekrzykując harmider.

– Z kuchni na klatkę schodową i dalej na podwórko, ale klienci nie mają wstępu – odparł mężczyzna.

– Chyba że są specjalnymi klientami... – skomentował Wawrzyniec, bardziej do siebie niż do barmana.

W tym momencie dostrzegł jednak w najdalszym kącie sali, przy samych drzwiach do toalety, kogoś, kto mógł potencjalnie być Plewińskim, choć owa szansa oparta była jedynie na tym, że tamten był mężczyzną i miał kurtkę w podobnym kolorze jak marszand. Reszta pozostawała niewiadomą, bo nieznajomy siedział do niego plecami.

– Mogę to zabrać? – Wawrzyniec wskazał na kieliszek i kufel, które chwilę wcześniej postawił przed nim barman.

– Jasne – odparł ze zdziwieniem mężczyzna, po czym dodał z uśmiechem: – A co to, moje?

Wawrzyniec ruszył w kierunku pleców nieznajomego i już po chwili jego przypuszczenie zmieniło się w pewność, ponieważ zauważył, że naprzeciw mężczyzny w kurtce podobnej do Plewińskiego siedziała kobieta, która nie tylko była podobna do Grażyny, lecz po prostu nią była.

Od tamtych dwojga dzieliła go niezbyt duża odległość, ale na tej małej przestrzeni pomiędzy nimi znajdowała się nieprzebrana liczba ludzi, którzy w panującym tu gwarze nie słyszeli nic oprócz samych siebie, przez co czuł się, jakby jego powtarzane co dwie sekundy „przepraszam” wpadało do wnętrza wodospadu. Dodatkowo Wawrzyniec starał się przebijać w stronę tej pary w taki sposób, żeby go nie dostrzegła, lub w każdym razie, by stało się to jak najpóźniej. Niestety Grażyna, albo raczej pseudo-Grażyna, bo ta prawdziwa leżała pod ciężkim plastrzem granitu na zakopiańskim cmentarzu, była wyjątkowo czujna i jego próby ukrycia się przed nimi nie przyniosły efektu. Wawrzyniec dostrzegł, że ona go zobaczyła, a potem, przepychając się coraz bardziej bezpardonowo przez ciżbę, zauważył, jak wstała, a Plewiński – bo teraz nie miał już żadnych wątpliwości, że to był on – wstał razem z nią. Razem ruszyli w stronę drzwi damskiej toalety.

Po kolejnej minucie przedzierania się przez tłum gadających i tańczących ludzi Wawrzyniec dotarł do stolika, przy którym do przed chwilą siedzieli, a kilka sekund później dobiegł do damskiej toalety. Przez chwilę zastanawiał się, czy jest na tyle zdesperowany, żeby złamać odwieczny konwenans, w myśl którego mężczyźni nie wchodzili do damskich – i vice versa. W końcu skonstatował, że skoro oni byli na tyle zdesperowani, a w każdym razie Plewiński był, to również jego desperacja powinna być wprost proporcjonalna. Im bardziej oni z jakiegoś powodu uciekali, tym bardziej on powinien próbować się dowiedzieć z jakiego powodu.

Wszedł. W środku przy umywalkach stała jedna kobieta w krótkiej spódnicy i kozakach. Z całą pewnością nie była to Grażyna.

– Przepraszam... – Wawrzyniec spojrzał przepaszająco na kobietę.

– Nie szkodzi – odpowiedziała, chyba zaskoczona nieco tym, że nadal stał i rozglądał się po łazience. – Czegoś pan szuka?

– Kobieta, na oko czterdzieści lat, długie rude włosy, i otyły trochę facet, niski. Weszli tu przed chwilą... – usprawiedliwiał się trochę Wawrzyniec.

– Przed chwilą, czyli? – uśmiechnęła się kobieta.

– Dwadzieścia, trzydzieści sekund temu – odpowiedział, myśląc o jej kozakach na zgrabnych nogach.

– To raczej niemożliwe, stoję tu kilka minut, zauważyłabym – odpowiedziała. Wydawało mu się, że ona wie doskonale, o czym on myśli.

– A stąd jest jakieś inne wyjście? – Wawrzyniec, zamiast wycofać się z toalety, zaczął chodzić od kabiny do kabiny.

Kabiny były otwarte, z łazienki nie prowadziły dalej żadne drzwi, nie widział tu nawet okna. Wawrzyniec miał poczucie, że wszystko tu jest totalnie nierzeczywiste.

– Może weszli jednak do męskiej, a nie tutaj? – zasugerowała kobieta. – To są te następne drzwi.

– Może – opowiedział, ale tak naprawdę wiedział, że nie było żadnego „może”. Weszli tutaj i za cholerę nie mógł pojąć, co stało się dalej. – Przepraszam panią jeszcze raz.

– Jeszcze raz nic nie szkodzi. Przykro mi, że nie mogłam pomóc.

Wawrzyniec wyszedł z łazienki i rozejrzył się wokoło. Drzwi do toalety męskiej były rzeczywiście blisko, ale nie mógł się pomylić, bo kiedy zmierzał w stronę stolika, nie mógł ich widzieć, ponieważ z tamtego miejsca zasłaniał je okrągły betonowy filar. A widział przecież, jak weszli w jakieś drzwi.

Co tu się dzieje? Wawrzyniec po raz pierwszy, odkąd zajął się tą dziwną sprawą, poczuł się tak bardzo zagubiony. Teraz przyszła mu już ochota na wypicie zamówionego kieliszka wódki. Kłopot jednak w tym, że zostawił go na jednym ze stolików, kiedy szedł w stronę toalety, i teraz z pewnością go już tam nie było. Postanowił więc wyjść i ruszyć do Halamy, a następnego dnia rano przejść się do urzędu miasta. Może nie bez kozery dziwna kobieta, z którą zadawał się Plewiński, podszyła się pod nieżyjącą Grażynę. Poczuł, że to od niej powinien zacząć szukać dalej. To tam urywała się nić łącząca go z racjonalnymi elementami tej sprawy. Idąc, zastanawiał się jeszcze przez chwilę nad tym, co stało się w lokalu na Krupówkach, gdzie podział się Plewiński z kobietą, ale uznał, że było to na tyle dziwne, że dalsze próby ogarnięcia tego rozumem były z góry skazane na fiasko, więc w końcu odpuścił. Kiedy był już na wysokości Hyrnego i od Halamy dzieliło go może dwieście metrów, usłyszał nagle za sobą wołanie:

– Panie Wiślicki, pan poczeka!

Głos ponad wszelką wątpliwość należał do marszanda. Wawrzyniec odwrócił się i rzeczywiście zobaczył truchtającego za nim Plewińskiego.

– No i co, nadal chce pan ten obraz? – Marszand doszedł do niego, zatrzymał się i, zasapany, pochylił się, opierając dłonie na kolanach.

– Gdzie Grażyna? – odpowiedział pytaniem na pytanie Wawrzyniec.

– Jaka Grażyna? Panie, daj pan już spokój z Grażyną, chce pan ten obraz czy nie? – Twarz Plewińskiego wykrzywił grymas zmęczenia.

– Chcę go zobaczyć. – Wawrzyniec zrozumiał, że jeśli zależy mu na podtrzymaniu tej nici dochodzenia, to przynajmniej chwilowo

musi przystać na warunki marszanda.

– Nie ma co zobaczyć, proszę pana – odpowiedział Plewiński i spróbował się rozprostować. Najwyraźniej jednak kolka, której się nabawił, goniąc Wawrzyńca, wciąż nie odpuszczała, bo pochylił się znowu. – Nie zapraszam pana do muzeum, tylko do kupna.

– Mam kupić obraz, którego nawet nie widziałem? – oburzył się Wawrzyniec.

– Dobra, pojedziemy zobaczyć, ale ma pan mieć pieniądze przy sobie i decyzja na miejscu. Albo pan bierze od razu, albo nie bierze pan nigdy. – Plewiński uśmiechnął się z trudem.

Coś bardzo się nie zgadzało w tej całej układance. Wawrzyniec nie zamierzał brać ze sobą oczywiście żadnych pieniędzy, zresztą w ogóle nawet takich kwot nie posiadał. Jeśli to jednak jest pułapka, to przynajmniej może za te pieniądze kupićby sobie życie. A gdy odkryją, że nie ma ich przy sobie, to ze złości go odwalą.

– Jak wyszłicie z Grażyną z toalety? – Wawrzyniec wrócił do porzuconego wątku.

– Co? – Plewiński popatrzył na niego, jakby go widział po raz pierwszy w życiu.

– Weszliście do damskiej łazienki tam w tym PRL-u. Wie pan, o co pytam. Widzieliście, że za wami idę, więc nie róbmy z siebie teraz kretynów! – podniósł głos.

Ogólnie narastała w nim ochota, żeby złapać tego małego człowieczka za chabety i wytrząsnąć z niego wreszcie jakiś sens i choćby fragment prawdy. Na razie jednak jeszcze się powstrzymał.

– Nie wiem, o czym pan mówi, o jakim PRL-u, o jakiej toalecie, o jakiej Grażynie? – Marszand znów się skrzywił, choć jeszcze przed momentem wydawało się, że krzywienie ma już za sobą.

– Wkurwia mnie pan, panie Plewiński! – Tym razem Wawrzyniec nie wytrzymał i jednak złapał mężczyznę za wyłogi płaszcza.

– O, tak to my nie będziemy rozmawiali! Koniec z handlem, koniec z obrazem! – zaperzył się marszand. Zaczął oddychać intensywnie, po czym zrobił się czerwony, sekundę później fioletowy... I wtedy nagle przestał oddychać.

– Panie, co pan? Co jest? – Wawrzyniec rozluźnił uścisk, ale nie puścił go całkiem, bo mężczyzna zrobił się nagle bezwładny i ciężki

jak worek pełen kamieni.

Pisarz powoli położył marszanda na spłachetku zmarzniętego śniegu obok chodnika, rozerwał płaszcz i koszulę, przyłożył ucho do owłosionej klatki piersiowej. Po drugiej stronie sklepienia żeber panowała cisza wciągająca jak śmierć.

– Panie Plewiński, bez wygłupów tutaj, co pan wyrabia! – Wawrzyniec uderzył w klatkę piersiową raz, a po chwili kolejny i kolejny. Nagle Plewiński jakby się odetkał i chlusnął wymiotami.

Wawrzyńcowi na szczęście udało się w porę odsunąć, ale i tak nie uniknął do końca skutków gwałtownych torsji. Nie miało to jednak w tym momencie najmniejszego znaczenia. Śmierć nawet takiego kretyna jak Plewiński, i to jeszcze spowodowana przynajmniej po części jego działaniem, wymykała się wyobrażeniom Wawrzyńca. Szukał przyczyny zgonu dwójki ludzi, a teraz o mało nie spowodowałby zgonu kogoś innego. Tego było już za wiele.

– Pierdołę to, wyjeżdżam – skomentował nagle prosto w oczy Plewińskiego, leżącego na ziemi z głupim wyrazem twarzy.

– Ale co się stało? – Marszand wyglądał, jakby właśnie wysłali go na sekundę na Marsa i z powrotem. – Gdzie ja byłem?

– Po tamtej stronie, po tamtej stronie, panie Plewiński. – Wawrzyniec wziął mężczyznę pod pachy i uniósł go do pozycji siedzącej. – Jak pan się czuje?

– Trochę chujowo, ale w sumie może być. – Marszand wytarł usta rękawem płaszcza. – Jednak chyba za dużo ostatnio piję.

– Pan wstanie. – Wawrzyniec jeszcze raz złapał Plewińskiego pod pachami, tym razem od tyłu, i szarpnął go w górę. – Wilka pan jeszcze złapie od tej ziemi.

Plewiński zaparł się stopami o murek przed sobą i z pomocą Wawrzyńca stanął na nogach.

– No to co z tą Grażyną? – zapytał Wawrzyniec trochę po to, żeby sprawdzić, czy marszandowi wróciła świadomość, tak jak sędzia na ringu pyta znokautowanego boksera o to, jaki jest dzień tygodnia.

– Nie wiem, z jaką Grażyną. – Plewiński albo szedł w zaparte, albo wciąż jeszcze był w szoku, albo... No właśnie, ostatnie „albo”, choć nienazwane, też nosiło pewne znamiona prawdopodobieństwa. – Naprawdę nie wiem, panie Wiślicki, o kogo pan mnie pyta.

– Byliśmy razem z nią w Murzasichlu, pamięta pan? – upierał się Wawrzyniec.

– Nigdy nie byłem z panem w Murzasichlu.

Plewiński wciąż był blady, nawet trochę zielony, ale to mogło już być spowodowane poświatą jarzeniowych latarni świecących nad ich głowami. Wawrzyniec popatrzył na niego przez chwilę z mieszaniną politowania i konfuzji. Pomny doświadczeń sprzed chwili zaledwie, nie chciał już ryzykować i cisnąć go mocniej.

– Odprowadzić pana gdzieś? – zapytał.

– Obraz mieliśmy jechać kupić – przypomniał Plewiński.

– No to już nie teraz na pewno, panie Tomku – powiedział Wawrzyniec. – Jak się panu polepszy. Musi pan odpocząć. No to jak? Odprowadzić pana?

– Nie, dam radę, daleko nie jest. – Plewiński uśmiechnął się blado.

Gdyby Plewiński był w lepszej formie, pewno Wawrzyniec zabrałby go ze sobą, ale w tej sytuacji nie miał sumienia tego robić. Poza tym marszand, zdaje się, udawał głupa z jakichś sobie tylko znanych powodów, więc wożenie go gdziekolwiek i tak nic by nie wniosło do sprawy. W każdym razie Wawrzyniec sam pojechał po nocy do Murzasichla, taksówką. Mógł swoim wynajętym samochodem, ale to dopiero rano, bo jednak przed godziną czy dwiema wypił trochę alkoholu. Mógł tam nie jechać w ogóle, ale nagle przyszło mu do głowy, że jeśli gdzieś coś może jeszcze ustalić w sprawie Grażyny i Łukasza, to tylko tam. Tam była ostatnia nić, która mogła go do czegokolwiek doprowadzić. Trochę przerażała go wprawdzie kolejna porcja samogonu, a jeszcze bardziej perspektywa kolejnej nocy spędzonej w dziwnym domu na górcie, ale miał poczucie, że musi się spieszyć, że jeśli nie pojedzie tam zaraz, to kolejne źródło informacji wyschnie, cofnie się – sam nie wiedział, jak to określić i jak w ogóle zrozumieć; może po prostu jednym słowem: zniknie.

## 18.

Nie napił się samogonu, nie zanocował w dziwnym domu na górcie, bo w domu nie zastał już nikogo. Mimo że się spieszył, to najwyraźniej jednak nie zdążył. I stąd źródło już wyciekło. Najbliższym sąsiadem ciemnego domu z wielkich bali był dom pod samym lasem. Sąsiad to jednak za dużo powiedziane, bo teraz, w zaspach i w śniegu zawiewającym prosto w twarz, przejście tych kilkuset metrów zajęło Wawrzyńcowi dobre dziesięć minut. Na szczęście, zobaczywszy już wcześniej z daleka, że w domu na górcie nie pali się światło, Wawrzyniec przezornie poprosił taksówkarza, żeby ten na niego poczekał. Gdyby nie to, zostałby teraz pośrodku białych pól sam i bez pomysłu na to, co dalej ze sobą zrobić. Zanim ruszył pod las do sąsiedniego domu, zszedł jeszcze najpierw do taksówkarza, który zdążył się już zdrzemnąć, i poprosił go, żeby poczekał na niego jeszcze pół godziny.

U sąsiadów było normalnie, wreszcie. Drzwi otworzyła mu ogorzała góralka, a z wnętrza jarzyło się światło.

– Dobry wieczór, przepraszam, że tak po nocy, ale byłem u Trebuniów i tam nikt nie otwiera, może wie pani, gdzie oni? – Zaczął dość długim zdaniem, żeby przejść od razu do konkretnego.

– A, dobry wieczór – uśmiechnęła się góralka. – To już z miesiąc będzie, jak ich nie ma.

– Oj, miesiąc to na pewno nie – zaprzeczył Wawrzyniec. – Byłem u nich dwa razy w ciągu ostatnich kilku dni, najpierw byli pan Łukasz i mama, potem była tylko mama...

– Dawniej musiał pan być, chyba że przyjechali na chwilę, bo tak to oni w Londynie są – wyjaśniła góralka.

– W Londynie? – Wawrzyniec nie wiedział nawet, co zrobić z tą informacją, czuł się coraz bardziej zagubiony i coraz bardziej dezorientowany. – No to chyba byli w takim razie na chwilę, rzeczywiście. A jakiś telefon do nich ma pani czy inny kontakt?

– Nie. – Góralka pokręciła głową.



– No a jakby się coś stało, coś z domem... czy nie wiem, cokolwiek... – Wawrzyniec szukał logiki, choć zorientował się już, że tutaj może mu być dość trudno ją znaleźć.

– Wtedy no to może – odparła góralka.

Wawrzyńcowi przyszło do głowy, że chyba nie zastanawiała się nad tym, co wtedy zrobią, tylko nad tym, czy ujawnić mu, co zrobią. Jakby potwierdzając jego przypuszczenia, zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów.

– A pan w jakiej sprawie właściwie do Trebuniów? – Uśmiech znikł całkowicie z jej twarzy.

– Byłem najpierw ze znajomymi, potem sam u pani... – Wawrzyniec zdał sobie sprawę, że nie zna nawet imienia matki Łukasza.

– Zofii. – Góralka wyręczyła jego pamięć i stała się jeszcze bardziej nieufna.

– Tak, u pani Zofii. Byłem w sprawie obrazu, który pan Łukasz dostał od Markowskich, chciałem kupić, okazało się, że został skradziony, i umówiłem się, że spróbuję pomóc w odnalezieniu – skłamał częściowo Wawrzyniec.

– A, ten *Obiad* czy jak mu tam... – Góralka znów się uśmiechnęła ufniej, jakby przywołanie obrazu stanowiło jakąś rękojmię jego uczciwości.

– *Śniadanie*, ten obraz ma tytuł *Śniadanie* – uzupełnił Wawrzyniec, dumny, że teraz to on pamięta coś, czego nie pamiętała góralka.

– Nie ma znaczenia. Jak coś z domem czy coś, to do żony Trebunia mamy dzwonić albo pojechać. – Nagle góralka wyjawiała skrywany wcześniej sekret. – To znaczy, do byłej żony – dodała.

Była żona mieszkała na Krzeptówkach, czyli po drugiej stronie Zakopanego, gdy jedzie się od Murzasichla. Kiedy wioząca go taksówka wjeżdżała na rondo na dole przy drodze do Kuźnic, Wawrzyniec zerknął na zegarek. Dochodziła dziewiąta wieczorem. Tyle już się dzisiaj zdarzyło, a dzień wciąż nie mógł się dowlec do nocy.

– Podwiezie mnie pan na Krzeptówki – powiedział do taksówkarza.

– Ale na Piłsudskiego miało być – odburknął tamten.

– Ale zmiana jest.

Wawrzyńcowi nie chciało się już być miłym. Płacił sowicie za tak długi kurs i do tego godzinę stania na placu we wsi.

– Tam już nie cekom – odpowiedział taksówkarz.

Górale są specyficzni, pomyślał Wawrzyniec. Wszędzie indziej na świecie człowiek, który ma do zarobienia porządny grosz, stara się być miły. Poza tym, kontynuował myśl, wycisnie ten grosz zawsze do końca. Tutaj im więcej daje się zarobić, tym bardziej stają się opryskliwi i niechętni. Jakoś pokrętnie pojmowana godność? A może oni to jednak trochę inny gatunek? Refleksja o naturze i pochodzeniu górali naszała go już kilka dni wcześniej, ale teraz nie mógł sobie za nic przypomnieć, przy jakiej to było okazji.

– Nie czekajcie, wróć na nogach. – Wawrzyniec pokiwał głową i wyjrzał za okno, za którym niewiele było widać, bo znów padał gęsty śnieg. – Skończy się ta zima kiedyś?

– Skończy się, jak minie – odpowiedział taksówkarz, zamykając dyskusję.

No właśnie. Inna logika, inny system do wyjaśniania rzeczywistości, jedyne w swoim rodzaju algorytmy do jej rozumienia, po prostu: „skończy się, jak minie”. Adres na Krzeptówkach nie był przesadnie konkretny. Ta niekonkretność też zresztą charakteryzowała ich wszystkich tutaj. Tak jakby mówili zupełnie innym językiem.

– Drugi dom za smrekami po lewej – powiedziała sąsiadka Łukasza z Murzasichla.

Wawrzyniec stał teraz w miejscu, które wcześniej opisała jako drugi skręt za kościołem, i nie było tu ani żadnych smreków, ani drugiego domu za nimi. Może błąd tkwił gdzieś na początku opisu, może nie na Krzeptówkach, a na Antałówce na przykład, zastanawiał się Wawrzyniec.

Nie było smreków ani drugiego domu, ale był bar z zaparowanymi szybami. Najczęściej, jeśli szyby są zaparowane,

można z pewnym marginesem błędu przyjąć, że w środku jest nie tylko alkohol, lecz także coś do jedzenia, bo gotowane jedzenie paruje... Choć, kontynuował rozważania Wawrzyniec, pijący niestety też mogą sprawić, że szyby zaparują. Czas płynął wprawdzie wyjątkowo powolnie, noc nie chciała nastać, ale Wawrzyniec poczuł, że z tego wszystkiego zrobił się już dość mocno głodny.

– Flaki i...? – zapytała kobieta w czepku z białej siateczki, wpatrując się z filuternym uśmiechem w oczy Wawrzyńca.

– I...? – zastanowił się Wawrzyniec. – Seta?

– Tak. – Kobieta odetchnęła z ulgą, tak jakby chodziło o zdanie testu, który kwalifikował do przejścia do kolejnego etapu gry, a jej z jakiegoś powodu zależało na tym, by stojący przed nią mężczyzna ten etap osiągnął.

Flaki, potem jeszcze placki, na koniec pierogi, oczywiście z mięsem, bo innych tu chyba nie było, do każdej z potraw seta na otwarcie i seta na popitkę, czyli razem sześć plus to, co wcześniej, co jakoś tam już wprawdzie ugmiotło się w wątrobie, może nawet po części przygotowało ją na to, co nastąpi potem, ale jednak nie zostało do końca strawione i wyeliminowane z organizmu, więc...

– Chce pan tu zamarznąć? – Kobieta potrząsała nim od dobrych kilkunastu sekund.

Kiedy usłyszał pytanie i poczuł szarpanie, przez myśl przeszło mu nawet, że właściwie być może już zamarznął.

– Słucham? – Wawrzyniec rozejrzał się wokoło.

Kobieta, która stała przed nim, była żoną Łukasza, a dokładnie jego byłą żoną. Wiedział to stąd, że gdzieś pomiędzy plackami a pierogami, między setą czwartą a piątą, dzięki nowym znajomościom, które przy tej okazji zawarł, udało mu się ustalić z lokalnymi opojami, gdzie mieszkała, i poszedł nawet do niej, ale wtedy nie chciała go wpuścić. Gorzej nawet: po otwarciu drzwi nie spojrzała na niego, udając, że go nie widzi i nie słyszy. Wtedy wrócił do baru, dokończył dzieła autodestrukcji i jakimś mało fortunnym

trafem znalazł się na przystanku, na którym rzeczywiście z dużym prawdopodobieństwem za godzinę albo dwie mógł zamarznąć.

– Pytam, czy chce pan tu zamarznąć. Życie się panu znudziło? Bóg opuścił? – patrzyła na niego, a w jej spojrzeniu nie było złości ani zniecierpliwienia, pomimo że przecież sama musiała tu już mocno zamarznąć, stojąc nad nim w kozuchu narzuconym na szlafrok. W jej spojrzeniu było zdziwienie.

– Wszystko po trochu chyba – uśmiechnął się. – A pani nie jest zimno?

– Jak cholera. – Pociągnęła go za ramię. – Wstawaj pan, dam herbaty na drogę i proszę mi stąd zniknąć, bo nie chcę mieć rano prokuratora pod oknami.

Wawrzyniec wstał, zabujało nim lekko, ale czuł się trzeźwiejszy, niż we własnej ocenie czuć się powinien.

Poszli do niej. Mimo poczucia ogólnego oszołomienia alkoholem, brakiem snu i wydarzeniami ostatnich godzin Wawrzyniec nie zatracił możliwości oceny estetycznej miejsca, w którym obecnie się znalazł. Korzystając z tej przyrodzonej lub nabytej zdolności, stwierdził zaś, że u żony Łukasza Trebunia było po prostu ładnie. Wnętrze w pierwotnym zamyśle było góralskie, ale sporych rozmiarów izba z wielkich drewnianych bali, z wyrytą na powale datą 1897, umeblowana była niewielką liczbą elementów nowoczesnych, tak jednak dobranych, że idealnie harmonizowały z góralskim charakterem wnętrza. Światło było jasne, ciepłe, ale nie żółte, słowem: idealne trzy tysiące kelwinów, kojarzyło się ze światłem dawnych tradycyjnych żarówek, ale jednocześnie było jakby przytulniejsze od niego.

– No, to co chciał pan wiedzieć? – zapytała żona Trebunia, Beata, kiedy już weszła do izby z dzbankiem herbaty i filiżankami.

– Głównie ciekawi mnie, jakie były stosunki między mężem a Piotrem Markowskim – odparł Wawrzyniec.

– Czy go zabił? – Beata, kobieta w typie surowej góralskiej urody, z włosami zaplecionymi w czarne grube warkocze, nie uśmiechała się. – O to panu chodzi?

– No nie, bez przesady, nie powiedziałbym tego aż tak... – Wawrzyniec zaczął się płatać, po chwili dodał: – Raczej może, czy

oni się lubili, czy... – I utknął.

Teraz Beata zaczęła się śmiać. Śmiech był szczery i ukazywał jej piękne białe jak śnieg zęby.

– Interesuje pana po prostu, czy mój były mąż i Markowski się lubili – podsumowała, kiedy w końcu przestała się śmiać. – A po co panu taka wiedza, jeśli mogę spytać?

– No właśnie, właściwie... – Urwał Wawrzyniec z przeświadczeniem, że znalazł się w jakimś absolutnie ślepym zaułku.

– Nie, nie zabił go, a właściwie ich, co zresztą musiałyby być karkołomnie trudne, bo o ile wiem, zginęli przygniecenii połową śniegu w Morskim Oku – odrzekła.

– Tak, wiem, że lawina to dość trudne, powiedzmy, narzędzie zbrodni, ale mam podstawy przypuszczać, że nie zeszła z przyczyn naturalnych, to znaczy, jestem prawie przekonany, że ktoś ją spowodował – rozgadał się Wawrzyniec, bo w tym akurat obszarze był nieco lepiej obeznany i mówił teraz w poczuciu, że ta logika jego wyvodu przykryje brak spójności sprzed chwili. – Lawina została odcięta zbyt równo, widziałem ślady opalenia, tak jakby na górze został zdetonowany jakiś ładunek, poza tym słyszałem też na kilka sekund przed jej zejściem bardzo nietypowy odgłos.

– Rozumiem. – Beata spokojnie pokiwała głową, tak jakby chciała pomóc Wawrzyńcowi w jego pracy nad samousprawiedliwieniem. – Tyle że ja byłam tego dnia u niego w Londynie, poszliśmy nawet do łóżka poprzedniego wieczora, i kiedy schodziła lawina, my spaliśmy jeszcze głębokim snem dwa tysiące kilometrów od Morskiego Oka.

– Ale państwo jesteście rozwiedzeni. – Wawrzyniec znów trafił kulą w płot.

– W separacji, ale póki co nie znaleźliśmy jeszcze partnerów, a potrzeby są, znamy swoje ciała, lubimy je, w łóżku zawsze było nam razem dobrze, więc korzystamy. – Teraz to Beata jakby trochę się usprawiedliwiała, ale nieprzesadnie.

– A, okej. – Wawrzyniec był coraz bardziej zdezorientowany. – Właśnie słyszałem, że pan Łukasz mieszka w Londynie, ale ja się z nim widziałem dwa dni temu i...

– To raczej niemożliwe. – Beata zdecydowanie pokręciła głową.

– Dlaczego? – zapytał Wawrzyniec.

– Bo on nie przyjeżdżał do Polski chyba od roku albo może lepiej nawet – wyjaśniła.

– A może pani... to znaczy, przepraszam bardzo, ale może nie poinformował? – Wyraz jego twarzy bardziej wskazywał na to, że Wawrzyniec raczej pyta, niż stwierdza.

– Nie, myślę, że to niemożliwe – powiedziała teraz bardzo stanowczo Beata.

– A jego mama? – Wawrzyniec próbował się jakoś ratować.

– Mama też jest w Londynie, on ją zabrał ze sobą od razu, kiedy wyjeżdżał. Nie sądzę, żeby wyrwała się stamtąd sama, zresztą ona chyba nie lubi tutaj przyjeżdżać. – Beata zamyśliła się na moment. – Ojciec Łukasza, który zmarł przed laty, nie wypełnił jej życia zbyt dobrymi wspomnieniami.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, Wawrzyniec zastanawiał się, o co w tym wszystkim chodzi, ona zaś pewno zastanawiała się, kiedy on już wyjdzie.

– Pójdę już.

Wawrzyniec wyjrzał za okno. Zamieć trochę ustała.

– Jest pan pewien? – zapytała Beata trochę pro forma, ale po chwili dodała coś w zupełnie odmiennym tonie: – Może się pan tu zdrzemnąć.

Wawrzyniec przez sekundę zastanawiał się nad tą sprzecznością właśnie, chętnie rzeczywiście by się zdrzemnął, ale z drugiej strony nie był pewien, czy ta druga wypowiedź też nie była jednak tylko pro forma.

– Nie, pójdę, spacer dobrze mi zrobi – uśmiechnął się.

– Do Halamy? – zapytała. – Ze czterdzieści minut panu zejdzie.

– Dam radę.

Kolejny ranek z zeschniętą bułką i wędliną skreconą w rulon. Wawrzyniec usiadł na łóżku. Ból głowy był nie do zniesienia, czuł się tak zduszony, jakby na pół nocy ktoś zakręcił mu dostęp do tlenu. Pierwsze, co zrobił, to podszedł do okna i otworzył je na oścież, potem położył się jeszcze na chwilę i przykrył szczelnie pierzyną. Może jak się natleni, to uda mu się też coś zjeść, potem zejdzie po proszki. Ciekawe, czy Władek ma coś przeciwbólowego. Może ktoś z gości zostawił w pokoju, wyjeżdżając. Wawrzyniec zastanowił się, co już wiedział i co mógł jeszcze zrobić. Od dobrych kilku dni nie zyskiwał wprawdzie nowych dowodów na poparcie swojej hipotezy, ale za to zdarzenia, których był uczestnikiem, stawały się coraz bardziej tajemnicze, momentami aż nierealnie połączone ze sobą w przedziwnych układach i konfiguracjach. Kiedy spróbował cofnąć się w myślach do najwcześniejszych zdarzeń, dotarło do niego, że wszystko, co poplątane w tej sprawie, zaczęło się wraz z pojawieniem się w niej Grażyny – czy raczej kobiety, która się pod nią podszywała, bo sama Grażyna, jak szybko wyszło na jaw, od roku była na tamtym świecie.

Może to, że Grażyna, którą poznał, nie była Grażyną prawdziwą, ale się pod nią podszyła, stanowiło jakąś wskazówkę. Może zresztą nie znaczyło to nic, ale z braku innych pomysłów na to, co zrobić dalej, Wawrzyniec postanowił raz jeszcze odwiedzić urząd miasta i tam dowiedzieć się czegoś więcej o prawdziwej Grażynie. Cały czas zastanawiało go też, jak to możliwe, że Plewiński, osadzony w tutejszych koteriach jak mało kto, nie zorientował się, że Grażyna, z którą woził go do Murzasichla, była tak naprawdę podróbką Grażyny z urzędu. Ciągłe zresztą z tego wątku wynikała mu niezmiennie jedna konstatacja: że marszand musiał kłamać. Cholerne Podhale, cholerny wiatr, wszystko tu jest tak zawikłane, że nikt już, zdaje się, nic z tego nie rozumie, pomyślał, po czym wstał

i zabrał się do rozciągania zeschniętych plastrów wędliny na szcerstwiałych bułkach.

Dwie godziny później wszedł do urzędu, po raz drugi w ciągu ostatnich kilku dni. Nadal nie był w przesadnie dobrej formie, proszki z odzysku po jakimś gościu, który zostawił je w pokoju może przed rokiem, a może przed pięcioma laty, działały wprawdzie, ale jedynie bardziej przykrywały ból głowy, niż usuwały jego przyczynę. Ćmiło więc wciąż lekko i przypominało o tym, że kiedy tylko proszek przestanie działać, ból powróci i uderzy ze zdwojoną siłą.

– Dzień dobry, ja w sprawie pani Grażyny Porębskiej. – Wawrzyniec popatrzył na urzędniczkę, która tak głęboko tkwiła w nicnierobieniu, że wydobyć jej z tego stanu wydawało mu się niemożliwością. Po chwili spróbował wzmocnić przekaz: – Świętej pamięci Grażyny Porębskiej!

– Nie ma innych Grażyn Porębskich u nas. – Urzędniczka jednak się wybudziła, po czym dodała, skrępowana nieco spojrzeniem jego błękitnych oczu: – To znaczy, nie było, w sensie.

– Tak, wiem oczywiście, chodziło mi raczej o podkreślenie szacunku dla zmarłej. – Wawrzyniec nie miał pojęcia, z czego i po co właściwie się tłumaczy.

– Tak, oczywiście. – Urzędniczka poprawiła włosy i przełożyła nogi, na moment krzyżując je w powietrzu; na tyle szybko, żeby nie wyglądało to na zbyt intencjonalne, i jednocześnie na tyle wolno, żeby Wawrzyniec zdążył zerknąć.

Gry, gry, ciągle te gry, pomyślał. Można udawać, że się ich nie dostrzega, albo dawać do zrozumienia, że się dostrzega, ale celowo nie bierze się w nich udziału; ale najlepiej chyba dla wszystkich byłoby i dostrzegać, i uczestniczyć, lecz raczej nie wprost, czyli brać udział, jakby nie biorąc udziału, i dostrzegać, pozornie nie dostrzegając. Z drugiej strony, czy owe gry nie są właśnie największą radością tego świata?

– Przepraszam, że pytam, może to trochę nie na miejscu, ale chciałbym się dowiedzieć, w jakich okolicznościach pani Grażyna... zmarła? – zaryzykował, a po to, żeby pokryć pewną



kontrowersyjność pytania, szybko przywołał na twarz uśmiech pełny innego zupełnie podtekstu.

Robił tak czasami, szczególnie wtedy, gdy temat rozmowy stawał się trudny lub niewygodny, bo w takich okolicznościach większe skupienie na detalach – koronce pończoch, na włosach albo na tembrze własnego głosu – ułatwiało mu koncentrację i pozwalało popchnąć trudny fragment rozmowy do przodu.

– Zginęła w wypadku – odpowiedziała urzędniczka, która szczęśliwie dla nich obojga myślała w tym momencie o czymś innym.

Wawrzyniec pokiwał głową. Mógł drażnić, ale bolała go głowa i nawet bardziej dręczyła go świadomość, że ból wkrótce powróci.

– Miała kłopoty. – Rozmówczynie rozgadała się i teraz mówiła już bardziej ochoczo. – Ale kto nie ma? – zapytała retorycznie. – Tylko że był ten wiatr, wyjątkowo wredny wtedy. Wiał chyba ze cztery dni, już właściwie się kończył, zaczynało padać. Poszła w góry. Chyba z pięć osób wtedy zginęło w górach. Pan sobie wyobraża?

Wawrzyniec pokiwał głową. Na myśl przyszło mu, że w tym mieście wiatr jest chyba jedyną przyczyną wszystkich zgonów.

– A kłopoty? – zapytał, bo wiatr jako taki wydawał się mało obiecującym podejrzanym w jego dochodzeniu.

– Kłopoty? – Kobieta zdziwiła się, jakby zapomniała na chwilę, o czym w ogóle rozmawiali.

Raz jeszcze noga na drugą nogę, znów pozornie nieobecny wzrok, i tylko przez mgnienie, włosy, spojrzenie, ledwie zauważalny fragment uśmiechu...

– Kłopoty, no miała, tutaj rzeczy się nawarstwiały. Próbowала pomóc w jakiejś sprawie tam chyba w Dzianiszu, górale do niej przyjeżdżali, nie było miło, ktoś ją straszył chyba nawet – rozgadała się nagle dość mocno urzędniczka.

– W Dzianiszu? – zainteresował się Wawrzyniec.

– No tak, tam jakieś sprawy własnościowe były: jakieś cepry z Warszawy kupiły działkę, dom tam przenieśli z działki obok, pobudowali się, zrobili drogę, ale kawałek tej drogi wchodził na plac jakichś górali, dokładnie nie pamiętam... – Kobieta urwała nagle i jakby się zreflektowała: – No, ale przez coś takiego nikt

przecież nie traci życia. Tym bardziej, że to nie była tak naprawdę jej sprawa, ona tylko geodezją się tu u nas zajmowała.

Wawrzyniec słuchał jej uważnie, myślał tym razem o koronce, bo tylko dzięki temu tak naprawdę rozmowa wciąż jeszcze trwała.

– A jak one się nazywały? – zapytał w końcu, kiedy kobieta umilkła na moment, po czym dodał, bo odniósł wrażenie, że ona kompletnie straciła wątek: – No, te cepry, co tę drogę góralom zrobiły.

– Tak naprawdę nic nie zrobiły, to tym góralom coś się ubzdurało chyba, oni tam strasznie dużo piją. – Urzędniczka zamyśliła się na moment. – A jak się nazywały? A wiem, wiem jak, zaraz sobie przypomnę, bo niedawno w „Tygodniku” o nich było. Proszę sobie wyobrazić, że poszły gdzieś z Pięciu Stawów, a wiało znowu akurat, ten wredny wiatr, no i lawina zeszła od Koziego chyba czy od Zamarłej... i tyle ich widzieli. Czyli trochę jak ona.

– Z Morskiego poszli, a lawina zeszła spod Miedzianego – uśmiechnął się Wawrzyniec. – Nazywali się Markowscy.

– A tak, dokładnie – ucieszyła się urzędniczka. – A pan skąd wie? Też pan czytał?

– Nie, ja tam byłem – odparł z lekkim smutkiem Wawrzyniec, a widząc totalne zaskoczenie na jej twarzy, dodał szybko, usprawiedliwiając się znów nie wiadomo dlaczego: – Przypadkowo byłem.

Kolejna podróż do Dzianisza samochodem, którego wciąż jeszcze nie oddał, choć miał to zrobić nazajutrz po wyjeździe do Andrychowa, była mu właściwie bardzo na rękę. Gdyby nie ten przypadkowy zbieg okoliczności, pewno wkrótce pojechałby tam i tak. Perspektywa ponownego spotkania z Moniką nęciła go bardziej, niż mógłby się spodziewać. Ta kobieta naprawdę miała w sobie coś... innego? Pewno powinniśmy mieć dzieci, pomyślał z odrobiną autoironii. Tak, chyba właśnie natura nas sobie dobiera nawzajem, feromony, a może coś jeszcze innego, słowem: klucz pasujący do jakiegoś idealnego ewolucyjnego zamka. Miłości, jak wiadomo, nie da się ogarnąć rozumem, jest pozaintelektualna, instynktowna, intuicyjna, przychodzi, kiedy chce, dokonując własnych wyborów. A czym niby miałyby być te wybory, jak nie szyfrem dla dobra natury? Może boskim wyrokiem, ale to jemu, zdeklarowanemu agnostykowi, jawiło się jako z grubsza tożsame. Czyli z Moniką powinniśmy mieć dzieci. Wawrzyniec zaśmiał się, komentując własne rozmyślenia. Może powinniśmy, ale przecież jest jeszcze wolna wola, która może zaoponować przeciwko boskim wyrokom. Tylko po co właściwie? Czyżby wolna wola służyła jedynie temu, by człowiek mógł siać wokół siebie zamęt w świecie? Takie oto myśli towarzyszyły Wawrzyńcowi w czasie peregrynacji przez krajobrazy wciąż na nowo pobielane śniegiem.

– Miło, że jesteś. – Stała w drzwiach od plebanii, zanim jeszcze zdążył zapukać.

– Miło cię widzieć – odpowiedział zaskoczony.

– Co sprowadza cię tym razem? – zapytała, domyślając się chyba, że powód wizyty jest inny niż ona.

– Ty – skłamał trochę, ale nie do końca, i lekko się zawahał.

Ona czekała.

– W urzędzie w Zakopanem dowiedziałem się, że Markowscy mieli jakiś spór z tutejszymi góralami – dokończył.

– Chodź. – Otworzyła szerzej drzwi do plebanii i sama ruszyła przodem.

Proboszcz opowiedział mu tyle, ile wiedział o tym, że rzeczywiście przez rok czy dwa było dosyć nieprzyjemnie. Wawrzyniec dziwił się, że nie powiedzieli mu o tym wcześniej. Ani proboszcz, ani Monika nie umieli mu do końca wytłumaczyć, dlaczego o tym zapomnieli: może sprawa wydawała im się zbyt błaha, może on sam skupił się za bardzo na wątku dziwnego marszanda i przez to temat im umknął, a może był jeszcze jakiś inny powód, który gmatwał tę i tak już cholernie zagmatwaną sprawę.

– Chcę z nimi pogadać – odezwał się po chwili milczenia Wawrzyniec.

– Z kim? – zdziwił się proboszcz, jakby zapomniał, o czym i o kim przed momentem rozmawiali.

– Z tym góralami, którzy mieli spór z Markowskimi – przypomniał spokojnie Wawrzyniec.

– Możemy iść – odparł proboszcz, po czym dodał, wycofując się delikatnie: – Albo lepiej idźcie z panią Moniką, jej tu prędzej coś powiedzą, przede mną się kryją, przynajmniej dopóki nie trzeba przyjść do spowiedzi.

Poszli. Dla Wawrzyńca takie rozwiązanie było korzystne, bo po pierwsze, szli szybciej, niż gdyby wybrał się z nimi stareńki ksiądz gaduła, a po drugie – i ważniejsze – znów mógł побыć z nią chwilę sam.

– Może odwiedziłabyś mnie kiedyś w Warszawie? – odezwał się po kilkudziesięciu metrach milczenia zagłuszanego szumem wiatru.

– Raczej nie – odpowiedziała, uśmiechając się chyba, choć w ciemności nocy ciężko mu było zyskać pewność w tej sprawie.

– Czemu? – zapytał, po części udając zdziwienie.

Tak naprawdę gdzieś w głębi serca takiej właśnie odpowiedzi się spodziewał, chociaż nie do końca wiedział nawet dlaczego. Może na tym zależało mu najbardziej w tej rozmowie – żeby zrozumieć, czemu właściwie nie mogliby być razem i czemu ona nie mogłaby

zamieszkać z nim w jego wielkim i pustym mieszkaniu przy placu Trzech Krzyży.

– Bo nie mnie szukasz na razie... – odpowiedziała po chwili namysłu, a może wahania.

– Skąd możesz wiedzieć, kogo szukam?

– Przyglądam ci się jakiś czas, czuję coś, może wiem. – Teraz była bliżej niego, przechodzili też obok jednej z drewnianych chałup z wielkich ciemnych bali i padające z okna światło rozjaśniło jej twarz, uśmiech stał się wyraźniejszy. – My czasem wiemy różne rzeczy jakoś tak szybciej, wcześniej... A może wy też wiecie, ale my mamy więcej odwagi, żeby to dopuścić do świadomości.

– Może mniej wam zależy – zamyślił się.

– Nie. – Znow weszli w ciemność i jej twarz spowił mrok. – To kwestia bycia odważnym wcześniej po to, by nie cierpieć później. Tak nas chyba Bóg złożył, że wolimy nie trzymać się kurczowo na początku, a wy wolicie puścić później. Nam później jest trudniej.

Przez chwilę nic nie mówił. Mógł się wdać z nią w spór, użyć argumentu, że przecież kobiety od mężczyzn nie różnią się niczym, a wszystkie odmienności to rzecz nabyta czy raczej wymuszona. Mógł, ale po co, skoro sam w to nie wierzył.

– Ale dopóki nam się na razie chce, możemy ze sobą spać do woli – odpowiedziała.

Teraz, choć nie zobaczył, to usłyszał, jak zaśmiała się krótko i urokliwie. Przez myśl przeszło mu, że może powinien się na chwilę stać adwokatem diabła, ale zaraz się powstrzymał. Jeszcze tego brakowało, żeby teraz nagle zaczął prawić moralitety o tym, że za seksem musi iść coś jeszcze. To dopiero byłaby hipokryzja... a może zresztą nie, może w tym wyjątkowym przypadku nie byłoby hipokryzji, ale wtedy musiałby się odsłonić, pokazać jej, że rzeczywiście mu na niej zależy, a tego zrobić nie potrafił. Szkoda, bo kto wie, czy nie na to właśnie czekała.

– Masz klucze do Markowskich? – powiedział zamiast tego.

– Mam – rzuciła szybko i trochę chłodno, ale zaraz dodała, pewnie dla pokrycia swojego zawodu: – Zajrzymy może, jak będziemy wracać.

U górali było specyficznie. Na wielkim łóżku, ustawionym pod ścianą, leżało kilka osób. Wszyscy byli tak okutani szmatami, a nawet gumowcami i sobą nawzajem, że Wawrzyniec nie był w stanie ocenić, ani ile było w łóżku osób, ani jakiej były płci.

– Pan jest z Warszawy – zagaiła Monika – i chciałby się czegoś dowiedzieć na temat waszego sporu z Markowskimi.

– Jakiego tam sporu! – Ze sterty ludzi i ubrań dał się słyszeć zachrypnięty kobiecy głos. – Nie ma żadnego sporu.

– Nie było, w sensie – poprawił góralkę Wawrzyniec i wzmógł czujność wzrokową oraz słuchową, żeby wyłapać koniecznie lokalizację rozmówcy, kiedy ta odezwie się znowu.

– No godom, nie było i ni ma.

Góralka znajdowała się najbliżej ściany, przykryta była w znacznym stopniu wielką pierzyną. To dlatego Wawrzyniec nie dostrzegł jej w pierwszej chwili.

– Nie było – powtórzył, po czym dodał: – A teraz nie ma, bo nie ma już z kim.

Skonstruował to dość trudne semantycznie zdanie i od razu ugryzł się w język.

– Co on goda? – zapytał tym razem męski głos, dochodzący też z łóżka, ale bardziej od strony wielkiego kuchennego pieca.

– Pan mówi, że nie możecie już teraz mieć sporu, bo oni nie żyją – przyszła mu w sukurs Monika.

– Jak nie żyją, kto nie żyją, Markowskie, oba? – zdziwiła się góralka spod pierzyny, a w jej głosie Wawrzyniec usłyszał ledwie wyczuwalną nutę zawodu. Nie wiedziała jeszcze wprawdzie, o co chodzi dokładnie, ale to, że nie ma człowieka, oznacza niestety w zasadzie zawsze to samo.

– Tak, oboje, zginęli w lawinie w Morskim Oku – wyjaśniła Monika, zanim Wawrzyniec zdążył się odezwać.

– A to krucafuks! – Do rozmowy włączył się jeszcze ktoś trzeci, kto też leżał, zdaje się, na tym samym łóżku między kobietą w rogu a mężczyzną przy piecu. – I co teraz? – dodał jeszcze, całkowicie retorycznie.

– Teraz to nie wiem. Po prostu zginęli i pan z Warszawy próbuje się dowiedzieć, dlaczego tak się stało – kontynuowała po chwili

milczenia Monika.

– A skąd my mamy wiedzieć, co my, proroki? – zapytała spod pierzyny najstarsza, zdaje się, w towarzystwie kobieta, wnosząc z jej głosu.

Wawrzyniec popatrzył na łóżko, a właściwie na barłóg, nazywając rzecz po imieniu, i pomyślał, że rzeczywiście nie tak wyobrażał sobie wróżki.

– Raczej nie wyglądają na szajkę zabójców, co? – Głos Moniki ładnie wkomponował się w chłupot wody pod stopami.

– Raczej nie – uśmiechnął się Wawrzyniec, po czym dodał zdziwiony: – Swoją drogą, jak to możliwe, że oni nie wiedzieli?

– Oni są tu dość oddaleni od wszystkiego, to nie Zakopane, to jest inny świat. A wracając do tamtego, to o ile pamiętam historię z tym sporem, chociaż zaczęło się rzeczywiście nieciekawie, to potem oni byli już zadowoleni, nawet bardzo. – Monika mówiła, a on wsłuchiwał się w jej głos. – Zapłacili im naprawdę dobrze. Nie wiem, czy to Agnieszka, czy Piotr, ale w każdym razie poszło sporo pieniędzy.

– Czemu mi wcześniej nie powiedziałaś? – zaciekał się Wawrzyniec.

– Po pierwsze, chciałam, żebyś sam ich poznał, zawsze lepiej widzieć, niż słuchać opowieści... – zaczęła Monika, ale zamiast kontynuować, zamilkła.

– A po drugie? – dopytał.

– Po drugie? – Zdawała się nie wiedzieć, o co mu chodzi, a może tylko udawała.

– Po pierwsze, chciałaś, żebym ich poznał, a po drugie... – przycisnął.

– Ach. Ucieszyłam się, że przyjechałeś, i chciałam pójść z tobą na spacer. – Monika nagle zupełnie się otworzyła.

Wawrzyniec zamyślił się na chwilę. Nie chciała do Warszawy, ale na spacer za to z przyjemnością. Niezbadane są umysły kobiet.

– Mieliśmy zajrzeć do domu – przypomniał Wawrzyniec.

Tak naprawdę nie musiał. To znaczy, ona o tym nie zapomniała, ale głupio byłoby, żeby to od niej wyszło.

Kochali się intensywnie. Na stole, a potem na podłodze i w końcu na łóżku przykrytym baranią skórą. Kiedy było blisko, Wawrzyniec zobaczył nagle dziwny obraz. Z boku stała i patrzyła na nich kobieta, która po chwili wyciągnęła rękę i dotknęła delikatnie pleców Moniki, a jej dłoń zniknęła jakby wewnątrz ciała. Nie widział twarzy skrytej w mroku, a mimo to wydawało mu się, że ją zna, choć za cholerę nie mógł sobie przypomnieć skąd. Zresztą w pierwszym odruchu nie chciał sobie w ogóle nic przypominać. Obraz był przerażający, ale właśnie zaczął szczytować, a orgazm, który przeżył, a właściwie który przeżyli razem, absolutnie przerósł wszystko, co znał do tej pory. Supernowa, doznanie, które prawie rozerwało mu trzewia.

– Boże, co to było? – zapytała, ciężko dysząc, Monika po minucie, a może dwóch, bo wcześniej nie była w stanie dobrać głosu.

– Nie mam pojęcia. – Pokręcił głową Wawrzyniec.

Też czuł się, jakby wrócił z dalekiej podróży, w trakcie której dotknął śmierci, a ona uśmiechnęła się do niego i jednocześnie pogroziła mu palcem. Zastanawiał się przez moment, czy mówić Monice o swojej dziwnej wizji, ale w końcu zrezygnował.

– Może to jednak było samobójstwo? – zagaił, kiedy oboje doszli już do siebie na tyle, żeby wspólnie zapalić papierosa.

– A skąd nagle taka myśl? – zapytała czujnie.

Monika wśród wielu innych swoich zalet była też inteligentna, i to inteligentna w ten szczególny sposób, pozwalający wyłowić z otaczającej rzeczywistości każdy element, który z nią w jakikolwiek sposób nie konweniował. Nagła myśl o ich samobójstwie, po bardzo dziwnie zakończonym seksie, nie mogła przecież być przypadkowa.

– Przyszła do mnie... właściwie do nas – złamał się w końcu Wawrzyniec.

Nie było powodu, żeby to przed nią ukrywać, ich relacja była już i tak na tyle dziwna i pokręcona, więc próby udawania, że to, co działo się wokoło, jest normalne, mijały się właściwie z celem.



– Agnieszka? – Monika nie wydawała się specjalnie zdziwiona. – Za dużo o nich myślisz – skwitowała krótko, po czym dodała jeszcze, z nutą delikatnej zazdrości w głosie: – O niej za dużo myślisz.

– Jak mogę myśleć o kimś, skoro nie wiem nawet, jak wygląda. – Wawrzyniec pokręcił głową.

– Jak to nie wiesz, jak wygląda? Przecież spotkałeś ich w schronisku, zanim to wszystko się stało – zdziwiła się Monika, jak zawsze spójna i logiczna.

– Nie pamiętam – przyznał się Wawrzyniec. – Nie pamiętam, jak oni wyglądali. Nie wiem dlaczego, ale nie mogę sobie przypomnieć. Może za krótko się przyglądałem, siedzieli zawsze z boku, tyłem, ich twarze widziałem może raz, gdzieś w półmroku, o świcie. Nie pamiętam, zresztą zawsze miałem problem z zapamiętaniem twarzy. Nakładają mi się jedna na drugą, teraz myślę, że może ona wyglądała tak jak ty.

– O nie – zaśmiała się Monika. – Była o wiele ładniejsza, bardziej dystygowana, taka po prostu piękna kobieta.

– Też jesteś piękna.

Wawrzyniec nie kłamał, naprawdę tak uważał.

– Szkoda, że jej nie poznałeś – uśmiechnęła się.

– Może powinienem poznać ją bardziej – pomyślał głośno. – To znaczy, na ile się da teraz, kiedy już nie żyje.

– Prowadziła warsztaty w Kenarze – odpowiedziała. – Takie nieregularne, oczywiście tylko dla wytypowanych uczniów, ale w związku z tym świetnie ją tam znali, poza tym tam pewnie znajdziesz sporo jej obrazów, przynajmniej szkice. A artysta ujawnia się w swojej sztuce.

– Szkice do abstrakcji? – zapytał.

– Nie zawsze malowała abstrakcję. – Popatrzyła na niego teraz jakoś dziwnie, a może tak mu się tylko wydawało z powodu cienia pełgającej świecy. – To naprawdę była świetna malarka.

## 21.

Ceglany budynek z kontrastującymi białymi obramowaniami okien i z dachem z jasnej blachy wyróżniał się na tle otaczających go drewnianych góralskich chałup. Wygląd budynku przypominał, że powstał on bardzo dawno temu i że postawiły go jeszcze cesarsko-królewskie władze rządzące austro-węgierską Galicją. Wawrzyniec wszedł do środka, nie wiedząc nawet do końca, o co konkretnie mu chodzi i o co ma zamiar pytać. We wnętrzu pachniało mieszaniną terpentyny i pasty do podłóg. Wszędzie wokoło stało mnóstwo drewnianych Chrystusów frasobliwych, wisiały ludowe obrazy, czuć było przytłaczającą obecność góralszczyzny.

– Jak mogę pomóc? – Chuda kobieta w obcisłym swetrze wyrosła obok niego nagle, niespodziewanie i trochę nie wiadomo skąd.

– Trochę głupia sprawa... Szukam kogoś, kto pracował z Agnieszką Markowską albo ją znał. – Wawrzyniec starał się być konkretny, ale kiepsko mu to wychodziło.

– To właściwie każdy tutaj, na przykład ja. – Chuda kobieta uśmiechnęła się ciepło i szczerze.

Wawrzyńcowi przyszło nagle do głowy, że może tak uśmiechają się wszyscy artyści. Może tak uśmiechała się też Agnieszka.

– A mógłbym z panią chwilę porozmawiać? – zagaił nieśmiało.

– Oczywiście. – Kobieta nie przestawała się uśmiechać. – A dlaczego o Agnieszcze, jeśli mogę spytać?

Mogła spytać, oczywiście, tyle że on wciąż nie bardzo potrafił udzielić odpowiedzi. Zastanawiał się przez moment.

– Byłem świadkiem jej, a właściwie ich, śmierci.

Kiedy nie ma się przygotowanej odpowiedzi, najłatwiej i najbezpieczniej zawsze mówić prawdę, doszedł do wniosku Wawrzyniec. Są oczywiście ludzie stworzeni do kłamstwa, którym łatwiej nawet jest konfabulować, niż mówić prawdę; bywa, że tacy są wręcz niezdolni do prawdy, on jednak do takich ludzi nie należał. Zdarzało mu się oczywiście kłamać, szczególnie różnym kobietom,

które zwodził całe życie, ale żeby to zrobić, musiał być zawsze doskonale przygotowany. Nawet wtedy zresztą seria pytań dodatkowych z reguły łatwo wytrącała go z równowagi. Tym razem nie przygotował jednak żadnej strategii, bo przecież nie przyszedł tu ani się przed nikim usprawiedliwiać, ani nikogo uwodzić.

– Wydaje mi się, że tam się zdarzyło coś... dziwnego – powiedział Wawrzyniec i utknął.

Sytuacja była bardziej złożona. Nie kłamał, a i tak nie bardzo potrafił odpowiedzieć na zadane pytanie, bo przecież sam do końca nie potrafił zrozumieć, dlaczego wciąż tkwił w tej sprawie. Jego milczenie trwało już chwilę za długo. Wawrzyniec się zawiesił, a kobieta przyglądała mu się z nieco innym już teraz rodzajem zainteresowania.

– Wydaje mi się, że nie zginęli przypadkowo, może tak powiem. – Wawrzyniec dokończył myśl i wypuścił powietrze z płuc.

– A to ciekawa hipoteza – odpowiedziała, a on przez moment odniósł wrażenie, że delikatnie się uśmiechnęła. – Policja wie?

– Tak, złożyłem zeznania. – Wawrzyniec pokiwał głową, ale zaraz się poprawił, żeby być rzetelnym w przekazywaniu informacji: – To znaczy, nic nie podpisywałem, ale chyba sporządzili notatkę, jak to się u nich nazywa. Wydaje mi się, że nie są tu przesadnie przejęci swoją pracą.

– Chyba nigdzie nie są. – Teraz chuda kobieta uśmiechnęła się wyraźniej, ale już bez wcześniejszego dystansu. – To co chciałby pan wiedzieć o Agnieszce?

Wawrzyniec spędził w szkole dobre półtorej godziny. Rozmawiał z kobietą, a potem z dyrektorem liceum. Jego wiedza o Agnieszce wzbogaciła się o kilka faktów. Dowiedział się, że była bardzo lubiana przez uczniów, a przez jednego z nich szczególnie. Obejrzał szkice jej obrazów, które znów uwiodły go czymś, czego nijak nie potrafiłby nazwać. Wydawało mu się, że są mu bliskie, że widział kiedyś rzeczy, które jej obrazy ukazywały. Osoby, detale, gesty, przedmioty, twarze z jej rysunków wydawały mu się chwilami bliższe niż rzeczywistość.

– Tak to jest z dobrym malarstwem – wyjaśniła rozmówczyni, odprowadzając go do wyjścia. – Chyba o to właśnie chodzi. Fenomen, którego nikt nie potrafi wyjaśnić. Może na szczęście.

– A ten uczeń? – Wawrzyniec powrócił do wątku, który wcześniej w rozmowie z nim poruszył dyrektor szkoły. – Ten, którym się opiekowała?

– Piotrek Klamerus – uśmiechnęła się znów kobieta. – Bardzo zdolny i dość przystojny... – dodała, nie kończąc zdania.

– Gdzie go znajdę? – Wawrzyniec zrozumiał brak wyraźnej puenty.

– Mieszka na Krzeptówkach. – Kobieta unikała teraz jego wzroku, tak jakby czuła się lekko zażenowana tym, co mu powiedziała, choć przecież nie powiedziała mu nic. – Krzeptówki sześćdziesiąt pięć. Do widzenia panu.

– Do widzenia. – Wawrzyniec skłonił się lekko i ruszył do drzwi wyjściowych.

– A pan wie o tym, że jej mąż pracował też kiedyś w TOPR-ze? – Nagle usłyszał za sobą.

– Nie. – Odwrócił się. – A coś z tego wynika?

– Akcja pod Mnichem, sześć lat temu. – Kobieta patrzyła mu teraz prosto w oczy. – Proszę popytać. Tam zginął mój mąż.

Wawrzyniec stał w miejscu, zaskoczony, i patrzył na nią pytająco.

– Nie, ja panu nic o tym nie opowiem, to dla mnie za trudne – dodała jeszcze, odwróciła się i zniknęła w głębi mrocznego korytarza.

Jedna wizyta i dwa wątki, a właściwie nawet trzy, bo te obrazy, a raczej jego własny do nich stosunek też zastanawiały go dogłębnie. Niezwykła artystka: we wszystkich obrazach, a nawet w szkicach radość, uśmiech, optymizm. Raczej niemożliwe, żeby chciała się zabić. Tacy ludzie nie odchodzą w mrok.

## 22.

Na Krzeptówki miał rzeczywiście blisko, góra pięć minut na nogach. Zostawił samochód pod szkołą i ruszył w górę wzdłuż Kościeliskiej.

Drzwi do sieni otworzył mu młody, na oko dwudziestoletni chłopak. Wawrzyniec od razu wiedział, że to do niego przyszedł. Młodzieniec był rosły, dobrze zbudowany i w rzeczy samej chyba dość przystojny, choć tego pisarz nie potrafił już ocenić.

– Chciałem zapytać o Agnieszkę Markowską – zagaił od razu po sekwencji powitalnej Wawrzyniec. – Pan ją, zdaje się, znał dość dobrze.

– Książkę pan pisze? – Klamerus od razu zrobił na nim wrażenie asertywnego rozmówcy.

Wawrzyńcowi przemknęło przez głowę, że to pewnie on był zatem inicjatorem tego, o czym nie chciała więcej mówić kobieta ze szkoły.

– Nie, dochodzenie prowadzę – odpowiedział krótko i zwięźle Wawrzyniec.

– Policja? – Przez twarz młodego przebiegł ledwie dostrzegalny cień strachu.

– Współpracuję z komendą powiatową – skłamał Wawrzyniec.

– Współpracuje pan? – uśmiechnął się złośliwie Piotrek.

Chwilę stali w milczeniu. Wawrzyniec zastanawiał się, co zrobić, kiedy młody poprosi go o jakiś dowód tej współpracy.

– Pan wejdzie. – Młody jednak o to nie poprosił. – Nie wiem, jak mogę panu pomóc, ale skoro panu zależy...

Weszli.

– Tu, do kuchni proszę. – Młody puścił Wawrzyńca przodem.

Czy oni w tych domach mają wyłącznie kuchnie? Nie pierwszy raz Wawrzyniec się nad tym zastanawiał. Chwilami odnosił wrażenie, jakby te przepastne domy były tylko atrapami, które w środku miały wyłącznie to jedno pomieszczenie. Bez względu na

to, czy szedł do starych górali, czy do młodego chłopaka uczącego się w Kenarze, zawsze lądował w kuchni.

– W kuchni siedzimy, bo tu najcieplej. – Chłopak wskazał mu krzesło.

Wawrzyniec przeraził się wrażeniem, że rozmówca czyta mu w myślach.

– Skąd pan wie, że o tym myślałem? – Tym razem postanowił to wyjaśnić.

– Widzę, jak pan się rozgląda, patrzy pan na sufit, zastanawia się pan pewno, czy tam w ogóle coś jeszcze jest nad nami. – Piotrek był najwyraźniej bystrym chłopcem, może to też w jakimś stopniu uwiiodło Agnieszkę.

Wawrzyniec usiadł na wskazanym krześle, młodzieniec naprzeciw niego. Przynajmniej nie zaproponował mu kawy ani wódki, a to już zawsze jakiś postęp, pomyślał.

– Nie znałem jej jakoś szczególnie dobrze – młody zaczął niepytany. – Intensywnie, owszem, ale niezbyt długo – dodał.

– Intensywnie? – Wawrzyniec zapytał szybciej, niż pomyślał, i teraz przez moment zastanawiał się, czy nie przesadził z bezpośredniością.

– Sypialiśmy ze sobą – doprecyzował młody i się uśmiechnął.

Coś, co wisiało nad ich rozmową jak widmo, teraz jakby nabrało ciała i ciężaru. Wawrzyniec przyjął to właściwie z ulgą. Tak dużo rzeczy w tej sprawie wciąż było nieuchwytnych jak cień, jak woal przysłaniający rzeczywistość, więc teraz, kiedy coś wreszcie zostało wypowiedziane wprost, od razu poczuł się lepiej.

– Rozumiem – zaczął. – Myśli pan, że ona... razem ze swoim mężem, że oni mogli...

– Chcieć się zabić? – Znów młody był szybszy w nazywaniu rzeczy po imieniu. – Nie sądzę, byli dziwni, cholernie dziwny był ten ich związek, ale raczej oboje kochali życie.

– Jego też pan znał? – zdziwił się Wawrzyniec.

– Owszem. – Młody na chwilę się zamyślił. – Przyszedł do mnie jakieś dwa tygodnie przed tym wypadkiem i powiedział, że jak nie odpuszczę, to mnie zabije.

– Zazdrosny? – dopytał Wawrzyniec.

– Tak, ale jakoś tak nie do końca w tym przekonujący. – Młody popatrzył uważnie na Wawrzyńca. – Przyszedł jakby trochę z musu, jakby ktoś mu kazał, nie było w tym prawdziwej emocji. Myślę, że na tym polegał jej główny problem z nim. On wszystko udawał, grał tę zazdrość. Może nie miał kontaktu ze swoimi emocjami, a może w ogóle ich nie miał. Tego to już panu nie powiem.

– Sporo pan wie. – Wawrzyniec był szczerze zaskoczony mądrością i spostrzegawczością młodego człowieka.

– A czego pan właściwie dochodzi? – zapytał po chwili Piotr.

Wawrzyniec nie za bardzo zrozumiał pytanie.

– No, powiedział pan, że prowadzi dochodzenie, to pytam, czego pan dochodzi? – doprecyzował Klamerus.

– Prawdy – uśmiechnął się Wawrzyniec.

– To zawsze, oczywiście, i chwała za to. Ale w tej właśnie sprawie to czego konkretnie? – Młodzieniec był logiczny do bólu.

– Mam wrażenie, że ktoś ich zabił, ewentualnie, że zabili się sami – wyjaśnił Wawrzyniec. Po chwili jeszcze doprecyzował: – Wyszli prosto pod lawinę w bardzo złych warunkach, a lawinę moim zdaniem ktoś odpalił zdalnie, słyszałem huk detonacji, a na górze pod granią Miedzianego jest bardzo równa linia i jakby ślady opalenia.

Klamerus pokiwał głową. Chociaż jak wielu młodych mężczyzn starał się nie okazywać uczuć i emocji i krył je pod maską nonszalancji, to i tak teraz nie dało się nie zauważyć, że to, co usłyszał, dość go zaskoczyło.

– Zabić kogoś lawiną... Nie lada wyczyn – odpowiedział po chwili Piotr. – No, ale jeśli tak było rzeczywiście, to ten ktoś, bo oni na pewno nie zrobili sobie tego sami, musiał mieć gwarancję, że oni wyjdą na ten szlak. Dokąd szli?

Wawrzyniec był zaskoczony. Dlaczego sam do tej pory się nad tym nie zastanowił? Markowscy nie wpisali wprawdzie nic w książkę wyjść, ale prawdopodobnie szli do Pięciu Stawów, więc można było zapytać w tamtym schronisku, czy tam na przykład ktoś na nich nie czekał.

– Dziękuję – powiedział po chwili. – Bardzo pan jest bystry.

– Też mi to mówiła – uśmiechnął się Piotr.

Chwilę siedzieli w milczeniu.

– Ja nie byłem jedyny – odezwał się nagle znowu młody. – Byli inni. Ona nie stroniła od facetów, ale wszyscy wiedzieliśmy, że robi to na przekór mężowi, że jest z nami bardziej przeciw niemu niż dla nas. Może wśród nas był ktoś, kto tego nie zrozumiał albo nie zaakceptował.

– A po co? – Wawrzyniec popatrzył na niego przenikliwie. – Albo raczej: dlaczego robiła to przeciw mężowi? Też ją zdradzał?

– Nie – odpowiedział Piotr szybko i zdecydowanie. – Chyba był za chłodny, gdyby zdradzał, to przynajmniej pojawiałyby się jakieś emocje, a on był obok, szczególnie po tym wypadku jakby zupełnie zniknął z horyzontu emocji.

– Bardzo to poetyckie, a co oznacza tak trochę konkretniej? – Wawrzyniec się uśmiechnął.

Wawrzyniec zasadniczo lubił młodych ludzi, trochę im zazdrościł. Pamiętał, jak sam był młodym człowiekiem. Delikatna, a czasem wyraźniejsza egzaltacja, potrzeba używania słów, które nie do końca opisują rzeczywistość, której zresztą tak naprawdę się nie rozumie. Skądinąd z czego, jeśli nie z tego właśnie tryskało źródło poezji... Wawrzyniec poetą nie był, nawet zdecydowanie nim nie był: za dużo hedonizmu i pragmatyzmu spowodowało z upływem czasu, że w jego myślach zaczął pojawiać się cynizm, a on z poezją nie idzie w parze, w każdym razie nie z taką, jaką lubił Wawrzyniec.

– Konkretniej oznacza to, że facet był nieobecny, zawsze gdzieś obok. Obok sytuacji, obok wydarzeń, obok niej. Dlatego chodziła z nami do łóżka, żeby wreszcie go obudzić z letargu, zmotywować do większego uczestnictwa, do kochania i okazywania. Tak mi się wydaje, ale mogę się oczywiście mylić. – Klamerus zamilkł i wyjrzał za okno. – No i znowu, kurwa, pada – dodał po chwili.

Kiedy Wawrzyniec wyszedł od Piotra, rzeczywiście znów rozpętała się zamieć, a on czuł się jeszcze bardziej dezorientowany niż wcześniej. Jedno zmieniło się jednak na lepsze. Może wynikło to z tego, co mówił młody Klamerus, a może bardziej z jego aprobaty, a przynajmniej zrozumienia dla tego, co robił Wawrzyniec.



W każdym razie spotkanie utwierdziło go w tym, że jednak coś było na rzeczy. Po raz pierwszy poczuł, że naprawdę nie chodzi tu wyłącznie o jego paranoję, uzasadnioną jedynie dziwnym przeczuciem, i że tam, na górze, naprawdę wydarzyło się coś, co należało wyjaśnić. Poza tym kobieta, której tropem szedł, po tym spotkaniu wydała mu się jeszcze bardziej interesująca i jeszcze bliższa. Całe życie nie mógł znaleźć tej jedynej – czyżby miało się skończyć na tym, że znalazł ją w końcu, ale niestety była już na tamtym świecie? Zresztą nawet gdyby znalazł ją wcześniej, to i tak wszystko wskazywało na to, że tej kobiety, pomimo jej licznych romansów, nikt nie byłby w stanie wyrwać z objęć mężczyzny jej życia, czyli męża, z którym zginęła.

Wawrzyniec, idąc wśród wielkich jak ćmy płatków śniegu, lecących mu prosto w twarz, przypomniał sobie o słowach nauczycielki na temat wypadku pod Mniczem kilka lat temu. Może w tym wydarzeniu tkwił klucz do rozwiązania tej sprawy?

## 23.

– Wypadek pod Mnichem? – Witek nie patrzył mu w oczy.

Wyglądał, jakby usilnie próbował sobie coś przypomnieć, ale Wawrzyniec doskonale wiedział, że udaje i tak naprawdę doskonale pamięta wypadek pod Mnichem. Siedzieli na ławce przy Drodze pod Reglami i pili piwo, jak za starych dobrych czasów. Tyle że wtedy od piwa by się zaczęło, a skończyłoby się kilka dni później i tylko niewyraźne wspomnienia podpowiadałyby im, co tak naprawdę się wydarzyło. Dziś mieli tylko po dwie butelki piwa i obaj wiedzieli, że po nich nie nastąpi już nic.

– Tak, Witek, wypadek pod Mnichem. To musiało być chwilę przed tym, jak ja do was przyszedłem, sześć lat temu. – Wawrzyniec bez pośpiechu wypił dwa łyki i spojrzał na Witka wzrokiem sugerującym, że ma świadomość, że tamten doskonale wie, o co chodzi.

– Było coś takiego. – Witek pokiwał głową, ale nadal nie patrzył na niego.

– Markowski? – cisnął Wawrzyniec.

– Zawalił akcję – odpowiedział po chwili Witek i ciężko odetchnął.

Przez moment milczeli, bo Wawrzyniec wiedział, że nie ma co zadawać dalszych pytań: Witek i tak albo odpowie niepytany, albo nie odpowie mu w ogóle.

– To było w nocy, w maju – zaczął Witek. – Dwóch, którzy wyszli na Drogę Orłowskiego, nie zgłosiło powrotu, a zaczął sypać śnieg. Dyżurny poszedł pod ścianę i okazało się, że chłopcy nadal tam wiszą. Jeden coś jęczał z góry, drugi był nieprzytomny. Odpadli i wisieli obaj, chyba na jednym haku, może na dwóch.

– Trochę dramat. – Wawrzyniec włączył się na moment, żeby zaznaczyć swoją obecność i podkreślić niegasnące zainteresowanie.

– Spory dramat, do świtu było z pięć godzin, temperatura spadła nagle do minus ośmiu, no i kurzyło. – Witek w miarę opowiadania

wyraźnie wkręcał się w opowieść. – Markowski był szefem zmiany na dole. Wydzwonił z ośmiu chłopaków, sam z dwójką ruszył z bazy do Morskiego. Dojechali po czterdziestu minutach i po kolejnym kwadransie byli pod ścianą, gdzie czekał na nich ten dyżurny.

– Na razie standard – skomentował Wawrzyniec.

– Na razie tak. – Witek zamyślił się, jakby próbował sobie przypomnieć wszystko w najdrobniejszych szczegółach.

– A ty? Byłeś tam? – zapytał Wawrzyniec.

– Nie – odpowiedział szybko Witek, lekko rozdrażniony tym, że Wawrzyniec przeszkodził mu w zebraniu myśli.

Pisarz wypił znów łyka i postanowił w ogóle się nie odzywać, skoro jego pytania nie pomagały Witkowi.

– Powinien był poczekać na resztę – powiedział szybko Witek. – Warunki były za trudne, żeby tak małą ekipą wchodzić w ścianę. Nawet Orłowskim.

Teraz Witek wypił kilka łyków. Przygotowywał się do ostatniej części tej opowieści.

– Wyszli w górę bez sprzętu, nawet nie mieli odpowiednich ubrań, dyżurny zapomniał im powiedzieć, że na Mnichu jest zima jak w styczniu. A może im powiedział, ale Markowski się nie przejął. Nie wiem. Mogli chociaż zejść do schroniska i się lepiej ubrać, tam zawsze są jakieś rzeczy. A on im kazał się pierdolnąć w górę w tym mrozie i wietrze. Sam też poszedł, ale jako ostatni i dlatego przeżył.

Znów milczeli. Witek wypił już całe piwo do końca.

– Zerwało ich gdzieś po stu metrach. Nikt nie wie do końca, co się stało, może prowadzący, Mietek Staszczyk, stracił czucie w łapach i ręka mu odeszła ze szczeliny. Ktoś mówił, że nagle wtedy strasznie zawiało. Cała trójka ratowników spadła. Markowski był najniżej, a tam jest jeszcze w miarę płasko, pociągnęło go w dół ostro, ale lina się gdzieś zaklinowała. Tamtych dwóch doleciało już do ziemi, on został w ścianie. Zdjęli go po godzinie. Był mocno ranny, coś tam miał odmrożone, ale przeżył. A tamci: chuj...

– A ci w ścianie? – zapytał po chwili Wawrzyniec, żeby jakoś przerwać milczenie.

– Zdjęli ich rano – odpowiedział Witek raptownie, jakby nagle coś go wyrwało z zamyślenia. – Jeden odmrożony fest, drugi miał potem

operację na dole, bo coś było z głową. Nie wiem dokładnie, co się z nim stało, ale obaj przeżyli. Można było poczekać do rana, a przynajmniej, kurwa, do przyjazdu wsparcia.

– Co potem? – Wawrzyniec spojrział czujnie na Witka.

– Potem? Potem normalnie. Dochodzenie. Markowski był jedynym świadkiem swojego spierdolenia sprawy, więc tak naprawdę do końca nie wiemy, co jeszcze tam nawywijał. – Witek po raz pierwszy spojrział też na Wawrzyńca. – Potem sam się zwolnił od nas. Nikt go już i tak tam nie chciał widzieć. Został żal i wkurw u chłopaków, u rodzin tych, co zginęli, ogólnie słabo.

– Czemu mi tego nie powiedziałaś wcześniej? – Wawrzyniec nagle przypomniał sobie cały kontekst tej sprawy.

– A po co? Co to ma do rzeczy? – obruszył się Witek.

– Szukam motywu, dla którego ktoś mógłby chcieć zabić Markowskich: pieniądze, jakieś zaszłości, cokolwiek, a tu mam czarno na białym... – Wawrzyniec aż się lekko zapowietrzył.

– Co masz czarno na białym? – Teraz Witek był spokojniejszy od niego.

– Jak to co? Zemstę mam, rewanz, rozpacz, czyjś gniew – zaczął wymieniać Wawrzyniec. – To są cholernie silne emocje. Któryś z chłopaków, ktoś z rodziny tych, co zginęli, syn, żona, nie wiem...

– Nie sądzę. – Witek był już znów całkowicie spokojny.

Widać było, że sama opowieść o tamtych wydarzeniach kosztowała go wiele, ale w teorię Wawrzyńca kompletnie nie wierzył.

– Nie sądzisz? – Wawrzyniec uśmiechnął się z delikatną ironią. – To szkoda, że nie widziałeś, co się z tobą działo, jak to opowiadałeś.

– Nie sądzę – upierał się Witek. – W historii tej instytucji wielokrotnie zdarzało się, że ktoś popełnił błąd, parę razy to kosztowało życie ludzi. Były żal, pretensje, ale nikt nikogo za to nie zabił. To jest wpisane w ten zawód. Markowski popełnił błąd, ale nie zrobił tego w złej wierze, chciał ratować tych na górze. Nie wiedział za bardzo, w jakim są stanie, widział za to, że pogoda jest fatalna, więc bał się, że pozamarzają. Nawiasem mówiąc, niewiele brakowało, by tak się stało. Jedyne, czego nie wiedział, o czym nie pomyślał, to to, że warunki były na tyle złe, że i oni nie dadzą rady.

Droga Orłowskiego w normalnej sytuacji jest dość prosta, zresztą sam wiesz.

– Wiem. – Wawrzyniec pokiwał głową, ale nie czuł się przekonany.

Po raz pierwszy, odkąd zaczął zajmować się tą sprawą, zetknął się z czymś, co było tak nasycone emocjami. Marszand, który być może chciał ich zrobić na kasę, wspólnik Markowskiego z firmy, górale w Dzianiszu – wszystko jest nijakie, kiedy porówna się to z namiętnościami, które stały za tą historią. Ludzka rozpacz potrafi przekształcić się w jedną z najbardziej destrukcyjnych sił, jakie zna świat, pomyślał.

– Podasz mi nazwiska tych ludzi? – zapytał po chwili.

– Jakich ludzi? – Witek najwyraźniej odpłynął gdzieś w dal.

Wawrzyniec popatrzył na niego i pomyślał, że może odpoczywa po wyrzucie adrenaliny, jaki spowodował w nim powrót pamięcią do tamtych wydarzeń.

– Ludzi, którzy wtedy zginęli, a jeszcze lepiej: zamiar na ich rodziny, może jakieś żony, narzeczone, przyjaciół... – zaczął wymieniać Wawrzyniec.

– Powaliło cię? – Witek najwyraźniej nadal nie zgadzał się z teorią Wawrzyńca.

– Może, ale muszę rozwiązać tę sprawę, Witek, inaczej się od niej nie uwolnię. W Warszawie czekają na mój powrót, zaraz wycofają mi zaliczkę na książkę, powinienem wrócić do redakcji, do mieszkania, a nie mogę! Czuję, że zaraz zwariuję od tego. Rozumiesz? – Teraz to Wawrzyniec wszedł na wyższy poziom emocji.

– Czyli cię powaliło – zafrasował się Witek.

Chwilę myślał w milczeniu: może się wahał, a może próbował sobie przypomnieć.

– Mietek Staszczyk – zaczął. – To ci już mówiłem. Osierocił dwójkę dzieci, żona... Oni się chyba mieli rozwodzić, więc tam już jakiegoś szaleńczego uczucia nie było.

– Jakaś inna rodzina? – dopytał Wawrzyniec. – Rodzeństwo?

– Nie, rodziców miał, ale to starsi ludzie, pogodzili się, jak większość. – Witek się zamyślił, po czym dodał refleksyjnie: – To jest

take zajęcie, które zawsze może się tym skończyć.

– Pozostali? – Wawrzyniec potrzebował teraz informacji, refleksji miał już dość.

– Kaziu Piątek – uśmiechnął się Witek. – Uwielbialiśmy go, w najcięższych momentach potrafił nas rozluźnić jakimś żartem.

Witek znowu zamilkł, najwyraźniej pochłonęły go wspomnienia. Wawrzyniec czekał cierpliwie.

– Żona i dwóch synów, wtedy mieli chyba siedemnaście i dziewiętnaście lat – odezwał się znowu Witek. – Jak już kogoś, to ich możesz sprawdzić, chociaż nie sądzę. Ten młodszy pracuje nawet u nas.

– Był na lawinisku? – zapytał czujnie Wawrzyniec.

– Nie, chyba nie, wydaje mi się, że on studiuje coś w Krakowie, teraz rzadko ma dyżury – odparł Witek.

– A starszy? – Wawrzyniec popatrzył na Witka przenikliwie.

## 24.

Starszy syn Kazia Piątka miał sklep ze sprzętem narciarskim i trekkingowym mniej więcej w połowie Krupówek. Wawrzyniec, zanim wszedł, najpierw przyglądał się chwilę wystawie. Nie zamierzał nic kupować, ale chciał choć przez chwilę poudawać klienta, więc lustrowanie witryny dawało mu dobrą podstawę do tego, żeby po wejściu rzeczywiście wzięto go za potencjalnego nabywcę.

– Dzień dobry. W czym mogę pomóc? – Na oko dwudziestopięcioletnia góralka patrzyła na Wawrzyńca z uśmiechem.

Na jej dłoni dostrzegł obrączkę.

– Dziękuję bardzo, na razie tak się rozejrzę. – Też się do niej uśmiechnął.

Chwilę chodził między półkami i jednak zdecydował się coś kupić. Wybrał termos i bluzę termiczną. Akurat bluza była mu potrzebna, bo poprzednią rozcięli mu, kiedy wyciągali go z zasy pod Miedzianym, a poza tym zakup dawały lepszy pretekst do rozmowy. W pewnym momencie na ścianie dostrzegł galerię zdjęć. Na większości pojawiał się młody chłopak o ogorzalej twarzy, czasem był z nim drugi, podobny, choć nieco młodszy. Na dwóch zdjęciach, umieszczonych osobno i ponad pozostałymi fotografiami, dwaj chłopcy, młodsi o kilka lat niż na pozostałych zdjęciach, pozowali w towarzystwie sympatycznego mężczyzny z siwą brodą i wąsami. Na jednym był podpis: „Z tatą w Warszawie 08.2015”. Wawrzyniec spojrzał jeszcze raz na wszystkie zdjęcia. Na innym, przedstawiającym starszego z chłopaków z jakąś kobietą, ktoś dopisał flamastrem: „Marcinowi z wdzięcznością”.

– A czy może zastałem pana Marcina? – Wawrzyniec położył rzeczy na kontuarze.

Młoda dziewczyna zaczęła nabijać ceny na kasę.

– Tak, zaraz go poproszę – uśmiechnęła się znów do Wawrzyńca, a on pomyślał o młodej Ani z Halamy.

Zapłacił. Dziewczyna wydała mu resztę i ruszyła w kierunku zaplecza.

– A kogo mam zapowiedzieć? – Odwróciła się jeszcze przy drzwiach, z dziwnym uśmiechem na ustach. Może zresztą uśmiech był zupełnie normalny i absolutnie neutralny, a tylko jemu wydał się dziwny, bo wszystko wydawało mu się ostatnio takie.

– Wawrzyniec Wiślicki – odpowiedział. – Nazwisko nic mężowi nie powie, chciałem porozmawiać o jego tacie.

– Skąd pan wie, że mężowi? – zdziwiła się, odrobinę kokieteryjnie.

– Widziałem zdjęcia i ma pani obrączkę. – Wskazał na jej dłoń.

Pokiwała głową i wyszła. Nie było jej chwilę. Wawrzyniec podszedł znów do ściany z przyczepionymi zdjęciami i teraz dostrzegł jeszcze jedno zdjęcie. Było to zdjęcie grobu ojca na zakopiańskim cmentarzu, tym samym, na którym leżała Grażyna Porębska.

– Słucham pana. – Zza pleców dobiegł go niski i nad wiek dojrzały głos Marcina Piątka.

– A, dzień dobry. – Wawrzyniec obrócił się szybko. – Miło mi pana poznać, nazywam się Wawrzyniec Wiślicki.

Mężczyźni podali sobie ręce.

– Przychodzę do pana... – Wawrzyniec tak naprawdę nie miał pojęcia, od czego zacząć. Nie przygotował się, przyszedł tu prosto po rozmowie z Witkiem, na fali tamtych emocji. – To trochę taka nietypowa sprawa jest...

– Rozumiem, słucham. – Piątek ewidentnie nie rozumiał, ale nie wydawał się tym na razie przesadnie przejęty.

– Jestem prywatnym detektywem – skłamał Wawrzyniec. – Na zlecenie rodziny Agnieszki Markowskiej prowadzę dochodzenie w sprawie śmierci jej i jej męża.

Wawrzyniec skończył i nienaturalnie, ale bardzo czujnie zaczął się od razu przyglądać reakcji młodego Piątka. Tak naprawdę, przynajmniej na razie, ta reakcja była jedyną rzeczą, która mogła



mu dać choćby zręb jakiejś informacji na temat stojącego przed nim młodego chłopaka.

– Ale przecież oni zginęli pod lawiną – zdziwił się zupełnie naturalnie Piątek.

– Tak, zginęli po zejściu lawiny z przełęczy pod Miedzianym w Morskim Oku. – Wawrzyniec pokiwał głową.

Jego odpowiedź nie była tak naprawdę żadną odpowiedzią i dla Piątka, który go przecież nie znał, mogła jedynie oznaczać, że detektyw Wiślicki jest po prostu niezbyt rozgarnięty. Wawrzyniec miał w tym jednak swój ukryty cel. Wyszedł z założenia, że jeśli rozmówca zacznie go traktować jak mało rozgarniętego, to straci motywację do skupienia, rozproszy się i wtedy szansa na to, że się zdradzi, nieco wzrośnie.

– Przepraszam, ale to w takim razie jednak czegoś nie rozumiem. To znaczy: czego pan właściwie szuka, skoro zginęli pod lawiną, to znaczy, jak sądzę, w wypadku? – Piątek był ewidentnie kulturalnym i cierpliwym młodzieńcem.

– Byłem tam, kiedy to się stało, i wiem, że to nie był wypadek. – Wawrzyniec zmienił nagle taktykę o sto osiemdziesiąt stopni.

Teraz, po pierwsze, nie był już głąbem, po drugie, niniejszym się odkrył, bo raczej nikt w miarę inteligentny nie uwierzy, że detektyw, którego następnie zaangażowano do prowadzenia sprawy, przez przypadek był wcześniej na miejscu zdarzenia. Szczególnie gdy było to jednak miejsce dość szczególne i nieprzesadnie często odwiedzane przez przeciętnych zjadaczy chleba i detektywów. Po trzecie wreszcie, teraz Wawrzyniec wpatrywał się w Piątka już bez najmniejszego zażenowania.

– Nic nie rozumiem, proszę pana. – Marcin wytrzymał jego spojrzenie, po czym dodał z ironią: – Ale może nie muszę. W każdym razie przyszedł pan tutaj chyba nie tylko po to, żeby mi to powiedzieć?

– Nie. – Wawrzyniec się uśmiechnął. – Przyszedłem pana zapytać, czy był pan może wtedy, to jest dwudziestego ósmego marca tego roku, w Morskim Oku?

Raz jeszcze zmienił podejście. Dotychczasowe próby, które przeprowadzał z pomocą swojej domorosłej wiedzy psychologicznej

i doświadczenia życiowego, wyszły raczej na korzyść młodego Piątka, który przede wszystkim wyglądał na totalnie zdezorientowanego jego zachowaniem. Trzecia próba miała na celu sprawdzenie, jak młodzieniec zachowa się, gdy zostanie zaatakowany.

Piątek przyglądał mu się chwilę dłużej, widać było, że nadal przede wszystkim próbuje w ogóle cokolwiek zrozumieć. W końcu chyba mu się udało, bo się uśmiechnął.

– Chodzi o ojca? – zapytał, zamiast odpowiadać.

Wiślicki był trochę zaskoczony, więc przez moment milczał.

– Może – odpowiedział w końcu. – Był pan?

– Nie byłem. – Piątek zaczął widocznie tracić cierpliwość. – Nie byłem w Morskim od czasu tamtego wypadku, konkretnie od czasu wmurowania płyty chyba rok później. Markowski zesłał wtedy sprawę, ale chciał dobrze, zabrakło mu zimnej krwi i doświadczenia. Nie zabijamy ludzi lawinami za takie rzeczy.

Teraz to on patrzył Wawrzyńcowi prosto w oczy.

– Nie zabijamy? – zapytał ze zdziwieniem Wawrzyńciewicz.

– Tak, my tutaj, my: rodzina, górale i zakopiańczycy. – Piątek nieprzerwanie patrzył mu w oczy. – Coś jeszcze?

– Nie, dziękuję. – Wawrzyńciewicz wiedział już, że ten chłopak raczej na pewno tego nie zrobił, przy czym to przekonanie wynikało nie tyle z tego, co chłopak mówił, lecz raczej z tego, jak to robił. Pewnie gdyby był policjantem śledczym z wszystkimi możliwościami i uprawnieniami, to upewniłby się jeszcze co do tego, gdzie i z kim Piątek był tamtego dnia. Choć nie miał takich możliwości, to i tak ta konfrontacja była dla niego wystarczająca. – Przepraszam pana – uśmiechnął się. – Szukam gdzie popadnie.

– A czemu pan właściwie szuka? – Młodzieniec nie wydawał się przesadnie urażony.

Może coś w zachowaniu Wawrzyńca go ujęło, i być może dlatego właśnie zapytał jeszcze po chwili:

– To jakaś osobista sprawa?

Wawrzyńciewicz przez chwilę patrzył na niego zaskoczony. Pytanie było z gatunku raczej trudnych, więc odpowiedź zajęła mu chwilę.

– Nie wiem, tak naprawdę sam tego do końca nie rozumiem – zaczął w końcu szczerze. – Może chodzi o to, że kiedy umierali, byli tam tylko oni i ja. Jakiś rodzaj zobowiązania... Może wciąż tam tkwię i nie potrafię ich opuścić w potrzebie.

Piątek pokiwał głową, a Wawrzyniec odniósł wrażenie, że nie zrobił tego wyłącznie z grzeczności, tylko że naprawdę go rozumiał. Po chwili Piątek jeszcze lekko się uśmiechnął.

– Zresztą do tej pory nie znaleziono zwłok, więc oni nawet nie mają oficjalnie przyklepanej śmierci – dodał Wawrzyniec.

– Mogli przeżyć? – zdziwił się Piątek.

Wawrzyniec pokręcił głową ze smutkiem.

Ściana, znikąd nic, żadna nitka się nie rozwija, nic z niczego nie wynika, *cul-de-sac*, *dead end*, ślepa ulica, pomyślał, stojąc na środku Krupówek, odwrócony plecami do sklepu Piątka, z którego przed momentem wyszedł. Pora naprawdę wracać. Nie ma tu już nic do znalezienia. Ubzdurał sobie coś, coś mu się przywidziało, może przesłyszało. Było, owszem, sporo dziwnych zbiegów okoliczności wokół całej tej sprawy, ale tu w ogóle było dziwnie, od zawsze i na zawsze, szczególnie, kiedy wiało, a przez ostatnie... No właśnie, ile? Nawet tego nie wiedział. Ile dokładnie czasu upłynęło od wypadku do dziś, do teraz? Ile już zmarnował dni? Pewno po prostu nie chce ci się wracać. Szukasz tu czegoś, co spowoduje, że twoje mizerne życie wreszcie się zmieni, przestaniesz się kręcić w samym sobie jak gównu w przeręblu. Tylko że to nie tak działa. Nie da się doczekać cudu zmiany, on nie wydarzy się sam, nie spadnie na głowę, nawet jeśli będziesz się w kółko kręcił w jednym miejscu.

Tak, to o to mu chodziło. O to, czyli o co właściwie? Nawet tego nie wiedział. Dotarło do niego wprawdzie, że szukał zmiany, ale z czego i na co? To pozostawało już poza zasięgiem jego autoanalizy. Może chodziło o miątkość życia, o to, że wprawdzie było miło i wygodnie, wprawdzie nic do tej pory nie bolało, ale kiedy tak długo unika się bodźców bólowych, to przestaje się w końcu czuć też i te inne. Nie czuł za wiele. Tam, w Warszawie, gdzie czekała na niego książka do napisania, kilka zaległych

artykułów do uzupełnienia i wiele kobiet, których już nawet za bardzo nie pamiętał, stracił czucie. Dlatego na przełomie zimy i wiosny przyjeżdżał rokrocznie się trochę powspinać. Warunki bywały trudne, bo w ścianie nie do końca wiadomo było, czy się uda, i dzięki temu w ciągu takiego pobytu przynajmniej kilka razy porządnie się bał. Tak, to po to przyjeżdżał do schroniska. No, ale skończył już przecież swoje dwa tygodnie, tym razem bał się nawet więcej niż w trakcie poprzednich bytności, dwa razy odpadł ze ściany przy dużej ekspozycji, więc wyrobił normę. Po co zatem został, czemu tak wciągnął się w tę sprawę? Idąc teraz w stronę Halamy po to, żeby zabrać swoje rzeczy, nie mógł rozgryźć już tylko tej jednej kwestii. Co stało się tym razem? Co spowodowało, że został, że olał Warszawę, karierę, zobowiązania, pieniądze, kobiety? Co?

## 25.

Dwie godziny później siedział na górnym łóżku w przedziale sypialnym. Nogi opuścił luźno, wisiały bez ruchu, bo nie ruszał się też pociąg. Miał odjechać kwadrans temu, a wciąż stał i nic nie wskazywało na to, że wreszcie wystartuje.

W końcu jednak ruszył, nagle i bez ostrzeżenia. Cóż, polska specyfika, pomyślał Wawrzyniec. Osobowy, czyli będzie stawał często, tak ma, w sumie może i taki jest jego urok. Polska zwiedzana powoli i nieświadomie, najczęściej przez sen, stacja za stacją i stacyjką, na każdej senny peron pokryty śniegiem albo, już bliżej Warszawy, nalotem wielomiesięcznej, nigdy nie schnącej wilgoci. Ludzie zaspani, wyrwani w środku nocy ze swojego świata, z tobołami albo teraz już częściej z eleganckimi samsonite'ami na kółkach, jadący do Warszawy do innego świata, tego wymarzonego, który okazywał się jakże często gorszy od tego, który porzucali. Tam nie było już sennych peronów pokrytych śniegiem, była szarość pokryta poczuciem bezsensu, pomyślał.

Pierwsza stacja – Poronin, potem Nowy Targ, Chabówka, Sucha Beskidzka albo na odwrót... Gdzieś za Nowym Targiem pewno się położy, zaśnie. Rano, o godzinie, o której normalnie nigdy nie wstaje, obudzi go konduktor. Potem wysiądzie na chłodnym peronie Centralnego i znów będzie Warszawa, a wszystko to, co wessało go na tyle dni tutaj, zostanie za nim i pewno nawet nigdy więcej nie będzie już o tym myślał.

Pociąg stanął gwałtownie, kiedy właśnie zaczynał nabierać prędkości, tak jakby ktoś zaciągnął hamulec bezpieczeństwa. Coś się stało? Może nie powinien był jednak już ruszać, może coś jest urwane, oś pęknięta... Kiedyś stukali młotkami przed odjazdem, przypomniał sobie na sekundę przed tym, gdy gwałtownie otworzyły się drzwi do przedziału. W korytarzu stało dwóch facetów w kominiarkach na głowie.

– Wysiadaj – powiedział jeden z nich, a jego głos wydał się Wawrzyńcowi znajomy.

– Co? Co jest? – zapytał zdenerwowany.

– Chuj jest – wyjaśnił drugi, którego głosu Wawrzyniec już na pewno nie znał.

Następnie ten drugi wszedł do przedziału i złapał mocno Wawrzyńca za rękę.

– Wypierdalaj z przedziału, nie ma czasu!

Wawrzyniec wstał i nie mając pojęcia, o co chodzi, po co właściwie wstał ani na co nie ma czasu, sięgnął po torbę. Pomyślał jeszcze tylko, że dobrze się stało, że planował kłaść się dopiero za Nowym Targiem. Inaczej pewno nie daliby mu się teraz ubrać i zapieprzałby przez śnieg w gaciach.

Wyszli na korytarz, tamci dwaj rozejrzeli się wokoło i po chwili ruszyli w lewo, ciągnąc go za sobą. Drzwi od wagonu otworzyły się z charakterystycznym jęknięciem, po którym nastąpiło głośniejsze tąpnięcie przy uderzeniu o burtę wagonu.

– Skacz! – rozkazał ten, którego głos nie brzmiał znajomo.

Pod nogami Wawrzyniec widział nasyp pokryty świeżo spadłym puchem, dalej były las, jakaś przecinka i prześwitujące przez drzewa światła samochodu.

– Pierdolę to – burknął. – Kim w ogóle jesteście?

– Twoim sumieniem – odpowiedział ponuro ten pierwszy. – Skacz, bo cię odpierdolę, jak Boga kocham.

Wawrzyniec zobaczył w jego ręce pistolet. Następnie pomyślał jeszcze, że to jednak pewna niedorzeczność, by odpierdalać kogoś „jak Boga kocham”, a dopiero potem skoczył. Puch był miękki, ale płytki, pod spodem znajdowały się twarda, zmarznięta ziemia i ostre kamienie nasypu. Poślizgnął się i zjechał w dół. Przez moment przyszło mu do głowy, że może należy to wykorzystać i uciec, ale zanim zdążył przemyśleć to do końca, jeden z facetów był już znów przy nim. Chyba zresztą skreślił nogę albo przynajmniej ją zwichnął, więc nie miał już co sobie wyrzucać, że nie zaczął uciekać, bo jak tu uciekać na jednej nodze przed dwoma facetami, zważywszy jeszcze, że jeden z nich ma broń albo przynajmniej coś, co wygląda jak ona.

– Idziemy – powiedział ten pierwszy, a Wawrzyńcowi wydało się przez moment, że jego głos należał do chłopaka ze sklepu na Krupówkach.

Czyżby syn nieżyjącego toprowca był członkiem szajki reketierów napadających na ludzi w pociągach...?

Po kilkudziesięciu metrach brodzenia w śniegu doszli do samochodu, którego światła widział wcześniej z wagonu. Gdzieś z tyłu za nimi pociąg zatrąbił i po chwili dało się słyszeć jęk metalowych obręczy przesuwających się powoli, a potem coraz szybciej, po stalowych szynach.

– Wsiadaj. – Ten z pistoletem, choć teraz już broni nie było widać, odsunął boczne drzwi i popchnął go do wnętrza furgonetki.

Tamci dwaj wsiedli za nim.

– Daj rękę – powiedział ten, którego głos, choć nadal wydawał się Wawrzyńcowi znajomy, już nie kojarzył mu się z chłopakiem z Krupówek.

No to z kim w takim razie? Gorączkowo próbował sobie przypomnieć.

– Po chuj ci moja ręka? – zapytał. – Będziesz mi wróżył?

– Nie muszę ci wróżyć, twoja przyszłość jest jak otwarta księga. – Cicho zaśmiał się tamten. – Dawaj.

Wawrzyniec podał rękę. Porywacz wprawnym ruchem podwinął mu rękaw, wyszukał żyłę i wbił w nią strzykawkę wypełnioną niezidentyfikowaną cieczą.

Kiedy odlatywał w ciemność, pomyślał jeszcze, że już chyba nigdy nie uda mu się wyrwać z tej matni, w którą sam się przecież wciągnął.

## 26.

Śnił ciemność. Wydawało mu się przy tym, że zewsząd oblepia go jakaś chłodna substancja, jakby ułożyli go pomiędzy kostkami lodu. Nie pamiętał, co było treścią snu, z kim się tam spotkał ani co się wydarzyło. Pamiętał tylko ten przeraźliwy chłód i ciemność.

– No i co? Chciałeś się urwać? – Marszand Plewiński przyglądał mu się uważnie, siedząc na krześle obok niego.

Nie wiedział nadal, na czym leży, bo od zastrzyku w samochodzie aż do tej chwili był pogrążony w zimnym i ciemnym śnie. Teraz rozejrzał się wokół siebie. Ręce i nogi miał spętane i przywiązane do ramy stalowego łóżka, na które ktoś rzucił słomiany siennik. Nie wiedział, że takie rzeczy w ogóle jeszcze istnieją. Był w jakiejś piwnicy, pod sufitem dostrzegł niedomknięte okno. Wiatr nawiał przez nie kupki śniegu, potem śnieg stopniał, a następnie lodowate zimno zza okna zmieniło wodę w lód. Przez to okienne ramy teraz już w żaden sposób nie pozwoliłyby się domknąć. To dlatego było tu tak cholernie zimno, to dlatego śniło mu się, że ułożyli go w ciemności na lodzie. Może zresztą wcale mu się nie śniło, tylko majaczył, odbierając rzeczywiste bodźce. Tak naprawdę leżał przecież niemalże na lodzie, i to prawdopodobnie bez światła.

– Co? – zapytał, nie rozumiejąc kompletnie sugestii Plewińskiego.

– Chciałeś spierdolić, i to w połowie roboty? – Marszand lekko się uśmiechnął, a Wawrzyniec poczuł od niego silną woń przetrawionego alkoholu.

– Masz wódkę? – zapytał.

Plewiński uśmiechnął się szerzej i sięgnął za połę płaszcza, a może też i marynarki, bo alkohol, który po chwili sączył się do gardła Wawrzyńca, był ciepły, jakby ktoś trzymał go w czajniku.

– Co ty pierdolisz? – Wiślicki wypuścił powietrze, czując, jak alkohol powoli ogrzewa jego zmarznięte na kość wnętrzości.

– Podjąłeś się znalezienia obrazu – objaśnił Plewiński.



Wawrzyniec nadal kompletnie nic nie rozumiał.

– Jak się podjąłem, przed kim, komu? – zapytał.

– Przed sobą, ale zaangażowałeś w to sporo ludzi, więc to, co zacząłeś, musisz już teraz skończyć – tłumaczył cierpliwie marszand.

– Bo? – Wawrzyniec powoli odzyskiwał wigor i świadomość. – Bo co, kurwa?!

– Bo zamarzniesz, znajdą cię na przystanku i do Warszawy wrócisz w trumnie. – Plewiński przestał się już uśmiechać.

– W urnie, jeśli już. – Wawrzyniec próbował zyskać na czasie, żeby lepiej zrozumieć, co tu się właściwie dzieje.

– Jeden chuj, jak dla mnie – odrzekł zimno Plewiński.

– Próbowałem zrozumieć, co się stało z Markowskimi, obraz był pretekstem, szukałem ich pod pozorem szukania obrazu, rozumiesz?! – podniósł głos Wawrzyniec.

– Nie interesuje nas, co robiłeś pod pozorem czego, zresztą jak znajdziesz obraz, to może i sobie wyjaśnisz to drugie, mam to gdzieś. Dla nas masz znaleźć ten pieprzony olej. – Plewiński podniósł głos jeszcze bardziej, nawet trochę się zasapał i spocił, chociaż przez okienko wciąż do środka wpadał śnieg.

– Nas? Jakich, kurwa, nas? – postanowił doprecyzować w desperacji Wawrzyniec.

– Nas wszystkich – skwitował krótko Plewiński, po czym dodał: – Dobra, nie ma co dalej pierdolić. Zbieraj się i idź po ten obraz, bo szkoda czasu.

– Jak mam się zbierać, jestem związany! I dokąd mam się zbierać, do cholery? – Wawrzyniec naprawdę był już teraz wściekły.

Plewiński wstał i ruszył do drzwi. Kiedy już miał wyjść z pokoju, wyciągnął zza pazuchy piersiówkę i delikatnie postawił ją na stoliku opartym o ścianę, gdyż brakowało w nim jednej nogi.

– To na rozbieg – powiedział spokojnie Plewiński. – Twoje rzeczy są w Halamie. A... i nie jesteś związany. Wydawało ci się.

Wawrzyniec szarpnął rękę. Rzeczywiście: jutowy sznurek luźno opadł na podłogę. To samo stało się, gdy podniósł drugą rękę, a potem obie nogi. Siła sugestii jest jednak potężna, pomyślał, po czym powoli się uniósł i przysiadł na sienniku.

Na górę wiodły wąskie drewniane schody. Kiedy po nich szedł, czuł, jak zapach wilgoci i pleśni, którym zdążył przesiąknąć, leżąc – nie wiedział nawet, jak długo – na stalowym łóżku, unosił się teraz z jego ubrań. Drzwi, którymi przed momentem musiał stąd wyjść Plewiński, otworzyły się ze skrzypnięciem po delikatnym pchnięciu ręką. Na górze pachniało rosołem, ale takim, do którego ktoś dodał zbyt dużo wieprzowiny. Wawrzyniec z trudem pokonał odruch wymiotny. Bolała go głowa, świat dookoła wirował. Ciekawe, czym go tak struli, chloroform, eter czy jeszcze jakieś inne świństwo?

Korytarz, na który wyszedł, wydał mu się znajomy, ale zaraz pomyślał, że generalnie góralskie chaty nie różnią się przesadnie od siebie, więc pewno coś mu się pomyliło.

– O, już pan się obudził?

Usłyszał za sobą kobiecy, lekko skrzekliwy głos, który też wydał mu się znajomy, a głosy górali nie są już do siebie aż tak podobne jak wewnątrz ich domów. Obrócił się zaskoczony. Przed nim, ubrana w nylonowy fartuch nałożony na grubą wełnianą spódnicę, stała mama Łukasza Trebunia. Czyli jednak wewnątrz słusznie wydało mi się znajome, pomyślał.

– A gdzie ja jestem? – zapytał, ujawniając tym samym swoją totalną dezorientację.

– U nos, u Trebuniów, nie widzicie? – Staruszka się uśmiechnęła, ujawniając braki w uzębieniu znane mu już z wcześniejszych spotkań.

– Ale czemu? – zdziwił się Wawrzyniec.

– Co czemu? – nie zrozumiała Trebuniowa.

– Czemu, kurwa, obudziłem się przywiązany do stalowego łóżka w waszej zgniłej piwnicy? – Wawrzyniec nie miał w tej chwili cierpliwości do tego, żeby znosić wszystkie te niedorzeczności.

– Ale nie godojcie bzydko – Trebuniowa była wyraźnie oburzona.

– Mecenasa kcielił, żeby was przespać. Mieliście wypadek czy co.

– Jaki mecenas? – Wawrzyniec nadal nic nie rozumiał.

– No, ten mecenas od obrazów.

– Marszand znaczy? – upewnił się Wawrzyniec.

– Marsand, mecenas, co za różnica? – Trebuniowa wytarła w fartuch ręce utyłane czymś gęstym i kleistym. – Lepiej wam?

– Ale czemu w piwnicy, przywiązany do łóżka? – drażył Wawrzyniec.

– Nie wim, powiedział, że musi was ukryć, bo jacysik bandyci kzywdę kcą zrobić – przyznała Trebuniowa. – No to Łukas dał kluc do piwnicy. I cała historia.

Wawrzyniec chwilę jej się przyglądał, próbując zebrać myśli i znaleźć w tym wszystkim jakiś sens.

– A co państwo tu w ogóle robią? Synowa mówiła, że jesteście w Anglii gdzieś. – Wawrzyniec zaczynał odzyskiwać orientację w przeszłych wydarzeniach, lecz miał niemały problem z oszacowaniem czasu, który upłynął od ostatniego spotkania z matką Łukasza Trebunia.

– No jesteśmy, ale przyjechalim, dom trza czasem odwiedzić – zaczęła Trebuniowa, po czym dodała, jakby świadoma tego, co właśnie w swojej głowie próbował rozwiązać Wawrzyniec: – Ja to często latam. Tanie to latanie, nie lubię tam siedzieć, to przyjezdzam. Do Krakowa lecę. Bratanek mnie bierze z lotniska, wiezie tu, potem za kilka dni znowu, tylko w drugą stronę. Lubie tak, bo nie jestem ani tu, ani tam, nigdzie mi się nie sprzykrzy.

Chwilę stali w milczeniu. Wawrzyniec nie wiedział za bardzo, co ma dalej ze sobą zrobić.

– Zupa zaraz bedzie, to zjecie z nami, siły wrócą. – Trebuniowa popatrzyła na niego przez chwilę i, nie doczekawszy się odpowiedzi, ruszyła w stronę wejścia do pomieszczenia, które według tego, co z poprzednich wizyt zdołał zapamiętać Wawrzyniec, było kuchnią.

On po chwili ruszył za nią. W kuchni smród wieprzowiny był już nie do zniesienia.

– Macie papierosa? – wykrztusił przez zaciśnięte gardło, walcząc z odruchem wymiotnym.

– Tam leżą, se weźmie. – Staruszka wskazała na parapet, po czym odsłoniła pokrywkę wielkiego gara, z którego buchnęła chmura pary.

Wawrzyniec dobiegł do papierosów, bo doskonale wiedział, że jak pomieszczenie wypełni się lepką, tłustą wonią, a on nie zdąży zgłuszyć fetoru dymem tytoniowym, to nie da już rady. Zdążył. Dym

rozszedł się w płucach, w nozdrzach, w gardle, owionął go jak ochronna bańka.

– A gdzie jest syn? – zapytał po chwili.

– Na polu, drzewo rąbie – odpowiedziała staruszka, smakując zupę nabraną do drewnianej łyżki.

Wawrzyniec wyszedł na ganek. Pogoda była najgorsza z możliwych. Przybity do ościeżnicy termometr wskazywał plus trzy stopnie, z dachu kapąła woda, powietrze przesycone było mikroskopijnymi kropelkami ni to mgły, ni to mżawki, do tego co chwilę zawiewało od lasu.

Łukasz Trebuń stał przed drewnutnią, rozebrany do podkoszulka na ramiączkach, i miarowo rozbijał ogromne kłody drzewa na nieco mniejsze. Zauważył, że Wawrzyniec wyszedł z domu, bo skinął nawet ręką między jednym uderzeniem siekierą a drugim, ale nie wydawał się tym przesadnie przejęty. Nie na tyle w każdym razie, żeby przerwać to, co robił. Wawrzyniec podszedł do niego.

– Dobry – zaczął, choć dla niego dzień był akurat daleki od tego, by można nazwać go dobrym.

Łukasz, zamiast odpowiadać, skinął tylko głową.

– Czemu Plewiński uwięził mnie tutaj? – zapytał Wawrzyniec.

Tak naprawdę nie miał większej nadziei na to, że Łukasz rozwiąże tę nurtującą go kwestię.

– Jak to uwięził? – Trebuń przerwał w końcu swoje automatyczne działanie i spojrzał na rozmówcę.

– Normalnie. – Wawrzyniec poczuł się już zmęczony. – Przywiązał mnie do łóżka i więził. Nie wiem, jak długo, bo nie wiem, jaki jest dzisiaj dzień. Zresztą nie wiem też, jaki był dzień, kiedy wyciągali mnie z pociągu. Generalnie ciężko mi się w tym połapać.

– Jak wyciągali z pociągu? – Teraz Łukasz odłożył już nawet na pień siekierę tak wielką jak średniowieczny topór do ścinania głów czarownic.

– Normalnie, miałem jechać do Warszawy, miałem się stąd wyrwać, uciec wreszcie od tego chaosu, z którego nic nie rozumiem. Przed Poroninem zerwali hamulec i wyciągnęli mnie z pociągu. Potem jakaś furgonetka... I obudziłem się u was w piwnicy, przywiązany do łóżka! – Wawrzyniec trochę się znów zdenerwował,

więc mówił teraz szybko i z niespecjalnie skrywaną pretensją, choć przecież tak naprawdę nie wiedział, czy pretensja jest w ogóle uzasadniona.

– A kto pana rozwiązał? – zapytał Łukasz.

– Nie wiem – odpowiedział Wawrzyniec po chwili namysłu, bo pytanie było dość trafne. – Jak się obudziłem, był Plewiński, na rękach miałem sznurki, ale potem okazało się, że były już odwiązane.

– Albo w ogóle nie były związane – drążył Łukasz, bo chyba poczuł, że trafił, ale po chwili nagle odpuścił. – Nie ma znaczenia. Plewiński przywiózł pana w nocy, powiedział mi i matce, że ktoś pana napadł, że musi pana u nas ukryć. I ukrył. Rano wrócił, żeby zobaczyć co i jak, i odjechał. Cała historia. Mogliśmy się nie zgodzić, ale wtedy to nie wiem... Może nie miał złych intencji? – zasugerował Trebuń.

– Powiedział, że muszę znaleźć obraz, inaczej żywy stąd nie wyjadę – odbił piłeczkę Wawrzyniec.

– Może taka jest prawda, panie Wawrzyńcu. – Łukasz sięgnął z powrotem po siekiere, bo najwyraźniej uznał temat za zamknięty.

– Jaka prawda? Człowiek nie może wyjechać z tego waszego obsranego Podhala, zanim nie znajdzie jakiegoś nieistniejącego obrazu? Co to jest? Jakaś paranoja? – zaperzył się Wawrzyniec.

– Życie jest paranoją. Nie jest pan już młody, więc chyba powinien pan to już wiedzieć. – Łukasz uderzył w polano, które pękło na dwie równiutkie połówki. Uśmiechnął się i spuentował: – A tutaj przez ten cholerny wiatr życie jest paranoją podwójną.

W tle coś zachręściło i na podjazd wtoczył się stary, przeżarty rdzą volkswagen golf. Obaj mężczyźni spojrzeli w jego stronę. Po chwili z auta wysiadła Beata, żona Łukasza, z którą Wawrzyniec spotkał się zaledwie kilka dni wcześniej, ale teraz wydawało mu się, że było to dawno temu. W ogóle cały ostatni okres dzielił mu się teraz na czas próbą wyjazdu i po niej. Wcześniej był tu dobrowolnie, hobbystycznie, z ciekawości; teraz sprawy zagmatwały się dodatkowo i miał poczucie, że czas wolności skończył się bezpowrotnie.

– A pan nadal tutaj? – Beata uśmiechnęła się mało sympatycznie.

Wawrzyniec odniósł wrażenie, że jest niemiła jedynie na pokaz. Jego odczucia mogły jednak nie być do końca miarodajne, bo przez całe życie wydawało mu się, że kobiety, jeśli traktowały go nieuprzejmie, to robiły tak jedynie z przekory. Na szczęście miał świadomość, że jego odczucia są wybitnie egocentryczne i narcystyczne, i jako takie pozostają dość odległe od obiektywnej prawdy, jeśli coś takiego w ogóle istnieje. Wawrzyniec bywał zadufany w sobie, ale jednocześnie miał w sobie coś, co szybko wytrącało go z dobrego samopoczucia. Efekt był taki, że często za sobą nie przepadał. Może czas już było zmienić to na tyle, by móc wreszcie się po prostu polubić.

– Owszem, miało mnie nie być, właściwie nawet próbowałem nie być, ale się nie dało – uśmiechnął się do niej ciepłej.

– Czyli? – spytała, ale jakby bez zaciekawienia.

– Czyli ktoś wyciągnął mnie z pociągu, przywiózł z powrotem tutaj – Wawrzyniec wskazał na dom za sobą – i kazał mi szukać obrazu.

– Obrazu? – Teraz zdziwienie Beaty zabrzmiało już szczerzej.

– *Śniadania* Markowskiej. – Do rozmowy włączył się Łukasz, który do tego momentu przyglądał się obojgu badawczo.

– Obrazu, który ci skradziono? – Beata patrzyła przez moment na męża, po czym przeniosła wzrok na Wawrzyńca: – A kto kazał?

– Plewiński – odpowiedział znów Łukasz. – Przywiózł pana w nocy, twierdząc, że za dużo wypił i nie ma gdzie spać. Zgodziłem się, żeby przemocował. Rano Plewiński przyjechał znowu.

– A pan, zdaje się, chciał się dowiedzieć, kto zabił Markowskich, zrzucając na nich lawinę? – Beata chyba udawała, że z trudem sobie przypomina ich wcześniejszą rozmowę, choć ewidentnie pamiętała ją doskonale.

– Właśnie, a oni każą mi szukać cholernego obrazu – wrócił do rozmowy Wawrzyniec.

– Może jak znajdzie pan obraz, to znajdzie pan też tego domniemanego zabójcę. – Tym razem sarkazm w jej głosie był na pewno szczerzy.

– Uważa pani, że to wszystko sobie ubzdurałem? – Wawrzyniec popatrzył zimno. Teraz już się nie uśmiechał.

– Nie wszystko, obraz rzeczywiście zniknął – odparła.

– Wydaje mi się, że obraz ukradł ktoś, komu zależało na nim z powodów osobistych. Z pobudek sentymentalnych go ukradł, nie dla zysku. – Łukasz był zaspany, wznowił już swoją pracę nad polanami drzewa, i teraz włączył się do rozmowy trochę niespodziewanie.

– Czemu pan tak myśli? – zdziwił się Wawrzyniec.

Dla niego wszystko, co wiązało się z obrazem, było merkantylne, podczas gdy wszystko, co wiązało się z ich śmiercią – wręcz przeciwnie, wydawało mu się wynikać z jakiegoś zupełnie innego, emocjonalnego porządku. Tak sobie to rozdzielił już jakiś czas temu, a teraz, kiedy Plewiński kazał mu szukać obrazu, myślał o nim już tylko w kontekście tego, ile może być wart.

– Bo od handlowania obrazami tutaj jest tylko marszand, więc tylko on mógłby to ukraść dla kasy, a jak wiemy, tego nie zrobił. I dlatego posyła pana, żeby go pan dla niego znalazł – odrzekła Beata, która zdążyła podejść do nich na tyle blisko, że Wawrzyniec czuł zapach jej perfum.

– Czyli? – Wawrzyniec gubił się powoli w meandrach rozumowania państwa Trebuniów.

– Czyli wracamy do źródła. Znajdzie pan emocjonalną nitkę wiążącą kogoś z obrazem, znajdzie pan obraz i, kto wie, może znajdzie pan lawinowego zabójcę Markowskich – wyjaśniła Beata.

Zapadła cisza.

– Muszę jechać do miasta, taksówki tu się raczej nie da wezwać, prawda? – zapytał bez większej nadziei Wawrzyniec.

– Nie, ale ja będę zaraz wracała do Zakopanego, mogę pana podwieźć – mówiąc to, Beata sprawiała nawet bardziej niesympatyczne wrażenie niż wcześniej.

Wawrzyniec spojrział na Łukasza, który teraz był skupiony na łupaniu polan nawet bardziej jeszcze niż przed chwilą. Czyli jednak miałem dobre przeczucie, pomyślał pisarz. Beata jest niesympatyczna tylko po to, by zachować pozory.

Na drogę prowadzącą do Łysej Polany wyjechali w okolicach Brzezin. Wcześniej Beata nie odzywała się w ogóle, czyli nadal nie było miło. Wawrzyniec zaczął się już nawet zastanawiać, czy jednak się nie pomylił. Może żona Trebunia nie lubiła go naprawdę, ale właściwie dlaczego? Niczym jej nie zawinił. Może nie lubiła opojów, a ostatnie spotkanie mogło wskazywać, że on sam należy do tej, całkiem licznej w tym kraju, grupy. Nagle zupełnie nie wiadomo skąd naszła go chęć, żeby zrobić coś wbrew sytuacji, wbrew jej zachowaniu, na przekór. Może wtedy dowie się, czym zaszedł za skórę tej kobiecie. Może pewnością siebie? Jeśli tak, to odpowiedź może być bolesna, ale też i natychmiastowa. Położył dłoń na jej dłoni spoczywającej na lewarku zmiany biegów i wstrzymał oddech. Przez chwilę nie wydarzyło się nic.

– Myślałam, że po tamtym przyjedziesz jeszcze, żeby się chociaż pożegnać, a ty postanowiłeś uciec do Warszawy bez słowa – powiedziała cicho, nie odrywając oczu od drogi.

Po tamtym? Wawrzyniec nie miał pojęcia, do czego się odnosi. Jego wizyta u niej, choć miła, nie miała znamion czegoś więcej ponad kurtuazyjną wymianę informacji. Chyba że wcześniej albo gdzieś pomiędzy tym, jak zabrała go z przystanku, a rozmową u niej w domu doszło do czegoś... Ale do czego? Albo może rozmowa, która jemu wydawała się kurtuazyjną wymianą informacji, dla niej była czymś zupełnie innym.

– Nie uciekłem – odpowiedział, by zyskać trochę czasu.

– Nie uciekłeś, bo ci nie pozwoliliśmy, ale chciałeś. – Teraz spojrzała na niego, oczy miała lekko zamglone, ale i tak było w nich coś przenikliwego.

– Nie pozwoliliście mi? – zdziwił się i cofnął dłoń. – A wy to kto? Tatrzański Park Narodowy?

– Coś w tym rodzaju. – Wybuchła nienaturalnym śmiechem.



– Coś w tym rodzaju, czyli co? – Wawrzyńcowi wcale nie było do śmiechu.

– Czyli my, tutejsi, górale, zakopiańscy, Podhalanie, zwał, jak zwał. – Ona też przestała się śmiać, a jej twarz przybrała teraz dla odmiany bardzo poważny wyraz. – Musisz znaleźć ten obraz.

– Bo co? To jest jakaś własność narodu, jakiś Święty Graal zdobiony parzenicami, Arka Tatrzańskiego Przymierza? – Wawrzyniec był coraz bardziej zdenerwowany.

– Tak, ona to namalowała dla nas i to musi tu pozostać – powiedziała stanowczo, po czym po chwili dodała już zupełnie innym tonem: – Gdzie dokładnie cię podwieźć?

– Na PKS, jadę do Dzianisza – odpowiedział tonem lekko urażonym, co zdziwiło nawet jego samego, bo na co dzień nie uważał się raczej za człowieka, który żywi urazę.

– Czemu tam? – zapytała ani zaciekawiona, ani też zdziwiona.

– Bo tam mieszkała, tam go namalowała, tam jest jej cały świat. Skoro twierdzicie, że ktoś go podpierdolił z przyczyn emocjonalnych, to tam jest klucz do jej emocji. Tak czy nie? – Teraz nie był już lekko urażony, tylko naprawdę wnerwiony.

– No i pani Monika? – uśmiechnęła się znacząco.

– Co pani Monika? – Narastała w nim wściekłość.

Nie dość, że go tu trzymają, jakaś cholerna banda dziwnych ludzi, to jeszcze wygląda na to, że wszyscy tu o wszystkim wiedzą. Całe Podhale jawiło mu się teraz jako mała wioska, w której ludzie zaglądają sobie do okien ponad zazdrostkami.

Owszem, chodziło też o Monikę, lubił jeździć do Dzianisza również z jej powodu, ale Beacie akurat nic do tego. Mała wioska, zamieszкана do tego przez hipokrytów...

– Tak, pani Monika. – Popatrzył na wykrzywione sarkastycznym uśmiechem usta Beaty, po czym zapytał: – A jak wrócę, to wpaść do ciebie?

Zaczerwieniła się trochę, fuknęła nawet lekko, po czym nie odezwała się do niego już ani słowem do końca podróży.

## 28.

Czapy ciężkiego, mokrego śniegu gięły gałęzie świerków ku ziemi. Kiedy wieje i robi się znów za ciepło, krajobraz nocą staje się mocno kontrastowy: czerń miejsc, z których oddech wiatru wytopił śnieg, odcina się bardzo wyraźnie od ostrej bieli w miejscach, gdzie zima wciąż jeszcze trwa niestrudzenie. Noc była księżycowa, a gwiazdy wypełniały w takim stopniu niebo, że więcej było na nim białego niż czarnego. Walka światła z ciemnością, bytu z antymaterią, ducha z pustką, pomyślał, pokonując drogę od przystanku do zabudowań plebanii. Teraz dopiero zdał sobie sprawę z tego, że znów jest noc i że autobus, którym przyjechał, nie będzie już wracał, że kompletnie zapomniał o tym, że nocą człowiek musi przecież gdzieś spać.

– Zanocujesz tutaj. – Monika naląła herbaty do szklanki wciśniętej w metalowy koszycek. – Albo jak wolisz, to u nich.

– Jak tutaj? A proboszcz? – zdziwił się Wawrzyniec.

– Proboszcz wyjechał – mówiąc to, Monika trochę posmutniała. – Ma przyjechać ktoś na zastępstwo, ale chwilowo jestem jedyną osobą z personelu kościelnego na stanowisku.

– Wyjechał? Co się stało? – Wawrzyniec rozejrzał się po wnętrzu tak, jakby to, że ksiądz opuścił plebanie, miało wpłynąć w jakimkolwiek stopniu na wygląd pomieszczenia.

– Najpierw chcieli go odesłać na emeryturę, ale się bronił, więc w końcu dostał się na jakąś misję, będzie ewangelizował gdzieś chyba w Iraku – wyjaśniła.

– Będzie na emeryturze ewangelizował muzułmanów? – Wawrzyńcowi te wszystkie informacje nie bardzo kleiły się w logiczną całość. – Chrześcijaństwo pod islamskie strzechy?

– Może Sumerów – uśmiechnęła się. – Nie wiem, nie powiedział mi za wiele, ale wiem na pewno, że wolał ewangelizować górali, tylko dłużej się nie dało.

Chwilę siedzieli w milczeniu. On rozgrzewał skostniałe ciało drobnymi łykami herbaty wzmocnionej nieco spirytusem.

– Miałem wyjechać i... – zaczął po chwili.

– Wiem, nic nie szkodzi, rozumiem – przerwała jego wyznanie Monika. – Powiedz lepiej, co chcesz zrobić teraz.

– Mam znaleźć obraz, inaczej mnie stąd nie wypuszczą – stwierdził mało radośnie Wawrzyniec.

– Myślałam, że szukasz człowieka, który ich zabił – udała zdziwienie Monika. – Albo chcesz się dowiedzieć, czy zginęli z własnej, czy z czyjejs winy.

– Czy zginęli na własne, czy na czyjeś życzenie – poprawił Wawrzyniec.

– To z grubsza to samo. – Monika wpatrywała się w niego, czekając na odpowiedź na pytanie, które zadała wcześniej.

– Chcę znaleźć jakiś emocjonalny trop, podobno obraz jest związany z ich śmiercią – powiedział.

– Obraz czy jego kradzież? – dopytała.

– Nie wiem, w ogóle wciąż nic nie wiem. Powiedzmy, że najpierw obraz, później się okaże – skończył zdanie, dopił herbatę i wstał.

– A gdzie się teraz wybierasz? – Monika siedziała spokojnie i nieruchomo.

– Tam.

– W środku nocy?

Wawrzyniec nie odpowiedział, ale zatrzymał się przy wyjściu z kuchni.

Rankiem szli we dwoje pod górę w stronę domu Markowskich. On opatulony szalem i czapką, ona z gołą głową, w rozpiętej kurtce narzuconej na T-shirt. Cóż, jeśli mieszka się tu na stałe, dwa stopnie na plusie to już środek wiosny, myślał Wawrzyniec, popatrując na nią chwilami.

– Nie mówisz mi czegoś, prawda? – zaczął w końcu pytaniem, którym zaskoczył zarówno ją, jak i po części samego siebie.

Wszyscy tu czegoś mu nie mówili, takie miał wrażenie od jakiegoś czasu, myślał już o tym chwilami jak o objawie jakiejś choroby albo

może psychozy. Pytanie tylko, czy własnej, czy może społecznej, dodał w myślach.

– Czego? – zdziwiła się Monika.

On zaś odniósł wrażenie, że jej zdziwienie było absolutnie nieprzekonujące. Tak jakby chciała mu coś zasygnalizować, ale ponieważ byli oboje pod ciągłą inwigilacją, to nie mogła.

– Czegoś ważnego, co dotyczy Markowskich – skłamał, bo tak naprawdę wydawało mu się, że nie mówi mu czegoś ważnego w jakiejś zupełnie innej sprawie, która mogła też oczywiście dotyczyć Markowskich.

– Mówię ci wszystko, może o coś nie zapytałeś, może po prostu są rzeczy, które mnie nie wydają się ważne – uśmiechnęła się. – Ale gdybyś zapytał, na pewno bym ci odpowiedziała.

– Kiedy widziałas ich po raz ostatni? – rzucił w nadziei, że może odpowiedź pozwoli mu poznać jakiś szerszy kontekst.

– Czy ja wiem? – zamyśliła się. – Dzień, może dwa przed tym, jak to się stało.

– Ale jak to dzień czy dwa? – zdziwił się porządnie. – Przecież oni byli w schronisku.

– Może byli, ale przyjeżdżali też tutaj – odpowiedziała spokojnie, po czym dodała: – Nie wiem dokładnie, ale pamiętam, że kiedy się dowiedziałam, powiedziałam nawet do proboszcza, że to niemożliwe, bo dopiero co tu byli.

– Może pomyliły ci się dni?

Spojrzał na nią uważnie, ale ona nie patrzyła na niego, oglądała mroczną szarość chmur ponad ich głowami, a po chwili drogę pod stopami.

– Czasem, jeśli masz silny emocjonalny związek z kimś, to wydaje ci się, że widziałas go przed momentem, mimo że to było kilka dni wcześniej – drążył.

– Czasem może tak, ale nie wtedy. – Zerknęła w końcu na niego. – Poszłam do nich po telefon, który tam zostawiłam. Kiedy wracałam, to Kaziu Folfas pokazał mi gazetę i artykuł o wypadku. Nie jestem maniaczką komórki, ale raczej dłużej niż dzień czy dwa bym się bez niej nie obyła. Więc to musiało być wkrótce po tym, jak tu przyjechali.

– Nic nie rozumiem. – Pokręcił głową Wawrzyniec. – Przez tydzień przed wypadkiem ciągle widywałem ich w schronisku, wieczorami, rankiem... Do Dzianisza, nawet jeśli mieli wjazd samochodem pod samo schronisko, podróż trwałaby co najmniej godzinę, a jeśli od Włosienicy, nawet do półtorej w każdą stronę. To jak mieli być i tu, i tam jednocześnie?

Przez chwilę szli w ciszy, zakłócanej tylko chrzęstem lodu pod ich stopami. W końcu doszli pod drewniane drzwi domu Markowskich, Monika sięgnęła po klucz.

– Czego dziś szukamy? – zapytała, uśmiechając się z wyczuwalną ironią.

– Nie mam pojęcia. – Wzruszył ramionami. – Czegoś, co doprowadzi nas do obrazu... albo do czegokolwiek.

Powiedzieć, że był w tym wszystkim zagubiony, to jakby nie powiedzieć nic. Chaos i brak punktu zaczepienia, który nadawałby sens tej sytuacji, powoli zaczynały go już napawać lękiem. Wcześniej była ciekawość, chwilami złość i gniew, teraz gmatwanina osób, motywacji i zdarzeń, które nijak nie przybliżały go do rozwiązania, stawała się ciężka do udźwignięcia. Pewno tamci wiedzieli o tym, przeczuwali, że on zbliża się do kresu wydolności, wiadomo było, że zaraz podejmie próbę ucieczki, i wtedy... Wtedy wyciągnęli go siłą z pociągu. Dlaczego tu był? Dlaczego nie powiadomił jeszcze policji, nie odezwał się do komisarza Ziętki, który do tej pory wprawdzie nie przykładał przesadnej uwagi do jego zeznań i teorii, ale teraz, w momencie, kiedy ktoś skierował do niego groźby karalne, powinien już chyba zareagować? Chyba że...

– Znasz komisarza Ziętkę? – zapytał, kiedy weszli do kuchni w domu Markowskich.

Na stole znów wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak poprzednim razem: zeschnięte kromki chleba, filiżanki, z których jedna była pusta, a z drugiej ktoś nie dopił kawy, żółte pudełko po herbacie otwarte na środku stołu. Dziwne, przecież była tu, zdaje się, rodzina, chyba przyjechali jacyś ludzie, czemu nikt niczego tu nie posprzątał?

– Znam – odpowiedziała spokojnie, nalewając sobie wody z kranu do szklanki wyjętej chwilę wcześniej z szafki nad głową.

- Myślisz, że powinienem się zgłosić na policję?
- Możesz spróbować – odpowiedziała zdawkowo, nie patrząc na niego.
- Ale...? – Odebrał szklanekę z jej rąk, jemu też z jakiegoś powodu bardzo chciało się pić.
- Nie ma żadnego „ale” – uśmiechnęła się.
- Popatrzył na nią. Znali się już chwilę, a on miał wrażenie, że znał ją znacznie dłużej. Słowa nie były już aż tak potrzebne.
- Oni też są stąd – wyjaśniła po chwili, jakby ze smutkiem.
- Co to, kurwa, znaczy? – zdenerwował się.
- Wawrzyniec, proszę cię. Pamiętaj, że ja też nie jestem stąd. – Pokręciła głową, trochę jakby tłumaczyła właśnie jakąś oczywistość mało roztargniętemu pięciolatekowi.
- Czyli? Ty też jesteś tu uwiązana, też szukasz jakiegoś obrazu albo próbujesz się dowiedzieć, kto i po co zabił kogoś za pomocą lawiny?! – Wawrzyniec miał już naprawdę dość. Poza tym nie lubił być traktowany jak mało roztargnięty pięciolatek.
- Nie – odpowiedziała cicho i spokojnie. – Ja próbuję się dowiedzieć, o co chodzi w życiu.
- Jak każdy, ale czemu tutaj? Czemu mam tkwić w jakiejś zadymionej czadem dolinie? – Wciąż nie mógł nic zrozumieć. – Czemu mam tkwić w tym śniegu, w tym błocie, w wietrze, który nigdy nie przestaje urywać łba?! Czemu? O co tu chodzi?
- A tego to już nie wiem. Może spróbuj wyjechać jeszcze raz, może jakoś inaczej? Pożyczę ci samochód księdza – odpowiedziała bez przekonania, a on odniósł wrażenie, że poczuła się dotknięta.
- Mogła tak się czuć, pomyślał. W końcu słowa nie były już potrzebne, rozumieli się tak, jakby znali się od lat. Coś między nimi się działo, coś więcej niż zwykle... Już dawno to wiedział. Czyli co? Nagle skretyniał?
- Przepraszam. – Dotknął jej ramienia.
- Nie ma za co. – Wysunęła się spod jego dotyku. – I tak nic z tego nie będzie.
- Ruszyła na korytarz, z którego prowadziły schody na piętro. Jeśli coś mieli znaleźć, to raczej tam niż w kuchni.

Na górze zaskoczył ich zalew jasności. Ostre światło słoneczne dzieliło wewnątrz na plamy jasnej żółci i ciemnego brązu. Wawrzyniec pomyślał, że widocznie od momentu, kiedy weszli do domu, chmury się przetały i słońce dostało w końcu krótką chwilę na to, żeby chociaż tymczasowo wyczyścić świat z szarości i smutku.

– Gabinet? – zapytała.

Wawrzyniec skinął głową.

Drzwi do gabinetu tym razem były otwarte. Ktokolwiek dotarł tu po nich, nie wysilił się już tak jak Wawrzyniec. Zamek w drzwiach został po prostu wyłamany. W efekcie wewnątrz gabinetu też nie wyglądało tak jak poprzednim razem. Na podłodze walały się papiery wyrzucone z szuflad, zmieszane z książkami i albumami zwalonymi z półek. Ogólnie wyglądało to tak, jakby przeszło tornado albo jakby miejsce splądrowało CBA czy jakaś inna instytucja stworzona do robienia bałaganu.

– Chyba już wszystko przebrane – powiedział ze smutkiem Wawrzyniec.

– Tylko kto mógł to zrobić? – Monika nie kryła zdziwienia.

Kiedy byli tu ostatnim razem, zaledwie kilka dni temu, gabinet nie nosił jeszcze znamion włamania czy rewizji.

– Pewno ci sami, którzy wyznaczyli mnie na szefa ekspedycji poszukiwawczej. – Wawrzyniec znów uśmiechnął się gorzko, a po chwili dodał: – Ale może jednak coś przeoczyli. My w końcu też to już przeglądaliśmy wcześniej, bez skutku, a coś tu musi być.

Tym razem szukali długo i metodycznie. Każda kartka została dokładnie obejrzana, a następnie odłożona na kupkę. Przywrócenie poprzedniego stanu rzeczy nie miało już znaczenia, co nieco ułatwiało im pracę.

– Zamówienie na olej na płótnie, sto na sto pięćdziesiąt, dość świeże. – Monika podniosła głowę znad papierów. – Dziwne.

– Dlaczego? – Wawrzyniec przeglądał kolejny album w poszukiwaniu chociaż jakiejś kartki albo notatki.

– Bo ona nigdy nie malowała na zamówienie. – Monika zbliżyła kartkę do oczu, zrobiło się już ciemno, więc niewiele było widać, a ona teraz próbowała przeczytać podpis.

– Kto zamawiał? – zainteresował się Wawrzyniec.

– TOPR. – Monika obróciła kartkę na drugą stronę, ale tam nie było już nic.

– Jak to TOPR? – zdziwił się Wawrzyniec.

– Nie wiem jak to, ale naprawdę TOPR. – Monika podała mu kartkę i dodała: – Tylko nie mogę odczytać, kto się podpisał.

– TOPR przecież nie handluje obrazami. – Teraz Wawrzyniec wpatrywał się w podpis pod pieczętką.

– Może dlatego tu nie ma kwoty? – zastanowiła się Monika. – Może to był jakiś barter, prezent, nie wiem.

– Prezentów się nie zamawia, prezenty się dostaje. Myślisz, że to ten obraz? – Spojrzał na nią pytająco.

– Wymiar się chyba zgadza... Pół roku temu... Tak, to może być ten. To jeden z większych, jakie namalowała, normalnie wolała mniejsze formaty.

– To czemu tak? – zapytał i sam pomyślał, że zabrzmiało to mało błyskotliwie.

– Nie wiem, ty mi powiedz. – Monika zamyśliła się na chwilę. – Przecież podobno *Śniadanie* oddała Trebuniowi.

– Może po zamówieniu coś się zmieniło. – Wawrzyniec popatrzył na nią uważnie, po czym trochę ni stąd, ni zowąd zapytał: – Jak ten obraz może się wiązać z ich śmiercią?

Był przekonany, że powie po prostu, że nie ma pojęcia. W związku z tym bardziej interesowało go, jak zareaguje na pytanie, niż jaka będzie odpowiedź. Stało się jednak inaczej, Monika nie odpowiedziała od razu, zaczęła się zastanawiać.

– To był cholernie ważny obraz – zaczęła. – Może wcześniej ktoś go zamówił, ale w trakcie malowania była coraz mocniej z nim związana... Nie bardzo nawet wyobrażam sobie, żeby mogła go oddać Trebuniowi. No, ale to był przyjaciel, więc ma to jeszcze jakiś sens, natomiast na pewno nie oddałaby go do jakiejś instytucji.

– Osobisty w jakim sensie? – dopytał Wawrzyniec.



– Dotyczył ich obojga – uśmiechnęła się. – Taki rodzaj autoportretu grupowego.

– A tak już nie są dwoje, a jedno ciało... – przypomniał sobie Wawrzyniec.

– Coś w tym rodzaju.

Oprócz dziwnego zamówienia z TOPR-u wśród papierów nie udało się znaleźć już nic ciekawego. Kiedy wracali na plebanię, na placu pod kościołem spotkali staruszkę, którą Wawrzyniec widywał wcześniej parokrotnie w autobusie i w Dzianiszu. Zgarbiona starowinka przyglądała im się bacznie.

– Kto to jest? – zapytał Wawrzyniec, kiedy już ją minęli.

– Nikt za bardzo nie wie. Mieszka gdzie popadnie. Podobno po raz pierwszy pojawiła się przed laty w Chochołowie. Od tej pory objawia się czasami, potem znika na długie miesiące. Niektórzy starsi mówią, że przychodzi ze śmiercią – skwitowała Monika.

– Albo w ogóle jest śmiercią. Bardzo katolicki naród ci górale, żadnych bajań ani przesądów – zaśmiał się krótko Wawrzyniec.

– Tego nigdy nie wyplenisz z ludzi. Jeśli jest cokolwiek, co daje choćby cię nadziei na to, że może ich jakoś zabezpieczyć przed nieszczęściem, to będą w to wierzyć i to robić... albo nie robić, jeśli to może przynieść nieszczęście. – Monika obejrzała się raz jeszcze w stronę staruszki, która wciąż intensywnie im się przyglądała.

– Taka wariacja na temat zakładu Pascala. Lepiej wierzyć, bo jak się okaże, że było po co, to się przyda, a jak nie, to przecież niczego nam od tego wierzenia nie ubędzie – spuwentował Wawrzyniec.

Teraz on też spojrzął w stronę staruszki, znikającej już powoli wśród kotłowanych wiatrem tumanów śniegu. Nie był przesądny, nie był też strachliwy, ale w kobiecie było coś tak tajemniczego, że po plecach przeszedł mu chłodny dreszcz.

– Zostawiliśmy włączone światło? – Monika patrzyła w stronę jaśniejących okien plebanii.

Wawrzyniec wzruszył ramionami. Nie pamiętał.

Drzwi były zamknięte na zamek. Kiedy znaleźli się w środku, Monika obesła kuchnię i pokoje, sprawdzając po kolei wszystkie

okna. One też były nietknięte.

– Czyli zostawiliśmy. – Wawrzyniec usiadł przy kuchennym stole.

– Nie. – Monika wciąż czujnie rozglądała się po wnętrzu. – Ktoś tu był.

– A wszedł jak? Przez komin? – uśmiechnął się ironicznie Wawrzyniec.

– Nie wiem, jak wszedł, i to niepokoi mnie jeszcze bardziej. – Monika włączyła czajnik.

– Skąd wiesz, że ktoś tu w ogóle był? – zaciekał się Wawrzyniec.

– Czuję, poza tym widzę, różne rzeczy stoją inaczej, niż je zostawiłam. Szukali tu czegoś, szuflady w gabinecie proboszcza są niedomknięte. – Monika wydawała się coraz bardziej rozemocjonowana. – Nie podoba mi się to.

– Jeśli byli, to pewno ze względu na mnie, jutro zniknę, oni też się więcej nie pojawią – starał się ją uspokoić Wawrzyniec.

– Schlebiasz sobie. – Monika nie była przekonana. – Szukają obrazu, może przede wszystkim z twoją pomocą, ale na własną rękę też.

– Tutaj, u proboszcza w szufladach? – Wawrzyniec zaśmiał się, po czym dodał: – Mówiłaś, że był duży.

– Nie wiem, czego szukali w szufladach, w ogóle nie wiem, co się dzieje. Myślę, że jednak pora odwiedzić Ziętkę – odparła. – Pewnie nie pomoże, ale przynajmniej będzie musiał takie zgłoszenie zaraportować gdzieś, a papier to papier.

Spali w jej pokoju. Łóżko było małe, jednoosobowe, ale nie przeszkadzało im to wcale. Ona bała się tak bardzo, że pragnęła jego bliskości, on pragnął jej tak silnie, że aż napawało go to lękiem.

Do Halamy trafił kolejnego dnia dopiero około południa. Przyszedł właściwie głównie po to, żeby pogadać z panią Basią i zabrać swoje rzeczy, które ktoś przywiózł tutaj po tym, jak wyciągnęli go siłą z pociągu. Czemu rzeczy zawieźli tutaj, skoro jego zamknęli w piwnicy domu Trebuniów? Tego nie wiedział, ale w całej tej historii zdarzyło się już tak wiele rzeczy, których nie pojmował, że powoli zaczynał się przyzwyczajać do funkcjonowania w świecie jawiącym mu się jak gra komputerowa, do której niedawno zasiadł i której reguł wciąż jeszcze nie rozumiał. Co więcej, nie bardzo miał szansę szybko je poznać, bo odnosił wrażenie, że zaczął rozgrywkę od razu na jednym z bardziej zaawansowanych etapów. Tak, gra komputerowa, do której nie ma się żadnej instrukcji i nie rozumie się nawet, jaki jest jej cel, to dobra metafora jego obecnej sytuacji, pomyślał Wawrzyniec, wchodząc do gabinetu kierowniczkii Halamy, pani Basi.

– Wszelki duch Pana Boga chwali... – Przystojna kobieta uśmiechnęła się szeroko, ukazując biel swoich zębów. – Wygląda na to, że zamieszkałeś u nas już chyba na stałe, co?

– Nie do końca dobrowolnie. – Wawrzyniec też się uśmiechnął i usiadł na fotelu stojącym bokiem do jej biurka. – Ale z przyjemnością – skłamał z uprzejmości.

– W jakim sensie? – zapytała, ale zanim zdążył odpowiedzieć, dodała, jakby odpowiedź nie interesowała jej do końca: – Chcesz kawy?

– Nie, dziękuję. – Wawrzyniec jednak chciał udzielić odpowiedzi, choćby dlatego, że ciekaw był jej reakcji. – Wyciągnęli mnie siłą z pociągu gdzieś w polu.

– Koledzy, znowu popijawa? – Basia krzątała się już przy małym ekspresie stojącym na półce między rozlicznymi segregatorami.

Nie widział jej twarzy, więc nie mógł też zobaczyć reakcji, ale czy rzeczywiście musiał ją zobaczyć? Zaczął się zastanawiać nad tym,

czy podejrzewanie wszystkich osób zamieszanych w tę historię do czegokolwiek go doprowadzi.

– Nie koledzy, tylko obcy zamaskowani faceci – odpowiedział spokojnie.

– Co?! – Teraz pani Basia się odwróciła, a na jej twarzy malowało się zaskoczenie.

Wawrzyniec uznał je za szczere i więcej nie podejmował prób przesłuchania swojej wieloletniej znajomej pod kątem jej współudziału w spisku, którego natury ani celu nie rozumiał. Komuś muszę zaufać, inaczej naprawdę grozi mi psychoza lękowa, pomyślał.

– Plewiński powiedział mi, że nie wyjadę stąd, dopóki nie znajdę obrazu – odpowiedział.

– A co Plewiński ma z tym wspólnego? – zdziwiła się jeszcze bardziej pani Basia.

– Nie mam pojęcia. Najpierw mnie zwodził, potem prawie mi zszedł na rękach, teraz uwięził mnie w piwnicy u Trebuniów i okazał się *capo di tutti capi*. – Wawrzyniec uśmiechnął się na samo skojarzenie pulchnego niedojdy z Marlonem Brando.

– Ale co to znaczy? Nie wyjedziesz? Przecież czekają na ciebie w Warszawie, znowu dzwonili, Władek z nimi rozmawiał – mówiła pani Basia, zalewając jednocześnie kawę. – Musisz iść z tym na policję.

– Pójdę. Potem wrócę po rzeczy. Byłbym zobowiązany, jeśli mogłyby tu jeszcze poleżeć. – Wawrzyniec wstał do wyjścia, zapominając o kawie.

– Mogą tu leżeć całą wieczność, a ty możesz tu mieszkać, do kiedy tylko chcesz. – Basia się uśmiechnęła, a jemu wydało się znów, że był to uśmiech na pograniczu flirtu.

– Dzięki. Wrócę, mam nadzieję, wcześniej niż przed wiecznością, czyli za godzinę albo dwie. – Ruszył w stronę drzwi.

– A rzeczy, czemu chcesz zabierać, jednak jedziesz na Warszawę? – upewniła się.

– Jeszcze nie. – Zawahał się, czy powiedzieć więcej, ale zrezygnował.

– Pani Monika? – Popatrzyła na niego przenikliwie.

On pokiwał tylko głową, wyrażając tym swoją ciepłą aprobatę dla jej intuicji, i wyszedł.

Na komendzie było jak zwykle, czyli sennie. Może nawet sennie niż zwykle. Nikt nie wchodził ani nie wychodził. Cicho jak w Prypeci po wybuchu reaktora, pomyślał Wawrzyniec. Nawet w kantorku dyżurnego przez jakiś czas nie było nikogo. Dopiero kiedy zaczął pukać w drzwi prowadzące na korytarz i dalej do wnętrza komisariatu, za szybą ze szkła wzmocnianego drutem pojawił się jakiś chłopaczek w mundurze z dystynkcjami posterunkowego i w okularach grubych jak denka od butelek. Wyglądał do tego jak obudzony w środku nocy.

– Obudziłem pana? – zapytał Wawrzyniec.

– Nie – odpowiedział tamten i zamilkł, jakby znów zasnął, ale tym razem na jawie.

Ach, te komendy powiatowe, pomyślał cierpko Wawrzyniec.

– Chciałem zgłosić przestępstwo – powiedział Wawrzyniec nieco głośniejszym głosem, w obawie, że tamten jest może niedosłyszający.

– Może pan, ale nie ma komu – odpowiedział dyżurny po namyśle, który trwał tak długo, że Wawrzyniec odniósł wrażenie, że dla posterunkowego sformułowanie tego zdania było tak trudne jak, dajmy na to, całkowanie.

W sumie, jeśli zastanowić się nad biologiczno-chemiczną złożonością procesu myślowego, to natura musi zrobić znacznie bardziej skomplikowane rzeczy niż całkowanie, żeby wyprodukować najprostszą choćby refleksję, przemknęło przez głowę Wawrzyńcowi. W każdym razie miał czas, by zastanawiać się nad tym i nad wieloma jeszcze innymi rzeczami, czekając na odpowiedź ze strony chłopaka.

– Jak to nie ma?

– No nie ma, wszyscy pojechali do zabójstwa. – Teraz nagle chłopak się rozkręcił.

Może rzeczywiście wcześniej spał, pomyślał Wawrzyniec.

– Do zabójstwa? A kiedy wróca? – Popatrzył w głąb cylindrycznych szkieł rozmówcy.

– Nie wiem, to się czasem schodzi – odpowiedział dyżurny z zatroskaną miną. – Mogę wezwać aspiranta Nowickiego, on pana spisze.

– Nie, dziękuję, przyjdę później. – Pokręcił głową Wawrzyniec.

Składanie zeznań na ręce znanego mu już adepta sztuki policyjnej albo dyżurnego w cylindrycznych szkiełach kompletnie mu się nie uśmiechało.

– A co to za zabójstwo?

– Nie wiem, normalne jakieś, w COS-ie coś – zaśmiał się dyżurny.

– Coś w COS-ie... – Wawrzyniec powtórzył jak echo, myślami będąc już jednak gdzie indziej.

Idąc już szybkim krokiem w górę ulicą Chałubińskiego w kierunku ronda do Kuźnic, Wawrzyniec zastanawiał się, czy to, co przyszło mu w pierwszym momencie do głowy, jest w ogóle możliwe. COS od jakiegoś czasu kojarzył mu się tylko z jednym, czyli z dziwnym pawilonem Plewińskiego, w którym marszand przechowywał obrazy niemieszczące mu się w galerii. Jednak sam COS to ogromny teren, wiele instytucji, mnóstwo sportowców, często zresztą członków kadry narodowej z różnych dyscyplin. Do tego setki pracowników obsługujących ten moloch, restauracje, hotel i co tam jeszcze... Świat nie ogranicza się jedynie do tego, co dotyczy jego własnej osoby i jego dochodzenia. Kiedy Wawrzyniec zbliżał się do głównego wejścia do COS-u, był przekonany, że to jedynie zbieg okoliczności i właściwie nie miał tu nawet po co przychodzić. Poza tym, co innego miał do roboty? Chciał znaleźć komisarza Ziętkę, a tutaj było największe prawdopodobieństwo trafienia na niego.

W głównej części Centralnego Ośrodka Sportu, od strony ulicy Czecha, nic nie zwiastowało, że w ogóle doszło tu do czegośkolwiek niezwykłego. Nie było ani policji, ani taśm odgradzających, nie widział żadnych gapiów, wszystko działało normalnie. Wawrzyniec, wchodząc w głąb ośrodka, mijał młodych ludzi w dresach, którzy z uśmiechami na twarzy, nieświadomi czegośkolwiek, zmierzali na

trening na jeden ze stadionów znajdujących się po przeciwnej stronie ulicy. Sytuacja zmieniła się, kiedy minął główne zabudowania i skręcił w lewo, czyli w kierunku wejścia od ulicy Żeromskiego, czyli...

– Co tam się stało? – zapytał Wawrzyniec mijaną kobietę w gumowych rękawiczkach.

– Nic specjalnego, prowadzimy dochodzenie – odpowiedziała, nie patrząc mu w oczy, i poszła dalej w kierunku zaparkowanego nieopodal ciemnego vana z napisem „Policja” i z mikroskopem namalowanym na bocznej burcie.

Sto metrów dalej znajdował się niebieski pawilon Plewińskiego. Czyli jednak świat obraca się wokół mnie, skonstatował w myślach Wawrzyniec. Tylko co, kto...? Tego jeszcze nie wiedział, choć przeczuwał.

Wydało mu się, że przy taśmie z napisem „Policja”, rozwijanej naprędce przez policjantów z prewencji, pośród kilkunastoosobowej grupki gapiów stoi Ania z Halamy. Kiedy podszedł bliżej i poczuł zapach jej perfum, wrażenie zmieniło się w pewność.

– Cześć – zagadał, podchodząc do niej.

Ania odwróciła się do niego, była blada i tak przejęta, że nie odpowiedziała ani jednym słowem. Kiwnęła tylko głową miękko, jakby w zwolnionym tempie.

W tym momencie drzwi od pawilonu się otworzyły i dwóch facetów w ciemnych garniturach zeszło po stopniach ze stalowej kratownicy, niosąc pomiędzy sobą nosze przykryte brezentem.

– Kto to? – zapytał Wawrzyniec Anię, która odwróciła się już od niego i teraz przypatrywała się tej scenie w milczeniu.

Nie odpowiedziała, ale odpowiedział mu wiatr, który dmuchnął nagle ciepłym powiewem i przesunął na moment fragment zielonkawego brezentu. Na noszach leżały zsiniałe zwłoki marszanda Tomasza Plewińskiego.

– Kurwa, ale jak to...? – zareagował Wawrzyniec na tyle głośno i impulsywnie, że kilka osób zwróciło się w jego stronę z nieskrywaną niechęcią w oczach.

Ziętka wyszedł z pawilonu po chwili, popatrzył w stronę Wawrzyńca, a ten odniósł wrażenie, że komisarz przygląda mu się



trochę dziwnie. Sprawa zeznań, które chciał złożyć, kompletnie wyparowała mu z głowy. Kiedy jednak przypomniał sobie tę scenę później, skonstatował, że nawet gdyby w tym momencie o nich pamiętał, to z całą pewnością w tych okolicznościach i tak nie podszedłby do Ziętki. Rozwahał raczej, czy tylko dlatego, że jego zeznania nie licowały z powagą sytuacji, czy bardziej dlatego, że dotarło do niego, jak doskonale owe zeznania by się w całą tę sytuację wpisały. Czyżby wystraszył się spojrzenia Ziętki? Chyba bardziej jeszcze obawiał się tego, że sytuacja naprawdę zaczynała go już przerastać. Marszand go szantażował, a teraz już nie żył. Kto tak naprawdę za tym wszystkim stał ...?

– A on zmarł czy...? – zadał to pytanie chwilę później, gdy szedł już z Anią w stronę Halamy.

Okazało się, że COS był stałym punktem na jej trasie do pracy. Mieszkała pod Nosalem i każdego dnia skracala sobie tędy drogę.

– Zamordowali go – odpowiedziała zdawkowo z kamiennym wyrazem twarzy.

Wawrzyniec nie wiedział, co powiedzieć, ale milczenie mu ciążyło.

– Znałaś go? – odezwał się znowu chwilę później, kiedy wyszli już na Piłsudskiego i w oddali widzieli budynek domu pracy twórczej.

– Przychodził czasami do kierowniczkii... – zaczęła, ale zamilkła. Po chwili dokończyła już innym tonem: – Wszyscy go tu znali.

– Mówili coś więcej? – zapytał Wawrzyniec, nie licząc zbytnio na odpowiedź.

– Kto? – odpowiedziała pytaniem.

– Nie wiem. Policja, ludzie, gapie, ci z zakładu pogrzebowego? – wymieniał Wawrzyniec, bo za wszelką cenę chciał podtrzymać rozmowę.

Miał dojmujące wrażenie, że w zdawkowości jej odpowiedzi, a bardziej jeszcze w ich wspólnym milczeniu, jest coś zdecydowanie nieadekwatnego do sytuacji.

– Mówili, że musiał tam leżeć ze trzy dni. – Spojrzała na niego dopiero po raz drugi, odkąd się na nią natknął.

Wawrzyniec w jej oczach dostrzegł teraz lęk.

– Jest chłodno, a zwłoki już było czuć, więc... – Zamilkła w pół zdania.

– Jak to od trzech dni, przecież wczoraj ze mną rozmawiał! – Wawrzyniec powiedział na głos to, co pomyślał, i od razu ugryzł się w język.

– Rozmawiał z tobą? – Ania przystanęła, lęk w jej oczach zmienił się teraz w przerażenie.

– Tak. – Wawrzyniec postanowił być szczery, bo przyszło mu do głowy, że tylko tak mógł ją uspokoić. – Dwa dni temu wyciągnęli mnie z pociągu, którym wracałem do Warszawy. Plewiński zjawił się rano, powiedział, że mam znaleźć obraz i że takie jest życzenie tamtych.

– Tamtych? – Ania nie sprawiała wrażenia uspokojonej.

Wręcz przeciwnie – dostrzegł, że jej usta pobladyły i nawet trzęsły się teraz, trochę tak, jakby była na krawędzi płaczu.

– Nie mam pojęcia, kim są ci inni, Aniu. – Wawrzyniec starał się być spokojny, uśmiechnął się nawet delikatnie. – Ale wiem, że on żył dwa dni temu, więc nie mógł tam leżeć od kilku dni.

– Może zabili go, bo nie odzyskał obrazu i nie udało mu się namówić ciebie, żebyś to zrobił – zasugerowała Ania. Tymczasem budynek Halamy z ich każdym krokiem był coraz bliżej.

– Ale przecież to nie chodzi o to, żeby mnie namówić – obruszył się trochę Wawrzyniec, ale od razu zapanował nad sobą. – Z największą chęcią znalazłbym ten obraz, tylko nie mam pojęcia, gdzie go szukać.

– Pewno oni uważają inaczej. Tobie nic nie zrobią, bo tylko ty możesz go dla nich znaleźć, ale Plewiński... – Urwała Ania.

– Plewiński kilka dni temu prawie zszedł mi na rękach – przypomniał sobie nagle Wawrzyniec. – On miał chyba coś z sercem. Przy mnie miał zapaść, byłem przekonany, że umrze na ulicy. Może wcale go nie zabili, może po prostu umarł.

– Może. – Ania jakby straciła nagle zainteresowanie sprawą.

Wawrzyniec uznał, że to forma samoobrony. Kiedy coś budzi lęk i napięcie, często w takich sytuacjach człowiek wypiera to ze swojej świadomości. Ludzki mózg to jednak jest gadzia maszyna, stwierdził w myślach.

– Co teraz zamierzasz? – Ania nie miała już bladych ust, uśmiechała się nawet nieco kokieteryjnie, a na jej policzkach pojawiły się rumieńce.

– Nie mam pojęcia. – Wawrzyniec nie potrafił aż tak sprawnie jak ona odciąć się od swoich niepokojów. – Może nie muszę już szukać obrazu, skoro on nie żyje.

– Nie sądzę, żeby to coś zmieniało. – Ania wciąż uśmiechała się do niego.

Tak jakby wcześniejszy powód do niepokoju nagle magicznie wyparował, choć przecież nic kompletnie się nie zmieniło, pomyślał Wawrzyniec, patrząc teraz na nią.

– Czemu? – Zatrzymał się przy furtce prowadzącej na teren Halamy.

– Powiedziałaś, że są inni, że Plewiński mówił o innych. Jego śmierć nie spowodowała, że oni zniknęli – odpowiedziała rzeczowo Ania.

– Przyjdiesz? – zapytał Wawrzyniec trochę mechanicznie, jakby uważał, że powinien, że sytuacja tego wymagała.

Może też zresztą chciał tego, przyszło mu do głowy. Może w bliskości, choćby i tylko tej cielesnej, znajdą wzajemne ukojenie dla lęku, który i jemu teraz bardzo silnie się udzielił.

– Przyjdę – odpowiedziała od razu, a jemu wydało się, że zabrzmiało to również trochę mechanicznie i beznamiętnie. Po czym dodała: – Muszę się zameldować na kuchni, przebrać, potem będzie chwila przed kolacją.

Przyszła i przyniosła ukojenie, wprowadzie jedynie chwilowe, ale czasem, gdy człowiek bardzo się boi, uznał Wawrzyniec, to nawet gdy ma świadomość, że coś pomoże jedynie na moment, korzysta z tego, próbując zapomnieć, że ulga będzie krótka. Kochali się intensywniej nawet niż poprzednim razem. Tak naprawdę każde ich kolejne spotkanie było coraz bardziej atawistyczne, zwierzęce, ocenił on, tak jakby próbowali uciec od swojego człowieczeństwa w nadziei, że wraz z jego utratą zniknie też egzystencjalny lęk, który im towarzyszył.

– Pa! – uśmiechnęła się, zawiązując fartuch.

Wawrzyniec odniósł wrażenie, że była smutna. Nie bała się już, ale za to w jej zachowaniu pojawiła się jakaś zdawkowość, może roztargnienie. Niby była tu z nim, ale już tylko częściowo, tylko na chwilę i może już po raz ostatni.

– Kiedy teraz masz zmianę?

– Nie pamiętam – odpowiedziała krótko.

Uśmiechnęła się i wyszła, pozostawiając w powietrzu smugę zapachu i nic poza tym.

Co dalej? Wawrzyniec przysiadł na łóżku i zapatrzył się w światło latarni otoczone woalem padającego śniegu. Jeśli tak bardzo komuś zależy na tym obrazie, jeśli z jego powodu zginął Plewiński, a jego samego brutalnie wyciągnięto z pociągu, to może od samego początku wcale się nie mylił, choć jego intuicję tak trudno było mu do tej pory uzasadnić przed samym sobą i przed innymi. Jeśli działo się w tej sprawie tak dużo tak tajemniczych rzeczy, to może pierwszą dziwną rzeczą, pierwszym zwiastunem tej serii niewyjaśnionych zdarzeń była śmierć Markowskich. Jeśli tak, to rację mieli i Plewiński, i Trebuń: znalezienie obrazu pozwoli też dotrzeć do przyczyny i do sprawców zabójstwa. Pora odwiedzić TOPR.

Wawrzyniec sięgnął po telefon.

## 31.

– Ale kto się pod tym podpisał? – Witek Byrcyn nie dowierzał w to, co właśnie usłyszał.

Na jego twarzy malował się pobłażliwy uśmiech.

– Nie wiem, nie widać, rozmyte jest – odpowiedział Wawrzyniec, nie patrząc na niego. Nie znosił pobłażliwych uśmiechów.

– To skąd wiesz, że to nie jakiś falsyfikat jest w ogóle? – Witek przestał się uśmiechać.

– A po cholereę ktoś miałby robić taki falsyfikat i podrzucać go między papiery u Markowskich? – próbował bronić się logiką Wawrzyniec.

– Może nie podrzucać, może ktoś sprokurował taki papier, żeby na lewo wydebić od niej obraz – zasugerował Witek. – Ona rzadko malowała na zamówienie, dla TOPR-u mogła się złamać.

Chwilę siedzieli w milczeniu, pijąc piwo i przyglądając się kobiecie siedzącej po drugiej stronie baru.

– A ta kobieta w kozuchu? – Witek nagle zupełnie zmienił temat. – Widziałeś ją jeszcze potem?

Wawrzyniec musiał porządnie wysilić pamięć, żeby w ogóle zrozumieć to pytanie. Kobieta w kozuchu... Owszem, pojawiła się kiedyś, szedł za nią, ale nic z tego nie wynikło.

Wawrzyniec tylko pokręcił głową, po czym zapytał:

– A czemu nagle ona przyszła ci do głowy?

– Może to ta. – Witek wskazał wzrokiem na kobietę po drugiej stronie baru.

– Może, a może jakakolwiek inna. – Wawrzyniec nie był w nastroju do żartów.

Zerknął w stronę kobiety i pomyślał, że gdyby to była rzeczywiście ona, to w sumie byłby nawet zadowolony.

– Może skupiasz się nie na tych elementach układanki, na których trzeba.

– Rozwiń myśl – poprosił Wawrzyniec.

– Mówisz, że są jacyś oni, że Plewińskiego ktoś wysłał... Opowiadałeś o kobiecie, która się pojawiała i znikła, może była od nich właśnie.

– Może, a nawet jeśli, to co? – zirytował się Wawrzyniec. – Widziałem ją ze dwa razy, nie mam pojęcia, kim jest i jak miałbym jej szukać, więc co mi z twojej genialnej podpowiedzi?

– Może powinieneś jej poszukać wśród swoich wspomnień. Jeśli ona zna ciebie, to z pewnym prawdopodobieństwem ty możesz też ją znać. Problem z tobą polega tylko na tym, że ty nie pamiętasz tych wszystkich kobiet, w ogóle mało co pamiętasz. – Witek nagle trochę się zdenerwował, tak jakby sprawa dotyczyła go bardziej, niż było w rzeczywistości.

Wawrzyniec zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie zaszedł mu jakoś za skórę, ostatnio albo dawniej. Co gorsza, nawet jeśli, to tego nie pamiętał, czyli znowu wychodziło na jego.

– Z kiedy jest to zamówienie? – Witek wrócił do porzuconego tematu.

– Zamówienie? – Wawrzyniec wypadł z rytmu rozmowy.

Kobieta, o której rozmawiali przed momentem, nagle gdzieś zniknęła, i choć była kimś zupełnie przypadkowym, to Wawrzyniec uczeplił się myśli o niej, jakby właśnie ona miała stanowić rozwiązanie całej tej zawilej historii. To chyba po części odzwierciedla, jak bardzo nie mam pojęcia, co z tym wszystkim zrobić, pomyślał smutno.

– No, zamówienie, to z TOPR-u, z kiedy jest, jakaś data? – dopytywał Witek.

– Mniej więcej sprzed dwóch lat. – Wawrzyniec wrócił na ziemię.

– Zapytam Masteraka, on był wtedy zastępcą szefa. Jeśli coś takiego wyszło rzeczywiście z centrali, to na pewno coś będzie wiedział. – Witek wypił łyk piwa i popatrzył w stronę, w którą wpatrywał się Wawrzyniec, czyli tam, gdzie wcześniej siedziała nieznajoma.

– Stempel był oryginalny, chyba nikt go z ziemniaka nie odbił – odpowiedział sucho Wawrzyniec.

– Nie wiesz, kim była tamta kobieta, ale wiesz, że była tajemnicza Grażyna. Może jej poszukaj? – zasugerował Witek, po czym dodał: –

To jedyny ślad, jaki ci został.

– Nie Grażyna, bo Grażyna leży pod kamieniem na cmentarzu. – Wawrzyniec spojrział ze złością na Witka. – Nie mam pojęcia, jak ta baba tak naprawdę się nazywa. Gdzie mam jej szukać?

– Może tam, gdzie ją widziałeś po raz ostatni – zasugerował Witek. – Ja sprawdzę z Masterakiem to zlecenie na obraz, czy coś takiego mogło w ogóle od nas wyjść, choćby formalnie.

– A ten to kto? – Wawrzyniec wskazał na rosnącego mężczyznę, który wszedł do sali od strony przejścia służbowego.

– Purwiński się nazywa, on też mógłby coś wiedzieć, ale wolę pogadać z Masterakiem, dłużej się znamy. – Witek pozdrowił wchodzącego gestem, ale ten albo nie zauważył, albo może nie chciał zauważyć.

– Może to on był pierwszy na miejscu wtedy tam, w Morskim? – Wawrzyniec usilnie próbował sobie przypomnieć, skąd kojarzy tego faceta – To możliwe?

– Możliwe, on mieszka gdzieś koło Łysej Polany, z domu ma dwa kroki. – Witek wstał. – Idę, mam nockę na górze, dam ci znać, co z tym zamówieniem, a ty poszukaj pani Grażyny. Z tego, co mówisz, z różnych względów warto.

– No, no, w końcu rozwijasz wyobraźnię. – Wawrzyniec uśmiechnął się i zapytał: – Myślisz, że teraz mógłbym już wyjechać?

– Plewiński nie żyje, a to on ci groził, więc może i możesz. – Witek pokiwał głową, po czym dodał: – Z drugiej strony, on cię straszył jakimiś ludźmi i teraz sam nie żyje...

– No tak – skwitował Wawrzyniec. Pomachał odchodzącemu przyjacielowi i zagłębił się w rozmyślaniach.

Tego Purwińskiego musiał widzieć jeszcze gdzieś wcześniej, może się wspinali razem, może poznali się przed laty, gdy sam jeszcze współpracował z TOPR-em. Przez chwilę chciał nawet do niego podejść, ale mężczyzna dosiadł się do grupy kolegów i Wawrzyniec zrezygnował. Miał jeszcze kilka spraw do załatwienia i jeden bar do odwiedzenia, jeśli miał jakkolwiek funkcjonować, to lepiej było nie zasiedzieć się tutaj z toprowcami przy kanistrze śliwownicy.

Na zewnątrz powietrze było znów rześkie. Nie padało i, o dziwo, w końcu też nie wiało. Przycisnął za to znów mróz, na tyle silny, że powietrze wciągane mocno przez nos sklejało jego ścianki. W drodze do baru PRL Wawrzyniec chciał zajrzeć w jeszcze jedno miejsce. Od czasu, gdy dwóch typów wyciągnęło go z pociągu między Zakopanem a Poroninem, wciąż wracało do niego wspomnienie głosu jednego z nich. Wtedy przeszło mu przez myśl, że był to głos młodego Piątka ze sklepu na Krupówkach, więc teraz nadarzała się okazja, by to sprawdzić.



– Dzień dobry, czy jest może mąż? – zwrócił się Wawrzyniec do dziewczyny za ladą.

Ta przez moment wyglądała tak, jakby próbowała sobie gorączkowo przypomnieć, kiedy i w jakich okolicznościach miała okazję poznać tego rosłego i szczupłego mężczyznę o ostrych rysach zmięczonych ciepłym spojrzeniem.

– Pan Wiślicki? – uśmiechnęła się ciepło, najwyraźniej już udało jej się skojarzyć, kim on jest.

– Wawrzyniec. – Wawrzyniec pokiwał głową, a po chwili milczenia dodał dla przypomnienia: – Zostałem?

– Tak, tak, zaraz go przyprowadzę. – Spojrzała na niego niewidzącym wzrokiem, po czym kiwnęła głową i wyszła.

Marcin Piątek wyglądał gorzej niż poprzednim razem, był blady i – tak przynajmniej wydało się Wawrzyńcowi – posmutniały.

– Dzień dobry panu – skłonił się lekko. – Miło ponownie widzieć. Coś udało się ustalić?

Głos był jednak inny, może podobny w tonacji, ale słowa Piątek artykułował inaczej, twardziej jakby i bardziej zdecydowanie. To nie ten głos usłyszał wtedy w pociągu, choć był on podobny.

– Niewiele – odpowiedział po chwili namysłu Wawrzyniec. – A pański brat? Czy mógłbym się z nim gdzieś spotkać?

– Nie wiem. – Wyraz twarzy Piątka zmienił się na tyle gwałtownie, że nie udało mu się ukryć grymasu za wymuszonym uśmiechem.

– Nie utrzymujecie kontaktu? – Wawrzyniec zadał pytanie, ale bardziej niż odpowiedź interesowała go teraz reakcja mężczyzny.

– Nie – rzucił krótko, a na twarzy Piątka nie pojawiło się już nic oprócz obojętności.

– A może wie pan, gdzie go mogę znaleźć? – drażył Wawrzyniec.

– W Krakowie – odpowiedział Marcin, dając jednocześnie odczuć, że rozmowa powoli będzie się kończyć.

– Ale pewno tu bywa... – Wawrzyniec przypomniał sobie nagle, że Witek wspominał mu o współpracy młodszego syna Kazia Piątka z TOPR-em.

– Nie wiem, panie Wiślicki, nie mam kontaktu z bratem. – Marcin pokręcił głową. – I muszę już lecieć, obowiązki wzywają.

Do baru PRL ze sklepu Piątka było może sto metrów. Wawrzyniec przeszedł je szybko, ale kiedy doszedł już na miejsce, zaskoczyło go nieco to, że w międzyczasie zrobiło się zupełnie ciemno. Może ciemno już było, kiedy wychodził ze sklepu, stwierdził, ale przez to, że po drodze myślał o dziwnym zachowaniu Piątka, fakt ten umknął jego uwadze i w pamięci został tylko moment, kiedy do sklepu wchodził. Wtedy było jasno, z całą pewnością.

Wewnątrz baru znów było tłoczno, gwarno i dzięki temu w jakimś sensie przytulnie. Czasem tak właśnie odbierał podobne sytuacje. W gruncie rzeczy był samotnikiem, a może więcej nawet: był samotny, dlatego w takich anonimowych ludzkich zbitkach, w tłumie czuł się stosunkowo dobrze. Z jednej strony był wśród ludzi, z drugiej – pozostawał anonimowy; uczestniczył w życiu społeczności, nie będąc zmuszonym do jakiegokolwiek wymiany zdań z innymi. Nie musiał rozmawiać, a i tak miał wrażenie, że bierze w coś udział. Znacznie gorzej czuł się w grupach ludzi, w których wszyscy wszystkich znali – wtedy czuł, że każdy ma przydzieloną rolę i tym samym jest zdefiniowany przez grupę. Takich sytuacji nie lubił wyjątkowo, bo najczęściej nie akceptował roli, którą mu przydzielono, nawet jeśli tak naprawdę sam mógł ją sobie wybrać. Tam musiał być kimś, musiał mieścić się w wytyczonych ramach, musiał wygłaszać jakieś dialogi, musiał mieć określony światopogląd, a nade wszystko zawsze wydawało mu się, że w takiej sytuacji rozgrywa się jakiś rodzaj współzawodnictwa. Być może dlatego, że istniała szansa na zwiększenie swojej roli, na awans w grupie albo coś podobnego. Okropieństwo. W barach, w których nikogo nie znał i – co ważniejsze – nikt nie znał jego, czuł się znacznie lepiej. Nie miał do odegrania roli, nie mógł zwiększyć ani utracić swojego znaczenia. Był tak naprawdę zupełnie transparentny

dla pozostałych. Tak, lubił być transparentny, słowem: być, a jednocześnie nie być. Szczególnie polubił to ostatnio.

– Grażyna Porębska, mówi panu coś takie nazwisko? – Wawrzyniec podjął próbę przekrzywienia gwaru.

Barman, którego zapytał, gdy ten kończył właśnie nalewać mu piwa ze lśniącego złotem kranika, pokręcił głową ze spokojem, a jego powściągliwa ekspresja zdawała się sugerować, że krzyk Wawrzyńca był zupełnie zbędny. On słyszał go doskonale. Albo to kwestia akustyki i z tamtej strony słyszać lepiej, albo głuchnę, pomyślał Wawrzyniec.

– Ładna kobieta po czterdziestce, opięta garsonka, krótka spodniczka, rude długie włosy, silny makijaż, trochę wyzywająca – spróbował opisywać Wawrzyniec. Swoją drogą, widział ją raz w życiu, wtedy była tak ubrana, ale przecież to nie oznacza, że zawsze tak wyglądała. A może zawsze? Aż uśmiechnął się w odpowiedzi na swój własny pomysł.

– Nie widziałem, ale jak pan tak opowiada, to trochę żałuję – powiedział barman i podał Wawrzyńcowi piwo.

Wawrzyniec usiadł, wypił łąpczywie kilka łyków i pozwolił gwarowi rozbrzmiewać w swojej głowie. Nie rozumiał słów, nie docierały do jego świadomości żadne informacje, nie potrafił rozróżnić nawet, w jakim języku toczyła się ta wielogłosowa dyskusja, słyszał tylko szum spływającej zewsząd artykulacyjnej magmy. Uwielbiał takie momenty, nie musiał wtedy myśleć o niczym. Żadnych logicznych łamigłówek, żadnego spinania się do odpowiedzi, łączenia narracji, tylko twarze i słowa, które nijak go nie dotyczyły.

Nagle zobaczył ją w drugim końcu sali. Właściwie to było to to samo miejsce, w którym zobaczył ją też i poprzednim razem, kiedy była tu jeszcze w towarzystwie Plewińskiego. Patrzył na nią widocznie na tyle intensywnie, że w końcu, choć otaczał ich tłum ludzi, zwróciła na niego uwagę. Ich spojrzenia skrzyżowały się na moment, a jemu wydało się, że rudowłosa kobieta uśmiechnęła się

do niego. Może było odwrotnie, pomyślał. Może to ona ściągnęła mnie wzrokiem, może to ona przywiodła mnie też do tej knajpy.

Dopił piwo, kiedy jednak sekundę później wstał, żeby pójść w jej stronę, Grażyny znów nie było ani tam, gdzie zobaczył ją przed momentem, ani nigdzie indziej. Wawrzyniec i tak ruszył w kierunku, gdzie przed chwilą siedziała. Przy stoliku, przy którym ją wcześniej zlokalizował, siedziało kilku podpitych mężczyzn o mało interesujących twarzach.

– Czy z panami siedziała tu przed chwilą kobieta? – zapytał bez większej nadziei na otrzymanie sensownej odpowiedzi.

– Kobieta? – Jeden z nich wpatrywał się w niego błędnym wzrokiem.

– Tak, rude włosy, opięty kostium, szary... chyba – opisywał Wawrzyniec, rozglądając się w poszukiwaniu choćby śladu po Grażynie.

Co miałoby być, swoją drogą, śladem po Grażynie?, zastanowił się teraz. Pasma rudych włosów unoszące się w zaparowanym wnętrzu, wśród setek mówiących naraz głosów? Powidok jakiś?

– Panie, co pan, my tu z kolegami tylko... – wybełkotał tamten.

Wawrzyniec już go jednak nie słuchał. Poprzednim razem poszedł za nimi do łazienki. Wtedy nie znalazł ich w środku, ale kto wie...

W toalecie było chłodno. Prawdopodobnie na stałe mieli tu gdzieś uchylone okno, żeby wietrzyć odór setek litrów uryny wylewanych do muszli, a może też i do umywalki. Niewiele i to pomagało, bo smród wciąż się unosił, ale może chłód powodował chociaż to, że odór stawał się mniej lotny. W toalecie nie było nikogo, panowała tu też absolutna cisza, tak jakby od gwaru panującego we wnętrzu baru dzieliły go nie drzwi, a jakaś próżniowa gródź. W toalecie, czyli w kosmosie? Wawrzyniec znów uśmiechnął się do swoich myśli.

– Szuka mnie pan? – Usłyszał za plecami aksamitny głos i aż podskoczył.

– Chryste, skąd pani się tu wzięła?! – zapytał, patrząc prosto w jej źrenice hipnotyzujące go kocią zielenią.

– Z baru, a pan?

– Kim pani jest w ogóle? – zadał pytanie, które męczyło go od dawna.

– Chodźmy stąd może – uśmiechnęła się ponętnie.

– A jak stąd pójdziemy, to mi pani odpowie? – próbował negocjować, choć wiedział, że tak naprawdę ma słabą pozycję.

Grażyna nie odpowiedziała, co nie zaskoczyło go przesadnie. Ruszył w stronę drzwi, ale ona złapała go za rękaw płaszcza i pociągnęła w stronę narożnej kabiny. Nie miał pojęcia, o co chodzi, ale czuł, że nie ma nawet odrobiny mocy, żeby się jej oprzeć. Grażyna otworzyła drzwi od kabiny. Okazało się, że to tutaj jest okno, przez które do wnętrza dostawało się mroźne powietrze neutralizujące odór.

– Tędy – powiedziała, wskazując na okno.

– Czemu nie przez drzwi? – zapytał raczej pro forma, bo tak naprawdę nie dziwiło go już nic.

– Za dużo ludzi – odpowiedziała lapidarnie, po czym weszła na muszlę i spojrzała na niego wyzywająco.

Do ramy okna brakowało jej jeszcze kawałek, więc Wawrzyniec bez słowa złapał ją w pasie i podsadził. Była lekka, miękka i ciepła. Dokładnie taka, jak się spodziewał.

Wyszli na tyłach budynku. Przez chwilę stali bez ruchu, spoglądając na siebie w milczeniu.

– Do baru na Huśtawkach? – zapytała.

On pokiwał głową i zaczął się zastanawiać, czy to nie ona była przypadkiem kobietą w kozuchu, którą widział wtedy i o której ostatnio przypomniał mu Witek. Po chwili doszedł do wniosku, że chyba jednak nie: była wyższa od tamtej i miała rude włosy, a tamta na pewno była brunetką, bo widział pasma jej włosów wychodzące spod czapki. Nie, to nie była ona.

– No więc, kim pani jest? – ponowił pytanie.

– Ale w jakim sensie? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– W takim, że nie jest pani Grażyną Porębską, to wiem na pewno, bo Grażyna nie żyje. – Spojrzał na nią podejrzliwie.

– Oczywiście, że nie jestem Grażyną Porębską, nigdy nie twierdziłam, że jestem – uśmiechnęła się rozbijającąco.

– Ale kiedy Plewiński tak panią przedstawił, nie zaprotestowała Pani – przypomniał jej Wawrzyniec.

– Tomek miewał różne pomysły, czasem wynikały z jego specyficznego poczucia humoru, czasem z czegoś innego. Przyzwyczaiałam się i nie protestowałam – wyjaśniła spokojnie.

– To jak się pani nazywa tak naprawdę? – wciąż dopytywał Wawrzyniec.

– Bez znaczenia, panie Wawrzyńcu, to bez znaczenia. Nie mnie pan przecież szuka – odpowiedziała.

Znów zaczęło wiać. Tym razem wiatr był chłodny, więc to nie halny, pomyślał Wawrzyniec.

– Kto zabił Plewińskiego? – zapytał bez ogródek.

– A skąd ja mam wiedzieć? – zdziwiła się szczerze. – Ziętkę proszę zapytać. Ja nie pracuję w organach ścigania.

– A w czym pani pracuje, jeśli mogę zapytać? – Wawrzyniec poczuł, że zaczyna go ogarniać złość.

Odnosił wrażenie, że wszyscy tutaj odsyłają go do Ziętki, który nie znosi ani swojej pracy, ani tego miasta, więc równie dobrze można zapytać o cokolwiek przydrożnego smreka.

– Czemu się pan denerwuje? – odpowiedziała z uśmiechem Grażyna, czy jakkolwiek miała na imię ta rudowłosa piękność. – To Tomek namówił ich, żeby się zesli.

– Kogo? – Wawrzyniec przez moment poczuł się totalnie dezorientowany.

– A w czyjej sprawie pan tu jest? – znów skonsternowała go swoim pytaniem Grażyna.

– No ale to jak ich namówił? – Z wysiłkiem zebrał myśli Wawrzyniec.

Wiedział już, że chodzi o Markowskich, ale za cholerę nie potrafił wyobrazić sobie roli Plewińskiego w ponownym zejściu się małżeństwa.

– Normalnie, on blisko był z Agnieszką, ale Piotr też okresowo się z nim kolegował. Namówił ich, potem Agnieszka namalowała dla niego w nagrodę obraz – kontynuowała opowieść rudowłosa kobieta.

– Jaki obraz? – znów zdziwił się Wawrzyniec.

– Ten obraz. Jedyne obraz, o którym cały czas jest mowa. – Kobieta pokręciła głową, demonstrując zmęczenie jego niewiedzą.

On wcale nie czuł się w tej sprawie ignorantem, ale to, co słyszał w tym momencie, kompletnie przeczyło temu, co wiedział do tej pory.

– Ale przecież ona podarowała ten obraz Łukaszowi Trebuniowi?  
– wyjaśnił swoje zaskoczenie Wawrzyniec.

– Nie wiem, komu ona go w końcu podarowała i co tam się zadziało, ale wiem, że było tak, jak panu powiedziałam. Plewiński był ich przyjacielem, namówił ich, żeby do siebie wrócili, a ona w porwywie wdzięczności namalowała ten obraz dla niego. – Kobieta była wyraźnie poirytowana, po chwili jednak trochę się opanowała i dodała: – Może zależało mu, żeby się zeszli, bo wiedział, że ona zacznie wtedy znowu malować, tego nie wiem. W końcu był marszandem.

– Kto go zabił? – Wawrzyniec wrócił do pytania z początku rozmowy.

– Może nikt – stwierdziła ze smutkiem.

Wawrzyniec zrozumiał, że więcej na temat śmierci Plewińskiego się od niej nie dowie, może dlatego, że więcej nie wiedziała, a może po prostu nie chciała mu powiedzieć. Jednak to nie miało teraz dla niego większego znaczenia.

– W sprawie jest jeszcze wątek TOPR-u – zagaił i zamiast rozwinąć myśl, postanowił poczekać.

– TOPR-u? – spytała, ale nie wydała się szczególnie zaskoczona.

– Tak, w domu Markowskich znalazłem zamówienie. Wynika z niego, że to TOPR obstał obraz u Agnieszki – opowiadał Wawrzyniec, przez cały czas czujnie jej się przyglądając.

– TOPR to instytucja, sama nie zamówi... – zawiesiła głos.

– Tak. Nie wiem, kto dokładnie tam od nich to zrobił. Podpis jest rozmyty, nieczytelny, staram się dojść swoimi kanałami – powiedział Wawrzyniec, po czym od razu zaczął się zastanawiać, czy nie wyjawiał zbyt wiele.

Rudowłosa kobieta pokiwała głową, ale nie drążyła już tematu.

– O, i prawie jesteśmy. – Wskazała na tonący w mroku dom z ciemnych drewnianych bali, znajdujący się kilkadziesiąt metrów dalej, na wzniesieniu przed nimi.

– Jesteśmy? – zdziwił się Wawrzyniec, który w tym momencie zdał sobie sprawę, że przez całą długą drogę, którą odbyli od wyjścia przez okienko w toalecie baru PRL, nie miał tak naprawdę pojęcia, dokąd idą. Co więcej, nie przyszło mu do głowy, by w ogóle się nad tym zastanowić.

Co go tak ciągnęło? Czyżby uległ hipnozie? Dotarło też do niego, że przez całą drogę nie wiadomo dokąd nie udało mu się ustalić właściwie nic z rzeczy, które najbardziej go frapowały, czyli kim tak naprawdę jest Grażyna, czemu podszyła się pod nieżyjącą osobę, co łączyło ją z Plewińskim i z jakiego powodu szukała obrazu.

– A gdzie my właściwie jesteśmy? – zapytał Wawrzyniec, choć doskonale wiedział, gdzie mogą się znajdować, świetnie znał też cud zakopiańskiej architektury, do którego właśnie zmierzali.

Ona, zdaje się, miała tego świadomość, bo na jego pytanie odpowiedziała jedynie uśmiechem, po czym pchnęła furtkę i weszli na teren ogrodu okalającego dom. Może precyzyjniej byłoby zresztą powiedzieć: „parku”, pomyślał Wawrzyniec, bo ogród raczej kojarzy się z zielenią i kwiatami niż ze skarłatą kosówką pokrytą grubą warstwą śniegu.

– Był pan kiedyś w środku? – odezwała się dopiero, kiedy doszli pod drzwi, i podała mu klucze wyciągnięte z torebki.

Klucze były ciężkie i stare, tak jakby ten, kto dbał o utrzymanie tego ponadstuletniego domu w tak dobrej kondycji, postanowił, że kosztem bezpieczeństwa zachowa najdrobniejsze elementy starego wystroju, włącznie z przedwojennym zamkiem.

– Nie, żaden z ludzi, których znam, chyba tu nie był. Wszyscy widzieliśmy ten dom tylko z zewnątrz, nikt nie był w środku. – Wawrzyniec włożył klucz do zamka i przekręcił.

– To akurat nieprawda, Plewińskiego pan znał, a to jego dom. – Usłyszał za plecami.

Z wnętrza buchnął zapach starego drzewa, żywicy i ścian nasiąkniętych dymem. Było mrocznie.

– No, a teraz i pan ma tę niepowtarzalną okazję. – Rudowłosa pseudo-Grażyna popchnęła go delikatnie i weszli do ciemnego wnętrza.



Meble w obszernym i – jak na góralski dom – mocno przeszklonym salonie były dość nowoczesne. Ogólnie Wawrzyniec ocenił, że wnętrze było urządzone z wyjątkowym smakiem. Wszystkie elementy zostały odtworzone z wielką pieczołowitością, ale meble, obrazy i dekoracje wnętrza były już nowoczesne. W sumie ów kolorystyczny i w pewnym sensie również stylistyczny eklektyzm powodował, że choć dom, perłę tutejszego krajobrazu architektonicznego, wybudowano na początku zeszłego stulecia, to przebywając w nim, Wawrzyniec czuł się jak u siebie, nie zaś jak w cepeliowskim skansenie.

– Nie, żeby tu nie było elektryczności, ale uważam, że świece dodają wnętrzu nastroju, a nastrój chyba lubimy oboje, prawda? – Zapaliła kolejny świecznik i z kieliszkiem wina otwartego przez Wawrzyńca przed momentem usiadła naprzeciw niego, zakładając nogę na nogę w taki sposób, że na prawym udzie, dokładnie w miejscu, gdzie kończyła się jej spódnica, Wawrzyniec dostrzegł koronkowe obramowanie pończochy.

Czy tak specjalnie projektuje to producent?, zastanowił się Wawrzyniec. Ale producent czego, spódnic czy pończoch? A może to jest jakaś standaryzacja?

– Skoro już tu jesteśmy, to może przeszlibyśmy na ty? – Kobieta patrzyła mu prosto w oczy.

Czemu „skoro tu jesteśmy”, zapytał w myślach Wawrzyniec, bezskutecznie próbując zarazem znaleźć jakąkolwiek logiczną odpowiedź.

– Jasne, nie śmiałem sam proponować – uśmiechnął się, patrząc jej w oczy, co wcale nie przeszkadzało mu na obrzeżach pola widzenia przez cały czas dostrzegać koronki, o czym, miał wrażenie, ona doskonale zresztą wiedziała.

– Takie miejsce, że chyba warto spróbować czegoś mocniejszego, co sądzisz? – zapytała.

– Czegoś mocniejszego? – powtórzył jak echo, co znów, zdaje się, nie przydało mu uznania w jej oczach.

– Absynt? – Próbowwała niewątpliwie ukryć przed nim widoczne na jej twarzy zniechęcenie brakiem lotności jego umysłu.

Może jednak nie uznała, że nie jestem bystry, pocieszył się Wawrzyniec, tylko po prostu stwierdziła, że nie dorosłem do sytuacji, nie nadaję na tych samych falach, muszę się dostroić. Dała mi szansę.

– Nigdy nie piłem... – przyznał szczerze.

– Kiedyś musi przestać być nigdy. – Wstała i podeszła do barku.

Po chwili wróciła z butelką zielonego trunku, dwoma kieliszkami i dwiema kostkami cukru trzcinowego. Kostki polać alkoholem, wlewany następnie do kieliszków, po czym ułożyła nasączony absyntem cukier na łyżeczkach, zgrabnie balansujących nad szkłem, i podpaliła go. W końcu, gdy cukier zmienił się w skarmelizowany syrop, zlała go zimną wodą wprost do kieliszków. Wawrzyniec przypatrywał się temu obrzędowi jak zaczarowany.

Wypili. Potem procedura powtórzyła się dwukrotnie, a oni przez cały czas nie odezwali się do siebie ani słowem.

– Pytałeś, kim jestem? – odezwała się dopiero po wypiciu trzeciego kieliszka zielonkawej cieczy.

Wawrzyniec pokiwał głową. Owszem, pytał, ciekawiło go to niezmiernie jeszcze chwilę temu, ale teraz świat lekko się zmienił. Zastanawiał się, jak najlepiej byłoby tę zmianę streścić w kilku słowach, gdyby na przykład miał ją zreferować w książce, której wciąż nie mógł zacząć pisać, i przyszło mu do głowy, że chyba najtrafniej byłoby powiedzieć, że świat się zarumienił.

Tak, świat się zarumienił, kolory stały się bardziej jaskrawe, ale nie za bardzo, broń Boże, tylko w sam raz. Krawędzie odrobinę się zeszlifowały, ale nie do stanu nieostrości, nic podobnego. Słowem, zrobiło się na tyle lepiej, że to, co nurtowało go, przejmowało go niepokojem, budziło strach, napędzając również potrzebę wyjaśnienia, teraz zeszło na dalszy plan. Nie ma lęku, nie ma ciekawości, nie ma napędu, jest nirwana.

– Teraz obchodzi cię to mniej. – Kobieta uśmiechnęła się z wyrozumiałością.

Była dojrzała, a on zawsze dojrzałość przedkładał nad naiwną niewinność, w każdym razie w odniesieniu do kobiet.

– Nie, nadal obchodzi mnie bardzo – zaprzeczył Wawrzyniec.

Ona patrzyła na niego uważnie, a on odniósł wrażenie, że obraz przed jego oczami zaczyna się rozdzielać w spektrum barw. Czerwony, zielony i czarny... czarnego było najwięcej.

– Jestem tym, za kogo się podaję. – Wydało mu się, że usłyszał jeszcze jej głos, ale pewno to już mu się przesłyszało, bo właśnie w tym momencie odleciał zupełnie gdzieś indziej. Znow ten sen, którego nie było tak dawno: zimno, ciemno, jakiś stukot dochodzący z oddali... Nagle obudził go rozbłysk światła i znowu zobaczył ją nad sobą.

– Masz. – Uśmiechała się, a kolor źrenic jej oczu wciąż jeszcze był niejednorodny, ale już mniej niż przed chwilą. – To cię postawi na nogi.

Wawrzyniec usiadł i rozejrzał się wokoło. Był rozebrany do naga, leżał na szerokim łóżku, które jakby unosiło się w powietrzu, tak przynajmniej wyglądało to w odbiciu w lustrze. Skonstatował, że łóżko nie miało nóg, które normalnie podpierają tego typu meble. Na stoliku, na który wskazała pseudo-Grażyna podająca się za Grażynę, leżało niewielkie lustro, a na nim zobaczył cztery równiutko usypane kreski białej substancji. Wawrzyniec popatrzył na kobietę. Ona nie była naga, miała na sobie bieliznę i pończochy, których koronkowe zakończenie widział wcześniej. W sumie była jakby bardziej nawet niż naga, jej nagość okraszona była niespecjalnie zawoalowanym przekazem, który bardzo mu się podobał.

– No co? W Witkiewiczówce jesteśmy w końcu, tak czy nie? – zaśmiała się.

Wawrzyniec pochylił się nad stolikiem, wziął do ręki banknot zwinięty w rulon, wciągnął pierwszą z białych kresek. W nosie przypaliło tak, jakby to był chrzan albo może wasabi. Po chwili włosy na głowie zaczęły go na przemian szczytać i swędzieć, a potem... A potem ona zrobiła to samo. Co działo się później, wiedział doskonale, kiedy to się działo, a rano kompletnie tego nie pamiętał.

Obudził się wciśnięty kurczowo między prześcieradło a poduszkę. Przez chwilę leżał bez ruchu, próbując jeszcze zasnąć. Najlepiej byłoby takie stany jak ten przespać, kiedyś już nawet myślał o tym, że na takie okazje powinien być sprzedawany jakiś zestaw do domowego wprowadzania się w śpiączkę farmakologiczną, na przykład na kolejne dwa dni. Wtedy po wybudzeniu organizm nadal byłby totalnie wyczerpany, ale może już nie aż tak zatruty.

Kiedy usiadł, zakręciło mu się w głowie tak mocno, że uznał za niemożliwe, by udało mu się utrzymać w pionie sam tułów, o wstaniu na nogi nawet nie mogło być mowy. Udało mu się jednak usiąść, więc po chwili tępego wpatrywania się w chojaki za oknem w końcu wstał. Kobiety, z którą prawdopodobnie, a w każdym razie być może, spędził tę noc, nie było nigdzie w zasięgu wzroku.

Wawrzyniec zajrzał do wszystkich sypialni i łazienek na piętrze. Nie znalazłszy jej w żadnym pomieszczeniu, wrócił do pokoju z łóżem, gdzie z ogromnym trudem założył spodnie i golf. Zszedł na dół. Tutaj też, przynajmniej na pierwszy rzut oka, jej nie zauważył, więc stanął w ciszy na środku wielkiej kuchni i chwilę nasłuchiwał. Gdzieś z oddali usłyszał w końcu dźwięk płynącej wody.

Grażyna leżała w przepastnej wannie zanurzona po szyję, jej rude włosy rozlewały się po lustrze wody jak morskie algi. Kobieta patrzyła na niego chwilę, po czym sięgnęła po kieliszek stojący na rancie i wyciągnęła rękę w jego stronę.

– Proszę. Trochę tlenu z łagodnych wzgórz Ardenów, żebyś mi tu nie zszedł.

Wawrzyniec bez słowa wziął od niej kieliszek i wypił zawartość tak łapczywie, jakby to była źródłana woda, a nie mocno zgazowany Veuve Clicquot.

– Lepiej?

Wawrzyniec pokiwał głową.

– Chcesz się ogrzać? – spytała, patrząc wymownie na pianę skrywającą jej nagie ciało.

Wawrzyniec chciał do niej dołączyć jak cholera, ale czuł też, że z jakiegoś powodu nie powinien tu zostawać ani chwili dłużej. Może bał się, że jeśli zostanie, to wpadnie w taki wir wydarzeń, że za kilka dni żaden szampan z Ardenów nie będzie mu już mógł pomóc,

a może chodziło jeszcze o coś innego, czego teraz nie był jeszcze w stanie nazwać.

– Dlaczego chcesz mieć ten obraz? – zapytał zamiast tego.

Chyba przede wszystkim zależało mu na tym, żeby wrócić na tory normalności, z których wykoleiła go wypita poprzedniego wieczora lukrowana zielona ciecz.

– Bo jest piękny – uśmiechnęła się trochę chłodno, jakby poczuła się dotknięta.

– A skąd było to zdjęcie? – dopytał.

– Myślałam wtedy, że od ciebie. Teraz już wiem, że nie. Nie wiem, skąd było zdjęcie, przyszło z ukrytego numeru. A obraz jest piękny, bo ona była piękna, oni byli piękni. – Grażyna już się nie uśmiechała. Wyciągnęła rękę po kieliszek, który Wawrzyniec wciąż trzymał.

Podał go jej, ona nalała do niego prawie po wrąb szampana z butelki pływającej w wannie.

– Skąd wiesz, jacy byli? – zapytał, choć właściwie nic już go nie mogło zdziwić.

– Wiem, po prostu. Jak się jest stąd, to wie się takie rzeczy. – Grażyna przyglądała mu się dobrą chwilę, a w końcu dodała: – On na przykład był właściwie dokładnym przeciwieństwem ciebie.

– Co to znaczy? – Wawrzyniec poczuł się naprawdę zdziwiony.

– Nie miał romansów, nie pił, kochał jedną kobietę, praca była dla niego kluczowa, był doskonale zorganizowany i zawsze wiedział, o co mu chodzi – wyliczyła szybko i precyzyjnie, jakby miała to wszystko przygotowane z góry.

Chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

– Tyle że on się z tym męczył, chciał chyba, żeby było odwrotnie – zamyśliła się. Po czym znów spojrzała na niego, trochę jakby z żalem: – I to was łączy, ty też chciałbyś, żeby było odwrotnie. A teraz idź już, muszę się przygotować.

Wawrzyniec nie miał pojęcia, ani do czego Grażyna ma się przygotować, ani dokąd on ma iść, ale nie bardzo mógł już zapytać, bo kobieta schowała głowę pod wodę i na powierzchni wśród piany zostały jedynie rude morskie trawy i butelka szampana z dobraną do nich kolorystycznie pomarańczową etykietą.

## 34.

Wrócił do domu, czyli do Halamy, w nadziei, że tu się położy i przetrwa jakoś najgorsze, czyli narastający lęk generowany przez zmęczoną toksynami wątrobę. Jednak kiedy tylko pokonał kamienne schody i popchnął mosiężną klamkę wytartą dziesiątkami lat twórczego mozołu, to natknął się na stojącego w sieni Władka. Od razu wiedział, że raczej prędko nie będzie mu dane poleżeć.

– Co jest? – zapytał, patrząc w spuchnięte od płaczu oczy portiera, wysokiego jak sekwoja i chudego jak trzcina.

– Ania... – odpowiedział tamten.

– Co Ania? – zapytał Wawrzyniec, bojąc się usłyszeć odpowiedź, której się domyślał.

– Na motorze z tym swoim... Kurwa! – Władek przeskoczył w referowaniu wydarzeń bez podania kluczowej informacji, ale dla Wawrzyńca i tak wszystko było jasne.

– Jest kierowniczką? – Pytanie w zasadzie pro forma, bo i tak szedł już w stronę jej biura.

– A gdzie miałyby być? – Usłyszał za sobą cichy, ale basowy, więc dalekosiężny głos Władka.

– Jak to się stało? – spytał od razu od wejścia Wawrzyniec, po czym, widząc łzy w oczach pani Basi, dodał już cicho: – Kiedy?

– Wracali z Krakowa – odpowiedziała pani Basia, łkając. – Byli zamówić sukienkę ślubną. Na motorze, za Obidową wpadł w poślizg...

– Jak na motorze? Śnieg leży... – Wawrzyniec był kompletnie zaskoczony.

– W Krakowie już wiosna – odpowiedziała kierowniczka trochę nedorzecznie, jakby próbowała bronić martwych przed jego gniewem.

– Na miejscu? – Wawrzyniec nie chciał już dłużej komentować, jak idiotycznym pomysłem była jazda na motorze po górskich

drogach, kiedy zima wciąż jeszcze trzymała.

– Chyba tak. – Pokiwała głową pani Basia. – Ciężarówka.

W tym momencie w kieszeni Wawrzyńca zadzwonił telefon. Nie odbierał, bo chwila wydawała mu się nieodpowiednia.

– Odbierz – powiedziała cicho Basia, po czym dodała z, jak mu się wydało, wyczuwalną pretensją w głosie: – Nieodbieraniem telefonu życia jej nie przywrócisz.

Wawrzyniec sięgnął do kieszeni, wyciągnął telefon, na wyświetlaczu zobaczył, że dzwoni Monika. Wstał.

– Zaraz wrócę – zdążył jeszcze powiedzieć do Basi, po czym wyszedł z pokoju.

– Ania nie żyje – powiedział do słuchawki chwilę później, kiedy udało mu się połączyć z Moniką.

– Wiem. – Jej głos brzmiał smutno. – Jak się czujesz? Jak w Halamie?

– Dół, wszyscy ją tu lubili – odpowiedział, po czym poprawił się po chwili. – Lubiliśmy. A skąd ty o tym wiesz?

– Sąsiadka przyszła na plebanię oddać żelazko, zna matkę Ani, powiedziała mi – wyjaśniła.

Przez chwilę milczeli, bo co tu było właściwie mówić.

– Znalazłeś tę kobietę, która podszyła się pod Porębską? – zmieniła temat.

– Tak, ale nic ciekawego się nie dowiedziałem, twierdzi, że to on ją namówił, a tego już nie sprawdzimy – odpowiedział trochę zdawkowo.

Kłamał, ale tym razem nie sprawiło mu to trudności, bo tak naprawdę ze spotkania z Grażyną nie pamiętał zbyt wiele. Jaskrawozielony napój, potem jakieś zwydy, kilka fleszy z upojnej nocy, pomarańczowe algi w wannie, ale żadnych konkretów. Wiedział tyle, że albo Grażyna nie miała pojęcia o sprawie, albo nie chciała mu o niej nic powiedzieć. Skutek był ten sam, czyli on nadal niczego nowego się nie dowiedział. Więcej niż o obrazie i o możliwej intrydze z nim związanej powiedziała mu

o Markowskich, ale to była wiedza pozyskana w toku pracy operacyjnej, której charakteru nie chciał i nie powinien był ujawniać przed Moniką. Przynajmniej zdawało mu się, że gdyby to zrobił, prawdopodobnie by ją uraził. Ciekawa rzecz, że nie miał tego typu refleksji w stosunku do żadnej z kobiet, z którymi się tu spotkał, a może wręcz w stosunku do żadnej kobiety w ogóle nigdy. Nie zdarzyło mu się do tej pory nawet myśleć w takich kategoriach. Założył, że jej zależy bardziej. A może to jemu zależało bardziej i dlatego nie chciał jej pewnych rzeczy mówić, bo bał się, że może ją tym do siebie zniechęcić? Zagmatwane to wszystko.

Cisza pojawiła się jak pęknięcie w ziemi po tym, gdy zapytała, czy Grażyna mówiła mu coś jeszcze.

– Rozmawiałam z góralami – odezwała się po chwili milczenia Monika.

– Z jakimi góralami? – zdziwił się.

Samo słowo „górale” zdało mu się trochę niedorzeczne. Przecież tu wszędzie byli jacyś górale. Może zresztą to był główny problem tego miejsca, pomyślał.

– Z tymi, którzy mieli z Markowskimi spór o ziemię – opowiedziała zdziwiona, że nie wie, jakich górali miała na myśli.

– A, jasne – spróbował zabrzmieć tak, jakby to było rzeczywiście absolutnie oczywiste.

To był kolejny element, który odróżniał tę relację z nią od relacji z innymi kobietami. Wawrzyniec starał się cały czas być wobec Moniki koncyliacyjny, momentami wręcz unizony. Czy to dlatego, że miała tak silną osobowość, czy dlatego, że mu na niej zależało, czy może wreszcie zależało mu, bo miała właśnie taką, a nie inną osobowość? Nie znał odpowiedzi na te pytania, ale czuł, że nie musi jej znać. Ważniejsze było to, że ona wytrącała go z jego utartego schematu postępowania, a jemu z jakiegoś powodu bardzo się to podobało.

– Powiedzieli, że trzeba porządnie przycisnąć tego młodego Klamerusa – oświadczyła Monika z takim przekonaniem, jakby co najmniej przekazywała mu jakiś niezachwiany dogmat wiary.

– Powiedzieli – powtórzył jak echo, próbując jednocześnie zyskać na czasie i zebrać myśli. – A czemu właściwie?



Odpowiedziała szybko, co oznaczało, że jednak sprawdzała jedynie jego czujność.

– Bo on tam bardzo często bywał u nich, szczególnie w tych okresach, kiedy nie była z Piotrem, ale też później, jak Piotr gdzieś wyjeżdżał na dłużej, do Warszawy na przykład.

– Bywał, bo mieli romans, wiem to od niego. – Wawrzyniec stracił trochę entuzjazm, bo z tego, co mówiła Monika, nie wynikało jednak nic nowego.

– Tyle że prawie zawsze, kiedy od niej wracał, miał ze sobą obraz – spuentowała Monika i zamilkła, ewidentnie zadowolona z efektu, jaki wywołały jej słowa.

– Płaciła mu za seks obrazami. – Wawrzyniec zaśmiał się z własnego pomysłu.

– Nie wiem, może je sprzedawał gdzieś dalej – zasugerowała, po czym dodała: – Spotkajmy się u niego za godzinę. Może to, czego nie powiedział tobie, powie mnie.

Czterdzieści minut później stali pod drzwiami domu na Krzeptówkach, w którym kilka dni wcześniej Wawrzyniec spotkał się z Klamerusem. Teraz jednak w domu nikogo nie było, w każdym razie nikt im nie otwierał.

Po kilku minutach Wawrzyniec zdecydował, że podejździe do sąsiadów, którzy i tak przyglądali im się od jakiegoś czasu zza szyb pokrytych wzorzystymi kwiatami mrozu. Ciemny drewniany budynek chylił się na bok i sprawiał wrażenie, jakby lada moment miała go bezpowrotnie pochłonąć ziemia.

Tam też przez dobrą chwilę nikt nie otwierał i dopiero kiedy Wawrzyniec już miał zrezygnować i skierować się z powrotem w stronę domu Klamerusa, usłyszał za plecami skrzypnięcie uchylanych drewnianych drzwi.

– Jego nie ma, to po co tam stoją? – Usłyszał, zanim jeszcze zdążył się odwrócić.

– A kiedy wróci? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Bóg jeden wi. – Siwa góralka w chuście i bez zębów patrzyła na niego podejrzliwie. – Parę років, jak go ni ma.

– Parę років to chyba jednak nie. Byłem u niego dopiero co, rozmawialiśmy. Może pięć dni temu, nie pamiętam dokładnie.

– To ja juz nie wim, moze byliście, był, ale jego ni mo parę років, ni ma co stać. – Góralka się uśmiechnęła, ale Wawrzyniec poczuł, że nie był to uśmiech sympatii, a raczej uśmiech przepełniony poczuciem wyższości, podszytym do tego przekonaniem, że ona i tak wie lepiej.

Wawrzyniec wrócił do Moniki. Przekazał jej, co mu powiedziała góralka, a jako że cały czas byli w zasięgu wzroku gaździny, to zasugerował, żeby obeszli dom od drugiej strony.

Do wnętrza weszli przez drzwi prowadzące od podwórka do komórki, która była w środku połączona z kuchnią. Drzwi ktoś

zostawił uchylone, a może uchylił je wiatr, w każdym razie nawiany śnieg nie pozwolił im się już później domknąć.

Wnętrze rzeczywiście wyglądało tak, jakby nikt nie odwiedzał domu od bardzo dawna. Półki, książki, obrazy na sztalugach pokrywał kurz, gdzieś tam nagromadziły się już też całkiem pokaźne siatki utkane z pajęczych nici. I tylko w kuchni, gdzie siedzieli poprzednim razem, naczynia były jakby świeższe i do tego ustawione dokładnie tak, jak je wtedy zostawili.

– Nic nie rozumiem – odezwał się Wawrzyniec po kilku minutach zwiedzania dziwnego domostwa. – Czemu wtedy nic nie zauważyłem?

– Była noc, pewno nie byłeś do końca trzeźwy. – Monika starała się go usprawiedliwić.

To też różniło ją od innych kobiet, od wszystkich poprzednich, albo w każdym razie od znakomitej większości. One nie interesowały się jego rozterkami, nie dostrzegały ich, przynajmniej dopóki ich nie zwerbalizował, a że werbalizował swoje rozterki raczej rzadko, to właściwie nie interesowały się nigdy. Ona widziała je bez słów, jego emocje czuła przez skórę. Teraz zapewne poczuła lęk.

– Gadałem z facetem pół godziny, nie mając pojęcia, że jesteśmy w jakimś totalnie opuszczonym domu. Co to w ogóle jest? – Wawrzyniec nie czuł się przekonany.

– Nie przyszedłeś tu wtedy zwiedzać, przyszedłeś gadać. – Patrzyła mu prosto w oczy. – Powiedział ci, co chciałeś wiedzieć, i poszedłeś. Tyle. Mnie osobiście ciekawi co innego...

– Co on tu w takim razie wtedy robił, skoro nie ma go od lat? – przerwał jej Wawrzyniec.

Monika pokiwała głową.

– Jego nie ma, ale może jest obraz. Chyba że... – zatrzymała się na moment.

Wawrzyniec popatrzył na nią pytająco.

– Chyba że wtedy akurat przyszedł właśnie po niego – dokończyła.

– Niezły zbieg okoliczności – odparł.

– Niekoniecznie. – Pokręciła głową. – Wiedział z miasta, że kręcisz się wokół sprawy. Mógł przypuszczać, że w końcu dotrzesz i tutaj, więc zjawił się po to, co najcenniejsze.

– Tylko skąd się zjawił, skoro nie ma go od paru lat? – drążył Wawrzyniec, choć jemu także przeszła wcześniej przez głowę podobna myśl.

– Zjawił się skądkolwiek, może mieszka w Krakowie lub w Warszawie, może nawet jak Trebuń wyjechał gdzieś za granicę, ale kiedy życzliwi mu donieśli, to przyjechał i tyle.

Zabrali się do przeszukiwania domu. Teza o tym, że Klamerus przyjechał po obraz, nie znajdowała potwierdzenia w rzeczywistości, ponieważ nigdzie poza kuchnią nie widać było śladów niczyjej bytności. Wszędzie kurz i pajęczyny, gdzieś zacieki z nieszczelnego dachu i z okien, ogólnie dom wyglądał raczej jak melina, i to bardzo dawno opuszczona. Kiedy mieli wejść do schowka na tyłach sypialni, nagle za oknami pojawiła się łuna niebieskiego, błyskającego światła.

– Policja? – Wystraszona Monika spojrzała pytająco na Wawrzyńca.

– Chyba tak, spadamy stąd, jeszcze tego by brakowało. – Wawrzyniec zgasił latarkę w telefonie, którą oświetlał sobie zakamarki zakurzonego wnętrza.

– Ale kto ich wezwał? – zapytała Monika, kiedy dotarli już do spiżarni i przeszli do drzwi na podwórko.

– Może góralka z za szyby. – Wzruszył ramionami Wawrzyniec.

Chwilę później stali na przystanku PKS, trzysta metrów powyżej miejsca, w którym stał dom Klamerusa, oświetlony teraz światłem z niebieskiego koguta.

– Coś wiemy? – zapytał Monikę Wawrzyniec.

Pytanie było z gatunku retorycznych, pomyślał, choć może nie do końca, zastanowił się po chwili.

– Klamerus też pracował kiedyś dla TOPR-u, jako wolontariusz – odpowiedziała. Widząc jego zdziwienie, uśmiechnęła się i skonstatowała z zadowoleniem: – Nie wiedziałeś o tym.

– O niczym nie wiedziałem. Przede wszystkim, kiedy dwa miesiące temu wyjeżdżałem z Warszawy, nie miałem pojęcia, że

utknę tu w gmatwaniu spraw, których kompletnie nie rozumiem – zaperzył się Wawrzyniec.

– Wracasz do Halamy czy jedziesz ze mną do Dzianisza? – Na Monice jego nagłe oburzenie nie zrobiło większego wrażenia.

Zachowuje się trochę jak żona z dwudziestoletnim stażem, która nad takimi uwagami przechodzi do porządku dziennego, w ogóle ich już pewnie nawet nie zauważając, pomyślał i uśmiechnął się.

– Może do Halamy, jeśli dołączysz. – Teraz był już spokojny.

– Bo nie ma już Ani... – Dla odmiany u niej dało się teraz wyczuć emocje w głosie.

– Nie ma Ani, co jest skądinąd bardzo smutne, ale nawet jakby była, to bez znaczenia, jeśli jesteś ty. – Nie dał się sprowokować.

– Jak chcesz pobyć ze mną, to w Dzianiszu. Muszę wracać, plebania jest pusta – odpowiedziała rzeczowo, ale z odrobiną kokieterii w głosie.

– A proboszcz gdzie? – zdziwił się.

– Wyjechał na misję – przypomniała mu, po czym pomachała w kierunku autobusu najeżdżającego w tumanach śnieżnego pyłu.

Wsiedli do środka. Autobus był prawie pusty, zajęte było tylko jedno miejsce. W ostatnim rzędzie foteli drzemała ta sama co zawsze dziwna góralka.

## 36.

– Podobno jestem jego doskonałą odwrotnością – zaczął Wawrzyniec, kiedy siedzieli już przy stole na plebanii i pili herbatę, próbując się rozgrzać.

W autobusie było chyba zimniej niż na zewnątrz. Wawrzyniec próbował nawet interweniować w tej sprawie u kierowcy, ale ten był wyjątkowo mało rozmowny. Właściwie to nie był rozmowny wcale, bo na pytania i ponaglenia nie odpowiedział ani słowem. W końcu Wawrzyniec odpuścił, usiadł obok Moniki i wtuleni w siebie próbowali dotrwać do przystanku Dzianisz Borki. Normalnie wysiedliby dopiero na następnym, bo stamtąd było znacznie bliżej do kościoła, ale z dwojga złego woleli już iść po skrzypiącym śniegu, niż przymarzać do fotela w nieogrzanym autobusie.

– Podobno? Kto tak twierdzi? – zapytała Monika, uśmiechając się od razu, bo przecież doskonale znała odpowiedź.

– No więc? – Wawrzyniec nie odpowiedział, bo miał świadomość, że nie musi.

– Nie wiem, czy doskonałą. – Monika nie przestawała się uśmiechać. – Ale coś jest na rzeczy.

– Coś na rzeczy? – Wawrzyniec chciał usłyszeć więcej.

Monika przez chwilę się zastanawiała.

– Myślę, że on mógłby być taki jak ty – powiedziała w końcu, patrząc w ciemność za oknem.

– Nie rozumiem.

Przyszło mu w tym momencie do głowy, że chyba jednak nie do końca przeszła do porządku dziennego nad faktem, że to, o czym teraz mówili, wiedział od Grażyny. Tym bardziej że na pewno miała świadomość, iż takiej informacji raczej nie mógł uzyskać w toku zdawkowej rozmowy, a rozmowy niezdawkowe toczyło się, gdy relacja ulegała zacieśnieniu.

– Spałeś z nią?

– Co masz na myśli? – odpowiedział pytaniem tak idiotycznym, że aż oblał się rumieńcem. – W sensie, jak możesz...?

– No właśnie – uśmiechnęła się, ale nie było już w tym ciepła. – On chciał być taki jak ty, a ty wolałbyś być taki jak on.

Wawrzyniec nie odpowiedział, bo nie do końca zrozumiał, co miała na myśli, podobnie jak poprzednio nie miał pojęcia, co miała na myśli Grażyna. Czekał.

– Żył spokojnie, miał przystań. Nie siedziałby tu pewnie od sześciu tygodni, nie mając nawet pojęcia po co. No, ale z drugiej strony to go męczyło, dużo mówił o tym, że go ciągnie do wolności, którą rozumiał, zdaje się, jako bezład, czyli to, co cały czas robisz ty. – Monika była zła, dlatego pewno tak się rozgadała. – A ty jesteś znów tym bezładem umęczony, chciałbyś inaczej, może chciałbyś gdzieś zacumować, ale nie wiesz gdzie, nie wiesz nawet, jak się rzuca cumę. Albo wiesz, ale jesteś z gatunku tych, co chcieliby, ale się boją, więc tkwisz w tym swoim budyniu.

– W budyniu? – przerwał jej w końcu Wawrzyniec.

Wiedział, że ją prowokuje, ale akurat na tym mu właśnie teraz zależało. Czuł, że miała niestety rację, ale często tak reagował, gdy uświadamiał sobie, że krytyczne uwagi na temat jego samego trafiają w sedno. A im bardziej wiedział, że ktoś ma rację, tym silniej miał ochotę zaprzeczyć.

– O czym ty mówisz? – dodał po chwili.

– Mówię, że spełniasz jego marzenie, ale już dawno powinieneś się zorientować, że jest ono jałowe i donikąd was nie zaprowadzi – skwitowała. Wyglądała, jakby była już mocno zniechęcona tą rozmową.

– Ale jak to spełniam jego marzenie, przecież ja nawet go nie znałem! – Wawrzyniec jeszcze bardziej się zdenerwował, bo już naprawdę tracił powoli grunt pod nogami.

– Wszyscy się jakoś tam znamy, jesteśmy w gruncie rzeczy jednym, jedną energią.

No pięknie, Monika odpaliła retorykę newage'ową. I tak miał wrażenie, że zrobiła to, żeby uciec przed odpowiedzią.

Przez chwilę milczeli. On zapragnął być gdzieś indziej, ale nie bardzo miał dokąd pójść. W Halamie zwolnił już pokój. Mógł tylko

iść spać do domu Markowskich, ale czy to miałoby jakikolwiek sens?

– Myślę, że oni mogli zabrać ten obraz ze sobą do Morskiego Oka  
– zmieniła nagle temat Monika.

– Nie sądzę, przeszukałem wtedy ich pokój – odpowiedział prawie szeptem.

Dotarło do niego właśnie, że jest kompletnie bez sił. Było to nawet jakoś uzasadnione. Poprzednią noc, a może zresztą to było już dwie noce temu, spędził z Grażyną w bardzo dziwnych i wyczerpujących okolicznościach. Swoją drogą, totalnie stracił poczucie czasu. Nie wiedział, od kiedy tu był, co robił poprzedniego dnia, kiedy w ogóle był poprzedni dzień.

– Kiedy zeszła ta lawina? – zapytał ją nagle.

– Lawina? – zdziwiła się.

– No lawina, ta sterta śniegu, która wepchnęła ich do stawu, pod lód, kiedy to było? – doprecyzował.

– Miesiąc, może pięć tygodni temu – odpowiedziała po krótkim namyśle.

– Może pójde się przespać do nich – zaproponował i od razu sam się zdziwił własną propozycją.

Jej spojrzenie utwierdziło go w słuszności tego zdziwienia.

– Skoro spełniam jego marzenie – dodał z lekkim przekąsem, próbując w ten sposób na nią przerzucić odpowiedzialność za nedorzecznosc własnego pomysłu.

– Idź – powiedziała szybko, jeszcze bardziej go zaskakując.

Po chwili wstała i zniknęła gdzieś na ganku. Wróciła z kluczem w ręce.

– Idź, może to cię uwolni – dodała wyraźnie nieco obrażona.

Wawrzyniec nie wiedział jednak, czy chodzi jej o to, że on chce tam iść, czy o to, że nie zrozumiał jej przypowieści o nim jako o spełniającym marzenia Piotra Markowskiego, czy może wciąż o to, że wszedł w zbyt osobistą relację z Grażyną.

W domu Markowskich było zimno. Wawrzyniec rozpałił w kominku, owinał się kocem, usiadł na fotelu i czekał, aż wewnątrz choć trochę odtaje. Poświata z kominka rzucała na ściany intensywnie



pomarańczowe poblaski. Było miło, cicho i spokojnie. Zdał sobie sprawę, że tak spokojny i tak zrelaksowany nie czuł się od dnia, kiedy to wszystko się zaczęło, a może nawet jeszcze wcześniej. W Warszawie, zanim wyruszył na wyprawę do Morskiego Oka, też nie było za dobrze, ostatnie miesiące przenikała nerwowość wynikająca z jakichś niezrealizowanych zobowiązań zawodowych i niespełnionych oczekiwań innych ludzi, głównie kobiet. W schronisku, kiedy już zaczął wychodzić na wspinaczkę i kiedy potem spędzał wieczory, analizując z Witkiem szczegóły udanych bądź nieudanych wypraw, było lepiej. Przynajmniej skupiał się na tym, co wokół, co tu i teraz, ale wciąż czegoś mu brakowało... a może kogoś. Teraz był wprawdzie sam, ale w dziwnym dla niego poczuciu bezpieczeństwa wynikającego z czyjejs nieodległej obecności. Było trochę tak, jakby ktoś dla niego ważny, ktoś, z kim czuł łączność i bliskość, wyjechał – ale jednocześnie wciąż byli w kontakcie, a on tkwił w oczekiwaniu na powrót tej osoby. Kto wyjechał i na czyj powrót oczekiwał, Wawrzyniec nie miał wprawdzie pojęcia, ale nie przeszkadzało mu to w tym momencie ze spokojem popatrywać na ogień pożerający polana i czas, którego w końcu wreszcie nie było mu już szkoda.

Kiedy szron na wewnętrznych powierzchniach szyb zmienił się w krople wody, Wawrzyniec wstał i przeszedł do kuchni, żeby zrobić sobie herbatę. Nie chciało mu się jeść, po raz pierwszy od dość dawna nie miał też ochoty na alkohol. Herbatę pił rzadko, kojarzyła mu się z momentami spokoju i harmonii, a te, przynajmniej ostatnio, nieczęsto były jego udziałem. Teraz czuł się dobrze i bezpiecznie, więc herbata idealnie wpasowywała się w klimat całej sytuacji. W kuchni wszystko wyglądało tak jak w czasie poprzednich wizyt, ostatnio z Moniką, a wcześniej też z nią i z proboszczem. Przez moment przyszło mu na myśl, żeby posprzątać talerzyki, które tamci zostawili, wraz z niedojedzonymi kromkami chleba, skorupkami od jajek, skórkami od cytryny, ale po chwili uznał, że lepiej jednak tego nie robić. W końcu nie był u siebie, tak naprawdę nie był nawet w gościach, bo przecież nikt go tu nie zapraszał, nikt się go tu nie spodziewał. Był duchem chwilowo zapelniającym te opuszczone wnętrza swoją aurą. Duchy

nie sprzątaję czyichś kuchni i talerzyków po cudzym śniadaniu, zrobienie sobie herbaty i tak było już wystarczającą samowolą. Wawrzyniec uśmiechnął się do swoich myśli, woda w przezroczystym czajniku elektrycznym bulgotała jak w gejzerze, a na ściankach czajnika stopniowo pojawiały się kolejne odcienie niebieskiego, fioletu, a w końcu czerwieni.

Nagle drzwi do domu otworzyły się na oścież i do wnętrza weszła Monika, pchana przez lodowaty wiatr i kłęby śnieżnego pyłu. Tyle z harmonii w samotności, pomyślał Wawrzyniec, ale zaraz zreflektował się, bo pojawienie się Moniki wcale nie zaburzyło ciepłego spokoju, w którym przebywał przed chwilą. Wręcz przeciwnie, dotarła do niego świadomość, że bliskość, którą czuł mimo czyjejs nieobecności, dotyczyła właśnie jej. To ona, mimo że jej tu nie było, dawała mu spokój tym, że była w ogóle.

– Chcesz herbaty? – spytał z uśmiechem.

– Musisz się ukryć! – odkrzyknęła w odpowiedzi.

– Po co? Przed kim? – zapytał wciąż jeszcze spokojny.

– Idą tu jacyś ludzie! – Monika była wyraźnie zaaferowana. – Zaparkowali niedaleko plebanii, kręcili się jakiś czas, w końcu ruszyli w tę stronę.

– Ale jacy ludzie, po co mieliby tu iść? – Tak upragniony spokój powoli go opuszczał.

– Nie wiem, ale wyglądali mało przyjaźnie. – Popatrzyła na niego z przestrachem. – Chodź, schowasz się. Ja zostanę, w końcu sprzątam tu, mam klucze od Markowskich, więc moja obecność ich nie zdziwi.

Wawrzyniec pokiwał głową, odłożył koc, którym wciąż był opatulony, i ruszył za nią w stronę schodów. Okazało się, że pod stojącym tam koszem z polanami do kominka ukryta była kłapa w podłodze, a pod nią otwierała się czarna czeluść piwnicy.

– Wyjdiesz, jak sobie pójdą. – Monika wskazała na drabinkę prowadzącą w głąb mrocznej jamy.

– Ale czemu właściwie mam się przed nimi chować? – zreflektował się nagle Wawrzyniec.

– Bo już raz wyciągnęli cię z pociągu i kazali szukać obrazu! – zdenerwowała się Monika. – Tym razem może być gorzej.

- A skąd wiesz, że to ci sami? – zapytał jeszcze, schodząc w dół.
- Przeczuwam – odpowiedziała krótko, zamykając za nim klapę.

Wawrzyniec nie miał problemu z ciemnością, ale sytuacja zmieniała się, kiedy ciemność występowała w połączeniu z ciasnotą, zamknięciem i niemożnością wyjścia. Wtedy pojawiała się klaustrofobia. Do tej pory niewiele razy w życiu miał okazję skonfrontować się z taką sytuacją, więc na co dzień mógł sobie pozwolić na komfort niepamiętania o swojej przypadłości. Niestety, jeśli próbuje się zapomnieć o jakiejś swojej ułomności, to zawsze trzeba się liczyć z tym, że może ona objawić się w najbardziej nieoczekiwanym momencie, pomyślał. Najpierw zrobiło mu się duszno, serce przyspieszyło i podeszło do gardła, w brzuchu pojawił się skurcz. Chciał wyjść, ale na górze słychać było kroki tak liczne, że jeśli rzeczywiście to byli ludzie życzący mu źle, to nie miałby z nimi najmniejszych szans. Wyjść i oddać się w ręce tych, którzy mogą zrobić mu krzywdę w realnym świecie, czy wytrwać grozę łapiącej za gardło psychozy, która pochodziła wyłącznie z własnej głowy? Co jest straszniejsze: zagrożenie prawdziwe czy urojone, wytworzone przez biochemię własnego mózgu?

W pewnym momencie poczuł jednak, że nie ma już wyboru, bo lęk przed czarną jamą, przed anihilacją i nicością pachnącą zbutwiałym drzewem i pleśnią stał się tak dojmujący, że właściwie go sparaliżował. Wawrzyniec nie mógł już ani się ruszyć, ani nawet wydać z siebie dźwięku. Dusił się, jakby przyciskał go jakiś wielki ciężar. Było zimno i coraz zimniej, czuł, że usypia... czy może bardziej nawet, że zsuwa się coraz głębiej w otchłań ciemności. Wtedy zobaczył ich znowu, trawersujących ogromną białą przestrzeń zbocza Miedzianego, a potem raz jeszcze znów usłyszał dziwny dźwięk, ni to strzał, ni to smagnięcie biczem – suchy odgłos, po którym przez chwilę było zupełnie cicho, a potem zabrzmiał głuchy łoskot walącej się na nich śnieżnej otchłani. Teraz zobaczył, może nawet wyraźniej niż wtedy, że próbowali biec, usiłowali się ratować. Czyli z całą pewnością nie było to samobójstwo ani nawet

obojętność w obliczu nadchodzącej śmierci, pomyślał. Chcieli żyć, ale nie było już jak. Biała masa pochłoneła ich jak morska fala, która przykrywa ziarna piasku. Przez chwilę widział jeszcze z bliska jej twarz, taką, jak widział ją parokrotnie w schronisku, tyle że tym razem wydała mu się bardziej znajoma. Agnieszka Markowska była podobna do kogoś, kogo znał bardzo dobrze, ale to już mogło być złudzenie... W tym momencie zemdłał.

– Wawrzyniec! Halo! Słyszysz mnie?! Co się stało?

Głos Moniki najpierw dotarł do niego przytłumiony, jakby zza wielkiej sterty pierzyn, po chwili stał się wyraźniejszy i bliższy. W końcu nagle poczuł smagnięcie dłonią po twarzy i otworzył oczy.

– Jezu, co się stało? – Monika patrzyła na niego z troską i przerażeniem.

Jej twarz widział słabo, raczej tylko czuł instynktownie, jaki ma wyraz. Zza jej pleców biła łuna światła, które wpadło do wnętrza czarnej jamy, kiedy otworzyła klapę.

– Nie wiem, trochę mnie to chyba przygniotło – odpowiedział niespokojnie. – W każdym razie wiem już na pewno, że oni nie popełnili samobójstwa.

– Wiesz już na pewno? Skąd? Z tej piwnicy? – mówiąc to, wskazała na ciemność za jego plecami.

Wawrzyniec tymczasem próbował się teraz jak najszybciej wygrzebać właśnie z tej ciemności. Wyszli po drabince, potem skierowali się do kuchni, w której niezmiennie wszystko wyglądało tak, jakby Markowscy godzinę temu wstali od śniadania. Wawrzyniec usiadł przy stole. Dopiero teraz zaczął tak naprawdę dochodzić do siebie.

– Tak, z tej piwnicy – odpowiedział na pytanie zadane chwilę wcześniej. – Przypomniałem sobie to wszystko jeszcze raz. Oni próbowali uciekać. Ktoś, kto chce się zabić, nie ucieka. Muszę tam wrócić. Może znajdę coś jeszcze?

– Tam, czyli gdzie? – zaniepokoiła się Monika.

– Tam... W ich pokoju, gdzieś w schronisku... tam w lawinisku, tam, gdzie to się wszystko stało. – Wawrzyniec, choć już przytomny, wciąż nie do końca czuł się normalnie.

Doświadczenie zapadania się w niebyt w ciemności piwnicznej ziemianki odcisnęło na nim ślad i przynajmniej na razie odcisk ten nie chciał się odkształcić z powrotem.

– To obsesja. – Monika wyglądała na zmęczoną.

– Teraz się zorientowałaś? – Wawrzyniec uśmiechnął się delikatnie i dotknął jej dłoni.

– Musisz się już z tego wyzwolić, inaczej zostaniesz tu na zawsze.

– Pokręciła głową, ale nie zabrała swojej dłoni.

– A to byłoby coś złego? – zapytał, patrząc jej w oczy.

– Tutaj, w tej ciemnej piwnicy, w tej psychozie... to mam na myśli – wyjaśniła.

– Żeby się wyzwolić, muszę to rozwiązać, muszę zrozumieć, co się z nimi stało, co ma z tym wspólnego ten cholerny obraz, kim w ogóle oni byli... – wyrzucił z siebie jednym tchem.

– Kim byli, już ci mówiłam. Mogę powiedzieć więcej, jeśli chcesz.

– W końcu i ona się uśmiechnęła.

– Może wszystkiego nie wiesz – zasugerował.

– A co cię interesuje? – uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Wszystko, teraz interesuje mnie już wszystko. Kim byli, jaki był charakter ich relacji, kto był kim w tym związku, dlaczego ona zdradzała, a on nie zdradzał... i co ma do tego wszystkiego ten obraz... i kto, i po co ich do cholery zabił?! – wymienił gorączkowo kilka z nurtujących go pytań.

Tak naprawdę czuł jednak, że nawet gdyby dostał od niej wyczerpujące odpowiedzi, to i tak byłoby mu mało.

– Kto ich zabił, nie wiem, i co ma do tego obraz, nie wiem. Resztę mogę ci opowiadać do wieczora. – Chyba była jednak pod wrażeniem jego determinacji. – Zdradzała go, bo nie czuła jego zaangażowania, zawsze miała wrażenie, że go przesadnie nie interesuje, że nie jest ciekawy ani jej, ani tej relacji. On jej nie zdradzał, bo ją kochał, ale rzeczywiście w dość specyficzny sposób. Miała rację, nie był przesadnie ciekawy, może dlatego, że za bardzo absorbowały go inne rzeczy. To było zresztą zawsze jego wytłumaczenie: nie interesował się, bo był zbyt zajęty utrzymywaniem ich przy życiu, pracą, biznesami i tak dalej. Myślę, że tak naprawdę nie interesował się, bo bał się dowiedzieć tego

wszystkiego, czego się domyślał, bał się, że przestanie ją kochać albo że ona przestanie kochać jego. Nikogo ani niczego innego tak naprawdę nie miał. Biznesy, praca, zarabianie: to był pozór, ale ona tego nie wiedziała. Taka klasyczna komedia omyłek, wielu ludzi w takiej przeżywa całe życie. – Monika popatrzyła na niego, żeby się upewnić, czy w ogóle jej jeszcze słuchał. Słuchał, więc kontynuowała: – Kto był kim w tej relacji? Teoretycznie role były jasno rozdzielone: on utrzymywał ich finansowo, ona tworzyła aurę tego związku, dbała o emocje, okraszała sztuką, spinała wszystko. Czyli niby klasyczny patriarchat, ale jednak pozorny, bo tak naprawdę to ona dowodziła całym związkiem, kierowała jego ruchami, podpowiadała, co ma robić. A jednocześnie on swoją delikatnością i przyzwoleniem spajał ich relację na poziomie uczuć i w ogóle wspólnego życia. Dawał jej wolność, której zresztą ona nie chciała chyba tak do końca. Może właśnie w tej ostatniej fazie coś się zmieniło, ona postanowiła przestać korzystać z wolności i to, co powodowało niesnaski między nimi, zniknęło. – Monika zatrzymała się w tym miejscu, jakby została przygnieciona jakąś nagłą refleksją.

– Zmiana mogła spowodować, że ktoś, kto odnosił korzyści z wcześniejszego układu, stracił grunt pod nogami. – Wawrzyniec wypowiedział to, o czym ona właśnie pomyślała.

Monika pokiwała głową.

– Miała jakąś relację, o której nikt nie wiedział? – bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Jeśli nawet, to nikt nie wiedział, więc... – odpowiedziała logicznie Monika.

– Jutro – powiedział Wawrzyniec i zamyślił się.

– Jutro co? – zapytała, stawiając przed nim kubek z herbatą.

– Jutro musi się wyjaśnić: albo znajdę obraz, albo dowiem się, kto to zrobił... a może jedno i drugie. To nie może dłużej trwać – zdecydował.

– Też mi się tak wydaje – przytaknęła mu, po czym dodała już z mniejszym entuzjazmem: – Inaczej utkniesz tu na zawsze, a tego nie chcesz przecież.

– Bardziej niż o to, gdzie utknę, chodzi o to, w czym utknę – uspokoił ją. – Miejsce jest dobre jak każde inne, ale nie mogę już

dłużej gonić własnego ogona.

– A teraz co? – Monika, nie wiedzieć czemu, popatrzyła nagle na jego czerwone od mrozu dłonie. – Śpisz tutaj czy wracamy na plebanie?

– A istnieje opcja, że oboje śpimy tutaj? Czy tylko albo ja tutaj, albo my tam? – zapytał, patrząc na jej dłonie.

Po raz pierwszy dostrzegł, że na palcu serdecznym prawej dłoni miała delikatną obwódkę, jakby odcisniętą przez pierścionek, którego chyba, choć nie był tego teraz pewien, nigdy na tym palcu wcześniej nie widział.

– Tutaj możemy wrócić później, kiedy już to wszystko zrobisz zgodnie ze swoim planem – uśmiechnęła się.

– Dobrze, chodźmy zatem. – Wawrzyniec dopił herbatę i wstał. – Nie zostawiasz mi wyboru.

Spali dobrze, długo i spokojnie. Choć w izbie przy kuchni było chłodno, to ogromna buła pierzyny grzała na tyle mocno, że noc spędzili zupełnie nadzy i wtuleni w siebie. Nie kochali się jednak, może byli zbyt zmęczeni, a może samo pragnienie siebie nawzajem wydawało im się na tyle satysfakcjonujące, że nie chcieli go umniejszyć spełnieniem.

– Pojadę z tobą – powiedziała rano, nakładając mu jajecznicę na maśle, taką jak lubił najbardziej.

– Dokąd? – zapytał zaskoczony.

– Tam, gdzie będziesz jechał. – Spojrzała na niego. – Nie chcę cię stracić. – Chyba uznała, że zabrzmiało to nazbyt dramatycznie, więc zaraz dodała z uśmiechem: – Z oczu.

– Chcę wrócić do Morskiego Oka – przypomniał sobie, ale nie bez trudu.

– Może później, na razie sprawdziłabym ten TOPR – powiedziała, stawiając przed nim czerwony kubek z kawą. – Witek miał sprawdzić zamówienie obrazu przez TOPR.

– Tak, z Masterakiem – przypomniał sobie. – Zaraz do niego zadzwonię.

– I z Purwińskim – dodała.



– I z Purwińskim. – Powtórzył jak echo. – A skąd ty o tym wiesz?  
– Mówiłeś mi wczoraj przed snem. – Patrzyła na niego trochę zdzwiona. – Nic nie pamiętasz. Trochę za młody jesteś na demencję.

Z Witkiem umówili się tym razem poza siedzibą TOPR-u, w knajpie po drugiej stronie Piłsudskiego, w tej samej, w której Wawrzyniec spotkał kiedyś Monikę. Od tego spotkania wszystko się zaczęło. Może zresztą zaczęło się wcześniej, ale w każdym razie od tego momentu sprawy nabrały biegu. O tej porze było tu właściwie pusto. Tylko przy dwóch stolikach siedzieli samotnie jacyś faceci, ewidentnie nietutejsi, których najwyraźniej pobyt w Zakopanem kosztował już sporo sił. Może podobnie jak Wawrzyniec ugrzęźli tutaj i nie byli w stanie wyjechać, i teraz kolejny dzień usiłowali ułożyć sobie tak, żeby nabrać sił i wreszcie dotrzeć na stację? Skończy się jak zawsze, myślał Wawrzyniec, popatrując to na jednego, to na drugiego. Wypiją po kilka piw, wtedy przyjdzie przypływ sił, ale i tak źle je ukierunkują. Zamiast wyjechać, pójda dalej i mocniej w miasto, w efekcie zapadną się w śniegu, wietrze, mrozie i w niebycie. Jutro rano znów tu będą, w tym barze, tyle że jeszcze trochę słabsi i bardziej bezwolni. Może gdyby połączyli siły... ale co jeśli jeden jest z Białegostoku, a drugi ze Szczecina? Wtedy nie wyjadą już nigdy, bo nie uda im się uzgodnić kierunku. A z kim ja mam uzgodnić kierunek?

– O czym myślisz? – zapytała Monika.

Z reguły wiedziała, o czym myślał, nie musiała nawet pytać. Pewno tym razem było podobnie, ale chciała zagaic rozmowę.

– Myślę o tym, że jesteśmy zdeterminowani. – Popatrzył na nią czujnie. – Wszyscy. Wydaje nam się, że mamy wpływ na cokolwiek, a to gówno prawda jest.

– Może, ale to, że nam się tak wydaje, trzyma nas przy życiu – uśmiechnęła się.

– Wiem. – Pokiwał głową.

– Poza tym predestynacja... – kontynuowała. – Luteranie tak mają, może wszyscy protestanci zresztą. Wprawdzie nie masz wpływu, ale pchając sanki swojego życia w jakimś bardziej

sensownym kierunku, wykazujesz, że jednak jesteś predestynowany do dobra, czytaj: do łaski wiary.

– Wykazujesz przed kim? – zapytał.

Odpowiedź znał doskonale, ale ciekaw był jej interpretacji.

– Przed innymi, przed sobą, przed Bogiem – wymieniła. – Takie drobne oszustwo, białe kłamstwo.

– Próba podniesienia się samemu za włosy raczej – spróbował spuentować.

Nie był w zbyt dobrym nastroju. Widok facetów zapadających się w alkoholowo-zakopiańską otchłań zbyt mocno uświadamiał mu mizerność jego własnego losu.

– Może piwo? – zagaił.

– Jest dziesiąta. – Spojrzała groźnie, ale zaraz zmiękczyła przekaz: – Zdążysz, cały dzień przed nami.

W tym momencie drzwi otworzyły się na oścież, a blask słońca, odbity i zwielokrotniony przez śnieg, zalał część pomieszczenia, w której siedziało tamtych dwóch. Obaj przymrużyli oczy, pewno od wielu dni nienawykłe do światła dziennego, a Wawrzyniec uśmiechnął się do swoich myśli. Kiedy wzrok przywykł już odrobinę do jasności, oboje z Moniką dostrzegli w smudze światła zwalisty kształt mężczyzny w kozuchu pozszywanym chyba z pięciu owiec. Witek wszedł do wnętrza tym razem naprawdę w spektakularny sposób.

– Tutaj! – Monika uniosła rękę, żeby dla odmiany nienawykły do ciemności wnętrza Witek mógł ich dostrzec.

– O, dzień dobry. – Witek podszedł do stolika. – Miło was znów razem widzieć.

Znów razem? Wawrzyniec zdziwił się w myślach: a kiedy on nas widział razem wcześniej? A może nie widział, ale wiedział z opowieści, że zadzierzgnęliśmy więź, i to stanowiło wystarczającą pożywkę dla jego wyobraźni.

– Cześć. – Wawrzyniec podał mu rękę, która po chwili zniknęła w dłoni przyjaciela, ogromnej jak bochen chleba.

– To co, po maluchu czy piwko na rozbieg? – zapytał Witek i spojrzał wymownie w stronę baru.

Wawrzyniec popatrzył na Monikę, ale ta uśmiechnęła się tylko.

– Po małym piwku – odpowiedział Wawrzyniec.

Usiedli razem i zaczęli od wymiany uwag na temat pogody, wiatru i niekończącej się zimy. Witek po chwili przeszedł do meritum.

– Masterak nic nie wie – powiedział, patrząc tylko na Monikę, po czym przeniósł wzrok na Wawrzyńca i dokończył, choć to nie Wawrzyńcowi, a raczej Monice potrzebne było wyjaśnienie: – W sprawie tego zamówienia na obraz.

– Albo udaje, że nie wie – zasugerował Wawrzyniec.

– Za długo go znam, żeby nie odróżniać, kiedy nie wie, a kiedy udaje, że nie wie. – Pokręcił głową Witek.

Chwilę trwali w milczeniu, kontemplując gorzkawą ciec spływającą po tylnej ścianie ich gardła.

– Ale nie zdziwił się jakoś bardzo – odezwał się znowu Witek.

– Co to znaczy? – spytała Monika.

– Czy ja wiem? Może tyle, że nie do końca ogarnia, co dzieje się w firmie – zaproponował Witek.

– A inni? – dopytał Wawrzyniec.

– Z innymi nie mam takich dobrych relacji. – Witek popatrzył uważnie na Wawrzyńca. – Właściwie z nimi nie gadam, zresztą sami wiecie.

– A ten Purwiński? – przypomniał sobie Wawrzyniec.

– Nie widuję go ostatnio – odpowiedział szybko Witek.

Za szybko, pomyślał Wawrzyniec. Jakby był na to przygotowany...

– A co z tym obrazem? Jakies tropy? – Witek najwyraźniej poczuł się niekomfortowo i postanowił przepchnąć rozmowę na inny tor.

– Nie mam pojęcia, tropem jest właśnie to zamówienie z TOPR-u, Witek! – Wawrzyniec nie chciał zmienić tematu.

– Jak chcesz, to możesz sam pogadać z Masterakiem albo z Purwińskim, albo z kim tam chcesz! – wykrzyknął nerwowo Witek.

Najwyraźniej jego też to męczyło, bo przyjął zagranie w otwarte karty z pewną ulgą. Wawrzyniec był tak zaskoczony, że chwilowo zaniemówił.

– Wysyłasz mnie tam, gdzie wiesz, że nie mam dojścia, bo sam tam nie pójdziesz, bo też nie masz dojścia. I wszystko okej, ale to, że

masz do mnie o to pretensje, nie jest już okej – wybuchnął w końcu Witek.

– Ale czemu właściwie ty nie możesz, czemu ja nie mogę? – zdziwił się szczerze Wawrzyniec.

Witek nie odpowiedział, tylko popatrzył teraz uważnie na Monikę, a ta wzruszyła ramionami. To rozsierdziło Wawrzyńca nie na żarty. Porozumienie za jego plecami, jakieś konszachty, wiedza tajemna, do której go nie dopuszczono.

– Co to jest w ogóle?! – wykrzyknął.

– Nic nie jest. – Monika uśmiechnęła się uspokajająco. – Wszyscy wiemy, jaka to hierarchiczna i hermetyczna instytucja... On wie, ja wiem, ty też powinieneś, pracowałeś tam w końcu... czy pełniłeś służbę, jak wy to lubicie nazywać.

– Wtedy nie była hierarchiczna, hermetyczna i nie było konszachtów. – Wawrzyniec próbował sobie przypomnieć, jaki wtedy był TOPR, ale miał z tym nie lada problem. – Wszystko tu jest hermetyczne, wszędzie są konszachty, co to w ogóle jest za miejsce?

Poczuł się zagubiony i cholernie zmęczony.

– Podhale – uśmiechnął się Witek. – To jest Podhale.

– Gdzie ten obraz? – zapytał retorycznie Wawrzyniec.

– Nie wiem, ale może mają... to znaczy: może mieli go ze sobą. Może był zbyt drogocenny, zbyt ważny, żeby go nie wziąć, zbyt osobisty – zasugerował Witek.

Od razu jednak spuścił wzrok, jakby uznał swoją własną sugestię za zbyt niedorzeczną.

– Mówiłem, że musimy tam wrócić. – Pokiwał głową Wawrzyniec.

– Też tak mi się jakoś wydaje.

Obaj popatrzyli na Monikę. Ta po chwili wahania pokiwała głową.

Zima się kończyła. Do początku sezonu letniego pozostawały jeszcze długie miesiące, więc autobus do Morskiego Oka, a konkretnie na polanę Włosienicę zatrzymał się tylko raz, przy Wodogrzmotach Mickiewicza. Przez chwilę nikt nie wsiadał, a oni nie wiedzieli za bardzo, o co chodzi. Dopiero kiedy kierowca zaczął się niecierpliwić i zatrąbił, na schodkach przy przednim wejściu pojawiła się elegancka kobieta, która wyglądem, a przede wszystkim ubiorem, zupełnie nie przystawała do okoliczności. Kiedy się odwróciła, Wawrzyniec ku swemu totalnemu zaskoczeniu rozpoznał w niej Grażynę. Ona na razie wydawała się go nie dostrzegać, choć może wygodniej było jej udawać, że go nie dostrzega, w końcu obok niego siedziała Monika, która za to dostrzegła Grażynę bez problemu.

– Umówiliśmy się? – zapytała głośno, nie patrząc ani na niego, ani na Grażynę.

Z faktu, że zrobiła to mało dyskretnie, Wawrzyniec wysnuł, że zaistniała okoliczność zdecydowanie nie była jej na rękę. Innymi słowy, Monika najwyraźniej była wściekła.

– A skąd! – zaprzeczył na tyle przekonująco, że chyba mu uwierzyła, przynajmniej na chwilę.

– To co ona tu robi? – kontynuowała, nadal nie ścisząc głosu.

– Ona też jedzie tym autobusem – odpowiedziała jej Grażyna, siadając jednocześnie w jednym z rzędów przed nimi, obrócona plecami do nich. – A co, to zabronione jest?

Monika popatrzyła na Wawrzyńca wymownie. Może oczekiwała interwencji z jego strony, ale on nie bardzo wiedział, co właściwie miałby w tej sytuacji zrobić. Do końca trasy, czyli przez kolejne dziesięć minut, nikt nie powiedział już nic.

– Czyli o co chodzi? – odezwała się Monika dopiero po tym, jak wysiedli na pustym parkingu i ruszyli drogą w stronę schroniska.

Grażyna została za nimi. Wyglądało na to, że czeka na kogoś, kto ma ją zabrać z parkingu.

– Nie mam pojęcia. – Wawrzyniec był równie zaskoczony jak ona, z tą tylko różnicą, że dla niego sytuacja miała jeszcze drugie dno.

Co gorsza, Monika albo o tym drugim dnie wiedziała, albo je przeczuwała, stąd najpewniej jej nieprzyjemna reakcja na pojawienie się w PKS-ie rudowłosej damy.

– Może nas podsłuchują. – Wawrzyniec uśmiechnął się, zaznaczając w ten sposób niedorzeczność swojego pomysłu.

Już sekundę później zastanawiał się jednak, czy rzeczywiście było to całkowicie nieprawdopodobne.

– Witek? – Monika miała znacznie bardziej racjonalne wytłumaczenie.

– Nie wiem. Ja już nic tu nie wiem, to jest wszystko tak poplątane, że nie da się nic z tego wysnuć – powiedział i przyspieszył kroku.

Po raz pierwszy od dość dawna nie czuł się przytłoczony. Może wynikało to z wydobycia się spod czapy smogu, którym na stałe zasnuwane było Zakopane, może również z oddalenia się od tamtych ludzi i wyjścia z gęstej, mrocznej atmosfery, jak z jakiejś mrocznej, tajemniczej sekty. W każdym razie szło mu się teraz dobrze i choć niósł sporych rozmiarów plecak, w którym były rzeczy jego i Moniki, czuł się, jakby raczej ujęto mu co najmniej kilka kilogramów. Obecność Grażyny rzucała się wprawdzie cieniem na sytuację i zmniejszała odrobinę odczucie ulgi, ale w miarę, jak oddalali się od parkingu, na którym została Grażyna, zapomniał także i o niej.

– Od czego chcesz zacząć? – odezwała się Monika dopiero, gdy byli mniej więcej w połowie drogi między Włosienicą a schroniskiem.

– Jeszcze raz przeszukam pokój, który zajmowali. – Odwrócił się do niej. – Potem chciałbym pójść do Pięciu Stawów, może ktoś będzie wiedział, po co Markowscy szli do nich wtedy, w taką pogodę.

– Tu też lawina. – Monika wskazała na mijaną właśnie kamienną płytę.

Przystanęli. Płyta częściowo przysypana była teraz śniegiem, ale widać było fragment napisu: „Tutaj w dniu 28.04 ze stoku

Opalonego zeszła śnieżna lawina Żlebem Żołnierskim, zabijając 16 osób”.

– Nigdy tego nie zauważyłem. – Zaskoczony Wawrzyniec wpatrywał się w płytę.

W tym momencie, wzburzając tumany śnieżnego kurzu, minął ich wojskowy gazik, który nadciągnął z dołu. Przez szybę oboje dostrzegli chłodny uśmiech Grażyny siedzącej na miejscu pasażera.

– Chodź, bo splądruje pokój przed nami. – Wawrzyniec ruszył szybkim krokiem za samochodem znikającym w chmurze białego pyłu.



Na miejscu był dyżurujący tu dziś Witek. Specjalnie tak zaaranżowali całą sytuację, że najpierw on przejął dyżur, potem dał im znać i dopiero wtedy wyruszyli. Do tego momentu kilka dni spędzili w oczekiwaniu, mieszkając na plebanii, a czasem też nie do końca legalnie w domu Markowskich w Dzianiszu.

Chyba jednak nie Witek był źródłem przecieku o ich podejrzeniach, że obraz może być wciąż gdzieś w Morskim Oku. Kiedy doszli wreszcie na miejsce, pod schroniskiem trwała już karczemna awantura między nim właśnie a Grażyną. Ona, zgodnie z ich przewidywaniami, chciała dostać się pierwsza do pokoju, a on utrudniał jej to, wymyślając coraz to nowe powody i argumentując na przemian, że zginął klucz albo że policja zabroniła tam wchodzić.

– No dobra, ale jeśli nie on, to kto? – zapytała Monika, która zjawiała się właśnie z kluczami do ich własnego pokoju.

– Nie mam pojęcia. Nie mam już siły się nad tym zastanawiać. Dla mnie ważne, że nie on – odpowiedział Wawrzyniec.

Po kilku minutach Grażyna odeszła, odgrażając się, że zawiadomi kierownika schroniska, dyrektora Parku Narodowego, burmistrza i ministra. Chyba rzeczywiście była w stanie to zrobić, do tej pory sprawiała wrażenie, jakby miała naprawdę szerokie znajomości. To, że większość z nich prawdopodobnie zawarła w okolicznościach dwuznacznych, a może nawet całkiem jednoznacznych, nie miało większego znaczenia. Miała znajomości i było to groźne w dłuższej perspektywie czasu, tym bardziej że nadal nie wiedzieli nawet, kim jest i jak się nazywa. Musieli działać jak najszybciej.

Po raz pierwszy od wielu dni w górach świeciło słońce. Śnieg topniał, ale w ten miły, cieszący oko i duszę sposób. Ciszę przełamywał odgłos spadających kropli, chwilami słychać było też od strony stawu głucho tąpnięcia płatów osiadającego lodu, spod którego woda wymywała kolejne warstwy. Najbardziej chciało się teraz albo ruszyć gdzieś wyżej, bliżej prażącego słońca, albo usiąść

na spłówałym leżaku, owinać się kocem i usnąć, najlepiej nie śniąc nic. Na żadną z tych rzeczy nie mieli jednak czasu. Najpierw trzeba było wejść do pokoju, do którego dostępu z takim zaangażowaniem bronił Witek.

– Spisałeś się – powiedział Wawrzyniec, podając mu rękę na przywitanie.

– Wywalą mnie za to, więc dobrze by było, gdybyście tam coś znaleźli – odparł Witek, nie sprawiając przy tym wrażenia szczególnie przejętego.

– Jak znajdziemy ten obraz, to załatwię ci to stanowisko z powrotem – uśmiechnął się Wawrzyniec.

– To właśnie miałem na myśli. – Witek podał mu klucz do pokoju.

– A Romek jest? – zapytał jeszcze Wawrzyniec, rozglądając się czujnie.

– Na szczęście nie ma.

– Czemu na szczęście? – do rozmowy włączyła się Monika.

– Romek mógłby nie dać rady Grażynie – wyjaśnił Witek, po czym dodał: – Ma więcej do stracenia.

W pokoju wszystko wyglądało prawie tak samo jak wtedy, gdy wszedł do niego w dniu zejścia lawiny. Pomyślał, że może właściwiej byłoby powiedzieć: „w dniu ich zaginięcia”. W polskim prawie, zdaje się, dopiero po dziesięciu latach można wystąpić o uznanie osoby zaginionej za nieżyjącą, rozmyślał, mało kto to zresztą robi, większość woli pozostawać w trudnym przeświadczeniu, że bliskich nie ma chwilowo, że wyszli na moment, wkrótce wrócą. Właśnie przyszło mu do głowy, że on też tak o nich myślał, choć przecież ani nie byli jego bliskimi, ani nawet dobrze ich nie znał. A może przez ten czas, który właściwie w całości poświęcił na zrozumienie tego, co się stało, kim byli i dokąd szli, właśnie stali mu się już bliscy? Może taki był w ogóle główny cel tego wszystkiego.

– Wciąż i tak nie mogę pojąć, dlaczego tak się za tym uganiał – powiedział.

– Może właśnie dlatego? – uśmiechnęła się Monika, zaglądając pod łóżko.

Obraz pod łóżkiem? To byłoby coś, pomyślał.

– Dlatego? – dopytał automatycznie, jednocześnie przeglądając szafę.

Sądził, że zrozumiał, co miała na myśli, ale wolał się upewnić.

– Uganasz się dlatego, że nie możesz pojąć, po co to robisz. Wpadłeś w wir, gonisz własny ogon.

Przez chwilę przeglądali rzeczy w milczeniu, sami nie wiedząc, czego szukają.

– Poczekaj, coś tu jest – powiedziała.

Zwinięte w rulonik strony z zeszytu były wciśnięte w szparę między ramą okienną a ścianą z bali, jakby miały robić za uszczelnienie. Zresztą po ich wyjęciu ze szpary zaczęło ciągnąć zimnym powietrzem, pomimo że przecież nawet nie wiało.

Rozwinęli kartki. Wawrzyniec zauważył, że nie były krzywo wyrwane, ktoś równo je wyciął.

– To z jego notesu – powiedział zaskoczony.

– Skąd wiesz? – Monika próbowała przeczytać ręcznie zapisane słowa, rozmazane teraz przez wilgoć dostającą się przez okno.

– Kiedy byłem tu zaraz po lawinie, znalazłem notes, z którego ktoś równiutko wyciął kilka stron. Wtedy myślałem, że zrobił to ten, kto wszedł tu przede mną. Teraz wychodzi, że może zrobili to sami – zamyślił się.

– Tylko po co? – zapytała.

– Nie mam pojęcia. Jesteś w stanie coś z tego przeczytać? – Zajrzał przez jej ramię na rozłożone na parapecie kartki.

Kawałki białego papieru w linie uporczywie zwijały się z powrotem, jakby nie chciały, żeby ktoś niepowołany w ogóle je oglądał.

– Kaziu... Halama... – Tyle udało jej się przeczytać z pierwszej.

Druga była schowana wewnątrz pierwszej i przez to zawilgotniała trochę mniej.

– Jest ósma, jeszcze ciemno, idziemy do Pięciu, ma tam być... musimy go przekonać... nie wiem, co będzie... najważniejszy

obraz... – czytała Monika kolejne fragmenty rozmazanego atramentu.

– Tak czułem. Tam w schronisku muszą coś wiedzieć. Markowscy szli się z kimś spotkać, była jakaś sprawa! – zapalił się Wawrzyniec.

Bodaj po raz pierwszy, odkąd ta dziwna historia zaczęła mu odbierać – powoli, acz skutecznie – poczucie sensu swojego istnienia, odkąd zagubił azymut własnego życia, poczuł, że może coś się wyjaśni, że do czegoś się zbliżył. Właściwie to nie tyle się zbliżył, co się zbliżyli, poprawił się w myślach. Właśnie zrozumiał, że rola Moniki nie była przypadkowa. Ona musiała tu być z nim, żeby sprawy wreszcie ruszyły naprzód, żeby wyszedł z wiru, z pogoni za własnym ogonem. Szukał odpowiedzi przecież wcześniej i nic mu wtedy ta wizyta nie dała. A teraz wystarczył kwadrans i od razu pojawił się trop. Tylko dlaczego? Kim była ta kobieta? Co takiego różniło ją od wszystkich innych, od dziesiątek albo setek poprzednich, od tych wszystkich, które zostawił za sobą w Warszawie i w innych miejscach na świecie, nie pamiętając często nawet, jak wyglądały?

– Kim ty jesteś? – zapytał nagle.

– Co? – odpowiedziała pytaniem na pytanie, bez większego namysłu.

Była zadaniowa, nie interesowały jej kwestie metafizyczne, szczególnie nie wtedy, kiedy rzeczywiście coś ewidentnie się ruszyło w sprawie, która i ją mocno nurtowała, pomyślał Wawrzyniec.

– Kim jesteś w moim życiu? – dopytał niezrażony Wawrzyniec.

– Przestań – odpowiedziała stanowczo, ale zaraz też się uśmiechnęła. – Nie ma czasu. Lepiej mi powiedz, co oznacza Halama i Kaziu.

– Kaziu? Kaziu... – próbował sobie przypomnieć. – Kaziu pracował kiedyś na portierni. Odszedł. Nie wiem, co z nim było potem. Chyba założyłem, że nie żyje. Może się myliłem.

– Może wrócił? – zaproponowała.

– Nie sędzę, mieszkam tam z przerwami od miesiąca, spotkałbym go na dyżurze. Oni się zawsze zmieniali z Władkiem – przekonywał.

– Wydaje mi się, że w tym twoim mieszkaniu tam z przerwami przeważały przerwy. Może jednak na niego nie trafiłeś i tyle. –

Monika wciąż nie dawała się przekonać.

– Dobrze, jak zjedziemy na dół, zapytamy w Halamie. Ale na razie jutro idziemy do Pięciu – oznajmił.

Usłyszeli pukanie do drzwi. Po chwili do pokoju wszedł Romek. W przeciwieństwie do dnia, kiedy zeszła lawina, teraz nie miał już brody. Wawrzyniec pomyślał, że w takim razie albo Romek wrócił tu tylko na chwilę, albo jeszcze stąd nie wyjechał, ale robi to lada moment, bo zawsze golił brodę tuż przed wyruszeniem do domu.

– A ty co...? – wyraził swoje zdziwienie Wawrzyniec. – Myślałem, że już skończyłeś w tym roku.

– Dziś wyjeżdżam, ale Witek mi powiedział, że jesteście, to przyszedłem się przywitać. – Na twarzy Romana, gładkiej teraz jak szklanka, pojawił się uśmiech. – I od razu pożegnać – dodał.

Wyciągnął rękę najpierw do Moniki, ona uścisnęła podaną dłoń, a Wawrzyniec zauważył, że ich spojrzenia spotkały się na moment.

– Uważaj, żebyś nie utknął jak ja. – Wawrzyniec też podał rękę Romkowi. – Też już się zegnałem w marcu.

– Wiem, wiem, Witek wspominał, że nieźle ci odbiło – uśmiechnął się Romek. – Czy też masz misję raczej.

– Po co szli do Pięciu? – zapytał Wawrzyniec i od razu zerknął czujnie na reakcję Romka.

– Nie wiem. – Ten wzruszył ramionami.

– Z kimś się spotykali? – spytała Monika.

– Tutaj chyba nie, zauważyłbym, sporo czasu tu siedzieli. A tam?

– Romek wskazał za okno w stronę grani Miedzianego. – Zapytacie tam?

Chwilę stali w ciszy, kontemplując zachód słońca, który podkreślał kontury widocznych w oddali szczytów i grani. Wawrzyńcowi przyszło do głowy, że takie światło czyniło rzeczywistość dwuwymiarową, a dzięki temu może łatwiejszą do ogarnięcia.

Sekundę później Romek nagle zebrał się do wyjścia, jakby uznał, że nic tu po nim.

– Lecę, kochani, bo mi ostatni autobus ucieknie i rzeczywiście tu utknę. – Teraz podał im rękę w odwrotnej kolejności, najpierw Wawrzyńcowi, a potem Monice. Kiedy ścisnął jej dłoń, raz jeszcze spojrzął jej przeciągle w oczy.

– O co mu chodzi? – zapytał Wawrzyniec chwilę po tym, jak Romek wyszedł z pokoju.

Monika tylko wzruszyła ramionami.

Zanim zrobiło się zupełnie ciemno, wyszli jeszcze przed schronisko i poszli kawałek żółtym szlakiem, który był już od nowa przedeptany, w kierunku Szpiglasowej Przełęczy. Pod stopami mieli teraz minimum trzy metry śniegu, miejscami pewno nawet więcej, choć trudno było to ocenić bez widocznego punktu odniesienia. Wawrzyniec tymczasem nie mógł opędzić się od myśli, że gdzieś tutaj, pod ich stopami, może bliżej tafli stawu, a może nieco ponad ich głowami, leży tamta dwójka. Teren wokoło szlaku oznaczony był głębokimi na dwa metry jamami, które toprowcy kopali w regularnych odstępach. W końcu muszą gdzieś trafić na jakiś ślad, na przykład element garderoby albo zawartość plecaka, a od tego będzie im łatwiej dojść do ciał. Monika z Wawrzyńcem zeszli bliżej lodowej tafli, załamanej przy brzegu pod ciężarem białej, gęstej masy śniegu i kamieni. Śnieg, po którym szli, był teraz mocno zbity, nie chrzęścił już pod stopami. Czuło się za to ciepło. Przy każdym oddechu w nozdrza wchodził kleisty zapach mchu i kosodrzewiny. Zima chyba się w końcu poddaje, pomyślał Wawrzyniec.

– Podobno znaleźli jakieś ich rzeczy. – Ciszę, wypełnioną do tej pory jedynie kroplami kapiącej zewsząd i na wszystko wody, przerwał głos Moniki.

– Co?! – Wawrzyniec poczuł się totalnie zaskoczony. – Co to znaczy „podobno”? Skąd to wiesz?

– Podobno od Witka. – Monika popatrzyła na niego z zaskoczeniem, nie mniej zdzwiona niż on sam. – Przecież byłeś przy tym, jak to mówił.

– Skąd, nic nie słyszałem. – Wawrzyniec patrzył na nią czujnie. – Gdzie? Gdzie są te rzeczy?

- Nie mam pojęcia. Wiem tyle, co ty, czyli że są. Nie mówił gdzie.
- Monika sprawiała wrażenie trochę zirytowanej jego pytaniami.

Musiała odnieść wrażenie, że mężczyzna ją o coś oskarża. Czy naprawdę Wawrzyniec był przy tym, jak Witek to mówił? A może go nie było, może odszedł akurat wtedy gdzieś na moment? Co za różnica... Co wtedy robili? Szli już chyba do pokoju w starym schronisku. Może Wawrzyniec po coś wrócił? Tak, chyba tak...

- Wróciłeś wtedy po czekan – skonstatowała na głos.

– Słucham? – zdziwił się, ale nie był już zły, jeśli już, to raczej na siebie, za to, że tak na nią naskoczył.

– Kiedy Witek to mówił, ty wróciłeś po czekan, bo został w jadalni schroniska – dodała.

Dobrze, że mi to wyjaśniła, pomyślał. Chwilami miał wrażenie, że rzeczywiście dopada go jakaś przedwczesna starcza demencja. Kolejne informacje pojawiały się znikąd i rzekomo on powinien już o nich wiedzieć, a przecież nie wiedział. Robił się przez to coraz bardziej nerwowy, może dlatego, że miał poczucie misji do wypełnienia. Musiał rozwikłać zagadkę, a bez pamięci raczej tego nie zrobi.

- Dzięki – uśmiechnął się. – Chodź, zobaczymy, co znaleźli.

## 41.

Nie mogli nigdzie w schronisku znaleźć Witka. W ogóle budynek głównego schroniska nagle zupełnie się wyludnił, więc nikt nie mógł udzielić im żadnej informacji. Tymczasem zrobiło się ciemno i znów złapał silniejszy mróz. Wyszli z powrotem na zewnątrz. Noc zapowiadała się bezchmurna, a do tego księżyc stał w pełni. Pustka, ośnieżone szczyty wokoło, niebo jasne od gwiazd. Otaczała ich kompletna cisza, chwilami tylko przetykana skrzypnięciami śniegu tężejącego po ciepłym dniu.

– Stąd do wieczności – szepnęła zaledwie Monika, a i tak on miał wrażenie, że jej głos odbił się echem od ciszy i majestatu otaczających ich gór.

– Blisko? – uśmiechnął się Wawrzyniec.

Monika pokiwała głową, nie chciała już mówić. Jakby fakt, że natura słyszy ich tak dobrze, lekko ją krępował.

Wrócili do środka budynku i poszli do swojego pokoju. W starym schronisku też byli chyba jedynymi gośćmi. Brak ludzi, pustka wokoło, wszystko to powodowało, że czuli się dziwnie.

– Dobrze, że nie przyjechałem tu sam – stwierdził Wawrzyniec, kiedy Monika powlekała koce pościelą. – Miałbym teraz wrażenie, że mój świat rozpada się na kawałki – dodał Wawrzyniec po chwili.

– We dwójkę też możemy mieć takie wrażenie – odpowiedziała wciąż zajęta sianem łóżek.

Były dwa, ale stały osobno. Przez chwilę zastanawiali się, czy je ze sobą zestawić, ale uznali, że ten zabieg byłby zbyt skomplikowany logistycznie. Poza tym i tak między łózkami zostałaby spora wyrwa. Wychodziło na to, że tym razem musieli spać oddzielnie. Czasem takie spanie osobno z kobietą, której się pragnie, to całkiem interesująca przygoda, pomyślał Wawrzyniec, patrząc teraz na jej wąską kibić i kształtne biodra.

Zasnął szybko, ale jego sen był niespokojny. W pewnym momencie śniło mu się, że kiedy otworzył oczy, leżała przy nim



Monika, odwrócona do niego plecami, ale pachniała jakoś inaczej. Zapach wciąż był kuszący, inny, ale nie obcy, wydawało mu się, że skądś go zna. Czuł, jak wzbiera w nim pożądanie. W końcu złapał ją za ramię i obrócił do siebie, ale zobaczył uśmiechniętą triumfalnie twarz Grażyny. W przestרחu odepchnął ją od siebie, wtedy usłyszał głuchy łoskot, a kiedy wychylił się znad krawędzi łóżka, w dole zobaczył przepaść, w którą właśnie zwały się wielkie masy lodu i śniegu. Po Grażynie nie było ani śladu. Skoczył w dół. Wpadł prosto w miękki, kotłujący się śnieg, po chwili nie mógł się już z niego wynurzyć, zaczął się dusić, brakowało mu oddechu...

– Wawrzyniec! – Monika szarpała go za rękę od dłuższej chwili.

– Co?! – Obudził się w końcu, dysząc ciężko.

– Miałeś koszmar! – Patrzyła na niego łagodnie.

– Koszmar? – Wawrzyniec usiadł na łóżku, oddychając z trudem.

Wciąż nie do końca oprzytomniał, częściowo nadal tkwił gdzieś daleko, w krainie snu.

– Gdzie ona jest? – zapytał Monikę, przekonany, że ona musi znać odpowiedź.

– Kto?

– Grażyna! – Rozejrzał się nerwowo po pokoju. – Była tu.

– Nie było jej tu, śniła ci się. – Monika dotknęła dłonią jego twarzy.

Wawrzyniec przyciągnął ją do siebie, a potem położył się razem z nią na łóżku i przylgnął do jej pleców. Otulał ją sobą, a tak naprawdę sam czuł się przez nią otulony. Tak to już jest z nami, facetami, otulamy, żeby być otuleni, uśmiechnął się do swoich myśli Wawrzyniec.

– Może i mi się śniła, ale generalnie to gdzie ona jest? Przyjechała tu przed nami i gdzie się podziała? – zapytał, kiedy oboje znów zasypiali.

– Generalnie nie wiem, ale to dobre pytanie. – Zасыpiając, Monika mocniej nasunęła na siebie jego masywne ramiona.

Kiedy się obudził, za oknem nie było już słońca, a chmury wisiały, nisko topiąc szczyty i granie w gęstej mgle.

– I co? Idziemy do Pięciu? – Monika nie patrzyła na niego. Stała tyłem przy stoliku między oknami i gotowała grzałką wodę w emaliowanym kubku.

– Najpierw przejrzymy te rzeczy, które znaleźli. Może tam jest coś ciekawego? – zaproponował, po czym dodał zachowawczo: – Sprawdzimy prognozę, jeśli jest zła, wiatr albo deszcz, to poczekamy do jutra. Może być?

– Musi. – Monika postawiła kubek ze świeżo zaparzoną kawą na małym stoliczku obok łóżka.

Witek krzątał się już po przeszklonej sali jadalnej schroniska, kiedy przyszli na śniadanie. Za oknami ściany Mięgoszowieckich powoli zaczynały wyłaniać się zza wiszących nisko chmur. Widok ten przydawał skałom jeszcze więcej majestatu, a nawet grozy. Kiedy patrzyło się na nie ze schroniska, mimo ciepła i spokoju tego wnętrza, w brzuchu czuło się lekkie mrowienie, które wzmagало się jeszcze na myśl, że wkrótce trzeba będzie się zbliżyć do tego ogromu szaro-białego granitu.

– Gdzie byłeś wczoraj wieczorem? – Wawrzyniec podał Witkowi rękę na przywitanie. – Szukaliśmy cię wszędzie.

– A... – Witek przez moment chyba nie wiedział, co powiedzieć, jakby cały czas odzyskiwał świadomość. – Zjechałem jeszcze na dół na Włosienicę, przywieźli mi zakupy.

– Nie mogli wjechać tutaj? – zdziwiła się Monika.

– Osobówką. – Pokręcił głową Witek. – Bez szans, utknęliby w połowie drogi i dopiero by było.

– Podobno są jakieś rzeczy wykopane z lawiniska. – Wawrzyniec przeszedł gładko do tego, z czym tak naprawdę przyszli. Widząc, że Witek nie do końca wie, o co mu chodzi, po chwili dodał: – Ich rzeczy, jakieś przedmioty.

– A... Tak, są, jakieś pierdoły, drobiazgi. Rękawiczka, czapka, wiesz. – Witek nie patrzył ani na Wawrzyńca, ani na Monikę. Wyglądał przez okno w stronę skalnych ścian. – Już nie są tak

blisko, nie powinno padać, może się przetrze – powiedział, wskazując głową na góry.

– Pokażesz? – Wawrzyniec nie dał się tak łatwo zbić z pantałyku.

Witek spojrział teraz powoli na niego, a potem też na nią.

– Jeśli chcecie, to jasne – odpowiedział i zamilkł.

– Chcemy, dlatego cię o to zapytałem. – Wawrzyniec zaczynał już się niecierpliwić. – Co jest z tobą, Witek?

– Chodźcie. – Zamiast odpowiadać na pytanie, Witek ruszył w stronę schodów na piętro.

Ogromna sala noclegowa, wyłożona boazerią na ścianach i na ściętym suficie, zmieniona została w bazę ratowników pracujących przy przeszukiwaniu lawiniska. Wszędzie, na podłodze i na siennikach rozłożonych jeden obok drugiego oraz na drewnianej ławie do spania długiej na dziesięć albo więcej metrów, wały się sprzęty wspinaczkowe, raki, czekany, liny, kurtki puchowe, tyczki do przeszukiwania lawiniska, sondy. Kiedy weszli w głąb mrocznego poddasza, zauważyli, że na siennikach bliżej okna leżała rozłożona folia. Na niej ktoś równo, jakby nabożnie, co mocno kontrastowało z nieładem w pozostałej części pomieszczenia, ułożył kilka zaledwie przedmiotów. Jak szybko się domyślili, należały one do Markowskich i zostały wyciągnięte spod zwałów śniegu.

Rękawiczka, szalik, czapka, czekan, but, skarpetka, gogle i okulary.

– Lawina potrafi rozebrać człowieka do naga – odezwał się dopiero po chwili Witek, przerywając smutne milczenie.

Wawrzyniec pokiwał głową. Monika zerknęła na jeszcze jedną rzecz leżącą wśród pozostałych.

– A to co? – Wzięła do ręki klucz z trójkątnym aluminiowym brelokiem.

Wawrzyniec przejął go od niej i przyjrzał mu się chwilę.

– Klucz... takie same, to znaczy z takimi samymi brelokami, są w Halamie – powiedział, obracając kluczyk w ręku. – Tylko tam wszystkie mają wybite numery pokoi.

– Kaziu... Halama – powiedziała Monika trochę mechanicznie, biorąc do ręki jaskrawozielony szalik z polaru.

– Co znaczy „Kaziu Halama”? – zapytał Witek.

– Kaziu i Halama. Tyle odczytaliśmy z kartki wyciętej z jego notesu, którą ktoś wetknął w szparę w oknie – wyjaśnił Wawrzyniec.

Witek pokiwał głową bez większych emocji. Od początku był mało zainteresowany tą sprawą. Zaangażowanie Wawrzyńca chyba szanował, ale bardziej jako rodzaj dziwacznej przypadłości, jakąś emanację natręctwa przyjaciela niż jako coś, w czym sam chciał uczestniczyć.

Monika zbliżyła szal do nosa.

– To jego – powiedziała, uśmiechając się smutno.

Witek pokręcił głową. Dziwactwo Wawrzyńca jeszcze jakoś tolerował, ale to nie mieściło mu się już w głowie.

– A gdzie jest pani Grażyna? – zapytała nagle Monika, zmieniając temat w reakcji na zachowanie Witka.

Witek lekko się speszył, ale po chwili się opanował i odpowiedział szybko:

– Nie wiem, a czemu miałbym wiedzieć?! – Wawrzyniec odniósł wrażenie, że zabrzmiało to zbyt buńczucznie. Chwilę później Witek chyba też to sobie uświadomił, ale było już za późno.

– Przyjechała tu wczoraj, ktoś nawet wysłał po nią samochód ze schroniska. – Wawrzyniec popatrzył uważnie na Witka. – A potem zniknęła, rozplynęła się kompletnie. Podobnie zresztą jak ty i w ogóle wszyscy. Wieczorem tu nie było nikogo.

– Ja pojechałem na Włosienicę, mówiłem wam. – Witek starał się wytrzymać świdrujący wzrok Wawrzyńca, ale widać było, że nie przychodzi mu to łatwo. – A o Grażynie nic nie wiem, nie ja po nią wysłałem samochód.

– To kto? – zapytała Monika.

– Nie wiem, może Romek, był tu jeszcze wczoraj. – Ta ostatnia myśl najwyraźniej bardzo się spodobała Witkowi, bo drażył ją dalej: – Tak, może ona przyjechała do Romka i potem razem odjechali.

– Przyjechała tylko po to, żeby z nim od razu odjechać? – zdziwiła się Monika.

– Kurde, ludzie, skąd mam wiedzieć? Może się rozplynęła w powietrzu, poszła w góry i nie wróciła, nie mam pojęcia. – Witek był na tyle zdenerwowany, że sprawiał już teraz wrażenie szczerego.

– Może zajrzemy do książki wyjść w takim razie, bo jeśli wyszła i nie wróciła, to... – zawiesił głos Wawrzyniec, po czym dodał: – Na górze są dosyć kiepskie warunki.

Witek pokiwał głową i ruszył w milczeniu do drzwi. Monika wzięła do ręki klucz z aluminiowym trójkątem i spojrzała pytająco na Wawrzyńca. Ten pokiwał głową. Klucz zniknął w kieszeni jej kurtki, wtedy dopiero oboje ruszyli za Witkiem.

Książka wyjść znajdowała się w kantorku dyżurnego TOPR-u, na dole, w pobliżu jadalni. Kiedy zeszli, Witek popatrzył tylko na nich i wskazał im wpis w książce.

Wynikało z niego, że Grażyna Porębska wraz z towarzyszącym jej Romanem Witeckim wyszli wczoraj o szesnastej w kierunku schroniska w Dolinie Pięciu Stawów Polskich drogą przez Szpiglasową Przełęcz.

– Masz łączność ze schroniskiem w Pięciu? – zapytał Wawrzyniec, spoglądając na wpis.

– Nie mam, tydzień temu wiatr zerwał nam antenę, jeszcze nie zrobili. – Pokręcił głową Witek. – Teoretycznie powinno się dać telefonicznie, ale zasięg jest słaby. Ktoś od nich musiałby wyjść na górkę, a rzadko to robią. Nie pytaj mnie dlaczego.

– Jaka prognoza? – zapytała Monika, choć i tak w tej sytuacji wiadomo było, że muszą iść w górę, śladami tamtych.

– Po popołudniu ma się przejaśnić – odpowiedział Witek.

– Lawiny? – Monika wyglądała przez okno na bielące się zbocza.

– Twardo jest. Ostatnio dużo nie dopadało, nie ociepliło się, powinno trzymać – mruknął bez przekonania Witek.

– Powinno trzymać – uśmiechnęła się Monika. – No to nie ma na co czekać. I tak mieliśmy iść w sumie.

– Idę z wami... – zaczął Witek.

– Nie idziesz, ktoś musi tu zostać, jakby wrócili, jakby ktokolwiek wrócił – przerwał mu Wawrzyniec.

– To może chodźmy we dwóch, a Monika niech zostanie – zaproponował Witek.

– Nie ma takiej opcji. – Spokojnie pokręciła głową Monika. – My musimy i tak iść razem do Pięciu, poza tym to ty masz tutaj dyżur.

Witek zgodził się z nią, wiedział chyba, że nic więcej nie wskóra.

Większość sprzętu i lokalizatory musieli pożyczyć z pokoju na poddaszu. Nie mieli z tym jednak większego problemu, rzeczy i tak były przechodnie. Po kwadransie zgromadzili pełen rynsztunek: czekany, raki, linę, lokalizatory i odbiornik. Wzięli też na wszelki wypadek łopatkę, składane tyczki i namiot.

– Do przełęczы będą działały. – Witek podał im dwie motorolki i kilka zapasowych baterii. – Tylko chroncie je przed chłodem. Strasznie szybko padają na mrozie.

– Na jakiej wysokości stoją chmury? – zapytał Wawrzyniec, spoglądając w miejsce, w którym niebo połykało biało-szary granit.

– Jakiesь tysiąć osiemset, może dwa – orzekł Witek.

– Dobra, idziemy. Będziemy się łączyć, po Szpiglasowej jest już łatwo, więc założymy, że doszliśmy – uśmiechnął się Wawrzyniec. – Jak trafimy na ślad Grażyny albo Romka po tej stronie, damy znać, zostaniemy tam i poczekamy na was. Jeśli po drugiej, to zejdziemy już do Pięciu, może da się zadzwonić, jak przywieje zasięg.

Kiedy ruszali, do zachodu słońca pozostawały z grubsza cztery godziny. Jeśli nie zdarzy się nic nieprzewidzianego, to do schroniska powinni dojść jeszcze za dnia. Jeśli to by się nie udało, mieli też ze sobą czołówki, a na wypadek najgorszego – także namiot i śpiwory. Temperatura za dnia nie schodziła już poniżej minus pięciu, w nocy mogło dojść do dziesięciu stopni mrozu, na pewno nie więcej. Śpiwory były alpejskie, można w nich było wytrzymać do minus piętnastu. Do tego herbata w termosach, batony proteinowe i węglowodany. Nic nie mogło im zagrozić oprócz...

– Prawdopodobieństwo zejścia lawiny jest pięć razy mniejsze niż wtedy – przerwał milczenie Wawrzyniec.

Szli już od dwudziestu minut i byli teraz mniej więcej w połowie trawersu przez połąć tamtej lawiny, szeroką na ponad sto metrów. W dole widać było głębokie jamy w śniegu, które stąd wyglądały jak leje po bombach albo dziwnie głębokie kraterki księżycowe.

– Pewno kopali tam, gdzie psy znajdowały rzeczy – powiedziała Monika, patrząc w tamtą stronę. – W nadziei, że znajdą coś więcej. Prace archeologiczne, poszukiwanie pozostałości jakiejś pradawnej kultury...

– Zatopionej w śniegu. – Wawrzyniec, który szedł za nią, przystanął teraz i też spoglądał w dół.

Blisko krawędzi stawu, albo raczej blisko miejsca, gdzie lawinisko zetknęło się z lodem, widział cmentarzysko pustych mogił, z których na razie nie wykopano nic oprócz paru drobiazgów, a wśród nich tajemniczego klucza.

– Klucz znaleźli, a ludzi nie mogą, trochę dziwne. – Monika znów jakby czytała w jego myślach.

– Tak bywa. Ciąta są ciężkie, lawina miele je w sobie, a różne drobiazgi wypluwa bliżej powierzchni, może po to, żeby się nimi nie

zakrztusić. – Urwał Wawrzyniec, bo zawstydziła go głupota własnego porównania.

Widział w życiu już kilka lawinisk, a jedno przekopywał w poszukiwaniu ciał, trochę też znał lawiny z opowiadań kolegów, których porwał śnieg i którzy na szczęście przeżyli.

– A co to za klucz, jak myślisz? – powiedziała zasapana Monika.

Podejście stawało się coraz bardziej strome i jednocześnie coraz mocniej oblodzone. Niżej szli po śniegu w miarę normalnie, teraz każdy krok wiązał się z wbiciem raka w lodową pokrywę i zaasekurowaniem się dodatkowo czekaniem. Na razie ekspozycja nie była duża, ale przy poślizgnięciu prawdopodobnie trzeba się było liczyć ze zjazdem, może nawet do samego brzegu stawu. Lód na stawie został już wcześniej naruszony, a impet przy zsuwaniu byłby niemały, lepiej nie sprawdzać, czy wytrzyma, pomyślał Wawrzyniec.

– Musimy zapytać Władka. Jak zejdziemy na dół, pierwsze kroki do Halamy – odpowiedział po dłuższej chwili.

– Witek zauważył, że go wzięliśmy? – zapytała.

– Nie wiem. On w ogóle jakiś dziwny był, nieswój, jakby nie on – odpowiedział Wawrzyniec i przystanął. – Myślę, że nie dojdziemy jednak przed zmrokiem, za dużo lodu. Gdybyśmy zdążyli zejść po drugiej stronie z łańcuchów, to potem mamy już w miarę po płaskim, tam można nawet po ciemku.

Wawrzyniec zdał sobie nagle sprawę, że mówił właściwie sam do siebie, bo Monika nie zatrzymała się i teraz była już dobre dwadzieścia metrów przed nim. Patrzył na nią jeszcze chwilę, wciąż stojąc. Wiedział, że za moment dogoni ją bez problemu – był silniejszy, mimo swojego wieku wciąż jeszcze był silniejszy. Nagle znów dopadło go absolutne zdziwienie. Dlaczego właściwie był tu z nią? Do niedawna błąkał się bez planu, gonił własny ogon. Teraz miał wrażenie, że choć niewiele się zmieniło, to jednak było inaczej, bo teraz robił wszystko razem z nią. Z kobietą, której kilka tygodni temu nie znał. Poznał ją w międzyczasie, owszem, ale to nie różniło się w zasadzie niczym od setek jego wcześniejszych innych spotkań



z kobietami. A teraz idzie za nią po lodzie w kierunku mgły i skał... Nigdy jeszcze z żadną z kobiet nie chodził po górach. Na tym polegała istota jego działania: kobiety zostawały na nizinach, a tutaj przyjeżdżał pobyć sam ze sobą, wsłuchać się w swoje wnętrze, skupić się, odpocząć. Potem pisał. Tyle że tym razem ani za bardzo się nie skupił, ani nie odpoczął, o pisaniu też nie było mowy. Tak naprawdę zresztą to on przyszedł do niej, a nie ona do niego. Dlatego tym bardziej nie był w stanie pojąć tego wszystkiego.

Lód pod nogami miękł. Przez te chmury zrobiła się inwersja, pomyślał, im wyżej, tym cieplej. Wchodzili już w gęstą mgłę. Wawrzyniec przyspieszył, żeby dogonić Monikę, ale teraz przebycie dwudziestu metrów oznaczało olbrzymi wysiłek. Lepka zupa lecąca z nieba zagęszczała przestrzeń. Tak, jakby metr stawał się dwudziestoma, pomyślał. Nie chciał, żeby Monika została tak daleko od niego. Mogła zmylić szlak, odejść w bok, zniknąć. Najbardziej bał się teraz, że się zgubi, że coś jej się stanie. I znów będzie sam? W końcu zobaczył sylwetkę. W ciszy słychać było, jak woda zmieniała stan skupienia. Śnieg sublimował w mgłę, pachniało skałami i mchem.

– Myślisz, że nie zesliśmy ze szlaku? – zapytała, nie odwracając się nawet do niego.

– Myślę, że nie, ale ciężko będzie wypatrzeć tu kogokolwiek, nawet jak będzie metr od nas – odpowiedział.

– Czy my teraz jesteśmy ekspedycją ratunkową, czy idziemy do Pięciu dowiedzieć się, po co oni tam wtedy szli? – Przystanęła i spojrzała czujnie na niego.

Każdy oddech produkował teraz ogromną ilość pary. Wygląda to tak, jakby to oni byli głównymi wytwórcami otaczającej ich mgły, jakby z nich wychodził ten mrok, pomyślał.

– Idziemy do Pięciu, ale nie poszlibyśmy w taką pogodę, gdyby nie to, że szukamy też jej... – odpowiedział po chwili wahania.

Przystanęli na chwilę. Powietrze, może przez wilgoć i zapach, wydawało się czystsze niż kiedykolwiek.

– Łukasz nie żyje, wiedziałeś o tym? – odezwała się po chwili.

– Trebuń? – spytał zaskoczony.

Pokiwała głową.

– Ale jak to nie żyje, przecież dopiero co byłem u niego, Plewiński mnie tam przetrzymał, u nich w domu! Rozmawiałem z nim, z jego żoną! – Wawrzyniec nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Ona też nie żyje. I matka. – Monika popatrzyła na niego ze smutkiem. – Straszna tragedia.

– Co się stało? – zapytał Wawrzyniec, choć wciąż nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

– Najpierw zabił je obie, potem sam się powiesił, zaraz po tym, jak uciekł z psychiatryka. – Monika odwróciła się w drugą stronę, ciężko było jej mówić.

– Ale jak to z psychiatryka? Kiedy zdążył znowu trafić do psychiatryka, przecież to było kilka dni temu?! – Wawrzyniec był na tyle zaskoczony, że teraz wykrzykiwał do niej podniesionym głosem, tak jakby to była jej wina.

– Nie wiem, skąd mam do cholery wiedzieć?!

Nie widział dobrze jej twarzy, mgła gęstniała wokół nich coraz bardziej, ale wydało mu się, że Monika ma łzy w oczach.

– Przepraszam, nie chciałem... po prostu nic nie rozumiem. – Podszedł do niej bliżej i dotknął jej ramienia.

Nie cofnęła się, pozwoliła mu się przyciągnąć i przytulić.

– Kiedy się dowiedziałas? Czemu wcześniej mi nie powiedziałaś? – zapytał, ale już łagodnie, bez cienia pretensji, raczej z troską.

– Bałam się, że się zdenerwujesz, że znowu wyjedziesz, że... – Zaczęła płakać, po chwili dodała cicho: – To nie twoja wina, to niczyja wina, on był po prostu chory.

Nawet nie przyszło mu wcześniej do głowy, że to mogła być jego wina, ale teraz zaczął się nad tym zastanawiać. Tak czasami mu się już zdarzało: gdy słyszał, że ma się nie przejmować, właśnie wtedy zaczynał się przejmować naprawdę. Na razie nie miał jeszcze pomysłu, dlaczego niby właściwie powinien czuć się odpowiedzialny za śmierć Łukasza, ale jego umysł już zaczął szukać powodu.

– A jak się dowiedziałas? – zapytał po chwili.

– Witek mi powiedział, jak poszedłeś po sprzęt na górę – uśmiechnęła się smutno. – On też bał ci się o tym powiedzieć.

– Może to przez kradzież tego obrazu? – zaczął się zastanawiać Wawrzyniec. – Może to dla niego miałem znaleźć ten obraz? Może

Plewiński... Kurczę, on też nie żyje. Nie ogarniam tego, Monika. Nie wiem, co się dzieje.

– Chodź. – Teraz to ona pociągnęła go za rękę. – Musimy zejść poniżej łańcuchów przed zmrokiem. Pamiętasz?

Pokiwał głową. Ruszyli dalej w górę, we mgłę. Teraz było już naprawdę trudno, widoczność wynosiła nie więcej niż pół metra. Musieli się pochylić ku ziemi, żeby widzieć, po czym idą. Blżej przełęcz temperatura znów zaczęła spadać. Czyli wbijanie raków, czekana – i do tego nic nie widać. Wawrzyniec szedł teraz przodem. Lepiej znał tę trasę, przeszedł ją wcześniej wiele razy jako turysta i na akcjach. Latem było tu kompletnie inaczej, pomyślał, to ciekawe, że tutaj, w górach, wszystko zupełnie zmienia swój wygląd, zależnie od tego, czy jest śnieg, czy go nie ma. Trochę jak noc i dzień tam na dole.

– Szedłeś już po tym szlaku zimą i po zmroku? – Monika znów zatrzymała się, żeby odpocząć.

Wawrzyniec spojrzał na nią i się uśmiechnął. Nie tylko krajobraz się zmieniał zimą, lecz także wygląd ludzkiej twarzy. Na włosach Moniki i w okolicach jej ust wyrosły wielkie białe kalafiory szronu. Grzywka wystająca spod czapki, brwi, rzęsy – wszystko było przysłonięte bielą.

– Nie, dlatego musimy zdążyć zejść z tych stromych trawersów po drugiej stronie – odpowiedział. – Tam nawet nie ma do czego przykleić namiotu.

– Poganiasz mnie? – Ona też uśmiechała się, patrząc na niego.

– Nie, idź swoim rytmem, przemęczenie teraz nie pomoże. – Pokręcił głową.

Gdzieś w mglistym limbo odezwał się głośny skrzek ptaka, który odbił się echem od skał ponad nimi.

– Orzeł? – zapytała.

– Kto wie? – Popatrzył w górę. – Chodźmy.

– Czyli jednak poganiasz – zaśmiała się i ruszyła dalej.

Szli dalej, teraz już związani ze sobą na wszelki wypadek liną. On przodem, ona kilka metrów za nim.

– Skąd ty się wzięłaś? – zwerbalizował w końcu swoją wcześniejszą refleksję.

– Czuję, że jesteś przekonany, że z twojej głowy – odpowiedziała.  
– Zarozumiały pisarz, demiurg, kreator, który uważa, że wszystko pochodzi z jego głowy.

– Nie, to mi akurat nie przeszło przez myśl. W życiu nie wymyśliłbym kogoś takiego – znów się zaśmiał.

– Sprawdź lepiej, czy sygnalizator daje znać. Może któreś z nich jest gdzieś w pobliżu, a my minimy ich o metr i nawet nie zauważymy – zmieniła temat Monika.

– Pikałby – odpowiedział, po czym dodał po chwili: – Nie daje mi spokoju sprawa tego Łukasza. Nie mogę pojąć, jak to możliwe, kiedy w ogóle się stało, rozmawiałem z nim...

Chwilę się zastanawiał, licząc w głowie dni i noce. Zlewały się, ale wciąż dało się wytyczyć jakieś granice kolejnych dób, czyli momenty przebudzeń. Mogło ich być wprawdzie więcej niż poranków, ale to już różnica na granicy błędu statystycznego.

– Pięć dni temu! – prawie wykrzyknął. – Widziałem się z nim pięć dni temu.

– Tak, wiem, to straszne – opowiedziała, a on odniósł wrażenie, że znów uciekła gdzieś myślami.

To, że dotarli na przełęcz, dało się poznać jedynie po tym, że nagle wzmógł się wiatr. Niżej było prawie bezwietrznie i mgła stała w bezruchu, tutaj przeciąg biegł z dołu, od Pięciu Stawów, w stronę Morskiego Oka. Potem gdzieś te podmuchy pewnie grzęzną we mgle, dlatego niżej nie wiało, pomyślał. Wyciągnął telefon, żeby zerknąć na wyświetlacz i sprawdzić, która jest godzina, ale zobaczył jedynie niewyraźny kontur. Mgła była naprawdę gęsta. Zbliżył aparat do oczu, ale wtedy przez jego dalekowszroczność ekran stał się nieostry. O szukaniu okularów nie było nawet mowy.

– Która jest? – Wyciągnął telefon w stronę stojącej obok Moniki.

– Za dziesięć siódma – odpowiedziała po chwili.

– Schodzimy – oznajmił. – Nie jest źle, ale za godzinę się ściemni, nie ma na co czekać.

Ona pokiwała głową i bez słowa ruszyła w dół.

– Poczekaj – zatrzymał ją. – Pójdę przodem, lepiej znam trasę.

Wykonała polecenie, on ją minął i w tym momencie niemal wszedł na postać wspinającą się w ich stronę. Wystraszona Monika aż odskoczyła. Wawrzyniec też poczuł się mocno nieswojo.

– Dzień dobry – powiedział niepewnie.

Postać zatrzymała się i zwróciła w jego stronę. Spod oszronionego kaptura nie było widać twarzy, buchały tylko białe kłęby szadzi.

– Dobry. – Usłyszeli twardy męski głos. – Idziecie do Pięciu?

– Tak – odpowiedział Wawrzyniec.

– Tam nikogo nie ma. – Nieznajomy miał zrezygnowany głos, ale nie był to ten rodzaj rezygnacji, któremu towarzyszą jakieś emocje. Po prostu miał już wszystko gdzieś.

– Jak to nie ma? – zdziwiła się Monika. – Przecież tam zawsze ktoś jest, dyżur mają, toprowiec, obsługa...

– Może jest, nie wiem. Idę z dołu, wszedłem tylko na moment. Całe schronisko pod śniegiem. Wziąłem herbatę i poszedłem dalej. – Mężczyzna wskazał na termos.

– A nie spotkał pan po drodze kobiety z mężczyzną schodzących przed nami? – zapytał Wawrzyniec.

– Nikogo nie spotkałem już cholernie dawno, nawet się dziwię, że w ogóle was widzę – odpowiedział tamten szybko. – Dobra, idę, muszę przed zmrokiem zejść w pobliże schroniska, nie mam nawet czołówki.

Ruszył dalej już bez słowa, dopiero po kilku krokach rzucił, już tyłem do nich:

– Niech nas wszystkich Bóg ma w opiece.

– Wariat? – Monika patrzyła pytająco na Wawrzyńca.

– Kolejny? – Wawrzyniec wzruszył ramionami i zaczął powoli schodzić po lodowej tafli.

Ściemniło się dokładnie w momencie, gdy opuścili strome trawersy i ruszyli po wy płaszczeniu. Gdzieś po prawej musieli mijać tafle Wielkiego Stawu Polskiego, ale czy rzeczywiście się tam znajdował, ciężko im było ocenić. Zewsząd wyzierała już na nich czerń nocy. Nad głowami wciąż nisko wisały chmury, gdyby nie to, choć trochę światła rzucałyby na nich gwiazdy i księżyc. Na szczęście na tej

wysokości nie było już mgły, więc ledowe czołówki wystarczały, by widzieli, po czym idą i co czeka ich kilka metrów z przodu. Dalej, mimo idealnie białego śniegu wokół, czerń wchłaniała światło jak gąbka.

– A może to w ogóle nie byli oni? – odezwał się Wawrzyniec, przełamując rytmiczny chrzęst zmrożonego śniegu pod ich stopami.

Myśl o śmierci Łukasza, jego żony i matki nie dawała mu spokoju, a jeszcze bardziej doskwierała mu niemożność dopasowania wydarzeń w czasie. Niemożliwym było, żeby ten nieco gburowaty, ale jednak normalny człowiek, z którym niedawno rozmawiał przy rąbaniu drewna, zdążył potem w kilka dni oszaleć, trafić do psychiatryka, następnie z niego uciec i zabić swoich bliskich. Choć czas to zjawisko względne, to jednak nie aż tak, pomyślał Wawrzyniec.

– Ale kto? O kim mówisz? – odezwała się po chwili Monika.

Odpowiedziała pytaniem na pytanie, bo ewidentnie nie miała pojęcia, o co mu chodzi. Wawrzyniec zapomniał, że jednak nie czytała mu w myślach.

– No Trebunie, Łukasz, jego żona, matka – zaczął wyjaśniać. – Tak jak z tą całą Grażyną, która nie była Grażyną, może też ktoś się pod nich podszył. Może to jednak oni byli w komitywie z Plewińskim, żeby mnie zmusić do wyciągnięcia tego obrazu.

– Ale Plewiński też nie żyje, więc nie wydaje mi się, żeby był hersztem bandy. Poza tym zastanawiałeś się, dlaczego to akurat ciebie wszyscy typowali do znalezienia obrazu, o którym nie masz pojęcia. – Monika szła teraz blisko niego.

Sprawiała wrażenie osoby, która nie lubi mroku, szczególnie w tak odludnych miejscach. W tym akurat była trochę irracjonalna, może po prostu rządził nią jakiś gadzi atawizm. Racjonalnie rzecz ujmując, to gdzie jak gdzie, ale w akurat takim miejscu jak to nie groziło im zbyt wiele w ciemności. Dużo niebezpieczniej prawdopodobnie było na oświetlonych Krupówkach, niebezpieczni dla ludzi najbardziej byli inni ludzie, a tu ich nie było. Gadzi atawizm z pnia mózgu nie był jednak zbyt racjonalny – a raczej był racjonalny, ale tylko w świecie gadów, w którym ciemność zawsze oznacza zagrożenie. Podobnie zresztą w świecie duchowym: pustka,

chłód i ciemność, czyli głębia samotności. Od zawsze, kiedy zastanawiała się nad tym, czym dla niej mogłoby być piekło, to na myśl przychodziły jej właśnie chłód, ciemność i pustka, bardziej od gorącej lawy i kotłów z wrzątkiem, w których tapła się czereda nieszczęśników. Tak, samotności bała się zdecydowanie bardziej od poparzeń.

– Oczywiście, że się zastanawiałem, w kółko to robię. – Wawrzyniec, choć dopiero po chwili, to odpowiedział wyjątkowo stanowczo, a nawet dziarsko.

Niestety po tym dynamicznym wstępie nie nadeszła żadna konkluzja.

– I? Jakies wnioski? – Monika dopytała po chwili.

– Nie mam wniosków, już początek jest totalnie mglisty, potem robi się coraz bardziej zawile – uśmiechnął się.

– Ważne jest to, że Plewiński umarł na zawał, a Łukasz nie zabił się, bo miał komuś coś za złe, tylko dlatego, że miał schizofrenię – powiedziała nagle.

– Ważne dla kogo? – zapytał zdzwiony.

– Ważne dla prawdy, dla ciebie, może dla nich – odpowiedziała refleksyjnie.

– Dla Markowskich? – Wawrzyniec nadal nie zrozumiał.

– Tak – odpowiedziała.

Zbliżyła się do niego jeszcze bardziej, miała chyba wrażenie, że z ciemności za ich plecami zaraz coś na nią skoczy. Trochę korelowało to z tym, o czym rozmawiali, z tematem martwych dusz, gorzej nawet, martwych ciał.

– Oni, pewno szczególnie on, mieli wyrzuty sumienia wobec Łukasza. Przez tę historię ze spółką mogliby mieć wrażenie, że się zabił przez nich – zasugerowała.

– Monika. – Wawrzyniec się nagle zatrzymał, a ona wpadła na niego. – Ale oni nie żyją, więc co ich obchodzi, z jakiego powodu on się zabił? Albo na co zmarł Plewiński? Poza tym skąd wiesz, że Plewiński zmarł na zawał? Policja podejrzewała zabójstwo.

– Zrobili autopsję, wyszedł zawał. Pisali o tym w „Tygodniku”, nie mówiłam ci? – zdziwiła się.

Wawrzyniec pokręcił głową, czego nie mogła zobaczyć, bo było zbyt ciemno, ale pewnie to wywnioskowała, bo światło z jego czołówki przemieściło się kilkakrotnie w lewo i prawo.

– Idziemy czy zamierzasz tu zamarznąć? – ponagliła.



## 43.

Schronisko było zasypane śniegiem do tego stopnia, że początkowo nie mogli go zlokalizować. Tam, gdzie powinno się znajdować, leżała tylko wielka biała kopa śniegu. W ciemności, na mrozie i przy takim zmęczeniu poczuli się zagubieni i przerażeni, perspektywa nocy w namiocie w najcieplejszych nawet śpiworach nie uśmiechała się żadnemu z nich.

W końcu jednak po kolejnym kwadransie chodzenia w kółko dostrzegli w śniegu tunel prowadzący do wejścia. Przez szpary między drzwiami a ościeżnicą w ciemność wylewały się cienkie strumyki ciepłego światła. Zbawienie było na wyciągnięcie ręki po ośmiu godzinach krążenia we mgle i w ciemnościach.

Po wejściu do sieni najpierw długo otrzepywali się ze śniegu, szronu i lodu. Do wnętrza stołówki prowadziły kolejne drzwi. Wewnątrz było rzeczywiście pusto, jakby załogę schroniska i ewentualnych gości wyssał z wnętrza jakiś kosmiczny odkurzacz.

– Dobry! – odezwał się głośno Wawrzyniec. – Jest tu ktoś?!

– A jak inaczej? – Z głębi pomieszczenia dobiegł ich niski kobiecy głos.

Po chwili w ślad za głosem zza przepierzenia wyszła tęga kobieta w spódnicy.

– Co potrzeba? – zapytała tonem takim, jakby widzieli się kwadrans wcześniej.

– Zeszliśmy właśnie ze Szpiglasowej – zagaił Wawrzyniec. – Jesteśmy przemarznięci i...

– Z prądem czy bez? – przerwała mu kobieta.

– Z prądem poprosimy. – Pokiwała głową Monika. – Czy zeszła do pani od wczoraj może kobieta, rude włosy, z mężczyzną niewysokim, trochę tęgim? Bo z Morskiego próbowaliśmy się tu do was dodzwonić, ale...

– Ja nie mam czasu tu telefonów odbierać, sama jestem, ci z TOPR-u gdzieś znowu poleżli... – Tęga kobieta popatrzyła na

Monikę z sympatią, która nijak nie korelowała z jej słowami. – A tamci? Przyszli wczoraj, na górze są chyba.

– Jak to przyszli? – Wawrzyniec nie mógł uwierzyć, choć przecież na to w głębi serca liczył.

Grażyna z Romanem byli w sześćosobowym pokoju w lewym skrzydle na piętrze. Wawrzyniec zapukał, po kilkunastu sekundach otworzyła Grażyna. Jej rudoczerwone włosy były w nieładzie, na twarzy miała rumieńce. Może to z powodu różnicy temperatur, pomyślał Wawrzyniec.

– Dzień dobry. – Wawrzyniec uśmiechnął się nieśmiało.

Miał z tym spotkaniem niejaki problem. Zależało mu, żeby uniknąć jakiegokolwiek dwuznaczności, bo nie chciał ujawniać przed Moniką charakteru swojej relacji z Grażyną, choć nie umiałby nawet uzasadnić, czemu to dla niego tak ważne. Z Moniką nie byli przecież ani małżeństwem, ani nawet parą. A może jednak właśnie byli?

– Dobry, o co chodzi? – Grażyna wyglądała na niezadowoloną z faktu, że ktoś do niej przyszedł.

Przede wszystkim jednak sprawiała wrażenie, jakby go nie poznawała. To totalnie zaskoczyło Wawrzyńca i choć było mu to na rękę, to zupełnie się tego nie spodziewał i nie mógł zrozumieć, o co chodzi.

– Szukaliśmy państwa – wyręczyła go Monika. – Wyszliście wczoraj z Morskiego i nie wiadomo było, czy dotarliście gdzieś bezpiecznie.

– Dotarliśmy, jak widać – odpowiedziała Grażyna, wciąż niezbyt sympatycznie.

– Dobrze byłoby powiadomić o tym dyżurkę w Morskim. – Teraz i Wawrzyniec zrobił się mało uprzejmy.

Denerwowała go jej obcesowość, ale też w jakimś sensie czuł się dotknięty tym, że w ogóle go nie pamiętała. Chyba że wiedziała, kim jest, tylko teraz udawała kogoś innego przed Romanem kręcącym się w głębi mrocznego pokoju. Miała w tym już pewne doświadczenie, przede wszystkim nie była przecież żadną Grażyną, bo ta leżała na cmentarzu na Pęksowym Brzyzku.

– Tak, dobrze. Damy znać. Przykro mi, że państwa nie zapraszam, ale... – Grażynie zrobiło się chyba trochę głupio, bo jej ton stał się teraz cieplejszy, choć wciąż oficjalny.

Miała na sobie długi sweter, który przykrywał nogi do pół uda. Wawrzyniec zauważył to kątem oka i przez chwilę też o tym myślał, ale niedługo i niezbyt intensywnie.

– Jasne – powiedział. – To dobrej nocy życzymy.

– Tak, państwu też. Dziękujemy za troskę. – Grażyna uśmiechała się do Moniki.

Wawrzyniec już wcale na nią nie patrzył.

– Spróbuję zadzwonić do Morskiego jeszcze teraz albo najpóźniej rano, jak zejdziemy do Roztoki, bo tu nie ma za bardzo zasięgu – dodała jeszcze, gdy oni oddalali się już od drzwi.

Monika też miała na sobie tylko długi sweter. O tym Wawrzyniec myślał znacznie intensywniej, obserwując, jak krzątała się, szykując im herbatę i kanapki. Byli już rozgrzani herbatą z prądem, którą przygotowała im wcześniej kobieta na dole. Teraz w końcu pojawił się też chłód.

– Co myślisz o tej Grażynie? – zapytał.

– Co myślę? W jakim sensie? – odpowiedziała pytaniem, nie odwracając się nawet do niego.

Wiedział o tym, że lubiła, gdy na nią patrzył. Gdyby się odwróciła, przestałby patrzeć.

– No przecież ona mnie zna, a tutaj zachowywała się, jakby widziała mnie pierwszy raz w życiu – objaśnił, jękając się lekko, stąpał przecież po cienkim lodzie.

– Tak, to było trochę dziwne. Może chodziło o Romana, a może ma amnezję. – Teraz już odwróciła się w jego stronę.

Uśmiechała się do niego, w dłoniach trzymała talerz z kanapkami. Wawrzyniec więcej nie zaprzętał sobie głowy Grażyną, nie było już zresztą okazji. Najpierw kochali się intensywnie, a potem zasnął spokojnym snem.

Śnił mu się znów chłód. Był w jakimś ciasnym miejscu, w którym nie mógł się nawet poruszyć. Tym razem jednak przyszła ulga, nagle

zrobiło się ciepło, jakby ktoś otworzył drzwi. Tym kimś była Monika, która stała teraz nad nim z kubkiem kawy. Był już ranek.

– Wstawaj – powiedziała zdecydowanym tonem. – Byłam już u naszej pani na dole. Ma poszukać książki meldunkowej.

– W sensie sprawdzić, kto tu był tamtego dnia?

– Tak, do kogo szli. Może do nikogo, może szli po prostu na spacer... Ale w taką pogodę? Warto sprawdzić – podsumowała, przysiadając na krawędzi łóżka.

– Po to tu głównie jesteśmy. – Potwierdził skinieniem głowy.

Usiadł na łóżku i odruchowo chciał wyjrzeć za okno, ale zobaczył tylko biel. Nawet na wysokości pierwszego piętra śnieg zasłaniał wszystko.

Na dole zjedli jajecznicę, która czekała już na nich, choć nikt nawet o nią nie poprosił. Tęga kobieta pojawiła się, gdy skończyli jeść.

– Sprawdziłam tę książkę meldunkową – spojrzała czujnie na Monikę – w tej dacie.

– A jaka to była data? – próbował sobie przypomnieć Wawrzyniec. – Jakoś marzec, ale który?

– Dwudziesty ósmy – kobieta podsunęła mu „Tygodnik Podhalański”.

Na pierwszej stronie widniał krzykliwy tytuł *Matżeństwo ginie w kolejnej lawinie w Morskim Oku*. Wawrzyniec zerknął jeszcze na lead, w którym autor zastanawiał się, „czy nieszczęścia można było uniknąć”. Pomyślał, że zawsze można uniknąć, ale i tak się nie unika. Zaraz potem przyszła raz jeszcze ta sama refleksja, że akurat oni w tym stanie, w jakim byli wtedy, w euforii odświeżonej miłości, na pewno robili wszystko, żeby uniknąć śmierci. A zatem...

– I co? Był tu ktoś? – zapytał, pewien, że otrzyma potwierdzenie.

– Nie – odpowiedziała lapidarnie kobieta i pokręciła głową, zbierając przy tym talerze ze stołu.

– Sama pani tu była? – zdziwiła się Monika. – Wtedy też?

Kobieta zastygła i spojrzała w okno, jakby próbując coś sobie przypomnieć.

– Purwiński – powiedziała w końcu.

– Kto? – zdziwiła się Monika.

– No Purwiński z TOPR-u był, dyżur miał. Straszny gbur, nigdy z nim słowa nie zamieniłam nawet, ale nad ranem wyszedł dokądś z załadowanym plecakiem.

Kobieta uśmiechnęła się. Najwyraźniej lubiła, kiedy pamięć jej nie zawodziła.

– Zaraz. – Wawrzyniec coś zaczął kojarzyć. – Purwiński wyszedł z czymś nad ranem tego dnia, kiedy był wypadek w Morskim?

– Tak, tego, na bank tego, bo potem to radio toprowskie trzeszczało tam cały ranek w tym kantorku, a nie było komu podjąć. Ja się tego nie tykam. – Pokręciła głową z obrzydzeniem kobieta. – Ale tam się zwoływali do Morskiego, więc to na pewno był dzień tej lawiny.

– Purwiński był pierwszy przy mnie tam na lawinisku. – Wawrzyniec spojrzał ostrożnie na Monikę. – Moment po tym, jak śnieg się zatrzymał. Witek mówił, że on mieszka gdzieś na Łysej i że ma blisko... A on stąd, i to nad ranem...

Cała trójka popatrzyła na siebie. Wawrzyniec i jego towarzyszka wiedzieli już, co z tego wszystkiego może wynikać.

– A co niósł? – zapytała po chwili Monika.

– A skąd mam wiedzieć? On ma tu swój schowek, coś stamtąd może. – Wzruszyła ramionami gospodyni, po czym dodała: – Myśli, że nikt o nim nie wie. Przede mną ciężko coś ukryć.

– Gdzie ten schowek? – wykrzyknął niecierpliwie Wawrzyniec.

– Za schroniskiem, tam przy kolejce, tej naszej towarowej... Ale tam będzie pewno teraz i tak przysypane. – Kobieta zmieniła teraz ton, jakby ponieważ chciała ugryźć się w język.

Pewno nie pierwszy raz w życiu pożałowała swojej gadatliwości, ale było za późno.

– Odkopimy. – Wawrzyniec był bezlitosny.

Pogoda była przepięknie słoneczna. W oddali widać było całe otoczenie Wielkiego Stawu Polskiego, od Niżniego Kostura po Gładki Wierch. Słońce odbijało się od śniegu tak mocno, że bez przyciemnianych okularów trudno było nawet otworzyć oczy.

Kobieta ze schroniska wyszła z nimi, wskazała, dokąd mają iść, opisała schowek i zniknęła. Nie chciała udać się tam z nimi. Wszystko dookoła było zasypane śniegiem do tego stopnia, że dojście na miejsce zajęło im dobre pół godziny, choć w normalnych, bezśnieżnych warunkach byłoby to pewno góra pięć minut.

Wawrzyniec zabrał ze schroniska szpadel, młotek i przecinak, na wypadek gdyby skrzynka, o której mówiła kobieta, była zamknięta na kłódkę. Kopali na zmianę przez trzy kwadransy, choć głównie robił to on. W pewnym momencie byli już przekonani, że kobieta coś zmyśliła, pomyliła miejsce albo oni źle zrozumieli jej słowa. Dopiero po odsypaniu mniej więcej dwóch metrów kopnego śniegu Wawrzyniec dostrzegł w końcu deski, które po kolejnych kilku minutach pracy okazały się skrzynką, której szukali.

Nie było kłódki. Prawdopodobnie Purwiński był przekonany, że ukrycie jej w tak mało dostępnym miejscu stanowi wystarczające zabezpieczenie, a może w ogóle nie potrzebował żadnego zabezpieczenia, bo w środku nie znajdowało się nic, co chciałby ukryć.

– Narzędzia – skonstatował Wawrzyniec po podniesieniu wieka skrzyni.

– I nic poza tym? – spytała stojąca za jego plecami Monika.

– Poza tym... – Wawrzyniec nachylił się i zajrzał w głąb skrzyni.

W środku pachniało żywicą, smarem i czymś jeszcze. Po chwili ostry, chemiczny zapach stał się dominujący. Wawrzyniec dostrzegł fragment jakiegoś sznurka czy kabla. Wyciągnął go ze skrzyni i zaczął oglądać w pełnym słońcu. To właśnie stąd dobiegała owa charakterystyczna woń. Wyglądało to na kabel w izolacji, tyle że

była ona mocno nietypowa, pomyślał. Po chwili uznał, że nie był to żaden kabel, tylko biały rdzeń zrobiony z niewiadomego materiału. Wawrzyniec oglądał kawałek przewodu ze wszystkich stron i wahał go tak długo, aż Monika zaczęła się śmiać.

– No co? – zapytał, patrząc na nią ze zdziwieniem, jakby w ogóle zapomniał na chwilę o jej istnieniu.

– To ja się pytam. – Przestała się śmiać, ale nie przestała się uśmiechać.

– Lont detonujący – zawyrokował nagle Wawrzyniec.

– Co? – zdziwiła się.

– Nie jestem do końca pewien, ale wydaje mi się, że to jest lont detonujący, czyli forma ładunku wybuchowego, tyle że działającego liniowo, nie punktowo – powiedział.

Sam zdziwił się tym, jak bardzo profesjonalnie to zabrzmiało. Teraz to Monika patrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Na górze, kiedy poszedłem tam dzień po zejściu lawiny, w miejscu, skąd się zaczęła, była bardzo równa linia i ślady osmaień. Moim zdaniem to targał na górę Purwiński tego dnia nad ranem, i to ten wybuch słyszałem chwilę przed tym, jak ruszyła lawina. – Wawrzyniec był rozemocjonowany: – Nie pojebało mnie, rozumiesz? Miałem rację, od początku miałem rację!

– Nigdy nie uważałam, że cię pojebało. – Monika pokręciła głową.

– Wiem, wiem, ty jedna nie, ale cała reszta... Witek, Romek, Plewiński, Grażyna, Łukasz, nawet Basia w Halamie, nie mówię już o Ziętce z policji. Wszyscy myśleli, że pisarzowi coś się przywidziało i trzeba to jakoś przeczekać. A tymczasem... – Wawrzyniec triumfalnie uniósł w powietrze kabel, przewód, czyli prawdopodobnie lont.

Odcięli tylko kawałek, żeby skonsultować z kimś na dole, czy to rzeczywiście może być lont, a jednocześnie, żeby Purwiński nie zorientował się, że coś zniknęło z jego tajnej skrzynki. Następnie z powrotem zasypali śniegiem dziurę wykopaną wcześniej z takim mozołem. Wprawdzie ślad ich ingerencji i tak był widoczny, ale mieli nadzieję, że prognozowane na kolejne dni opady w znacznej mierze to zamaskują. Poza tym liczyli też na to, że nawet jeśli

Purwiński orientuje się, że ktoś grzebał w jego tajnej skrzyni, i tak będzie już dla niego za późno.

– No dobra – odezwała się Monika, kiedy byli już blisko śnieżnego tunelu wiodącego do drzwi schroniska. – Tylko jeśli rzeczywiście, to czemu?

– Czemu to zrobił? – Wawrzyniec dla pełnej jasności upewnił się, że o to jej chodziło. – Nie mam pojęcia. Tego musimy się dowiedzieć, ale to już raczej na dole.

– Schodzimy? – zapytała.

– Tak, Roztoką. Za dwie godziny będziemy przy Wodogrzmotach, złapiemy stopa albo autobus, za trzy, czyli o... – Wawrzyniec zerknął na wyświetlacz telefonu – ...szesnastej będziemy w Zakopanem.

Poszli pożegnać się z kobietą i spytali ją jeszcze, czy Grażyna wciąż była w pokoju na górze. Okazało się, że nie, wyszli razem z Romanem o świcie, ale nie powiedzieli dokąd. Przy okazji, znów nie panując nad swoją gadatliwością, gospodyni powiedziała im jeszcze, że te wizyty są tu całkiem częste, że przychodzą różni, czasem na jedną noc, czasem na kilka. Pewnie uroda tego miejsca ich tu przyciąga albo może klimat, podsumowała refleksyjnie.

– Państwo też przecież jakoś tu dotarliście – dodała już, kiedy wychodzili.

Rzeczywiście, jakoś tu dotarli, pomyślał Wawrzyniec, gdy już schodzili. Jakoś wszystko się złożyło tak, że sprawy, których przez tak długi czas nie mógł rozwiązać, teraz nagle nabrały rozpędu. Wątki wreszcie zaczynały się łączyć, pojawiły się logiczne ciągi następstw. Najpierw długie tygodnie we mgle i w końcu światło, na razie z oddali, ale obiecujące – trochę jak jasna poświata, która pojawia się, zanim chmury rozstąpią się w końcu, po miesiącach przyciskania człowieka do ziemi swoją ciężką szarością.

– Jakiś pomysł na to, czemu miałyby to zrobić? – Usłyszał głos Moniki idącej przed nim.

– Żadnego – odpowiedział szybko. – Może nie ma żadnego sensownego powodu, bo to nic osobistego, może jest psychopata



piromanem, może lubi lawiny, może nawet zabił ich przypadkowo...

– Swoją drogą, nie ma nawet, jak to się nazywa...? *Corpus delicti*? Nikt na razie nie uznałby go za zabójcę. Bez ciał nie ma, zdaje się, zbrodni – powiedziała, zatrzymując się przy wodospadzie Sikława.

Zrobiło się cieplej, śnieg topniał w szybkim tempie, zasilając potęgę kaskady. Łomot spadającej wody był zbyt ogłuszający, by tu rozmawiać. Mgiełka z milionów maleńkich kropli wody rozbitych na skałach chłodziła im twarze. Wawrzyniec czuł, jak woda zmywa z niego wcześniejsze trudy. Po co tyle wysiłku? Czy nie można było tu przyjść wcześniej? Pewno nie, bo nic nie może się wydarzyć, zanim ma się wydarzyć.

– O czym myślisz? – zapytała go, zbliżając usta do jego ucha.

– Że jestem... że jesteśmy już blisko.

– Tylko czego?

Siebie, pomyślał, ale nie powiedział tego na głos. Monika ruszyła dalej, ale sekundę wcześniej zdążył jeszcze dostrzec na jej twarzy zagadkowy lęk.

## 45.

Prosto z autobusu, który zatrzymał się przy rondzie Jana Pawła II, poszli do siedziby TOPR-u na Piłsudskiego. Spacer nie był długi, nawet z ciężkim plecakiem zajął im mniej niż kwadrans. Kiedy weszli do budynku, od razu zorientowali się, że coś jest nie tak. Trwały jakieś gorączkowe rozmowy między ratownikami, a zanim zdążyli ustalić, co się stało, grupa sześciu ratowników ze sprzętem opuściła budynek. Dało się słyszeć dźwięk głośnych silników toprowskiego Sokoła. Po chwili dźwięk zelżał, ale nie ustał, czyli śmigłowiec musiał usiąść gdzieś blisko. Po kolejnych kilkadziesiąt sekundach ryk silników znów się wzmógł, po czym maszyna przeleciała tuż nad dachem budynku. Przez moment szyby drżały, a potem zrobiło się zupełnie cicho i pusto. Na miejscu został tylko dyżurny, który przez cały czas rozmawiał przez telefon albo przez radio. Nie chcieli mu przeszkadzać, a nie było okazji, żeby go o cokolwiek spytać. Wawrzyniec wszedł do dyżurki i przez moment przysłuchiwał się rozmowom.

– Zdaje się, że w Morskim znów zeszła lawina – powiedział do zdeorientowanej Moniki, kiedy wrócił na korytarz. – Tym razem ze stoków Opalonego, Żlebem Żandarmerii.

– Coś więcej? – Monika patrzyła na niego niepewnie.

Przyszło mu do głowy, że jeśli nie wypowie na głos tego, co już wiedział, to będzie tak, jakby nic się nie wydarzyło, cała sytuacja nigdy się nie ziści, pozostanie na zawsze gdzieś w sferze jego graniczących z pewnością domysłów.

– Romek i Witek – dokończył bezbarwnym głosem.

Zdał sobie sprawę, że to już się stało i jest realne. Milczenie nic już i tak nie pomoże.

– Co Witek i Romek? – dopytała.

– Ruszyli na pomoc i... – popatrzył na nią ze smutkiem. – Zeszła kolejna.

Pokiwała głową, teraz już wiedziała wszystko.

– Ale kopią. Na miejscu był ktoś jeszcze, kto od razu zaczął szukać, a teraz już druga załoga poleciała.

Wawrzyniec jakby nagle na chwilę odzyskał wiarę w możliwość zagięcia czasoprzestrzeni, oszukania fatum, zapobieżenia nieuchronnemu.

Chwilę stali w milczeniu, nie bardzo wiedząc, co mają dalej zrobić. Przyszli tu w sprawie Purwińskiego. W normalnych warunkach pewnie byłoby im trudno przejrzeć jego rzeczy, za dużo kręciło się tutaj ludzi, nigdy nie wiadomo było, czy ktoś się nie zjawi. Teraz nikt by się nimi nie zainteresował, bo wszyscy wylecieli Sokołem na akcję do Morskiego albo pojechali samochodami. Warunki były zatem teoretycznie idealne, tyle że...

– Jeśli podejrzewamy, że miał udział w zabójstwie, to nie możemy się teraz krygować. – Monika nie zatraciła jasności widzenia, była zdeterminowana, by zrealizować plan. – Może tak miało być, w sensie: może mieliśmy dostać taką szansę.

Wawrzyniec nie odpowiedział, ale pokiwał głową. On wiedział doskonale, dokąd mają iść, w końcu spędził w tym miejscu kawał życia. Odkąd odszedł z TOPR-u, upłynęło już wprawdzie sporo czasu, ale nie zmieniło się tu przesadnie wiele. Ratownicy mieli swoje szafki tam, gdzie dawniej, a szafka Purwińskiego znajdowała się tam, gdzie kiedyś.

Traf chciał, że gorączkowość i pośpiech ratowników podczas przygotowania do akcji stworzyły Monice i Wawrzyńcowi jeszcze jedną szansę, której w normalnych okolicznościach pewnie by nie dostali. Kilka szafek w szatni było otwartych, również Purwiński najwyraźniej próbował zamknąć swój schowek, ale nie do końca mu się udało. Skobel wyszedł z zamka, co świadczyło o tym, że właściciel próbował zamknąć go kluczem, tyle że drzwi szafki nie były wystarczająco dociśnięte.

– Mamy fart? – zapytał Wawrzyniec, wskazując na tę właśnie szafkę.

– Mówiłam. – Monika uśmiechnęła się i odchyliła drzwiczki.

W szafce były głównie ubrania, do tego trochę sprzętu, czekany, lina, raki, na nich podarta kurtka z goreteksu i trochę książek. Na

dole stały uwalane błotem buty górskie i drugie, ciężkie buty do skitouringu z plastikową skorupą.

– Pewnie przeszedł wtedy na nartach. – Wawrzyniec wskazał właśnie na nie.

Monika podniosła jeden z nich. Obejrzała go pobieżnie, ale myślała zdaje się o czymś zupełnie innym, bo po chwili go odrzuciła. But opadł na blaszane dno szafki z głuchym tąpnięciem.

– Tak, tylko co nam po takiej wiedzy – powiedziała smutno. – Uprawia skitouring, większość z nich to robi.

Monika mówiła dalej, ale Wawrzyniec już jej nie słuchał. Przyklęknął, raz jeszcze uniósł plastikowy but i ponownie upuścił go na dno szafki. Rozległo się to samo głucho tąpnięcie, zbyt głucho jak na to, że pod dnem blaszanej szafki nic nie powinno się już znajdować.

– Pomóż mi. – Spojrzał nerwowo na Monikę. – Musimy wyjąć te wszystkie rzeczy.

Wawrzyniec wskazał na to, co leżało na dnie szafki, i sam zabrał się do wyciągania po kolei butów i sprzętu. Monika dołączyła do niego po chwili. Kiedy opróżnili szafkę, Wawrzyniec pochylił się do wnętrza z zapaloną latarką w telefonie. Obszukał boczne krawędzie, potem resztę powierzchni. Po kolejnych kilku sekundach wyjął całe blaszane dno szafki, pod którym – jak się okazało – leżały zgromadzone w teczce papiery. Dopiero tutaj znajdowało się właściwe dno. Wawrzyniec odstłonił je, puknął dłonią. Zabrzączała blacha, a on spojrzał na Monikę z szelmowskim uśmiechem. Wyglądało to trochę tak, jakby samo odkrycie podwójnego dna było dla niego ważniejsze od tajemniczej zawartości.

Monika wzięła do ręki teczkę i otworzyła ją. Wewnątrz znajdowały się wydrukowane maile, cała wielomiesięczna rozmowa pomiędzy b.purwiński@gmail.com oraz a.markowska@wp.pl.

– B. Purwiński – Wawrzyniec spojrzał na Monikę z rozbawieniem. – To znaczy, że jak on ma właściwie na imię?

– Bronek, Bronisław. – Monika wskazała na podpis kończący pierwszy mail.

Czytali przez godzinę, a może dłużej. Maile, które początkowo były tak naprawdę wymianą listów miłosnych, z czasem zaczęły się

zmieniać w listę żądań, i to formułowanych przez Purwińskiego, który – jak wynikało z treści – zaczął tracić grunt pod nogami. Zmianę tonu spowodował jeden z listów Agnieszki, w którym napisała, że choć jest dla niej bardzo ważny, to będzie musiała skończyć relację z nim, ponieważ zmieniła się diametralnie sytuacja w jej małżeństwie.

– Wróciła do Piotra, a Broniek nie umiał się z tym pogodzić – skwitowała Monika.

– Brak jego zgody mogła olać, czemu tak nie zrobiła? – zapytał Wawrzyniec.

Monika wzruszyła ramionami i zabrała się do czytania kolejnych maili. Gdzieś wśród nich musiała tkwić odpowiedź na to pytanie.

– „Wiesz, że mam nagrania wszystkich naszych rozmów. To, co mówiłaś o Piotrze, na pewno mu się nie spodoba” – odczytał Wawrzyniec z kolejnej kartki, po czym dodał po chwili: – A to skurwiel. Czyli szantaż. Tylko po co? Jeśli zależało mu na niej tak bardzo, to mógł to zasrane nagranie po prostu do niego wysłać.

– Może wiedział, że jak wyśle to do niego, to może i Piotr od niej odejdzie, ale ona już na pewno nie wróci wtedy do niego – skomentowała Monika.

– Może, a może chodziło o coś jeszcze innego? – zamyślił się Wawrzyniec.

Po przewertowaniu kilkadziesiąt kolejnych maili doszli do wniosku, że Purwiński od pewnego momentu zaczął udawać, że rzeczywiście chodzi mu o coś innego: o pieniądze, a ich najlepszą lokatą były jej obrazy, więc zażądał właśnie obrazu. Tego obrazu. Mieli mu go we dwójkę dostarczyć wtedy właśnie, tego dnia, gdy ruszyli do niego do Pięciu Stawów i nigdy tam nie dotarli. Nie dotarli zaś dlatego, że on zwałił im na głowę miliony ton śniegu i lodu. Czyli może jednak nie chodziło o obraz ani o pieniądze, była to tylko urażona duma faceta, może miłość w swojej destrukcyjnej, zmąconej zazdrością odmianie.

– Czyli co z obrazem? – zapytała Monika, gdy już prawie wszystko stało się jasne.

– Może leży razem z nimi na dnie Morskiego Oka? – zasugerował.

– Może tak, a może nie – zaproponowała. – W ostatnim mailu, wysłanym w przeddzień lawiny, on wzywa ją pilnie do schroniska, a ona pisze, że przyjdą do niego i omówią to już we trójkę. Nie pisze, że przyjdą z obrazem, tylko że omówią. Swoją drogą, czemu we troje? Czemu nie spotkała się z nim sam na sam? Czemu w schronisku, a nie w kawiarni, gdzieś tu na dole?

– Może już nie chciała spotykać się z nim sama, budzić w nim nadziei, stwarzać mu dogodnych warunków, nie mam pojęcia... – Wawrzyniec wyciągnął telefon i zaczął fotografować wszystkie wydrukowane maile, jeden po drugim.

– A czemu to wydrukował? – Monika przeglądała ostatnie, nieprzeczytane jeszcze, elementy tej dziwnej korespondencji.

– Może chciał mieć dowód na papierze, może bał się, że mu zhakują konto mailowe, ciężko powiedzieć.

Wawrzyniec odłożył maile i przeszukiwał teraz jeszcze inne rzeczy, które również znajdowały się w teczce. Natrafił między innymi na oryginał kwitu z zamówieniem na obraz. Tu podpis też był mało czytelny. Zdaje się, że miał udawać podpis Masteraka, ale zarazem być na tyle trudny do odszyfrowania, żeby ewentualna kontrola w razie czego nie była w stanie dojść, kto to podpisał i kto za tym wszystkim stał.

– To przekręt był – powiedział Wawrzyniec, bardziej do siebie niż do Moniki.

– Czemu? – zapytała, nie odrywając się od lektury.

– Za dużo wysiłku w to wszystko włożył, żeby mogło chodzić o coś innego – odpowiedział, po czym po chwili namysłu dodał stanowczo: – Po tym kwitku widać, że zasadził się na obraz. Zabił ich, bo za dużo wiedzieli o jego wałku albo w zemście za to, że mu go uniemożliwili.

– Z maili mi to nie wynika jakoś, wydaje mi się, że to raczej miłość – obstawała przy swoim Monika.

– Ciekawe, co takiego miał nagrane, co Agnieszka naopowiadała mu na temat męża – zamyślił się Wawrzyniec.

Powoli zaczynało wyglądać na to, że Monika i Wawrzyniec nie będą w stanie zgodzić się co do motywów działania Purwińskiego. Ona była przekonana, że Purwiński popełnił wprawdzie zbrodnię,

ale zrobił to w afekcie; on uważał, że morderstwo prawie doskonale zostało wykalkulowane i motywowane było względami materialnymi. Wawrzyniec sądził też, że Agnieszka zachowała się wcześniej jakoś wyjątkowo nielojalnie wobec Piotra, swojego męża. Monika nie miała takiego przekonania. Jej zdaniem prawdopodobnie Agnieszka w gniewie powiedziała kilka ostrych słów o nim, ale nie było to zapewne nic szczególnie uwłaczającego.

– To czemu ją szantażował, że ujawni to nagranie? – zapytał logicznie Wawrzyniec.

– Nie wiem, ich związek świeżo się odbudowywał, może nie chciała, żeby zdarzyło się coś złego, bała się, że każda rysa może doprowadzić do pęknięcia i... – Monika urwała.

– I pójdzie lawina – dokończył Wawrzyniec.

– Zabił z miłości czy z chciwości, do tego nie dojdziemy, ale wiemy, że zabił – po chwili odezwała się znów Monika.

Była już chyba zmęczona sporem. Zdawała sobie pewnie sprawę, że i tak nie uda im się prawdopodobnie odkryć całej prawdy.

– Dojdziemy do tego. – Wawrzyniec był cały czas stanowczy. – Musimy dojść, doskonale o tym wiesz.

Ona nie wiedziała wprawdzie, dlaczego miałyby doskonale o tym wiedzieć, ale uznała, że lepiej zostawić to w tym miejscu.

– Ale masz rację. – Pokiwał głową. – Mamy wyraźne poszlaki, że to zrobił, trzeba to przekazać Ziętce. Jest leniwy, ale nie aż tak, żeby nie wziąć sprawy, która sama do niego przychodzi.

– Nie tylko poszlaki, ale też chyba dowód. – Monika uśmiechnęła się szeroko, bo w tym momencie znalazła coś, czego zupełnie się nie spodziewali.

Na dnie teczki leżało kilka listów wyklejanych tą samą metodą i z tych samych liter jak te, które znaleźli dawno temu w domu Markowskich i które potwierdziły przynajmniej w jakimś stopniu przeczucie Wawrzyńca, że w górach był świadkiem czegoś innego niż tylko przypadkowego zejścia lawiny. W połączeniu z mailami, z których wynikało, że Purwiński szantażował Agnieszkę i że tamtego dnia szli się z nim spotkać, z resztkami lontu detonującego w jego schowku w Pięciu Stawach oraz śladami znalezionymi w górach przez Wawrzyńca zaraz po wypadku dawało to obraz

jasny i raczej niepozostawiający wątpliwości. Były już właściwie tylko dwa pytania. Jedno, na które odpowiedź, pewno drugorzędna z punktu widzenia wymiaru sprawiedliwości, dla nich, a szczególnie dla niego, wydawała się mieć ogromną wagę: czy Purwiński zrobił to z miłości, czy z chęci zysku? Drugie pytanie, z pozoru niemające wiele wspólnego z samą sprawą, ale nurtujące ich oboje, choć nawet o tym nie wspomnieli do tej pory: co stało się z obrazem... z tym obrazem?

– Myślisz, żeby to od razu zabrać na policję? – Monika wskazała na kartki rozłożone na sporej części wykafelkowanej podłogi w szatni.

– Nie. – Pokręcił głową Wawrzyniec. – Myślę, że muszą to znaleźć sami, inaczej zarzucą nam jeszcze preparowanie dowodów albo coś takiego. Pomyślę, jak im to podsunąć. Może nie Ziętce, bo to zgubi albo oleje, może temu aspirantowi Nowakowi.

Następnie oboje zabrali się do metodycznego układania papierów w taki sposób, by wszystko wyglądało na nietknięte. Konkretnie to układała Monika, a Wawrzyniec przed przekazaniem jej kolejnych kartek fotografował każdą telefonem. Po dwudziestu minutach wszystko wyglądało tak, jakby nikt tego nigdy nie tknął. Dno szafki zostało wstawione z powrotem i przykryte sprzętem górskim w układzie odtworzonym ze zdjęcia, które zapobiegawczo zawczasu zrobił Wawrzyniec.

Po wyjściu z szatni przeszli z powrotem do części kawiarnianej budynku. Chcieli podejść do dyżurnego, żeby dowiedzieć się, co dzieje się w lawinisku, ale był zbyt zaferowany. Do tego Wawrzyniec go nie znał, więc trzeba by mu zbyt wiele tłumaczyć. Usiedli na chwilę przy stoliku, by zastanowić się, co dalej. Wawrzyniec zamówił herbatę. Miał ochotę napić się piwa, ale przyszło mu do głowy, że nie licowałoby to z powagą sytuacji. Informacja, której nie pozyskali od dyżurnego także dlatego, że zbyt wiele jej obawiali, przyszła do nich sama, kiedy do kawiarni weszły żony dwóch ratowników biorących udział w akcji.



Z rozmowy pań dowiedzieli się, że do tej pory udało się odnaleźć Romka i kobietę, której na ratunek ruszyli z Witkiem. Lawina pociągnęła ich aż do Rybiego Potoku. Witka nadal szukano. Monika i Wawrzyniec wciąż jednak nie usłyszeli kluczowej informacji: czy odnalezieni byli żywi, czy martwi? Monika w końcu zdecydowała się zapytać o to jedną z kobiet. Ta, choć w opinii Wawrzyńca zachowała się trochę impertynencko, bo nie nawiązała z nią nawet kontaktu wzrokowego, odpowiedziała:

– Podobno Romek był jeszcze ciepły, ale już się nie dało go przywrócić. Kobieta nie żyła już od jakiegoś czasu, była sztywna, nawet nie próbowali...

Monika spojrzała na Wawrzyńca, w jej wzroku nie było smutku, raczej coś na kształt spokoju człowieka, który ma wiedzę albo intuicję większą od niego. Coś, jakby powiedziała: „A nie mówiłam?”. Tyle że Wawrzyniec nie mógł sobie za cholere przypominieć, żeby rzeczywiście o tym rozmawiali.

– A co za kobieta w ogóle? – zapytała po chwili druga z rozmówczyń.

– Podobno to taka Grażyna... Foremska czy jakoś tak. Pracowała u nas w urzędzie, mogłaś ją znać, ty tam często chodzisz – odpowiedziała pierwsza z kobiet konfidencjonalnie, a jednocześnie na tyle głośno, żeby wszyscy słyszeli.

Do tego ton jej opowieści sprawiał wrażenie, jakby opowiadała koleżance, kto ostatnio wstawił sobie implanty albo czyj mąż chodzi na boki, pomyślał Wawrzyniec. Jego ta informacja, przekazana w tak lekki sposób, totalnie zszokowała.

Witka znaleziono godzinę później. Tego dowiedzieli się, kiedy dyżurny zszedł do sali, żeby zamówić dwie pięćdziesiątki, które następnie wypił jedną po drugiej. Wyglądał na człowieka na skraju wyczerpania, ale jego zmęczenie nie wynikało z pracy ani ze stresu, tylko ze smutku i poczucia niemocy, które ogarniają ludzi w takich sytuacjach.

Idąc w stronę Halamy, przez kilka minut nie odezwali się do siebie nawet słowem, dopiero kiedy mijali drewniany płot okalający zabudowania, Wawrzyniec powiedział:

– Nie wiem tylko, kto zginął tak naprawdę, podszywając się pod Porębską. I jak to teraz ustalać?

– Może nie ma co ustalać – odpowiedziała Monika, wciągając głęboko mroźne powietrze.

– Jak to nie ma co ustalać? – zapytał z wyczuwalnym zniecierpliwieniem w głosie.

– Może pod Porębską podszyła się sama Porębska... albo może wydawało ci się, że się podszyła – zasugerowała ona.

– Jak to sama Porębska, jak to mi się wydawało? – odpowiedział dobitniej, bo jej sugestia jeszcze bardziej go zirytowała. – Przecież widziałem płytę, byłem przy jej grobie.

– Nie żyje, to ma płytę – odpowiedziała trochę głupio, ale jego zniecierpliwienie wyraźnie i ją wyprowadziło z równowagi.

– Umarła dwa razy? – On niestety miał nadal ochotę na kontynuowanie tej wymiany zdań.

– Nie, umarła tylko raz. – Monika stanęła i popatrzyła Wawrzyńcowi prosto w oczy. – Dziś pod lawiną, jak Markowscy, tylko jej ciało znaleziono, a ich nie.

W tym momencie Wawrzyniec dostrzegł sylwetkę mężczyzny wchodzącego przez furtkę na teren Halamy.

– Czekał, czy to nie Kaziu? – Wskazał głową w tamtą stronę.

– Nie wiem, nie widziałam, bo kłóciłam się z tobą – odburknęła Monika.

– Chodź – powiedział i ruszył w stronę wejścia.

## 46.

Kazia nie było. Zapytany przez nich Władek twierdził, że nie widział, żeby tamten wchodził, a poza tym uważał to za wysoce nieprawdopodobne.

– Czemu właściwie? – zapytał Wawrzyniec, który wciąż miał lekko zaczepny nastrój.

Wiedział przecież doskonale, czemu przyjście Kazia było mało prawdopodobne. Kierowniczka opowiadała mu, że Kaziu rozstał się z nią w niezgodzie, poza tym miał kłopoty zdrowotne.

– Bo go nie ma – odpowiedział lapidarnie Władek, a w jego głosie zabrzmiała tak poważna nuta, że Wawrzyniec nie miał już ochoty dążyć dalej, w końcu doskonale wiedział, co mógłby usłyszeć. W każdym razie tak mu się zdawało.

Zamiast tego wyciągnął do Władka otwartą dłoń, w której trzymał klucz z aluminiowym trójkątnym brelokiem bez numeru. Portier przez chwilę nie wiedział, jak zareagować. Wawrzyniec uśmiechnął się.

– Wygląda jak klucz stąd, ale nie ma numeru. Masz pomysł, od czego to może być? – zapytał.

Władek spojrzał na Monikę, potem na Wawrzyńca. Przez moment się wahał, w końcu chyba zrozumiał, że właściwie nie ma już powodu, by coś ukrywać. Gra najwyraźniej powoli dobiegała końca, piony przeszły całą ścieżkę szachownicy, a król był nagi.

– Mam... mam pomysł – odpowiedział chłodno i trochę na raty.

Wawrzyńcowi wydało się też, że wyczuł w głosie Władka smutek. Milczeli. Czekali wszyscy troje, tylko właściwie na co?

– Zdradzisz nam? – Wawrzyniec uśmiechnął się z ironią.

– To od kanciapy Kazia – odpowiedział Władek wolno, ważąc każde słowo, jakby to była modlitwa albo przysięga.

Okazało się, że kanciapa Kazia mieściła się w podłużnym parterowym pawilonie na tyłach drugiego z domów należących do kompleksu Halamy. Przeważnie spała tutaj obsługa, głównie osoby,

które musiały być w pracy od rana, a mieszkały gdzieś dalej. Dawniej, w dzieciństwie Wawrzyńca, zdarzało się, że w szczycie sezonu przemieszkiwali tutaj też wczasowicze, którym nie udało się uzyskać miejsca w jednym z dwóch domów głównych, czyli obszernych, trzypiętrowych willi, postawionych jeszcze przed wojną. Ta bardziej okazała, znajdująca się od frontu, należała do samej pięknej długonogiej Lody Halamy, przypomniał sobie nagle Wawrzyniec. Pawilon, w którym teraz się znajdowali, powstał, gdy tancerka nie żyła już od lat. Może to i nawet lepiej, pomyślał Wawrzyniec, wchodząc w zatechły wilgotny mrok korytarza pawilonu. Może lepiej, bo raczej nie spodobałby jej się ten budynek, nawet jako służbówka.

Pokoik Kazia znajdujący się na końcu korytarza był rodzajem schowka. Zresztą nazywanie go „kanciapą Kazia” było umowne, ponieważ teoretycznie dostęp do niego, jak wyjaśnił im teraz idący przodem Władek, mieli wszyscy. Teoretycznie, bo tylko Kaziu miał klucz, który zresztą ostatnio się zagubił – a teraz się odnalazł.

– Zapytał kiedyś kierowniczkę, czy mógłby tu zostawić na zimę swój motocykl – tłumaczył Władek, wkładając klucz do zamka. – Zgodziła się, a on władował tu połowę swojego majdanu.

– Ale teraz go tu już nie ma, to czemu to wszystko wciąż zostało?  
– zapytała Monika, rozglądając się po wypełnionym po sufit wnętrzu.

Czego tu nie było! Rzeczywiście na centralnym miejscu stał motocykl ETZ 150, robiony jeszcze chyba w NRD pod koniec lat osiemdziesiątych, dalej jakieś skrzynki, wędki, rower, bagażnik dachowy, słoiki, stalowe płaskowniki, stos desek – słowem, wszystko.

– Czego szukamy? – Monika spojrzała na Wawrzyńca pytająco.

– A bo ja wiem...? – Wzruszył ramionami.

Następnie wszedł do wnętrza, torując sobie drogę między rzeczami i rozglądając się, choć sam nie wiedział za czym.

– Czegoś, co trafiło tu niedawno – odpowiedział w końcu, zaglądając za skrzynkę, w której leżały części do motoru, a może do samochodu. Nie znał się na tym na tyle, żeby móc to ocenić. Zresztą jakie to miało znaczenie?

– Byli u Kazia jakoś tuż przed wyjazdem do Morskiego, tam mieszkali przez tydzień, potem wypadek... Czyli jakieś dwa miesiące temu. – Wawrzyniec zajrzał za zardzewiałe stalowe płaskowniki. – Swoją drogą, czemu to oni mieli ten klucz? Czemu im dał?

– Kierowniczką kazała mu zabrać rzeczy – uśmiechnął się Władek.  
– Jak oddał klucz, to nie musiał ich zabrać, bo nie miał jak. Proste.

Wawrzyniec dostrzegł tymczasem z boku za skrzynkami tekturową tubę sporych rozmiarów. Wyciągnął ją, obejrzał i uśmiechnął się.

– Chyba mamy to, za czym uganił się wszyscy – powiedział, podając tubę Monice.

Teraz ona oglądała ją ze wszystkich stron, w końcu dostrzegła małą karteczkę naklejoną z boku. Na karteczce ktoś odręcznie napisał: „Agnieszka Markowska. *Śniadanie*. Olej na płótnie 100/200”.

Ona też się uśmiechnęła i pokiwała głową.

Nie mogli wyciągać go tutaj, w tym zatechłym wnętrzu, w którym pachniało wilgocią i pleśnią, dlatego Monika zajrzała jedynie do środka, żeby się upewnić, czy coś tam w ogóle jest. Było. Pierwsza myśl Wawrzyńca dotyczyła właśnie tego, czy obraz, trzymany tu znacznie dłużej, niż pierwotnie Markowscy zaplanowali, nie uległ uszkodzeniu. Wilgoć, zmiany temperatur, wszechobecna pleśń nie służą olejom na płótnie, tak naprawdę nie służą nikomu ani niczemu, skostatował Wawrzyniec, ale obraz, i to o takiej wartości, który przez przypadek przeleżał tu tak długo, był narażony szczególnie.

– Ciekawe, czemu zostawili to tutaj... – zastanawiała się głośno Monika, kiedy szli już z tekturową tubą z powrotem do Halamy.

– Był bezpieczny. Najwyraźniej kręciło się wokół niego za dużo osób, a Purwiński, wiedząc, że oni wyszli w góry, mógł przez ten czas posłać kogoś do nich do domu – odpowiedział Wawrzyniec. Dodał jeszcze po chwili namysłu: – Zresztą przecież wysłał. To dlatego tam był taki bałagan, kiedy przyszliśmy pierwszy raz. Dlatego też przetrząśnięte były ich rzeczy w schronisku, kiedy zajrzałem tam parę godzin po wypadku. Do Dzianisza wysłał

jakiegoś swojego kompana, a pokój w schronisku przetrząsnął pewno sam. Był od początku przy akcji ratunkowej, potem pewno czmychnął na chwilę i poszedł do nich do pokoju.

– Czyli jednak nie miłość, a interesik. – Monika uśmiechnęła się trochę z zadowoleniem, a trochę też z żalem, tak przynajmniej odczytał to Wawrzyniec.

– No, powiedzmy interes. Miłość raczej nie. A to źle? – Spojrzał uważnie na Monikę.

– Źle? Nie. Trochę to tylko przykre, że świat tak bardzo zszedł na psy – odpowiedziała.

W Halamie od razu poszli do sali, w której dawniej oglądało się telewizję. Teraz telewizory stały już we wszystkich pokojach, ale dawniej odbiornik był luksusem i na cały dom pracy twórczej przypadał tylko ten jeden, z którego korzystali wszyscy. Wawrzyniec pamiętał jeszcze drobne niesnaski, jakie przydarzały się czasem przy podejmowaniu decyzji, który program ma być oglądany. Szczęśliwie w tamtych czasach były tylko dwa kanały i rzadko zdarzało się, że na obu w tym samym czasie pojawiały się atrakcyjne rzeczy. To znaczy, może i emitowano równocześnie atrakcyjne programy, na przykład mecz w czasie Teatru Telewizji, ale dzięki temu, że odwiedzający to miejsce należeli z grubsza do jednego środowiska, Teatr Telewizji i tak zawsze wygrywał. Zawsze, bo nawet jeśli ktoś chciał obejrzeć mecz, to na pewno się do tego nie przyznał przed innymi.

Sala telewizyjna była największa i dlatego teraz do niej zmierzali. Tylko tu bez problemu można było wygospodarować kawałek podłogi wielkości metr na dwa i swobodnie rozwinąć obraz. Wawrzyniec z nabożnością otworzył tubę. Poczekał, aż w sali pojawiła się kierowniczka wezwana przez Władka, i dopiero wtedy delikatnie wyciągnął zwinięte płótno. Następnie z pomocą Moniki ostrożnie rozwinęli obraz. I wtedy nagle wszystko stało się dla nich jasne.

Na obrazie przedstawiono ich we dwójkę. Nie było to wprawdzie holenderskie malarstwo realistyczne, ale i tak twarze, elementy garderoby, nawet budowa ciała, wszystko to nie pozostawiało cienia wątpliwości. Zresztą to nie miało nawet aż takiego znaczenia. Po prostu w momencie, kiedy zobaczyli obraz, wiedzieli, że to oni sami są na nim – i że to oni są tymi, których dwa miesiące wcześniej w Morskim Oku zabrała lawina.

W pierwszym momencie Wawrzyniec nie był w stanie uwierzyć w to, co widzi. Zamykał i otwierał oczy, próbował oddychać głęboko, próbował się obudzić, ale nie mógł. W końcu pochylił się nad obrazem. Na płótnie oprócz nich namalowano kuchnię w domu w Dzianiszu. Poznał ją od razu: kuchnia była dokładnie w takim stanie, w jakim zastał ją, kiedy po raz pierwszy wszedł tam z Moniką, zresztą tak samo wyglądała za każdym kolejnym razem, gdy tam wracali. Właśnie zdał sobie sprawę, że w pomieszczeniu nigdy nic się nie zmieniało: talerzyki stały w dokładnie tych samych miejscach, na nich leżały resztki jedzenia. Zeschnięta kromka chleba, skorupki od jajek, filiżanki, żółta puszka z herbatą – wszystko stare, zakurzone, jakby zleżałe. Oni sami stali obok stołu, czyli tak naprawdę nie jedli śniadania, ono zostało zjedzone, czy raczej niedojedzone, już jakiś czas wcześniej. Na obrazie przedstawiono ich pierwszą wizytę w tym domu, gdy zjawił się w Dzianiszu, chcąc przejrzeć rzeczy Markowskich. Jakim cudem na obrazie namalowanym przed zejściem lawiny, przed śmiercią autorki pokazane są późniejsze wydarzenia? Teraz dopiero Wawrzyniec spojrzał na Monikę, czy może raczej...

– Agnieszka? – zapytał z głupia frant i w tym momencie zrozumiał, że to jest jej imię.

Monika nigdy nie była Moniką, a on nie był Wawrzyńcem... A może w jakiejś części był albo przynajmniej pragnął być i to właśnie stanowiło jego największy problem?

Monika pokiwała głową, a on nie umiał ocenić, czy właśnie to do niej dotarło, czy może wiedziała o tym już wcześniej... A może w ogóle jej nie było, może wszystko i wszyscy byli jedynie produktem jego obumierającej jaźni? Spojrzał na panią Basię i Władka, wydawało mu się, że oboje spoglądali na niego z nadzieją, tak jakby kibicowali jego zrozumieniu i obawiali się tylko, jak on to przyjmie.

– To jest jakiś obłąd – spróbował jeszcze zaprotestować.

Teraz powoli wszystko schodziło się w logiczną całość. Wszystkie osoby, które spotkał na swojej drodze, odchodziły z tego świata – ale tak naprawdę musiało ich już na nim nie być, kiedy do niego zawitał. A może to właśnie tam się znalazł, w świetle, do którego trafili wszyscy ci, o których śmierć wcześniej się obwiniał? Dramatyczne samobójstwo rozszerzone Łukasza – teraz rozumiał, że nie miał z tym nic wspólnego. Plewiński umarł na zawał, ale nie przez kłótnię z nim, tylko znacznie później. Grażyna zginęła w lawinie, a Piątek z synem – w akcji, którą on wprawdzie prowadził, ale nie stało się to z jego winy, po prostu załamała się pogoda. Ania odeszła, bo jej narzeczony wpadł na idiotyczny pomysł jazdy motorem zimą, a nie dlatego, że była jego kochanką. Witek i Romek zginęli nie dlatego, że on za wcześnie wyjechał z Morskiego i nie mógł im pomóc, tylko dlatego, że tak musiało się stać. Basia i Władek, którzy przyglądali im się teraz...

– Co dalej? – popatrzył pytająco na Monikę, która nie była już Moniką.

– Dalej...? – uśmiechnęła się delikatnie. – Dalej musimy wrócić do domu. Tak myślę. A ty, co myślisz?

Piotr patrzył na nią przez dłuższą chwilę. Nie zastanawiał się nad odpowiedzią, tylko nad tym, jak dobrze się stało, że ją tu odnalazł.

– A na drugie naprawdę masz Wawrzyniec – powiedziała.

– Wiem – uśmiechnął się. – A ty Monika.

– Tak, kiedyś chciałam nawet, żeby świat o mnie myślał jako o Monice. – Pokiwała głową. – Ale to dawniej, teraz już nie.



## II

# 1.

Piotr zszedł po drewnianych schodach na parter ich drewnianego domu w Dzianiszu zbudowanego z grubych bali. Obudził się już dobrą chwilę temu, ale przez kilka minut leżał, wpatrując się na zmianę w sklepiony trójkątnie sufit z jasnych desek i w okno w dachowym wykuszu. Próbował w ten sposób odnaleźć się w świecie, w którym – jak mu się wydawało – nie było go przez długie miesiące. Przynajmniej początkowo wcale nie miał zresztą do końca pewności, czy ten świat, w którym obudził się teraz, to na pewno ten właściwy, rzeczywisty... cokolwiek te określenia miałyby znaczyć.

– No to pospałeś. – Agnieszka krzątała się po kuchni, przygotowując śniadanie.

– Czemu zamknęłaś okiennice? Jest rano. – Piotr zauważył, że na dole panują ciemności, rozświetlane tylko sztucznym światłem żarówek.

– Dostałam maila. On czeka na nas dziś w Pięciu, musimy się spieszyć – kontynuowała, nie patrząc na niego.

Na stole były już talerzyki i żółta puszka herbaty, na talerzykach leżały pokrojone skibki chleba, w kieliszkach stały jajka. Obok dwie filiżanki kawy, jej już wypita. Zawsze piła szybko, parząc sobie przy tym gardło. Miała w sobie jakiś rodzaj kawowej albo może w ogóle użytkowej kompulsji, przypomniał sobie. Wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak na obrazie, tylko było świeże, a nie zeschnięte wielodniowym leżeniem.

– Nie pojedziemy do Morskiego, nie pójdziemy do Pięciu Stawów na to spotkanie z Purwińskim – powiedział stanowczo Piotr i zamilkł w oczekiwaniu na jej odpowiedź.

Był przekonany, że się oburzy, że będzie protestować. Sprawa była zaplanowana od dawna, czekali tylko na wiadomość, która

właśnie przyszła. Ona chciała koniecznie tym spotkaniem zamknąć rozdział w swoim życiu. Wiele o tym rozmawiali przedtem, zanim...

– Dobrze. – Agnieszka się uśmiechnęła.

– Jak to? – zdziwił się Piotr.

W tym momencie zauważył, że miejsce na jej palcu, w którym wcześniej, gdzieś w tamtej historii, dostrzegł delikatne wyżłobienie, teraz zakryte było wąskim paskiem złotej obrączki.

– Chcesz posłuchać tych nagrań? – zapytała niepewnie. – Mam je, wysłał mi wcześniej.

– Nie. – Pokręcił głową. – I jak wysłał je do mnie, też ich nie posłucham.

– Dobrze... – Agnieszka lekko się zaczerwieniła.

– Chyba nigdy przez te wszystkie lata nie widziałem, jak się czerwienisz – uśmiechnął się bez cienia ironii. – To znaczy, nigdy przed tym wszystkim, co...

Nie wiedział, co ma jej opowiedzieć, czy w ogóle ma coś mówić. Podszedł do stołu.

– Nie możemy iść do niego do Pięciu, boby nas zabił – powiedział tylko.

– Wiem. Przecież byłam tam z tobą. Pamiętasz? – zapytała i dopiero teraz po raz pierwszy tego ranka spojrzała mu prosto w oczy.

– By nas zabił, ale nas nie zabije – odparł Piotr. Następnie usiadł przy stole i sięgnął po jajko w kieliszku. – Zadbam o to.

## 2.

Konferencja prasowa była rzadkością w zakopiańskiej komendzie powiatowej. Komisarz Ziętka wprawdzie nie lubił tego miejsca, nie przepadał w ogóle za swoją pracą, ale akurat takiej okazji nie mógł przepuścić. Może kiedy żona zobaczy go w lokalnej telewizji albo na zdjęciach w gazetach, dostrzeże w nim na powrót to coś, co już dawno przestała w nim dostrzegać, myślał, idąc teraz korytarzem w towarzystwie nieodłącznego aspiranta Nowaka. Tak naprawdę to jemu, temu młodemu zapaleńcowi, zawdzięczał to, że w ogóle był powód, by organizować konferencję prasową.

– Mam nadzieję, że pójdzie szybko – skłamał Ziętka, bo chciał przecież, by potrwała możliwie jak najdłużej.

– Myślę, że tak, panie komisarzu, o czym tu gadać... – uśmiechnął się Nowak, który doskonale wiedział, że Ziętka nie mówi prawdy. – Mamy dowody, mamy przyznanie, sprawa czysta.

– Nie do końca... – Pokręcił głową Ziętka.

– To prawda, ale jakoś wybrniemy – zapewnił Nowak.

Początkowo rzeczywiście szło dobrze. Odpowiedzi na pytania o przesłanki i dowody nie budziły kontrowersji ani wątpliwości. Nie mogło jednak pójść gładko do samego końca.

– Jak państwo trafili na trop Purwińskiego? – Piechowiak z „Tygodnika” zawsze zadawał trudne pytania.

Ziętka bardzo chciał odpowiedzieć, ale zdał sobie sprawę, że trochę mu jednak nie wypada. Skoro to aspirant rozpoczął pracę nad tym wątkiem sprawy, to jemu należało się pierwszeństwo w zreferowaniu tej kwestii. Poza tym i tak czuł, że nie jest w stanie odpowiedzieć, bo sprawa była bardzo dziwna i do tej pory nie udało mu się jej w pełni zrozumieć.

– Cóż – zebrał się w sobie Nowak. – Mniej więcej miesiąc temu ktoś anonimowo przekazał nam pewne dokumenty dotyczące tej sprawy, powiedzmy: poszlaki.

– Kto? – nie odpuszczał Piechowiak.

– Jak powiedział aspirant Nowak, źródło było anonimowe. Do tej pory nie udało nam się ustalić, kim był zgłaszający, ale też nie uważamy, żeby to było kluczowe dla sprawy – odrzekł kategorycznie Ziętka.

To na pewno spodoba się Elżbiecie, pomyślał. W domu żona wciąż wyrzucała mu brak zdecydowania i stanowczości, tutaj bezsprzecznie się wykazał.

– Z jakiego paragrafu będzie ścigany pan Purwiński i jaki wyrok mu grozi? – zapytała dziennikarka gdzieś z tyłu sali.

Nie znał tego głosu, a większość lokalnych dziennikarzy rozpoznawał.

– Cóż, ze zgromadzonych materiałów dowodowych wynika, że było to usiłowanie zabójstwa, w każdym razie celowe działanie z zamysłem ewentualnym podwójnego zabójstwa, ale to już tak naprawdę pytanie nie do nas. Prokuratura albo sąd udzieli państwu wyczerpujących informacji co do kwalifikacji czynu. – Ziętka był naprawdę zadowolony z siebie.

Szło mu dziś jak po maśle, a do tego dziś rano po odprawie szef Walczyński bąknął nawet coś o awansie dla niego i Nowaka.

Pomyśleć, że wszystko to zawdzięczał po części przypadkowi, a po części temu, że Nowak nie wywalił do kosza tych wydruków. Ciekawe, swoją drogą, kto mógł tak dokładnie rozpracować tego Purwińskiego i jak to zrobił. Dostali na tacy wszystkie szczegóły sprawy, nawet nie musieli się wysilać. Po prostu zrobili kilka przeszukań, dostali nakaz sprawdzenia korespondencji mailowej, zabezpieczyli materiały z nagrań i materiały pirotechniczne. Przyznanie było formalnością. Zabójstwo z pomocą lawiny? Gdyby mu wyszło, to mogło być morderstwo doskonałe. Iście szatański plan.

– Mamy chyba gdzieś tu w Zakopanem jakiegoś niezłego detektywa. Musiał się porządnie przy tym narobić – skomentował do Nowaka, kiedy wracali już do swojego pokoju. – Trzeba by się z nim zapoznać. Może nam się jeszcze kiedyś przydać.

– Nie sądzę. – Pokręcił głową Nowak, pozbawiając Ziętkę złudzeń.  
– Moim zdaniem to była jednorazowa sprawa, działanie z pobudek

osobistych.

### 3.

Agnieszka patrzyła na zmianę na niego, na stół i na całą kuchnię. Na zewnątrz już nie wiało. Dzień był słoneczny, leżący wszędzie świeży śnieg odbijał i rozpraszał światło. Zanim blask opadł na przedmioty i na jego twarz, zmiękczała go jeszcze zasłona wisząca w oknie. Było piękno, czyli była prawda.

– Namalujesz obraz. – Piotr odciął czubek jajka. – Ale na nim wszystkie te produkty będą już zeschnięte, jakby leżały tu całą wieczność.

Agnieszka przyglądała mu się chwilę, próbując zrozumieć coś z tego wszystkiego, co przeżyli w ciągu ostatnich miesięcy... a może w ciągu zaledwie kilku minut snu. W końcu zdecydowała, że nie jest to konieczne. Nie musi wszystkiego rozumieć. Zresztą „jeśli patrzeć na liście drzew, widać, jest jasne, że czas nie mija, jest okrągły i jest tutaj. Bóg”, przypomniała sobie nagle fragment wiersza przeczytanego dawno, chyba na plakacie w metrze.

– Już nie są dwoje, lecz jedno ciało – powiedziała i po chwili dodała: – Właściwie to troje.

Zerknął na nią zaskoczony.

– Będziemy mieli dziecko – rzuciła.

Potem usiadła, zaczęła jeść, a on patrzył na nią i nie mógł już powiedzieć ani słowa.

---

<sup>1</sup> Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań 2013.

<sup>2</sup> Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań 2013.



Opieka redakcyjna: Maria Tengowska

Redakcja: Joanna Dąbrowska-Resiak  
Korekta: Marta Stochmiałek, Milena Domańska

Projekt okładki: Anna Gaik-Czasak  
Zdjęcia wykorzystane na I stronie okładki: © borchee/E+ /Getty Images

Skład i łamanie: TYPO Marek Ugorowski

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48  
tel. (22) 828 98 08  
faks (22) 395 75 78  
biuro@gwfoksal.pl  
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-9224-2

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

**virtualo**